

WIELKIE SERIE SF

GWIEZDNE WOJNY™

NAPAŚĆ NA SELONII

TOM II TRYLOGII KORELIAŃSKIEJ




AMBER

ROGER MacBRIDE ALLEN



**STAR
WARS**



ROGER MACBRIDE ALLEN

**STAR WARS.
NAPAŚĆ NA SELONII**

TRYLOGIA KORELIAŃSKA (TOM 2)

przełożył Andrzej Syrzycki



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

AMBER: 1999

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Vector 01

Vector 02

Dedykacja

OD AUTORA

ROZDZIAŁ 1. WIĘZY RODZINNE

ROZDZIAŁ 2. ROZDARTA TKANKA

ROZDZIAŁ 3. PRZYLOT, ODLOT

ROZDZIAŁ 4. KWIATKI RODZINNEGO ŚWIATA

ROZDZIAŁ 5. JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

ROZDZIAŁ 6. SPOTKANIA I KŁAMSTWA

ROZDZIAŁ 7. ZAUFANIE

ROZDZIAŁ 8. TRUDNIEJSZY SPOSÓB

ROZDZIAŁ 9. KONIEC BEZCZYNNOCI

ROZDZIAŁ 10. KONIEC BEZCZYNNOCI

ROZDZIAŁ 11. LOGICZNE ROZUMOWANIE

ROZDZIAŁ 12. POD LODOWĄ GÓRĄ

ROZDZIAŁ 13. REGUŁA YGGYNA

ROZDZIAŁ 14. POD POWIERZCHNIĄ

ROZDZIAŁ 15. POSTAWA I REPULSORY

ROZDZIAŁ 16. POJAWIAJĄ SIĘ SYGNAŁY

ROZDZIAŁ 17. NARESZCIE RAZEM

ROZDZIAŁ 18. WYŚCIG Z CZASEM

Przekład
ANDRZEJ SYRZYCKI

Tytuł oryginału
STAR WARS ASSAULT AT SELONIA

Redaktor serii
ZBIGNIEW FONIAK

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
GRAŻYNA GÓRALNA

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 1995 by Lucasfilm, Ltd. & TM.
All rights reserved.





*Beth i Mike'owi,
którzy nauczyli mnie, jak wierzyć
w niewinność Ryszarda III,
nieuniknioną śmiertelność Bluebottle'a
i niebezpieczeństwa otrzymania sekwensu*

OD AUTORA

Chciałbym ponownie podziękować swojemu redaktorowi, Tomowi Dupree, za życzliwość, poparcie i konsekwencję. Bóg jeden wie, jak bardzo zasłużył na moją wdzięczność. Gdyby nie on, nie byłoby tej książki. Uwierzcie mi, wiem, co mówię.

Chciałbym równie gorąco podziękować żonie, Eleanore Fox, za nadanie ostatecznego kształtu mojemu rękopisowi i zachęcanie mnie, abym harował bez wytchnienia, a także za cierpliwe znoszenie męża, który przez kilka miesięcy zajmował się problemami odległej galaktyki.

Kiedy czytam jakąś książkę, zawsze chcę wiedzieć, co kryje się za dedykacjami... i odczuwam lekką frustrację, ilekroć trafiam na niezrozumiałe. A zatem czytelnikom, którzy czują to samo, należy się kilka słów wyjaśnienia, co kryje się za dedykacjami tego i poprzedniego tomu.

Pierwszy tom trylogii, zatytułowany *Zasadzka na Korelii*, został zadedykowany Taylorowi Blanchardowi i Kathei Logue – z uwagi na dwie sprawy. Po pierwsze, to mnie przypada co najmniej połowa zasługi za to, że ich sobie przedstawiłem. Po drugie – o ile wszystko ułoży się pomyślnie – w chwili, kiedy zaczniecie czytać tę książkę, będę miał zaszczyt być drużbą Taylora na jego ślubie. Jeżeli takie wydarzenie nie jest godne dedykacji, to nie wiem, co na to zasługuje.

Ten tom, *Napaść na Selonii*, zadedykowałem Beth i Mike'owi Zipserom. Kiedy chodziłem do jedenastej klasy, Beth była moją

nauczycielką angielskiego. Niektórzy szczęściarze mogą wskazać nauczycielkę albo nauczyciela i powiedzieć, że to właśnie ona albo on wywarli na niego największy wpływ i skierowali na drogę wiodącą do tego, co się osiągnęło. Tak było i z Beth. Właśnie jej lekcjom zawdzięczam w dużej mierze to, kim się stałem.

Zapewne najzwyczajniejszy przypadek zrządził, że wiele lat po ukończeniu nauki w szkole, na uczelni i tak dalej uczestniczyłem w przyjęciu, wydanym przez jakieś towarzystwo miłośników literatury fantastyczno–naukowej. Siedziałem na podłodze, kiedy całkiem dosłownie przysiadła się do mnie właśnie ta pani i zapytała, czy przypadkiem nie jestem tym samym Rogerem Allenem, który uczęszczał do liceum Walta Whitmana w miejscowości Bethesda. Udzieliłem twierdzącej odpowiedzi i wkrótce oboje zaczęliśmy brać udział w organizowanej co miesiąc grze w pokera (przy czym moja rozmówczyni grała o wiele lepiej niż ja). Od tamtej pory jej mąż Mikę jest moim serdecznym przyjacielem. Oboje są wspaniałymi ludźmi, aczkolwiek – chyba mogę pozwolić sobie na odrobinę krytyki – mam zastrzeżenia co do ich gustu, jeżeli chodzi o krawaty, chusty na szyję i szaliki. Tych zaś, których interesuje rozwiązanie tajemnic zawartych w dedykacji niniejszej książki, zapraszam do zapoznania się z powieścią Josephine Tey pod tytułem *Córka czasu*, nadawanym przez BBC w latach pięćdziesiątych słuchowiskiem *The Goon Show* oraz zasadami gry w towarzyskiego, siedmiokartowego pokera.

Tylko nie zapominajcie o podnoszeniu stawki.

Roger MacBride Allen
Arlington, Wirginia,
styczeń 1995

ROZDZIAŁ

1.

WIĘZY RODZINNE

Han Solo miał ręce skrupowane za plecami, nic więc dziwnego, że potknął się, kiedy strażnicy wepchnęli go do ponurej komory audiencyjnej. Poniewczasie uświadomił sobie, że podłoga pośrodku pomieszczenia znajduje się dobre pół metra niżej niż przy drzwiach i pod pozostałymi ścianami. Szedł zbyt szybko i nie zdążył się zatrzymać, więc po prostu spadł z podwyższenia. Wylądował, uderzając boleśnie barkiem o twardą kamienną posadzkę.

Przetoczył się na bok i z trudem usiadł. Strażnicy, którzy wepchnęli go do ogromnej piwnicy, wycofali się, ale nie zapomnieli o zatrzaśnięciu ciężkich drzwi. Han został sam w pępym pomieszczeniu.

Powiódł spojrzeniem po ścianach, rozmyślając, co dalej. Dobrze chociaż, że wyprowadzono go z więziennej celi. To było już coś. Możliwe, że niewiele, ale jednak coś. Rzecz jasna, to, co miało go czekać, wcale nie musiało oznaczać poprawy jego sytuacji. Z doświadczenia wiedział, że najbezpieczniej jest przebywać w celi. Kłopoty zaczynały się dopiero wówczas, kiedy go wyprowadzano.

Wstał i jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu. Ściany i posadzkę wykonano z uniwersalnego ciemnoszarego stresbetonu. W

powietrzu wyczuwało się woń stęchlizny, co sugerowało, że pozbawiona okien komora znajduje się pod ziemią. Pokój miał może dwadzieścia metrów szerokości i trzydzieści długości, przy czym posadzkę pośrodku ułożono pół metra niżej niż pod ścianami. Tam biegło dwumetrowej szerokości kamienne, podobne do platformy podwyższenie. Stojący na nim strażnicy mogli spoglądać z góry na wszystkich, zepchniętych do środkowej części piwnicy. W każdej ścianie widniały masywne stalowe wrota; przez każde można było wejść prosto na platformę.

Drzwi, przez które wepchnięto Hana, znajdowały się w tej chwili za jego plecami. Po przeciwnej stronie widział stojące na podwyższeniu ogromne krzesło. Sporządzone z ciemnego drewna, wyglądało prawie jak tron. Było tak majestatyczne i duże, że każdy, kto by na nim siedział, wydawałby się wyższy niż gdyby stanął obok, na platformie. Han miałby na wysokości oczu kolana siedzącego. Kiedy ujrzał krzesło, domyślił się, dlaczego go tu przyprowadzono i kim jest osoba, która chce się z nim zobaczyć.

Rozwiązał tę zagadkę, ale nie przestał rozglądać się po piwnicy. Jeżeli nie liczyć przypominającego tron krzesła, nie widział żadnych ozdób ani mebli. W audiencyjnej komorze panował półmrok, ale mimo to Han zauważył, że pomieszczenie wykonano byle jak, nieporządnie, a nawet niechlujnie. W posadzce widniały szczeliny i szpary, a użyty do wzniesienia ścian stresbeton sprawiał wrażenie, że lada chwila może się rozkruszyć. Partacka robota.

Han widział w swoim życiu wiele sal i komnat, które wywarły na nim duże wrażenie. Były też takie, które zbudowano wyłącznie w tym celu. Ta, gdzie przebywał w tej chwili, z całą pewnością zaliczała się do tej drugiej kategorii. Zapewne Liga Istot Ludzkich

potrzebowała pomieszczenia, którego wygląd przytłaczał albo wprawiał w osłupienie. Wykorzystywano je, ilekroć Konspiracyjny Przywódca pragnął osądzić więźnia – a może dla zabawy przyglądać się śmierci ofiary. Z pewnością jednak Liga nie miała dość czasu, a może i środków na to, aby zatrudnić najlepszych murarzy czy też postarać się o najlepsze materiały. Han pomyślał, że wszystko to było bardzo zajmujące, ale takie informacje na pewno nie pomogą mu utrzymać się przy życiu.

Ponownie skupił uwagę na ogromnym krześle. Z pewnością to właśnie na nim siadała Najważniejsza Osobistość, ilekroć przychodziła do ponurej piwnicy. Han podejrzewał, że doskonale wie, kim jest ta Najważniejsza Osobistość.

Prawdę mówiąc, mogła być nią tylko jedna osoba. Jego kuzyn, Thrackan Sal-Solo. Dobrze mu znany, krwiożerczy, podstępny, przebiegły, mściwy i paranoidalny Thrackan. Han wiedział zatem, kto, ale nie miał pojęcia, dlaczego. Zapewne jego krewniak chciał na niego rzucić okiem. Możliwe, że oznaczało to zwrot ku dobremu, ale niewykluczone, że było zupełnie odwrotnie. Z pewnością właśnie dlatego dotąd go nie zabito. Nie uśmiercono go, mając na uwadze to spotkanie. Ale czy po spotkaniu nadal będą istniały powody, żeby utrzymywać go przy życiu? Czyżby Thrackan zamierzał wykorzystać go jeszcze w innym celu?

Bądź co bądź, Han zniszczył albo uszkodził połowę eskadry kieszonkowych patrolowców. Na wielu innych planetach, gdzie bywał więziony, już samo to by wystarczyło, żeby skazać go na karę śmierci. O ile wiedział, Korelia pod tym względem nie różniła się szczególnie od innych światów.

Nie pomoże mu także to, że jest krewnym Thrackana. Zapewne kiedy kuzyn zaspokoi ciekawość, zechce osobiście wykonać na nim wyrok śmierci.

Han doskonale wiedział, że jeśli zdoła przeżyć, nie będzie zawdzięczał tego więzom rodzinnym. A zatem, jeżeli pragnie ocalić życie, musi postarać się, żeby miało dla Thrackana jakąś wartość. Kłopot w tym, że nie zamierzał w żaden sposób pomagać kierowanej przez niego Lidze Istot Ludzkich.

Jak więc mógł sprawić, żeby wydać się użytecznym, skoro nie miał zamiaru pomagać tej bandzie zbirów i morderców?

Usłyszał, że za drzwiami tuż za „tronem” coś się poruszyło. Zrozumiał, że czas rozmyślań właśnie dobiegł końca.

Cofnął się o krok, żeby wszystko lepiej widzieć. Gdyby Thrackan był podobny do młodzieńca, którego znał z czasów dzieciństwa, Han powinien mieć się na baczności – zwłaszcza, jeżeli chciał wszystko dobrze rozegrać. O ile dobrze pamiętał, jego siostrzeniec już jako dziecko lubił wyrywać owadom skrzydełka i bić młodszych, bezbronnych kolegów. Bardzo wcześnie się zorientował, że niechlubna opinia osoby okrutnej i bezwzględnej wzbudza postrach większy niż wszelkie groźby. Daje się w ten sposób do zrozumienia: oto, co potrafię zrobić komuś, do kogo nawet nie żywię urazy. Jak myślicie, co się stanie, jeżeli się na kogoś rozgniewam? W galaktyce żyły istoty, które z gróźb, zastraszania i wymuszania posłuszeństwa uczyniły coś w rodzaju sztuki. Thrackan do nich się nie zaliczał. Kuzyn Hana traktował to jako broń... jako środek wiodący do obranego celu. Co wcale nie oznaczało, że nie sprawiało mu to satysfakcji.

Drzwi otworzyły się na oścież i do pomieszczenia wkroczyły dwie kolumny strażników. Wszyscy wyglądali niechlujnie i mieli na sobie podniszczone oficerskie mundury. Jedna kolumna skręciła w prawo i znieruchomiła pod ścianą po lewej stronie fotela. Druga zrobiła to samo pod przeciwległą ścianą. Mężczyźni zamarli w postawie na bacność po obu stronach ogromnego krzesła. Wpatrywali się jedni w drugich ponad obniżoną częścią pomieszczenia... i głową Hana.

Sądząc z dystynkcji, które trochę przypominały te noszone przez żołnierzy Imperium, wszyscy oficerowie mieli bardzo wysokie stopnie. Z całą pewnością jednak obecni marszałkowie byli dzień wcześniej najzwyczajniejszymi obibokami. Paradne mundury i ozdobne naramienniki nie dały rady zmienić ich właścicieli w oficerów zasługujących na szacunek. Ci goście, w porównaniu z dawnymi oficerami Imperium, wyglądali jak smarkacze bawiący się imitacją świetlnych mieczy przy mistrzu Jedi, Luke'u Skywalkerze.

Opasłe brzuchy dowodziły, że od wielu lat nie wykonywali fizycznych ćwiczeń. Zmętniałe oczy, zaczerwienione twarze, nieogolone policzki i wydobywające się z ust opary mocnego alkoholu uświadomiły Hanowi, że przynajmniej niektórzy z tych oficerów spędzili poprzednią noc, oblewając odniesione zwycięstwo. Z pewnością przedwcześnie, pomyślał Han. Jak nawet najbardziej pijani głupcy mogli uważać, że Liga Istot Ludzkich już zwyciężyła?

Ci tutaj na pewno nie zaliczali się do grona najwybitniejszych myślicieli galaktyki. Stanowili dekorację, nic ponadto. Han postanowił nie zwracać na nich uwagi. Odwrócił głowę i wpatrzył się w ciemny prostokąt drzwi, otwartych na oścież w ścianie za fotelem. Pomyślał, że chyba nastąpiło nieprzewidziane opóźnienie. Możliwe, że Najważniejsza Osobistość miała ważny powód, a może

uczyniła to celowo, żeby przydać swojemu przybyciu większego dramatyizmu.

Po chwili jednak do piwnicy wkroczył Thrackan Sal-Solo – niedawny Konspiracyjny Przywódca Ligi Istot Ludzkich, a obecnie samozwańczy Dyktator całego koreliańskiego sektora. Wszedł szybko, jak ktoś, kto dobrze wie, co robi i dokąd zmierza. Jak istota absolutnie ufna we własne siły i przekonana, że udźwignie ciężar, jaki wzięła na swoje barki. Thrackan Sal-Solo obszedł ogromne krzesło z prawej strony, po czym stanął na krawędzi podwyższenia. Wlepił wzrok w dawno nie widzianego kuzyna. Han odwzajemnił jego spojrzenie.

Miał wrażenie, że spogląda w dziwaczne, zniekształcające zwierciadło. Widział w nim swoją twarz. Zapewne Thrackan, spoglądając na niego, także widział swoją. Nie były wprawdzie identyczne, dałoby się odróżnić je od siebie. Siostrzeniec Hana miał ciemniejsze włosy... ciemnobrązowe i poprzetykane pasemkami siwizny. Ważył kilka kilogramów więcej niż Han, był wyższy o dwa albo trzy centymetry i miał starannie przystrzyżoną brodę. Jego twarz wyrażała surowość i upór, których na próżno byłoby szukać w obliczu Hana. Widać było, że na twarzy Thrackana równie łatwo odmalowałyby się gniew, podejrzenie albo nienawiść.

Wszystkie te drobne różnice jedynie podkreślały niezwykle podobieństwo obu mężczyzn. Han uświadomił sobie, że oto widzi jak na dłoni kogoś, kim mógłby się stać. Nie bardzo mu się to podobało. Prawdę mówiąc, ani trochę. Pierwsze spotkanie z dawno nie widzianym krewniakiem wytrąciło go z równowagi bardziej niż się spodziewał.

Nie on jeden zwrócił uwagę na to uderzające podobieństwo. Stojący w szeregach pod przeciwległymi ścianami mężczyźni powinni trzymać głowy prosto i kierować spojrzenia na kolegów. Tymczasem żaden nie oparł się pokusie; wszyscy spojrzeli najpierw na Hana, a później na Thrackana. W pomieszczeniu rozległ się chóralny pomruk zdumienia.

Wyglądało na to, że kuzyn Hana jako jedyny zachował stoicki spokój. Kierował na Hana zimne, obojętne spojrzenie, jakby nie umiał, a może nie chciał okazywać żadnych uczuć.

Han doszedł do przekonania, że najlepiej będzie mieć to już za sobą. Postanowił udowodnić, że się nie boi.

– Cześć, Thrackanie – powiedział. – Domyśliłem się, że mam się spotkać z tobą.

– Cześć, Hanie – odpowiedział jego rozmówca. Głos również miał szalenie podobny do głosu Hana. – Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem, co chcesz przez to powiedzieć – odparł Han.

– Przypomnij sobie dawne czasy, Hanie – odrzekł jego kuzyn. – Przypomnij sobie dawne czasy. To ty przecież zawsze lubiłeś się bawić. A później ja musiałem po tobie sprzątać.

– Zapamiętałem to zupełnie inaczej – sprzeciwił się Han. Z tego, co pamiętał, Thrackan nigdy nie miał zwyczaju sprzątać po sobie, a tym bardziej po kimkolwiek innym. Mimo to zawsze udało mu się wywołać wrażenie, że to właśnie on posprzątał. Ci, którzy chętnie znęcali się nad słabszymi, doskonale wiedzieli, jak udawać ofiarę. Thrackan nigdy nie miał problemów z obwinianiem innych za własne postęпки, podobnie jak z przypisywaniem sobie całej zasługi

za czyjeś osiągnięcia i sukcesy. – A jednak masz rację – dokończył Han po chwili. – Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Tym razem zostawiłeś po sobie straszny bałagan – stwierdził Thrackan, jakby nie usłyszał ostatniej uwagi krewniaka. Cofnął się o krok i usiadł na krześle. – Włamałeś się na teren mojego kosmoportu i zniszczyłeś albo uszkodziłeś sześć kieszonkowych patrolowców, a co najgorsze, dopuściłeś, żeby Brzydał typu X-TIE wyrwał się w przestworza. Podejrzewam, że pilot zdołał wykonać skok do nadprzestrzeni. Jeżeli powiadomi o wszystkim władze Nowej Republiki, może pokrzyżować niektóre moje plany.

– Sądziłem, że kosmoport i kieszonkowe patrolowce są własnością koreliańskiego rządu – zauważył Han. – Nie wiedziałem, że są twoje.

– Teraz już są – burknął Thrackan. – A jeżeli już o tym mowa, rząd także. Ale nie o to teraz chodzi. Problem w tym, że twoje zabawy przysparzają mi sporo kłopotów.

– Bardzo mi przykro z tego powodu – oświadczył Han.

– Wątpię – powiedział świeżo upieczony Dyktator. – Mnie nie byłoby przykro, gdybym znalazł się na twoim miejscu. Pozostaje jednak pytanie, co mam z tobą zrobić.

– Mam pewną propozycję – podsunął Han, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie i beztrąsko. – Uwolnij mnie, a potem poproś, żebym pozwolił ci się poddać. Możliwe, że uda mi się dogadać z przedstawicielami władz Nowej Republiki, aby potraktowali cię pobłażliwie.

– A może zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego powinienem posłuchać twojej rady? – zapytał Thrackan, unosząc kąćki ust w lekkim uśmiechu.

– Ponieważ nie uda ci się wygrać, kuzynie – odparł poważnie jego rozmówca. – Tamten myśliwiec typu X-TIE z pewnością wylądował na Coruscant, a nawet jeżeli pilotowi nie udało się dokonać tej sztuki, z pewnością ktoś inny powiadomił władze o wszystkim, co się tutaj dzieje. Nie zapominaj także o tym, że zadarłeś z tą samą Nową Republiką, która zwyciężyła w walce z Imperium. To przecież nasze wojska pokonały Imperatora, Dartha Vadera i admirała Thrawna. To my unicestwiliśmy obie Gwiazdy Śmierci. Dlaczego przypuszczasz, że moglibyśmy mieć problemy z pokonaniem ciebie? Dlaczego nie miałbyś oszczędzić wszystkim kłopotów i poddać się, skoro stwarzam ci okazję?

Thrackan uśmiechnął się szerzej, ale w wyrazie jego twarzy trudno byłoby doszukać się prawdziwej wesołości. Z tym uśmiechem wydawał się jeszcze bardziej bezwzględny i drapieżny. Po chwili przestał się uśmiechać, a potem ze smutkiem pokręcił głową.

– Zawsze taki sam – powiedział. – Pokonany, brudny i nie ogolony, wyprowadzony pierwszy raz po spędzeniu nocy w zatęchłej celi, a jednak zadziorny, arogancki i pewny siebie. – Przerwał i rozsiadł się wygodniej na wysokim krześle. – Istnieje bardzo ważny powód, dla którego nie mogę przegrać – ciągnął po chwili. – Ponieważ już wygrałem. Wszystko skończone. Możliwe, że twoja Nowa Republika zechce sprawić mi kilka mało istotnych kłopotów, ale nic więcej. Nie ośmieli się, jeżeli nie chce, żebym wywołał eksplozje słońc zamieszkanym systemów. Innymi słowy, pozostawi mnie w spokoju.

Han zawahał się, zanim odpowiedział. Czy kuzyn naprawdę dysponował środkami, umożliwiającymi spełnienie tej pogróżki? Bez wątplenia niedawno eksplodowała gwiazda, która nie miała prawa

przeistoczyć się w supernową. Liga natychmiast przyjęła odpowiedzialność za ten wybuch, ale jakim cudem banda ignorantów, malkontentów i zwyczajnych zbirów mogła wywołać eksplozję gwiazdy?

– To była całkiem niezła sztuczka – odezwał się w końcu. – Wątpię jednak, czy potraficie ją powtórzyć.

– Och, już wkrótce się przekonasz – odrzekł beztrąsko Thrackan. – Możesz pozbyć się wszelkich wątpliwości.

Z tonu i gestów Korelianina przebijała absolutna pewność siebie. Han pomyślał, że jeżeli siostrzeniec udaje, ma w tym nieprawdopodobną wprawę.

– A zatem dlaczego mnie uwięziłeś, Thrackanie? – zapytał zniecierpliwiony, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma na głowie ważniejsze sprawy. Gdyby miał do czynienia z kimkolwiek innym, demonstrowanie takiej arogancji graniczyłoby z samobójstwem. Han jednak dobrze znał krewniaka. Gdyby próbował bawić się w uprzejmości, płaszczył się albo okazywał przerażenie, w odpowiedzi zobaczyłby najwyżej pogardliwy uśmiech.

– Tak ci spieszno powrócić do celi? – zakpił Thrackan, złośliwie się uśmiechając.

Han zwalczył pokusę, by odetchnąć z ulgą. Do tej pory nie był pewien, czy kuzyn rzeczywiście zamierzał pozwolić mu żyć na tyle długo, żeby jeszcze miał szansę oglądać mury swojej celi.

– Nie – odparł po sekundzie milczenia. – Podobnie jak nie jestem zainteresowany wysłuchiowaniem twoich pogrózek. Dlaczego mnie uwięziłeś?

– Zaświtała mi myśl, że może zgodziłbyś się na współpracę – odparł Thrackan. – Mógłbyś zachować się jak prawdziwy koreliański

patriota i pomóc mi pozbyć się republikańskich intruzów. Prawdę mówiąc, nie miałem jednak wielkiej nadziei, że wyrazisz zgodę. Nie mogę na to liczyć, prawda?

– Nawet za milion lat – odparł stanowczo Solo.

– No cóż, niech tak będzie – powiedział mężczyzna, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi. – Jeżeli nie chcesz mi pomóc, dlaczego miałbym zostawić cię przy życiu?

Większość ludzi, usłyszawszy takie oświadczenie, prawdopodobnie wpadłaby w panikę. Han jednak pamiętał, jak zachowywał się siostrzeniec w dawnych czasach. Już ta krótka rozmowa pozwoliła mu zorientować się, że od tamtej pory jego kuzyn właściwie się nie zmienił. Gdyby zamierzał pozbawić Hana życia, nie marnowałby czasu na pogawędki. Jego ofiara już dawno miałaby w piersi wielką, dymiącą dziurę, wypaloną przez blasterową błyskawicę. Możliwe, że Thrackan był okrutny, ale nigdy kapryśny albo niezdecydowany. Ilekroć popełniał jakąś niegodziwość – albo robił cokolwiek innego – zazwyczaj miał na uwadze własną korzyść. Nigdy też nie sprzeciwiał się, żeby inni wykonywali za niego brudną robotę. Rzadko zmuszał się do zbędnego wysiłku. Han nie mógł być absolutnie pewien, ale jednak przypuszczał, że siostrzeniec jeszcze nie podjął decyzji, czy ma zabić więźnia, czy pozwolić mu żyć. Mógł zadecydować i tak, i tak – a to oznaczało, że rozważał powody, które pomogłyby mu się zdecydować. Hanowi zdawało się, że wie, dlaczego Thrackan mógłby chcieć go uśmiercić, ale nie miał pojęcia, dlaczego miałoby mu zależeć na pozostawieniu go przy życiu.

– Istnieje wiele bardzo ważnych powodów, dla których nie powinienes mnie zabijać – zaczął, starając się zyskać chociaż kilka

sekund.

Miał nadzieję, że w jego głosie zabrzmiał spokój i pewność siebie, ale zwątpił w to, kiedy usłyszał własne słowa.

– Może zechciałbyś przypomnieć mi chociaż jeden? – zadrwił lodowatym tonem jego siostrzeniec.

Myśl! – nakazał sobie Solo. Zastanów się. Dlaczego Thrackanowi mogłoby zależeć na tym, żeby pozostawić cię przy życiu? Jedno było pewne: Liga Istot Ludzkich zdecydowała się doprowadzić do wybuchu powstania dokładnie w chwili, kiedy na Korelii miała rozpocząć się konferencja poświęcona problemom rozwoju handlu... i kiedy na planecie gościło wielu handlowców i dostojników. Wszyscy przebywali w Koronie, oficjalnej rezydencji generalnego gubernatora Micamberlecta. Gdyby Liga zechciała, mogłaby zamienić budynek w stertę gruzów i uśmiercić wszystkich Uczestników konferencji, a wraz z nimi członków planetarnego rządu. Przy okazji zginęłaby także Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki.

Tymczasem nic takiego się nie stało. Kiedy wybuchło powstanie, Han przebywał w Koronie. O ile mógł się zorientować, atak na gmach miał być czymś w rodzaju precyzyjnej operacji. Na szczęście zawiodło wykonanie. Z pewnością napastnikom nie zależało na zburzeniu Korony. Członkowie Ligi zamierzali jedynie uwięzić w niej gubernatora generalnego, Leię i pozostałych dostojników. Planowali zablokować wszystkie wyjścia i uniemożliwić delegatom na konferencję przedostanie się na dach budowli. Wprawdzie Han zdołał się uwolnić i uciec, ale – jego zdaniem – nie świadczyło to o zamiarach powstańców, ale o braku umiejętności.

Trudno było oprzeć się wrażeniu, że Thrackanowi zależało na tym, aby wykorzystać Leię i pozostałych dostojników jako doskonałe karty przetargowe. Zapewne dlatego Liga Istot Ludzkich wciąż jeszcze więziła ich w Koronie jako zakładników. I nagle Han zrozumiał. Jego kuzyn darował wszystkim życie, ponieważ liczył na to, że Leia pomoże mu w urzeczywistnieniu planów. Jeżeli jednak liczył na pomoc Leii, oznaczało to, że nie panował nad sytuacją – bez względu na to, jak bardzo starałby się wmawiać wszystkim, że jest inaczej. Han wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Tym razem nie musiał udawać.

– Masz rację – zaczął. – Nie istnieje żaden powód, dla którego miałbyś pozostawiać mnie przy życiu. Absolutnie żaden. Rzeczywiście nie mogę podać ci ani jednego – chyba że obchodzi cię, jak bardzo zdenerwuje się przywódczyni Nowej Republiki. Kiedy ktoś morduje z zimną krwią członków jej rodziny, potrafi być naprawdę nieprzyjemna.

Po tych słowach Hana Thrackan zaczął zdradzać oznaki gniewu.

– Nie interesują mnie nerwy twojej przywódczyni – warknął groźnie.

– A zatem dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, żeby ją schwytać? – zapytał Solo. – Dlaczego wydałeś rozkaz, aby powstanie rozpoczęło się dokładnie w tym samym czasie, co konferencja?

– Cicho bądź! – wrzasnął Korelianin. – To ja zadaję tu pytania! Jeżeli usłyszę choćby jedno słowo więcej na temat twojej żony, zabiję cię osobiście tu, w tej sali. I to bez względu na to, jak bardzo powinno zależeć mi na tym, żebyś przeżył.

Han nie odezwał się ani słowem, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wiedział, że wygrał... i że Thrackan zdaje sobie z tego

sprawę. Han przejrzał jego plany.

Tymczasem kuzyn spiorunował go spojrzeniem i zaczął bębnić palcami po podłokietniku tronu.

– Zapomniałem, że umiesz doprowadzać mnie do szału – odezwał się po dłuższej chwili. – Chyba jednak muszę ci uświadomić, jak niemądrze postępujesz. Nie powinieneś nadużywać mojej cierpliwości ani próbować wygrać ze mną w szermierce na słowa. A poza tym – dodał, wskazując na dwa szeregi żołnierzy stojących na baczność pod ścianami piwnicy – moi oficerowie ostatnio bardzo ciężko harowali. Zasłużyli na trochę rozrywki.

Uśmiechnął się jeszcze raz, a jego rysy nabrały jeszcze bardziej nieprzyjemnego wyrazu.

– Honorowa straż, spocznij! – rozkazał. Nie spuszczał wzroku z twarzy Hana. Przebrani w oficerskie mundury złoczyńcy odprężyli się i zaczęli szurać buciorami po kamiennym podwyższeniu. Uśmiechali się i porozumiewawczo mrugali do kompanów, jakby spodziewali się ujrzeć coś paskudnego. – Kapitanie Falco, proszę powiedzieć strażnikom, że mogą przyprowadzić... ehm... drugiego więźnia.

Wyjątkowo niechlujnie wyglądający strażnik zasalutował i powiedział:

– Rozkaz, Wasza Ekscelencjo.

Wyciągnął z kieszeni munduru mały komunikator, włączył urządzenie, zbliżył do ust i odezwał się do mikrofonu:

– Sierzancie, możecie wprowadzić więźnia.

Kilka chwil nic się nie działo, mimo to Han wcale nie ucieszył się z tej zwłoki. Niebawem usłyszał – z początku ciche, ale coraz głośniejsze – dobiegające z za pleców stłumione odgłosy ciężkich

kroków. Dolatywały spoza tych samych drzwi, przez które wepchnięto go do pomieszczenia. Odwrócił się, żeby stanąć przodem do nich. Cofnął się kilka kroków i w ten sposób znalazł się bliżej Thrackana. Co prawda miał go teraz za plecami, ale jeżeli się dobrze zastanowić, to jego siostrzeniec był zawsze tak samo niebezpieczny, bez względu na to, gdzie się znajdował: przed nim czy za nim. Han wiedział mniej więcej, czego może się po nim spodziewać. Wolał skupić się na niebezpieczeństwie, którego jeszcze nie znał.

Nagle ciężkie drzwi się otworzyły i do komory wkroczyło dwóch uzbrojonych po zęby strażników. Obaj trzymali gotowe do strzału blastery. Chwilę później oparli się plecami o ścianę i znieruchomieli po obu stronach drzwi. Han przypomniał sobie, że kiedy wprowadzali go do sali, nie uznali za konieczne, by przedsięwziąć aż tak drastyczne środki ostrożności. Wyglądało na to, że żołnierze Ligi uważali tego drugiego więźnia – bez względu na to, kim był – za kogoś o wiele bardziej niebezpiecznego niż Han.

Po następnych kilku sekundach w drzwiach stanął drugi więzień... i dopiero wówczas Han pojął, dlaczego strażnicy zachowywali tak daleko posunięte środki ostrożności. Więźniem okazała się istota rodem z Selonii. Nawet głupcy i skrytobójcy dobrze wiedzieli, że rodowitych Selonian należy traktować bardzo poważnie.

Tym bardziej że istota, która weszła do pomieszczenia, okazała się roslą i silnie zbudowaną Selonianką. Nie było w tym nic dziwnego. Mieszkańcy Selonii, którzy pokazywali się publicznie, najczęściej byli osobnikami płci żeńskiej – roslymi, silnymi i budzącymi przerażenie.

Selonianki były trochę wyższe i szczuplejsze niż ludzie. Miały dłuższe torsy, ale krótsze ręce i nogi. Mimo iż najczęściej chodziły wyprostowane, mogły, kiedy tylko chciały, poruszać się na czworakach. Na stopach i dłoniach miały ostre pazury, które mogły chować. Pazury przydawały się w czasie kopania albo wspinaczki... a także podczas walki. Istoty umiały świetnie pływać, ponieważ niezbyt długie, ale grube i silne ogony pomagały im sterować i utrzymywać się na powierzchni wody. Podczas chodzenia służyły jako przeciwwaga, a w czasie walki – co nie było dziełem przypadku – jako maczuga albo gruba pałka.

Teoria głosiła, że prapraprzodkowie Selonian byli pływającymi drapieżnymi ssakami, które zamieszkiwały najpierw nadrzeczne nory, a później opuściły okolice rzek, ponieważ nauczyły się kopać podziemne tunele. Ciało tych stworzeń porastała krótka lśniąca sierść, a wydłużone pyski miały mnóstwo długich, ostrych zębów i były ozdobione krótkimi szczeciniastymi bokobrodami. Selonianie słynęli z krewkiego temperamentu i bardzo szybko tracili cierpliwość, jeżeli ktoś nie wiedział, jak z nimi postępować. Żyli przeważnie w podziemnych jaskiniach i pieczarach, a ich społeczeństwo zaliczało się do najdziwniejszych w całej galaktyce.

Wszystko to było bardzo ciekawe, ale w tej chwili Hana nie obchodziło, że społeczeństwem Selonian rządziły bezpłodne samice. O wiele bardziej interesował go fakt, że bezpłodna samica stojąca przed nim ma długie i bardzo, bardzo ostre zęby.

Wysoka, szczupła i gibka Selonianka weszła do pomieszczenia tak spokojnie i beztrąsko, jakby była jednym ze strażników, a nie więźniem. Okazywała ogromną pewność siebie. Tuż za nią do piwnicy weszli dwaj inni żołnierze Ligi, ale istota nie okazała im

zainteresowania większego niż dwójce stojącej po obu stronach masywnych drzwi.

Han zwrócił uwagę także na jeszcze jeden szczegół. Istota nie miała skrępowanych rąk – ani z przodu, ani za plecami. To mogło oznaczać tylko jedno. Selonianka złożyła przysięgę, że nie sprzeciwi się woli tych, którzy ją pochwycili, ani też nie podejmie próby ucieczki. W przeciwnym razie pozostawienie jej swobody ruchów graniczyłoby z samobójstwem. Jeżeli jednak obiecała, że nie sprawi kłopotów, strzegący jej żołnierze byli właściwie niepotrzebni. Ba, sam fakt ich obecności stanowił śmiertelną zniewagę. Jeżeli Selonianka złożyła przysięgę, podawanie jej w wątpliwość było nierozważne. Można było taki nietakt tłumaczyć arogancją albo ignorancją, ale rodowici Selenianie nigdy nie zapominali o wyrządzonych zniewagach.

– Złaź! – rozkazał jeden ze strażników, pokazując lufą blastera obniżoną część podłogi.

Han pamiętał, że kiedy strażnicy wprowadzili go do komory, został po prostu zepchnięty z podwyższenia, tak że upadł na kamienie. Mając ręce skrępowane za plecami, nie mógł nic na to poradzić. Tymczasem Seloniance pozwolono zejść po kilku schodkach w tylnym lewym rogu piwnicy. Poruszając się z wrodzonym wdziękiem, istota zeszła po kamiennych stopniach, po czym skierowała się na środek wgłębienia. Znieruchomiała i odwróciła się w stronę Hana, a później obdarzyła go absolutnie obojętnym spojrzeniem.

– Przywitaj się z Drackmus – powiedział Thrackan, zwracając się do Hana. – Całkiem niezła sztuka, nie uważasz? Robi wrażenie.

Kiedy pochwyciliśmy ją w Koronecie, usiłowała sprawić nam trochę kłopotów.

Han nie odezwał się ani słowem. Owszem, mógł sobie pozwolić na drażnienie siostrzeńca, ponieważ wiedział, jak daleko może się posunąć, żeby nie przeciągnąć struny. Wiedział też, z jakimi musi liczyć się konsekwencjami. Nie mógł jednak zachować się tak samo w stosunku do Selonianki. A przynajmniej nie w sytuacji, w jakiej się znajdował.

Thrackan zarechotał.

– Widzę, że nie zdecydowałaś się na podjęcie ryzyka – powiedział ze złośliwą satysfakcją. – Drackmus, przywitaj się z moim krewniakiem, piratem i zdrajcą... moim ukochanym kuzynem, Hanem Solo.

– *Bellorna-fa ecto mandaba-sa, despecto Han Solo!* – odezwała się Selonianka. – *Pada ectalferbraz bellorna-cra.*

Z tonu głosu istoty przebijała pogarda, ale seloniańskie słowa oznaczały coś innego: „Mówisz ty mój język, czcigodny Hanie Solo? Nikt z tych głupków go nie rozumie”.

Han zaczął intensywnie myśleć. Nie miał pojęcia, o co mogło chodzić Seloniance. Domyślił się tylko, że była wrogiem jego nieprzyjaciół. Nie wiedział, jak ją traktować: czy była tylko pionkiem wynajętym przez Thrackana w celu odegrania jakiejś roli w jego niecnym planie? Czy możliwe, żeby jego siostrzeniec zamierzał wciągnąć go w pułapkę? Ale jaki miałoby to sens, skoro i tak traktował go jak więźnia? Co się stanie, jeżeli Selonianka nie ma racji? Jaki los go czeka, jeżeli okaże się, że jednak któryś spośród strażników Ligi rozumie seloniański?

Cóż, wszechświat nigdy nie udzielał Hanowi stuprocentowo pewnych odpowiedzi. Nie zanosilo się także na to, że zacznie udzielać ich w najbliższej przyszłości.

– *Belorna–sa, mandaba–fa, kurso–kurso* – warknął w odpowiedzi, nie chcąc pozostawać dłużnym. Postarał się, żeby z jego głosu przebijała taka sama pogarda i nienawiść, jaką przedtem usłyszał w głosie Selonianki. Jego słowa oznaczały jednak: „Mówić ja nim całkiem znośnie”.

Wycofał się do kąta, podniósł głowę i zaryzykował zerknięcie na Thrackana. Jego kuzyn uśmiechał się od ucha do ucha. Najwyraźniej był przekonany, że jego więźniowie obrzucają się najgorszymi wyzwiskami.

– *Kurso! Sa kogna fos zul embaga. Persa chana–sa prognas els abta for dejed kurso* – burknęła w odpowiedzi Drackmus, po czym kłapnęła zębami. – To dobrze! Myślę, że zmuszą nas do stoczenia walki. Pozwól mi szybko zwyciężyć, a wtedy unikniesz ciężkich obrażeń.

Han właśnie tego się obawiał. To było podobne do Thrackana. Jego siostrzeniec lubił zmuszać więźniów do walki – szczególnie wówczas, kiedy siły były tak nierówne, jak w tej chwili.

– Widzę, że polubiliście się od pierwszego wejrzenia – odezwał się samozwańczy Dyktator. – Myślę, że nasza seloniańska przyjaciółka żywi mieszane uczucia do swoich gospodarzy. Nie może wyładować złości na nas, ponieważ związała się przysięgą i nie ośmieli się złamać danego słowa. Muszę powiedzieć, że wrogowie o tak silnych zasadach moralnych to prawdziwe szczęście. Chyba powinienem wynagrodzić jej szlachetność i pozwolić, żeby wyładowała gniew na tobie. Co o tym sądzisz, kuzynie?

Han napiął mięśnie rąk, usiłując je uwolnić, ale elektroniczne kajdanki nie puściły.

– Miła, uczciwa walka, co, krewniaku? – zapytał. – Selonianka przeciwko mężczyźnie ze skrępowanymi rękami.

Thrackan wybuchnął głośnym śmiechem.

– Interesuje mnie wyłącznie rozrywka, Hanie, a nie wymierzanie sprawiedliwości. – Szerokim gestem wskazał czterech strażników, którzy w tym czasie zdążyli zająć miejsca w narożnikach podwyższenia. –Ognia!

Żołnierze wymierzili blastery w środek kamiennej posadzki i równocześnie wystrzelili.

Wyglądało to, jakby spod kamiennych płyt wystrzeliła fontanna jaskrawego światła. Han zmrużył oczy i odruchowo wycofał się pod samą krawędź pomostu. Poczował ból, kiedy w twarz i w dłonie wbiły się gorące drobiny stresbetonu.

Na wpół oślepiiony i ogłuszony, zachwiał się i omal nie upadł.

– Jeżeli nie podejmiecie walki, wydam rozkaz strażnikom, żeby strzelili jeszcze raz – oświadczył lodowatym tonem Thrackan. – Do obojga. I sugeruję, żeby wasz pojedynek wyglądał naprawdę przekonująco.

Han potrząsnął głową i zamrugął. Uczynił wysiłek, aby zapanować nad skutkami oddanych z niewielkiej odległości blasterowych strzałów.

– Jak mogę przekonująco walczyć, skoro skrępowalesz mi ręce za plecami? – zapytał ze złością.

Thrackan znów ryknął gromkim śmiechem.

– Chyba nie sądzisz, że odpowiem na wszystkie twoje pytania – zadrwił. – Okaż chociaż trochę inicjatywy.

Han odzyskał ostrość spojrzenia na tyle, że mógł rzucić okiem na Seloniankę. Wyglądało na to, że jego przeciwniczka zamierza uczynić wszystko, co w jej mocy, żeby ich pojedynek sprawiał wrażenie prawdziwego. Zauważył, że istota otworzyła usta i wyszczerzyła garnitur lśniących, ostrych jak igły zębów.

Na jego korzyść mógł przemawiać chyba tylko element zaskoczenia. Postanowił wykorzystać go już na samym początku walki. Krzyknął jak umiał najgłośniej i z pochyloną głową rzucił się na Seloniankę. Zdołał przedrzeć się pod jej krótkimi rękami i z impetem uderzyć głową w tułów. Siła ciosu powaliłaby zapewne każdego człowieka, ale Drackmus podparła się ogonem i nie straciła równowagi. Prawdę mówiąc, nawet sienie zachwiała. Wymierzyła lewą łapą cios w głowę Hana. Chociaż nie włożyła w to całej siły, wystarczyło, aby jej przeciwnik zatoczył się jak pijany.

Padając, uderzył lewym barkiem w krawędź podwyższenia i chyba tylko dlatego nie runął na posadzkę. Odwrócił się i uchylił w samą porę, żeby uniknąć następnego ciosu, tym razemadanego otwartą dłońią.

W tym samym ułamku sekundy uświadomił sobie, że naprawdę może zaufać swojej przeciwniczce... a przynajmniej do pewnego stopnia. Zauważył, że zanim łapa o milimetry minęła jego twarz, ostre pazury schowały się w głębi sierści. Gdyby nie to, rozorałyby mięśnie jego twarzy.

Drackmus nie używała pazurów podczas walki. Do tej pory mogła już dwa razy go rozszarpać. Dotrzymywała danego słowa. Zapewne zamierzała nadal tak postępować... dopóki nie otrzyma rozkazu zabicia Hana albo dopóki siepacze Thrackana nie zastrzelą obojga przeciwników. A zatem Han musi umożliwić jej szybkie zwycięstwo.

Co więcej, powinien zrobić to tak, żeby walka wyglądała przekonująco. To akurat mogło być bardzo łatwe. Han nie musiał udawać, skoro walczył z silniejszą przeciwniczką i miał ręce skute za plecami. Jeszcze raz napiął mięśnie rąk, ale wszystko wskazywało na to, że osoba, która go krępowała, znała się na swojej robocie.

Nie przestając tańczyć po obniżonej posadzce, Han uchylił się przed kolejnym ciosem, tym razem zadany lewą łapą. W następnej sekundzie jednak nadział się na następny, wymierzony w sam środek torsu. Odrzucony do tyłu siłą ciosu, runął na stresbeton. Wylądował na łopatkach, ale na szczęście zdążył rozłożyć dłonie na boki i odgiąć głowę tak, że nie uderzył nią o kamienną płytę.

Zanim przyszedł do siebie, Drackmus skoczyła na niego jak pchnięta sprężyna. Albo Han miał wielkie szczęście, albo Selonianka wykazała się przytomnością umysłu; w każdym razie kiedy przetoczył się w lewo, jego przeciwniczka wylądowała z prawej strony. Oboje błyskawicznie zerwali się na nogi, ale Han chwilę później omal znów nie runął. Uświadomił sobie, że podczas poprzedniego upadku skręcił nogę w kostce. Tylko tego brakowało. Zaklął cicho i jak najszybciej umiał, pokuśtykał do narożnika komory. Miał wrażenie, że powieka prawego oka zaczyna puchnąć. Czuł także, że z rozbitego nosa cieknie strużka krwi. Jeżeli to miało oznaczać, że Selonianka oszczędza go podczas walki, nie chciał mieć z nią do czynienia, kiedy znajdzie się w kiepskim nastroju. Nie miał jednak wyboru. Musiał zaufać jej do końca. Pomyślał, że albo przeciwniczka zmieni zdanie i go zabije, albo pozwoli mu przeżyć.

Tymczasem Drackmus przystąpiła do kolejnego ataku. Tym razem zbliżała się powoli. Rozłożyła ręce na boki i szła ku niemu, kołysząc się w biodrach jak zawodowa zapaśniczka. Jej ogon złowieszczo

poruszał się to w lewo, to w prawo. Stojący pod ścianami strażnicy wykrzykiwali coś, by zachęcić więźniów do walki. Niektórzy gwizdali, złorzeczyli albo przeklinali. Zatechłe powietrze stawało się coraz bardziej przesycone dwutlenkiem węgla, a przyćmione oświetlenie chyba jeszcze bardziej przygasało. A przynajmniej Han odnosił takie wrażenie. Potrząsnął głową, starając się odzyskać jasność myśli, ale natychmiast tego pożałował. Wyglądało na to, że zawroty, jakie od pewnego czasu odczuwał, tylko się nasiliły. Uzmysłowił sobie, że już długo nie wytrzyma.

Skończyć tę walkę. Powinien zakończyć ją jak najszybciej – w stylu, który zadowoliłby Thrackana i upewniłby go, że oglądał dobre widowisko. Han miał przeczucie, że jego kuzyn – przynajmniej ten młodzieniec, jakiego pamiętał z dawnych czasów – byłby zadowolony dopiero wówczas, gdyby Han stracił przytomność i, powalony potężnym ciosem Selonianki, runął na posadzkę. Koreliański Dyktator czułby się oszukany, gdyby jego więzień po prostu zemdlał, osunął się bez czucia... a właśnie to mu groziło, jeżeli będzie jeszcze jakiś czas postępował jak do tej pory. Tymczasem Han bardzo nie chciał, żeby jego siostrzeniec poczuł się rozczarowany. Thrackan mógłby wówczas skorzystać z blastera, aby wyładować złość... a więzień był łatwym i oczywistym celem. Dotychczas Han przypuszczał, że krewniak nie zamierza go zabić, ale teraz nie był tego pewien. Za nic nie chciałby się o to założyć. Najgorsze ze wszystkiego było to, że dobrze wymierzony strzał z blastera mógłby go tylko okaleczyć.

Walcz dalej, nie ustawaj w walce! Han zachwiał się, ale odskoczył w lewo, po czym zaczął okrążyć swoją przeciwniczkę. Drackmus nie atakowała, ale cały czas obracała się przodem ku niemu. Zapewne

czekała na okazję. Han szarpnął jeszcze raz elektroniczne kajdanki krępujące jego nadgarstki. Czuł frustrację i rozpacz, że nie może nic na to poradzić. Zdumiał się, kiedy okowy nagle szczęknęły i puściły.

Zapewne uszkodził je albo osłabił podczas tamtego upadku. Możliwe też, że jego siostrzeniec uciekł się do jakiejś sztuczki. Widocznie krępujące jego ręce urządzenie dawało się zdalnie sterować i Korelianin mógł je otworzyć, kiedy uznał, że nadszedł odpowiedni moment. W tej chwili to i tak nie miało znaczenia. Han miał wolne ręce. Rozłożył je na boki jak zapaśnik i ruszył w kierunku Selonianki.

Kiedy Drackmus przekonała się, że szanse w walce się wyrównały, zdziwiła się wcale nie mniej niż Han. Cofnęła się dwa albo trzy kroki, jakby zamierzała teraz trzymać się na dystans. Warknęła, okazując rozczarowanie i frustrację. Han nie wątpił, że istota daje upust prawdziwym uczuciom. Jeżeli nawet nie chciała go zabić, to z pewnością zamierzała pokonać.

No cóż, Han postanowił jej to utrudnić. Istota wciąż jeszcze miała pewną przewagę, ale teraz jej przeciwnik mógł przynajmniej marzyć o zwycięstwie. Uchylił się lewo... raz, a potem drugi, później w prawo, a w końcu ruszył do ataku. Złączył ręce i zacisnął pięści, a potem skoczył, żeby wymierzyć cios w tors i pozbawić tchu istotę. W ostatniej chwili przypomniał sobie, żeby uderzyć nieco wyżej, niż gdyby walczył z człowiekiem. Trafił we właściwe miejsce, ale niewiele brakowało, żeby chybił. Drackmus zachwiała się i cofnęła, żeby nie stracić równowagi. Han natychmiast ruszył do drugiego ataku. Zauważył, że przeciwniczka osłabła na tyle, iż mógłby trafić ją w czubek pyska... bardzo wrażliwy punkt ciała każdego Selonianina. Zamachnął się, uderzył i trafił dokładnie tam, gdzie

zamierzał... ale natychmiast zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście to był dobry pomysł.

Kiedy zobaczył wyraz twarzy Selonianki, zrozumiał, że sprawił jej wiele bólu... ale, co gorsza, doprowadził do wściekłości. Przekonał się, że nagle pysk istoty znów znalazł się tuż koło jego torsu. Szczęki się rozchyliły, a ostre zęby z donośnym kłapnięciem zwały się w powietrzu o kilka milimetrów od prawej ręki. Zanim miał czas się uchylić, twarda jak kamień pięść wylądowała pośrodku jego piersi. Gdyby trafiła w brzuch, prawdopodobnie zwinąłby się z bólu, ale na szczęście Selonianka wymierzyła cios trochę zbyt wysoko. Mimo to Han skrzywił się i runął na posadzkę. Nie przestając się krzywić, z trudem zerwał się na nogi. Wydawało mu się, że wskutek ciosu albo upadku trzasnęło jedno z żeber.

Tymczasem ogon Drackmus nie przestawał kołysać się na boki. Raz po raz obijał się o jej ciało to z jednej, to znów z drugiej strony. Nagle Selonianka obnażyła ostre kły... ale nie rzuciła się na Hana, by zatopić zęby w jego gardle. Nie usiłowała też przeorać mu twarzy pazurami. Wyglądało na to, że stara się panować nad sobą... przynajmniej do czasu. Han uświadomił sobie – tak jasno jak chyba nigdy przedtem – że musi zakończyć walkę natychmiast. Nie może czekać, aż przeciwniczka straci cierpliwość, da się ponieść gniewowi i rzuci się, by go zabić.

– Posłuż się ogonem! – krzyknął do niej po seloniańsku. – Smagnij mnie po głowie!

Szalony ogień, jaki od pewnego czasu płonął w oczach Selonianki, na chwilę przygasł. Istota spojrzała na Hana, jakby zdziwiona, że wciąż jeszcze widzi go przed sobą. To dobrze.

Zapewne oznaczało to, że słowa przeciwnika zdołały przedrzeć się do jej świadomości. Han nie mógł być jednak tego całkiem pewien.

Nagle istota rzuciła się do ataku. Kłapnęła zębami, a Han odskoczył i odchylił głowę w lewo. Chociaż przedtem zachęcał Drackmus, żeby posłużyła się ogonem, nie zauważył, kiedy jego przeciwniczka zaczęła się obracać, żeby przydać większego impetu tej części ciała. Uniosła ogon wysoko i obróciwszy się, smagnęła nim z całej siły Hana w głowę.

Zachwiał się, zatoczył i usiłując odzyskać równowagę, odwrócił przodem do krewniaka siedzącego na niby-tronie. Zaczynał tracić ostrość spojrzenia, a może tylko w komorze ktoś wyłączył oświetlenie. Zobaczył jednak, że Thrackan szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu. W ostatnim przebłysku świadomości jego więźniowi zdawało się, że widzi własną twarz, wykrzywioną w okrutnym, sadystycznym grymasie.

Z zachwytem i ulgą stwierdził, że ogarniają go nieprzeniknione ciemności.

ROZDZIAŁ

2.

ROZDARTA TKANKA

Lando Calrissian wyłączył silniki napędu nadświetlnego w okolicach systemu Coruscant i „Ślicznotka” wśliznęła się do normalnych przestworzy. Jej kapitan sprawdził wskazania nawigacyjne komputera. Zadowolony i uspokojony, kiwnął głową.

– Bez problemów – oznajmił, zwracając się do przyjaciela. – Otrzymaliśmy zgodę kontroli lotów na dalszą podróż i lądowanie.

– Doskonale – odezwał się Luke Skywalker. – Im szybciej się tam znajdziemy, tym lepiej.

– Czy nie powinniśmy porozumieć się teraz z dowódcami naszej marynarki? – zapytał Calrissian. – Na pewno nie chcemy tracić czasu...

Mistrz Jedi pokręcił głową.

– Nie – odparł stanowczo. – Stawiamy czoło potężnej i sprawnej organizacji. Musimy zakładać, że ktoś, kto umiał odizolować cały koreliański system od reszty galaktyki, poradził sobie ze śledzeniem sygnałów, nawet tych przesyłanych za pomocą bezpiecznych kanałów. Uważam, że powinniśmy przedsięwziąć środki ostrożności i nie mówić ani słowa, dopóki nie będziemy mogli porozmawiać z naszymi ludźmi w cztery oczy.

– Możliwe, że masz słuszość – przyznał ciemnoskóry mężczyzna.
– Tak czy owak, nie mylisz się, kiedy mówisz, że mamy do czynienia z potężną organizacją.

Obaj wiedzieli, że ktoś otoczył cały koreliański system gigantycznym polem interdykcyjnym. Wytwarzał je potężny generator, wskutek czego linie grawitacji w normalnych przestworzach ulegały odkształceniu. W obszarze działania takiego pola nie mogła funkcjonować żadna jednostka napędu nadświatlnego. Żaden przelatujący statek ani okręt nie mógł dokonać skoku do nadprzestrzeni, a te, które już w niej przebywały, w zetknięciu z interdykcyjnym polem wyskakiwały i powracały do normalnych przestworzy. Luke i Lando natknęli się na pole, kiedy zbliżali się do obrzeży koreliańskiego systemu gwiazdnego. „Ślicznotka”, szarpnięta potężną siłą, została brutalnie z niej wytracona. Stało się to na tyle daleko od Korelii, że podróż przez normalną przestrzeń zajęłaby co najmniej kilka miesięcy. Nikt nigdy dotychczas nie wytworzył interdykcyjnego pola obejmującego nawet tysiąckrotnie mniejszy obszar przestworzy. I nawet gdyby Lando i Luke nie dysponowali innymi informacjami, już sam fakt, że ktoś potrafił wytworzyć tak gigantyczne pole, powinien wzbudzić ich podejrzenia.

Wiedzieli jednak coś więcej. W koreliańskim systemie przebywała Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki, a wiadomości, jakie od pewnego czasu stamtąd napływały, nie zaliczały się do najpomyślniejszych.

Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że coś powinno się zrobić... tylko co? Koreliański system został odcięty od reszty wszechświata, wskutek czego nikt nie mógł tam szybko dolecieć. Bez względu na

to, kto odpowiadał za wytworzenie tak potężnego pola interdyscyplinarnego, miał mnóstwo czasu na realizację pozostałych podstępnych planów.

Lando miał jednak na głowie inne, bardziej osobiste problemy. Tendra. Lady Tendra Risant z planety Sakoria. Calrissian spotkał ją pierwszy i jedyny raz w życiu zaledwie przed kilkoma dniami, a mimo to wiedział, że ta kobieta jest kimś niezwykłym... Podejrzewał też, że może odegrać w jego życiu bardzo ważną rolę.

Uważał to za ironię losu. W końcu wyprawił się na drugi kraniec galaktyki, żeby znaleźć majątną kandydatkę na żonę. Spotkał jednak osobę, przy której zapominał o pieniądzach... no, może tylko na jakiś czas.

W tej chwili najbardziej martwił się tym, że kiedy się z nią żegnał, powiedział jej, iż leci na Korelię. Nie zataił przed nią swoich planów. Obawiał się, że wcześniej czy później – prawdopodobnie wcześniej – na Sakorię dotrze wieść, że ktoś odizolował planetę od reszty wszechświata. Dowie się o tym także Tendra. Przypomni sobie, że Calrissian poleciał na Korelię. Zaniepokoi się i prawdopodobnie zechce uczynić coś więcej. Na pewno nie należała do osób, które siedziałyby z założonymi rękami. Z pewnością weźmie sprawy w swoje ręce. Zacznie działać, chociaż tylko przestworza wiedzą, co zrobi. Pewność, że właśnie tak się stanie, sprawiła, że Lando zaniepokoił się... o siebie.

Tendra może zresztą nie przedsięwziąć żadnych kroków. Ale powiedziała mu, że w jej rodzinnym świecie także zanoszą się na kłopoty. Sakoria była jedną z planet zaliczanych do grona Zewnętrzniaków, to znaczy światów położonych na peryferiach koreliańskiego sektora... w fizycznym i politycznym sensie.

Planeta była zamieszkana przez te same trzy rasy inteligentnych istot, które mieszkały na Korelii: ludzi, Selonian i Dralów. Rządziła nimi Triada – tajemniczy triumwirat składający się z samozwańcych przedstawicieli istot wszystkich trzech ras. Już samo to sprawiało, że Calrissian był zaniepokojony. Z doświadczenia wiedział, że oligarchie nie należały do najbardziej sprawiedliwych, rozsądnych ani stabilnych systemów sprawowania władzy.

Tym bardziej że kiedy Luke i Lando przebywali na planecie, te same władze bardzo poważnie ograniczyły prawa własnych obywateli. W wyniku tego praktycznie zmusiły obu mężczyzn do opuszczenia Sakorii.

Lando popatrzył jeszcze raz na symbole wyświetlane na ekranie głównego monitora. Potem przeniósł wzrok na mistrza Jedi, siedzącego na fotelu drugiego pilota.

– Luke'u, czy nie uważasz, że sytuacja na Sakorii może mieć coś wspólnego z koreliańskim polem interdykcyjnym? – zapytał po chwili.

Skywalker popatrzył na przyjaciela i zmarszczył brwi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– No cóż, z jednej planety nas wyrzucono, a drugą otoczono interdykcyjną zaporą, żeby uniemożliwić nam lądowanie.

– Daj spokój – zachnął się Luke. – Czy naprawdę przypuszczasz, że wytworzono to pole tylko dlatego, żeby zniechęcić nas do lądowania? Wiedziałem, że masz o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale czy przypadkiem nie cierpisz na manię wielkości?

– Nie powiedziałem, że pole interdykcyjne wytworzono tylko dlatego, żebyśmy nie mogli wylądować – zastrzegł się Calrissian. – Myślałem o tobie. Możliwe, że gdyby chodziło tylko o mnie, nikt nie

zawracałby sobie głowy, ale ty jesteś o wiele ważniejszy. Jesteś mistrzem Jedi. To właśnie z tego powodu prosiłem cię, żebyś poleciał ze mną na tę wyprawę. Zależało mi, żeby wywrzeć na wszystkich, a przede wszystkim na potencjalnych kandydatkach, jak największe wrażenie. No cóż, może wywarłem, ale na Korelianach. Możliwe, że pośród nich znaleźli się i tacy, którym bardzo zależało, żebyś nie wylądował na ich planecie. Zazwyczaj tak bywało, że intryganci i podżegacze nie życzyli sobie, abyś wtrącał się w ich sprawy. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś zadałby sobie tyle trudu, bylebyś tylko trzymał się jak najdalej.

– Możliwe – zgodził się z nim Luke, chociaż nie do końca przekonany. – Mimo to nadal uważam, że tam zanoszą się na coś paskudnego. A poza tym o fakcie naszego odlotu na Korelię wiedziało zaledwie kilka osób. Sam nie wiedziałem, że tam polecę... dowiedziałem się dopiero na dzień przed startem.

– Ci goście, którzy wykopali nas z Sakorii, mogli domyślić się, dokąd zmierzamy – nie dawał za wygraną Lando. – Mieli do dyspozycji kilkanaście sposobów, żeby utwierdzić się w swoich podejzeniach. – Śniadolicy mężczyzna pokazał kciukiem w stronę przydzielanej zazwyczaj starszym oficerom kajuty, gdzie przebywali w tej chwili Artoo–Detoo i See–Threepio. – Gdyby pragnęli się dowiedzieć, musieliby tylko nakłonić Żłocistego Chłoptasia do gadania. W ciągu trzydziestu sekund wyśpiewałby wszystkie szczegóły naszych życiorysów.

– Wszystko słyszałem, proszę pana, i muszę energicznie zaprotestować – odezwał się żłocisty android. Jego słowa wydobywały się z głośnika pokładowego interkomu. – Ilekroć

rozmawiam z nieznajomymi, zawsze zachowuję jak najdalej posuniętą dyskrecję...

– Zmiataj stamtąd i przestań nas podsłuchiwać–, ty gadatliwa zbieranino części zapasowych! –wybuchnął Calrissian.

– Muszę zaprotestować...

– Nie powinienesz słuchać, o czym rozmawiamy, Threepio –wtrącił się mistrz Jedi, nie pozwalając skończyć protokolarnemu androidowi. – Powiedz Artoo–Detoo, żeby przygotował się, ponieważ już wkrótce podchodzimy do lądowania. Niedługo znajdziemy się na Coruscant.

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął rękę i pstryknął wyłącznikiem interkomu.

Lando spiorunował głośnik gniewnym spojrzeniem.

– Wydaje mi się, że Threepio najlepiej udowodnił słuszość tego, co powiedziałem – stwierdził cierpko. – Gdyby Sakorianie chcieli dowiedzieć się, dokąd lecimy, nie mieliby z tym żadnych problemów.

– Nie wątpię – przyznał Skywalker. – Tyle tylko, że to interdyscyplinarne pole ma gigantyczne rozmiary! Pomyśl o tym, ile energii było potrzeba, żeby wytworzyć je i pilnować, aby nie zanikło. Pomyśl, jakie środki techniczne i finansowe zaangażowano i jakiego to wymagało planowania. Z pewnością generator pola nie jest urządzeniem, które dałoby się po prostu włączyć... Naprawdę uważasz, że zadawano by sobie tyle trudu tylko po to, aby powstrzymać jednego nieproszonego gościa przed postawieniem stopy na powierzchni planety? Istnieje wiele innych, o wiele łatwiejszych i tańszych sposobów powstrzymania człowieka, choćby nawet samego mistrza Jedi, przed przylotem do gwiazdowego

systemu. Sakorianie mogli po prostu wtrącić nas do więzienia, zastrzelić albo podłożyć bombę na pokładzie „Ślicznotki”.

– Jasne! – zdenerwował się Calrissian. – Możliwe, że tego interdyscyplinarnego pola nie włączono jedynie w tym celu, żeby uniemożliwić nam lądowanie na Korelii. Jednak nadal uważam, że istnieje jakiś związek między ograniczeniem obywatelskich swobód na Sakorii a tym, co w tej chwili dzieje się w całym systemie.

– Może masz rację – odparł pojednawczo Skywalker. – Mam jednak przeczucie, że bez względu na to, jak wygląda prawda, nie poznamy jej... a przynajmniej nieprędko.

„Ślicznotka” zaczęła podchodzić do lądowania.

Kiedy już wylądowali i zaczęli schodzić po rampie jachtu, zdumiony Luke zauważył niewielki komitet powitalny. Nigdzie natomiast nie było śladu personelu lądowiska. Jedynymi osobami, które wyszły na ich powitanie, byli dwaj milczący mężczyźni i jedna kobieta. Wszyscy nosili mundury funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki.

– Atmosfera zaczyna stawać się coraz bardziej napięta – mruknął Lando, kiedy w ich stronę ruszył najstarszy stopniem oficer. – Prawdę mówiąc, czuję się jak wtedy, kiedy agenci urzędu celnego chcieli aresztować mnie za przemyt.

– Mistrzu Skywalkerze, kapitanie Calrissianie, witam panów na Coruscant – odezwał się funkcjonariusz. Był młodym mężczyzną, mocno umięśnionym, ale bladym i zmęczonym. Wyglądało na to, że od wielu godzin nie zmrużył oka. – Nazywam się Showolter i jestem kapitanem Wywiadu Nowej Republiki. Mam zaprowadzić obu panów na ważną naradę. Będą panowie łaskawi udać się ze mną?

– A przypuśćmy, że nie będziemy łaskawi? – zainteresował się Lando.

Zareagował tak, jakby wciąż jeszcze nie umiał pozbyć się nawyków, przyswojonych w czasach, kiedy był przemytnikiem. Odczuwał instynktowną niechęć do funkcjonariuszy policji, którzy mówili mu, co ma robić i dokąd się udać.

Showolter westchnął i spojrzał na Landa zmęczonym, ale stanowczym wzrokiem.

– Zwiążemy pana i zakneblujemy, żeby nie mógł pan pisnąć ani słowa – odezwał się cicho. – A potem i tak zmusimy, aby pan nam towarzyszył. Później będziemy się zastanawiali, czy to było aresztowanie, czy tylko zapewnienie ochrony. A zatem idzie pan, czy mamy tracić jeszcze więcej czasu na głupstwa?

– O co w tym wszystkim chodzi? – zaniepokoił się Calrissian.

– Nie mogę panu tego powiedzieć – odrzekł Showolter. – Założę się jednak, że ma pan dosyć oleju w głowie, żeby samemu się domyślić.

– Korelia – podpowiedział Luke.

Na twarzy Showoltera ponownie pojawił się wymuszony uśmiech.

– Otrzymałem wyraźny rozkaz, żeby niczego nie mówić, ale przypuszczam, że nie są panowie dalecy od prawdy. To jak będzie? Idą panowie z własnej woli czy nie?

– Idziemy – rzekł Skywalker. – Nie ma pan nic przeciwko temu, żeby nam towarzyszyły automaty? Jeden z nich ma zapisane w pamięci ważne informacje.

– Im większa grupa, tym weselej – odparł obojętnie Showolter. W jego twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Wspaniale – mruknął Lando, kiedy ruszyli za kapitanem wywiadu w kierunku czekającego grawilotu. – A tak cieszyłem się na myśl o tym, że nareszcie pozbędę się ich towarzystwa.

Luke roześmiał się i klepnął przyjaciela po plecach.

– Wygląda na to, że jeszcze jakiś czas będziesz musiał ich znosić obok siebie.

Wszyscy zajęli miejsca w kabinie grawilotu i wystartowali. Showolter, Lando i Luke siedzieli razem z automatami w tylnej części, a dwoje pozostałych funkcjonariuszy WNR podróżowało w przedniej, obok pilota. Natychmiast po starcie szyby wehikułu ściemniały i stały się nieprzezroczyste. Luke nie miał pojęcia, czy chodzi o to, żeby nie zauważyli ich przypadkowi przechodnie, czy też pasażerowie nie powinni zorientować się, dokąd lecą. Gdyby chodziło tylko o tę drugą ewentualność, zasłanianie szyb nie miałoby sensu. Mistrz Jedi nie musiał wyglądać przez okno, żeby się orientować, dokąd zmierza. Nie musiał się nawet zastanawiać, żeby stwierdzić, iż grawilot leci – chociaż okrężną trasą – w kierunku pałacowych wież. No cóż, mógł się tego spodziewać. Nie widział w tym nic niezwykłego.

Usiadł wygodniej i pograżył się w zadumie. Wszystko wskazywało na to, że ktoś na Coruscant wiedział, iż zanoszą się na coś złego. Showolter jednak nie zdradzał chęci poinformowania ich, na co mianowicie. Nie zamierzał także ujawniać, dokąd lecą. Dopóki Lando i Luke nie wylądowali na planecie, nikt nie uprzedził ich ani słowem, że mają wziąć udział w jakiejś tajemniczej naradzie. To jeszcze bardziej upewniło Luke'a w jego podejrzeniach. Dowódcy wojsk na Coruscant byli nie mniej niż on zmartwieni faktem, że opozycja – bez względu na to, co zamierzała – umie przechwytywać albo podsłuchiwać wiadomości przesyłane za pomocą bezpiecznych kanałów.

A jeżeli wojskowi się tym martwili, z pewnością wydarzyło się coś złego.

Grawilot zwolnił, wskutek czego szum powietrza omywającego burty wehikułu wyraźnie zmienił natężenie. Umiejętność orientacji ujawniła Luke'owi to samo, co zmiana intensywności dźwięku – że grawilot wleciał do pałacu przez jeden z najwyżej usytuowanych wlotów. Luke słyszał, że coś takiego było możliwe, chociaż uchodziło za niezwykle. Zrozumiał, że funkcjonariusze Wywiadu Nowej Republiki zachowują nadzwyczajne środki ostrożności.

Stateczek wylądował z ledwo wyczuwalnym wstrząsem. Kiedy drzwi się otworzyły, Lando i Luke wyskoczyli na płytę anonimowego remontowego doku. Showolter, który wysiadł za nimi, poprowadził ich do kabiny czekającej turbowindy. Para funkcjonariuszy WNR pozostała we wnętrzu grawilotu. Przyglądali się, jak trzej mężczyźni i dwa automaty pokonują odległość dzielącą ich od szybu windy.

Kiedy już znaleźli się w kabinie, drzwi się zasunęły i klatka ruszyła, chociaż nikt nie wydał jej rozkazu. Luke zdumiał się, kiedy stwierdził, że winda opada. Wymienił spojrzenie z Calrissianem i przekonał się, że równie zdziwiony przyjaciel wyciągnął z tego faktu podobne wnioski. Góra oznaczała na Coruscant najwyższy status społeczny. Wielkie uroczystości, ważne spotkania czy wystawne bankiety mogły być organizowane tylko na najwyższych poziomach ogromnego miasta. W dole nie znalazłoby się nikogo, kto miałby jakieś znaczenie, więc dostojnicy i wyżsi urzędnicy dosłownie spoglądali z góry na wszystkich, którzy mieszkali na najniższych piętrach, ale nad powierzchnią. Mieszkańców jeszcze niższych

poziomów, usytuowanych pod powierzchnią gruntu, uważali za istoty niegodne nawet pogardy.

Chociaż jednak dół oznaczał najniższy status społeczny, było tam bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Na najniższych poziomach nie brakowało opuszczonych pomieszczeń albo zapomnianych komnat. Przebywając pół kilometra pod powierzchnią gruntu, można było nie obawiać się skutków eksplozji rzuconego z góry granatu czy wystrzelonego pocisku. Wiadomo też było, że nikt nie podsłucha przez okno, o czym się rozmawia. Luke dobrze znał zarówno dostojników czy bogaczy, jak i mieszkańców podziemnego świata. Wiedział, jak nieprzyjemne panują tam warunki. Jeżeli dowódcy wojska zdecydowali się przenieść naradę pod powierzchnię gruntu, sprawy musiały naprawdę wyglądać niewesoło.

– Dokąd jedziemy? – zainteresował się w pewnej chwili mistrz Jedi.

– Do bezpiecznego pomieszczenia, sprawdzonego przez funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki – odparł Showolter. – Dostaniemy się tam tylnymi drzwiami. Przepisy bezpieczeństwa wymagają, aby uczestnicy wchodzili, jeżeli to możliwe, różnymi wejściami. Dzięki temu istnieje większa szansa, że agenci opozycji nie zauważą naszych ludzi, kiedy zbierają się, aby omówić ważne sprawy. Największy kłopot jednak w tym, że obie drogi wiodące bezpośrednio do bezpiecznego pokoju zostały już wykorzystane.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o bezpośredniej drodze? – zapytał Luke.

– No cóż, jedną jest szyb innej turbowindy, której drzwi prowadzą prosto do tego pomieszczenia – wyjaśnił Showolter. – Druga to zamaskowany techniczny szyb, utrzymywany przez nas w

idealnym stanie. My jednak powinniśmy dostać się do pokoju tylnymi drzwiami. Wystarczy, jeżeli powiem, że ta droga nie ma szans, aby dołączyć do grona największych atrakcji turystycznych.

Zdziwiony Lando uniósł brwi, ale nie odezwał się ani słowem.

Luke usiłował ocenić, jak głęboko zjechała kabina turbowind. Zorientował się, że kiedy w końcu się zatrzymała, pasażerowie znaleźli się co najmniej osiemset metrów poniżej poziomu, na którym wsiedli. Skrzydła drzwi jednak jeszcze sienie rozsuwały. Showolter wyciągnął niewielki blaster – służbową broń funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki. Przez krótką jak mgnienie oka chwilę Luke zastanawiał się, czy nie wpadł w pułapkę. Nie wyczuł jednak w myślach kapitana żądy mordu. Uspokoił się jeszcze bardziej, kiedy usłyszał jego słowa:

– Mistrzu Skywalkerze, kapitanie Calrissianie, domyślam się, że są panowie uzbrojeni. Zanim otworzę te drzwi, proponuję, żebyście wyciągnęli blastery.

– Och, z przyjemnością – oznajmił Lando i od razu wyjął pistolet.
– Czy wolno zapytać, w jakim celu?

– Miejscowe formy życia – odparł zwięźle Showolter.

– O rety! – wykrzyknął Threepio. – Dzikie drapieżniki? Tutaj?

– Zgadza się – potwierdził młody mężczyzna.

– On ma rację – poparł go Luke. – Chyba nie powinienem się dziwić.

Te poziomy Coruscant zbudowano przed wieloma wiekami. Od tamtych czasów sprowadzono na planetę mnóstwo różnych zwierząt, czasami z dosyć dziwacznych powodów. Jedne okazy miały stać się domowymi ulubieńcami, inne importowano, aby służyły jako pożywienie, a jeszcze inne chciano pokazywać

turystom. W ciągu tych tysiącleci wiele stworzeń wypuszczono z klatek albo same uciekły. Niemal wszystkie zdziczały, a te, które przeżyły, ulegały mutacjom, żeby jak najlepiej przystosować się do zmienionych warunków życia.

Pożywienia dostarczały im istoty zamieszkujące wyższe poziomy metropolii. Mieszkańcy górnych pięter byli czymś w rodzaju nigdy nie wysychającego źródła resztek i odpadów. W miarę jak coraz więcej zwierząt przyzwyczajało się do życia w nowym środowisku, w podziemiach Coruscant wytworzył się niezwykle, wykoślawiony ekosystem. Krążyły nawet niesamowite opowieści –o ile Luke się orientował, całkowicie nieprawdziwe. Głosiły, że niektóre spośród żyjących na najniższych poziomach dzikich stworzeń miały kiedyś, przed wieloma stuleciami, inteligentnych prapraprzodków. Opowiadano także nieprawdopodobne historie o mieszkających w wiecznych ciemnościach żywych trupach, a nawet o drapieżnych istotach obdarzonych szczątkową inteligencją. Podobno te ostatnie były potomkami nieszczęsnych turystów, którzy przed tysiącami latami zabłądzili w labiryncie podziemnych chodników, tuneli i korytarzy i nie potrafili odnaleźć drogi powrotnej na powierzchnię.

– A zatem jak wyglądają okazy miejscowej fauny, zamieszkujące te poziomy miasta? – zapytał Calrissian, kiedy uznał, że cisza staje się trudna do zniesienia.

– Nazywamy je wampirami korytarzy– odrzekł Showolter. –Nikt nie wie dokładnie, jak wyglądają. Jedno jest pewne: są potwornie wygłodzone, paskudne, małe, przebiegłe i złośliwe. Czworonogi, sięgające ludziom mniej więcej do kolan. Wszystko wskazuje na to, że są ssakami, ale ich ciała nie okrywa sierść, tylko gładka, wiotka, trupioblada skóra. Stworzenia są ślepe... prawdę mówiąc, w ogóle

nie mają oczu. Przypuszczam, że poruszają się w ciemnościach, kierując się dźwiękami. Stosują coś w rodzaju echolokacji. Tylko tym dałoby się wytłumaczyć fakt, że czasami wydają przenikliwe piski. Bez względu jednak na to, co umożliwia im orientację w mroku, są szybkie i groźne, kiedy znajdują się w pobliżu. Musicie mieć szeroko otwarte oczy.

– Jesteśmy zgubieni! – jęknął Threepio. Artoo również pozwolił sobie na parę smutnych pisków.

– Nie przejmujcie się tak – próbował uspokoić ich mistrz Jedi.

– Ta–a, odprężcie się – dodał Lando. – Jestem przekonany, że te drapieżniki byłyby doskonałymi domowymi ulubieńcami. – Zerknął na wskaźnik energetycznego zasobnika blastera. – Jestem gotów – oznajmił z dumą.

Luke odpiął od pasa rękojeść świetlnego miecza. Ujął ją uniósł rękę, ale nie włączał klingi broni.

– Ja także – powiedział.

– To dobrze – stwierdził Showolter. – Na szczęście mamy źródło światła, a zatem zdołamy w porę je zauważyć. To zwiększa trochę nasze szanse. Z pewnością nie chciałbym się z nimi spotkać w absolutnych ciemnościach. Kiedy opuścimy kabinę turbowindy, przejdziemy korytarzem prosto jakieś pięćdziesiąt metrów. Później skręcimy w lewo i niemal natychmiast potem znowu w lewo. Pokonamy kolejne dwadzieścia metrów, po czym staniemy u szczytu bardzo stromej rampy. Zejdziemy nią na niższy poziom, jakieś piętnaście metrów pod nami. Czy ten robot na kółkach potrafi toczyć się po tak stromych pochyłościach?

Robot na kółkach odpowiedział serią pełnych oburzenia gniewnych świergotów.

– Jestem tego pewien – odparł Luke, lekko się uśmiechając. – Artoo–Detoo potrafi radzić sobie we wszystkich sytuacjach.

– No cóż, miejmy nadzieję, że pan się nie myli – odparł Showolter tonem, który dowodził, że kapitan Wywiadu nie pozbył się wszystkich wątpliwości. – Mimo to proszę uważać na nogi... albo na kółka czy cokolwiek innego. Korytarz jest bardzo stary, dno miejscami niezwykle śliskie, a miejscami grząskie. I niech panowie zdwoją czujność, kiedy znajdziemy się u stóp pochylni. Wampiry wiedzą, że to doskonałe miejsce na urządzenie zasadzki. Kryją się w pobliżu i czyhają na nieostrożnych podróżników. Kiedy zejdziemy z pochylni, pokonamy następne dziesięć metrów i staniemy przed ogromnymi blasteroodpornymi drzwiami. To właśnie tamtędy dostaniemy się do bezpiecznego pomieszczenia, gdzie zorganizowano naradę. Na ścianie obok drzwi zainstalowano panel z klawiaturą. Byłbym zobowiązany, gdybyście zechcieli osłaniać mnie, kiedy zajmę się wpisywaniem odpowiedniej kombinacji. Wampiry lubią atakować, kiedy ktoś jest zajęty otwieraniem drzwi.

– Mam jedno pytanie – odezwał się Calrissian.

– Tak... o co chodzi? – zapytał Showolter.

– Jeżeli te wampiry korytarzy naprawdę są takie paskudne, jak pan mówi, dlaczego Wywiad Nowej Republiki nie przepędzi ich stąd, a potem nie zablokuje wszystkich wejść do okolicznych tuneli?

Młody mężczyzna wybuchnął nieprzyjemnym, nerwowym chichotem.

– Chyba nie wyraziłem się dość jasno – odparł po chwili. – Nie chcemy ich stąd wypędzać. Wampiry stanowią ważny element naszego systemu bezpieczeństwa. A zatem proszę się powstrzymać od strzelania... chyba żeby to było absolutnie konieczne.

– Muszę przyznać, że nie rozumiem – odparł zdezorientowany Lando.

– To proste – odrzekł Showolter. – Kiedy znajdziemy się w bezpiecznym pokoju, wyłączymy oświetlenie korytarzy. Każdy, kto później zechce nas podsłuchiwać, musi liczyć się z bardzo nieprzyjemnymi konsekwencjami.

– Zapewne to jedna ze sztuczek Wywiadu Nowej Republiki – domyślił się Calrissian. – A wy, chłopaki, zastanawiacie się, dlaczego macie trudności z naborem nowych kandydatów.

Showolter ponownie wybuchnął piskliwym śmiechem.

– Wszystko jedno – powiedział. – Ważne, żebyście byli przygotowani. – Odwrócił się twarzą do drzwi i uniósł dłoń z Masterem. – No, dobrze, Berlemanie – rozkazał głośno. – Możesz otworzyć te drzwi.

Widocznie funkcjonowaniem turbowindy ktoś jednak kierował, ponieważ skrzydła drzwi się rozsunęły i Showolter znalazł się w wielkiej, ponurej pieczarze, wykutej przed wiekami w litej skale. Jaskinia była bardzo kiepsko oświetlona. Najintensywniejszy blask promieniował z wnętrza kabiny. Trochę światła zapewniały także jarzeniowe rurki. Przymocowano je do sklepienia korytarza wpadającego do komory dokładnie naprzeciwko drzwi szybu turbowindy.

Kiedy kabinę opuścili ostatni pasażerowie, drzwi zasunęły się i ponura pieczara pograżyła się w półmroku. Była ogromna, a blask, jaki padał z korytarza, nie wystarczał, żeby dało się zobaczyć choćby niewielki fragment.

Lando ani Luke i tak zresztą nie mieli czasu na obserwacje. Showolter już prowadził ich w stronę wylotu korytarza, nie

wypuszczając blastera z dłoni. Tunel był tak wąski, że goście nie mieli dość miejsca, żeby iść obok siebie. Kapitan Wywiadu szedł pierwszy, za nim kroczył Calrissian, później oba automaty, a na końcu mistrz Jedi.

Tunel wykuto w litej, ciemnobrunatnej skale, której wilgotną chropowatą powierzchnię porastały dziwaczne mchy i pokrywała pleśń. Tu i ówdzie po ścianach sączyły się strumyki lepkiej mazi. Z oddali dobiegał odgłos kropli wody rozpryskujących się w kałuży. Panował taki chłód, że z ust ludzi unosiły się obłoczki pary.

Korytarz był oświetlony bardzo skąpo – za pomocą jarzeniowych rurek, przytwierdzonych w nierównych odstępach do sufitu. Po pokonaniu kilkunastu następnych metrów Luke zauważył, że tunel stał się jakby trochę szerszy. Teraz już dwaj mężczyźni mogliby iść jeden obok drugiego. Zauważył także, że kamienne, pokryte warstwą mazi dno tunelu musiało być kiedyś gładkie, jakby wypolerowane... zapewne bardzo dawno, kiedy powstawała Stara Republika. Teraz widniały w nim pęknięcia, szczeliny i szpary. Niektórymi płynęły strużki ohydnej, cuchnącej cieczy. Pojawiały się, by po kilku następnych metrach zniknąć w ciemnościach albo skryć się między skałami. Brunatną powierzchnię pokrywała przeważnie gruba warstwa błota albo mułu, jaki w ciągu stuleci napłynął z wyższych poziomów razem z wodą.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął w pewnej chwili złocisty android.
– To naprawdę okropne miejsce. Z pewnością zostaniemy unicestwieni!

– Uspokój się, Threepio – odezwał się mistrz Jedi. – Zdarzało się nam bywać w gorszych miejscach.

– Jeżeli ma pan na myśli niektóre okolice, gdzie bywaliśmy razem, panie Luke'u, nie mogę traktować pana uwagi jako pocieszenia – odparł android. – Nie umiem wyobrazić sobie powodów, dla których ktoś mógłby chcieć przyprowadzić nas do tak okropnego miejsca.

Luke musiał przyznać w duchu, że Threepio ma sporo racji. W tym cuchnącym tunelu nikt nie chciałby przebywać długo. Uwolnił myśli i posługując się Mocą, wysłał je przed siebie. Usiłował wykryć obecność wampirów, o których wspominał Showolter, ale na próżno. W podziemiach Coruscant gnieździły się miliony żywych istot i Luke nie potrafił rozstrzygnąć, czy wyczuwa myśli wampirów, czy może innych zwierząt.

Jednak kiedy ich przewodnik zbliżył się do pierwszego skrzyżowania korytarzy, gdzie mieli skrócić w lewo, mistrz Jedi przestał mieć trudności z wycuciem obecności wampirów.

Stworzenia zaczęły piszczeć, a te mrozące krew w żyłach dźwięki rozlegały się przed nimi. Luke popatrzył na Showoltera i Calrissiana. W ich oczach zobaczył przerażenie. Zrozumiał, że takie samo uczucie musi malować się na jego twarzy.

Piski trwały bez końca, jakby stworzenia przekazywały wiadomość sobie nawzajem. Przerażające dźwięki odbijały się od kamiennych ścian. Luke uświadomił sobie, że to, co słyszy, to wezwanie na łowy. Stworzenia nawoływały się, żeby razem rzucić się do ataku. Te koszmarnie odgłosy po prostu mroziły krew w żyłach. Luke próbował sobie wmówić, że znaczą mniej więcej to samo co świergot ptaków albo skrzeczenie pustynnych szczurów. Wyczuwał jednak w tych dźwiękach nienawiść i strach.

Showolter przystanął przed skrzyżowaniem korytarzy. Zamarł bez ruchu, a potem oparł się plecami o oślizgłą ścianę.

– Mistrzu Skywalkerze! – zawołał, starając się przekrzyczeć niesamowite dźwięki. – Chciałbym, żeby pan włączył świetlny miecz i pilnował, żeby nie zaatakowały nas od tyłu. O ile mi wiadomo, zawsze lubią napadać z obu...

W tej samej sekundzie przeraźliwe piski rozległy się także za ich plecami i Showolter nie musiał kończyć zdania.

Luke włączył świetlny miecz, ujął rękojeść jedną dłonią i przyjął klasyczną postawę obronną. Zignorował piski napływające z przodu. Pozwolił, żeby martwili się nimi Showolter i Lando. Odwrócił się i skupił uwagę na odcinku, który właśnie pokonali. Starał się przebić spojrzeniem panujące ciemności, jakby chciał dostrzec to, co czaiło się poza kręgiem rzucanego przez ostrze miecza blasku... w ogromnej pieczarze, gdzie opuścili kabinę turbowindy.

Nagle mrozące krew w żyłach piski urwały się jak nożem uciął i dopiero wtedy mistrz Jedi zobaczył w półmroku coś, co się poruszało... jedno stworzenie, a potem drugie i trzecie.

– Mamy za plecami towarzystwo! – zawołał, zwracając się do pozostałych.

I nagle zobaczył wszystkie trzy wampiry całkiem wyraźnie. Stały w pewnym oddaleniu, jakby pragnęły uniemożliwić ludziom wycofanie się do kabiny turbowindy. Wyglądały mniej więcej tak, jak opisywał Showolter. Czworonogi miały jakiś metr wysokości, a ich wydłużone ciała były gibkie i nieprawdopodobnie wychudzone. Długie łapy umożliwiały stworzeniom szybkie bieganie i skakanie. Ogromne, spiczaste uszy nieustannie obracały się to do przodu, to do tyłu, to znów na boki, niezależnie od siebie, jakby każde mogło

reagować na inne dźwięki. Pozbawione oczu łby miały wydłużone pyski zakończone nozdrzami, które cały czas się poruszały. Luke domyślił się, że czułość narządu węchu zwierząt nie ustępuje wrażliwości słuchu. Wszystkie trzy bestie stały z otwartymi pyskami. Nie wydawały żadnych dźwięków... a przynajmniej takich, jakie mogłoby usłyszeć ludzkie ucho. Mistrz Jedi obejrzał się przez ramię.

– Threepio, Artoo! – zawołał. – Słyszycie coś w zakresie ultradźwięków?

– Ależ tak, oczywiście, panie Luke'u – odparł protokolarny android. – Wygląda na to, że te ultradźwięki napływają od strony stworzeń stojących przed nami, a nie tych z tyłu. Przypominają piski, jakie niedawno słyszeliśmy, ale mają o wiele większą częstotliwość.

Artoo wydał całą serię elektronicznych gwizdów i świergotów,, a Threepio natychmiast przetłumaczył, co oznaczają.

– Wielkie nieba! Artoo melduje, że te zwierzęta wysyłają ku nam fale ultradźwięków. Usiłują przeniknąć nimi nasze organizmy, żeby zorientować się, kto z nas jest najsmakowitszym kąskiem!

– A więc możesz się odprężyć, Threepio – odezwał się Skywalker. – Nie sądzę, żeby smakował im metalowy android!

– No tak, to prawda – oznajmił z wyraźną ulgą Threepio. – Muszę przyznać, że czuję się o wiele spokojniejszy.

– Cieszę się, że to słyszę – mruknął Luke. – Panie kapitanie! Lando! Odezwijcie się do mnie! Co słyhać z waszej strony?

– Nie widzimy ich ani nie słyszymy, ale te bestie gdzieś tam są, to pewne – odparł funkcjonariusz Wywiadu Nowej Republiki.

– Niech pan chwilę zaczeka – rozkazał mistrz Jedi.

Uwolnił myśli i korzystając z potęgi Mocy, postarał się dotknąć nimi mózgów zwierząt czających się w pieczarze. Natychmiast wyczuł głód, strach, niepokój i zniecierpliwienie. Teraz już wiedział, jakie wrażenia odbiera się, dotykając mózgów wampirów. Wysłał myśli w przeciwną stronę, w ciemności panujące w tej części korytarza, dokąd jeszcze nie dotarli. Usiłował odnaleźć identyczne mózgi. Orientował się, że w ciemnościach czyha mnóstwo najgroźniejszych stworzeń, ale teraz wiedział, czego poszukuje.

– Przed wami czają się następne trzy wampiry – odezwał się po chwili. Wyczuwał, że wygłodniałe stworzenia kryją się gdzieś blisko, ale jakby trochę niżej. – Jeżeli dobrze zrozumiałem, czatują u stóp rampy, o której pan wspominał. Zobaczę, co uda mi się zrobić.

– Co pan ma na myśli? – zapytał zdezorientowany Showolter.

– Niech pan będzie cicho i pozwoli człowiekowi działać – ofuknął go Calrissian.

Luke zaczął przeszukiwać mózgi wampirów zamierzających zaatakować grupę ludzi od tyłu. Szukał sposobu, żeby je odpędzić. Pamiętając o prośbie Showoltera, nie chciał ich zabijać. Mózgi tych zwierząt były małe, ale sprawne. Luke zrozumiał, że na nic zdałyby się wszelkie podstępny i subtelne sztuczki. No cóż, czasami proste sposoby okazywały się najskuteczniejsze. Mistrz Jedi odnalazł w mózgach stworzeń właściwe miejsca i pobudził je myślowym impulsem... odpowiednikiem panicznego strachu.

Stworzenia pierzchły, jeszcze zanim Luke uświadomił sobie, że w ogóle zareagowały. Skywalker odprężył się, ale tylko odrobinę. Podejrzewał, że wampiry, chociaż łatwo się płoszyły, były tak głodne i przebiegłe, że mogły równie szybko powrócić.

– Przepędziłem naszych przyjaciół, którzy uniemożliwiali nam odwrót – powiedział. – Artoo, pilnuj tyłów i daj znać, jeżeli zauważysz, że coś się porusza. Lando, ty także zajmij się obserwowaniem tylnej części korytarza. Muszę zrobić porządek z tymi obok rampy.

– W porządku, kolego – odezwał się Calrissian. Mały robot piśnięciem potwierdził przyjęcie rozkazu.

Mistrz Jedi wyłączył zasilanie świetlnego miecza, a kiedy ogniste ostrze schowało się w obudowie, z powrotem przypiął do pasa rękojeść. Przepłynął się obok automatów i Landa i dotarł do skrzyżowania podziemnych korytarzy. Czekał tam na niego Showolter, który wciąż jeszcze nie ośmielił się oderwać pleców od oślizłej ściany.

– Panują nad sytuacją – uspokoił go Skywalker. – Chciałbym się dowiedzieć, czy ten korytarz na niższym poziomie nie jest przypadkiem czymś w rodzaju ślepej uliczki.

– Owszem – potwierdził funkcjonariusz. – Przynajmniej o ile mi wiadomo. Nie można nim przejść, ponieważ zawalił się fragment sklepienia. Jest tam wprawdzie pełno szczelin i otworów, ale wszystkie, którymi można było się przedostać, staraliśmy się uszczelnić. Nie możemy jednak mieć absolutnej pewności, że jakieś drapieżniki nie przedostają się właśnie tamtędy. Istnieje prawdopodobieństwo, że jakieś zwierzę zdołało poszerzyć kilka zatknięch przez nas otworów. Jestem jednak pewien, że ludzie nie zdołają się tamtędy przecisnąć.

– Ale wampiry tak – podsumował Skywalker.

Jeżeli korytarz kończył się ślepym zaułkiem, mistrz Jedi nie mógł posłużyć się tą samą sztuczką i wzbudzić przerażenie w mózgach

wampirów. Gdyby przestraszone zwierzęta rzuciły się do panicznej ucieczki i napotkały skalne osypisko, z pewnością zawróciłyby i spróbowały wywalczyć sobie drogę odwrotu. Jeden rzut oka na wampiry przekonał go, że mogłyby poważnie zranić człowieka, gdyby nie miały innego wyjścia. Musiał zatem wymyślić inny sposób.

– Czekaście tu i pilnujcie, żeby żadne nie zaatakowało nas od tyłu – powiedział. – Chciałbym czegoś spróbować.

Showolter otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale w chwilę później zmienił zdanie. Luke precyzyjnie przeszedł obok niego i wszedł w lewą odnogę korytarza, ale po przejściu kilku następnych metrów skrzył się ponownie w tę samą stronę. Zauważył, że dno tunelu się obniża. Ponownie odpiął rękojeść miecza i wysunął ostrze. Silny blask rozjaśnił spory odcinek opadającej części korytarza.

Mistrz Jedi, ostrożnie schodząc po stromej pochylni, skierował się na niższy poziom ponurych podziemi ogromnego miasta. Nie był całkiem pewien, co chce zrobić – z wyjątkiem tego, że postara się nie zabić tych stworzeń. Uwolnił myśli i skierował je do mózgow trójki wampirów czatujących w pobliżu stóp pochylni. Wyczuł trzy kłębki gotowej do wyzwolenia energii... trzy istoty ożywione tym samym pragnieniem. Wygłodzone, żarłoczne, niecierpliwe, a zarazem lękliwe; nie do końca zdecydowane, czy zaatakować, czy uciekać. Wystarczyła najlżejsza ingerencja, aby stworzenia rzuciły się do panicznej ucieczki... albo zdecydowanego, szaleńczego ataku. Luke musiał zatem poczynać sobie niezwykle ostrożnie.

Zszedł na sam dół rampy i przekonał się, że jest w szerokim, ale zrujnowanym i porośniętym koloniami grzybów tunelu –o wiele bardziej zaniedbanym w porównaniu z tym, którym szli po

opuszczeniu kabiny turbowindy. Lewa odnoga kończyła się kilkanaście metrów dalej, gdzie sklepienie korytarza po prostu się zawaliło.

Zwierzęta stały przed odpornymi na strzały z blasterów drzwiami. Trzy pozbawione oczu wampiry, trupioblade niczym prawdziwe upiory, raz po raz strzygły spiczastymi uszami. W otwartych pyskach ukazywały długie, ostre jak igły zęby. Było jasne, że „zobaczyły” intruza, a przynajmniej wyczuły jego obecność dzięki organom umożliwiającym echolokację. Stały, zaniepokojone i czujne, gotowe rzucić się do ataku. Obserwowały mistrza Jedi. Cofnęły się trochę, kiedy Luke stanął na progu korytarza. Jeden z nich, najmniejszy i najbardziej wychudzony, nerwowo zaskowyczał. Pozostałe dwa usłyszały ten dźwięk i dopiero wówczas poszły w jego ślady. Po chwili cały odcinek zawalonego tunelu rozbrzmiewał echem przeraźliwych pisków, wrzasków i skowytów.

– Uspokójcie się – powiedział Luke, a później skierował się w prawo, pod kamienną ścianę. Postarał się, żeby jego słowa zabrzmiały kojąco i łagodnie. – Bądźcie cicho.

Wampiry zaskowyczały i zakwiliły, ale wszystko wskazywało na to, że zaniepokoiły się jeszcze bardziej. Czyżby wiedziały o ucieczce swoich towarzyszy, uniemożliwiających ludziom powrót do kabiny turbowindy? Czy możliwe, że właśnie to było jednym z powodów ich zdenerwowania? A może wampiry korytarzy zawsze bywały takie niespokojne?

Starając się je uspokoić, mistrz Jedi sięgnął odrobinę głębiej do ich mózgów. Nie znalazł w nich jednak niczego, co pozwoliłoby mu upewnić się, że zwierzęta chcą być uspokojone. Nie zdziwiło go to specjalnie. Wiele wieków minęło, zanim stworzenia, ulegając

najprzeróżniejszym mutacjom, zdołały w końcu przystosować się do życia w ponurych, bezlitosnych ciemnościach podziemnego świata... świata, w którym panowały bezwzględne prawa.

Luke zauważył na dnie korytarza stosik kości. Kiedy przyjrzał się im dokładniej, stwierdził, że jedna wygląda na uzębioną kość szczękową dorosłego wampira. Zrozumiał, że niedawno w tym korytarzu jakieś stworzenie zdechło z głodu, a może zostało zagryzione. A zatem wampiry korytarzy nie czuły się tu bezpiecznie. Nic dziwnego więc, że nie dawały się uspokoić.

Dzięki temu odkryciu mistrz Jedi, obserwując ich zachowanie i badając zawartość mózgów, zyskał dodatkową, bardzo cenną informację. Stworzenia nie zamierzały się wycofywać w kierunku zawalonej części korytarza. Wiedziały, że nie mogą tamtędy uciec, czyli widocznie było to niemożliwe. Zapewne mniejsze zwierzęta potrafiłyby przecisnąć się przez szczeliny, ale wampiry nie mogły nawet o tym marzyć. A zatem jedyną drogą ucieczki pozostawała rampa, po której kilka chwil wcześniej zszedł Skywalker. Gdyby stworzenia dotarły na wyższy poziom, mogłyby uciec którymkolwiek korytarzem... rzecz jasna, o ile nie natknęłyby się na Showoltera, Landa i oba automaty.

Rycerze Jedi nigdy nie badali mózgów żywych istot dla zabawy. Postępowali tak tylko wówczas, kiedy było to naprawdę konieczne. A teraz było. Luke postanowił zajrzeć jeszcze głębiej... i w końcu odnalazł to, czego poszukiwał. Mógł teraz, choć z najwyższą niechęcią, przejąć bezpośrednią kontrolę nad ciałami trzech wampirów korytarzy.

Zdezorientowane i przerażone zwierzęta nagle przestały kwilić i zamarły bez ruchu. W tunelu zapanowała głucha cisza. Mistrz Jedi

nakazał wampirom, żeby odeszły od blasteroodpornych drzwi i wycofały się w kierunku ślepego zaułka korytarza. Wszystkie trzy usłuchały. Poruszały się dziwnie, jakby miały częściowo sparaliżowane albo zdrtwiałe łapy. Luke zmusił je, żeby stanęły u stóp skalnego osypiska, na samym końcu korytarza. Potem, nie przestając panować nad ich ciałami, nakazał, aby stały nieruchomo.

Mógłby kontrolować ich ruchy praktycznie w nieskończoność, ale poczyniłoby to w ich mózgach przerażające spustoszenia. Co gorsza, ucierpiałby przy tym umysł Luke'a. Wampiry z pewnością zechcą przeciwstawić się jego woli i usiłując się uwolnić, mogą wyrządzić sobie jakąś krzywdę. Już w tej chwili Luke czuł, jak napinają mięśnie. Osłabił siłę woli i pozwolił, żeby zwierzęta lekko się poruszyły. Zauważył, że nie uspokoiło ich to. Wręcz przeciwnie, tym energiczniej zaczęły szarpać pęta narzuconej im woli.

– Panie kapitanie! Lando! – zawołał. – Droga wolna! Możecie przejść bezpiecznie, ale musicie się pospieszyć!

– Idziemy! – odkrzyknął Calrissian.

Luke usłyszał, że wszyscy – ludzie i automaty – pospiesznie schodzą albo zjeżdżają po stromej pochyłości.

Nie spuszczając oka z wampirów, jednocześnie obserwował koniec rampy. Po chwili zauważył, że w polu widzenia pojawił się Showolter. Widząc stojące nieruchomo wampiry, mężczyzna też zamarł, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Co, na miłość... – zaczął.

– Nieważne, porozmawiamy o tym później – przerwał mu Skywalker. – Teraz proszę otworzyć te drzwi. I to szybko.

– Oczywiście – odparł funkcjonariusz WNR, chociaż najwyraźniej jeszcze nie przyszedł do siebie po przeżytym wstrząsie.

Wyciągnął rękę w stronę panela z klawiaturą, żeby wpisać odpowiednią kombinację... i w tej samej sekundzie ciszę ponownie rozdarło przeraźliwe wycie. Tym razem dobiegało jednak z góry rampy. Wampiry unieruchomione przez mistrza Jedi zaczęły jeszcze energiczniej szarpać krępujące je niewidzialne więzy. Zaskomlały i kilkakrotnie kłapnęły szczękami.

Showolter zamierzał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Widocznie doszedł do przekonania, że uczyni rozsądniej, jeżeli skupi się na swojej pracy.

Do stóp rampy dotarły oba automaty, a za nimi pojawił się Lando. Schodząc, nie przestawał uważać, czy nikt nie atakuje ich od tyłu.

Luke usłyszał, że Showolter wystukuje kombinację cyfr, konieczną, by otworzyć blasteroodporne wrota. Chwilę później masywne skrzydła zaczęły się rozsuwać.

Mistrz Jedi zaryzykował i zerknął w tamtą stronę. Zauważył, że zanim drzwi zdążyły się całkowicie otworzyć, oficer wywiadu i automaty wśliznęły się do środka. Lando zamierzał pójść w ich ślady, ale zawahał się i znieruchomiał na progu. Odwrócił się i popatrzył na przyjaciela.

– Chodź, Luke'u – powiedział. – Za chwilę po rampie zbiegną pozostałe.

Skywalker nie potrzebował zachęty. Unosząc wysoko klingę miecza, spojrzał na unieruchomione wampiry. Później zaczął się wycofywać w kierunku blasteroodpornych drzwi.

Przechodził już przez próg, kiedy pozostałe trzy stworzenia dotarły do stóp pochylni. Wszystkie piszczały, skomlały i przeraźliwie wyły. Raz po raz kłapały zębami, strzygły uszami i

spoglądały to na otwarte drzwi, to na stojących nieruchomo towarzyszy.

Luke nie zamierzał przekonywać się, jak zareagują, kiedy zorientują się w sytuacji. Wycofał się za próg, ale nie zgasił ostrza świetlnego miecza.

Lando uderzył otwartą dłonią w przycisk i ciężkie skrzydła z hukiem się zatrzasnęły. Dopiero wówczas Luke zwolnił trzy wampiry z myślowej uwięzi. Natychmiast – o wiele szybciej niż się spodziewał – usłyszał, jak stworzenia rzucają się na durastalową płytę. Doprowadzone do wściekłości, przeraźliwie hałasowały i nie przestawały drapać ostrymi pazurami blasteroodpornej powierzchni.

Luke westchnął z nieskrywaną ulgą po czym wyłączył miecz i przypiął rękojeść do pasa.

– No cóż, muszę przyznać, że nie spodziewałem się powitania przez taki komitet – powiedział.

– Całkowicie się z panem zgadzam – pisnął Threepio. – Nawet ja, chociaż nie musiałem się obawiać, że zostanę zjedzony, muszę przyznać, że od dawna nie przebywałem w takim nieprzyjemnym i niehigienicznym otoczeniu.

– Dość tych głupstw, Złocisty Chłoptasiu – burknął Lando. – Rozkazuję ci to w imieniu wszystkich, którzy nie muszą się obawiać, że zostaną rozłożeni na części. Mam nadzieję, że rozumiesz tę aluzję. – Wsunął broń do kabury i oparł się plecami o ścianę niedaleko odpornej na strzały z blasterów płyty. – Panie kapitanie, z całym szacunkiem, ale niech diabli porwą pańskie przepisy bezpieczeństwa... podobnie jak bezsensowny pomysł, że każdy musi wchodzić innymi drzwiami. Jeżeli chodzi o mnie, nie zamierzam tędy wychodzić.

Showolter niepewnie kiwnął głową.

– Powiniennem powiedzieć, że rozumiem, co pan czuje. Chyba muszę przyznać panu rację. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby nasi przyjaciele zachowywali się aż tak agresywnie. Muszę jednak przypomnieć, że nieco dalej czekają na panów gospodarze tej narady. Zapraszam do środka.

– Właśnie dlatego tak uwielbiam przebywać w twoim towarzystwie – burknął Lando, odwracając się w stronę mistrza Jedi. – Zawsze mam mnóstwo czasu, żeby chociaż trochę odpocząć między kolejnymi ekscytującymi przygodami.

– Hej, już zapomniałeś? To ty poprosiłeś mnie, żebym leciał z tobą na tę wyprawę – odciął się Skywalker. – Chodźmy teraz i przekonajmy się, kto zaprosił nas na naradę.

Odporne na strzały z blasterów drzwi nie prowadziły prosto do bezpiecznego pokoju, ale do czegoś w rodzaju śluzy, długiej na cztery metry i zakończonej z drugiej strony takimi samymi blasteroodpornymi drzwiami. Showolter posłużył się klawiaturą umieszczoną na przeciwległej ścianie. Skrzydła drzwi się otworzyły i odsłoniły standardowo wyposażoną, absolutnie zwyczajną salę konferencyjną. Miała kształt litery L, przy czym – zapewne ze względów bezpieczeństwa – odporne na strzały z blasterów drzwi umieszczono w rogu krótszej części. Kiedy ciężkie wrota stanęły otworem, kapitan Showolter – a za nim pozostali dwaj mężczyźni i oba automaty – weszli do pomieszczenia.

– Mogłem się być domyślić, że to pan zechce wybrać najtrudniejszą drogę – rozległ się dobrze znajomy, szorstki głos z niewidocznego końca sali.

Luke minął narożnik i popatrzył na długi stół, ustawiony pośrodku pomieszczenia. Osoba, która ich powitała, siedziała u szczytu stołu pod przeciwległą ścianą.

– Admirał Ackbar! – zawołał, nie kryjąc zdziwienia. – Cieszę się, że mogę znów się z panem spotkać!

– Byłoby o wiele lepiej, gdybyś mógł się z nim spotkać w innych, chociaż trochę przyjemniejszych okolicznościach – odezwała się druga z obecnych osób. Była nią Mon Mothma, poprzednia przywódczyni Nowej Republiki. Stała za kalamariańskim admirałem i pochylała się nad jego ramieniem.

– Mon Mothma! – powitał ją mistrz Jedi. – Miło cię widzieć... i to bez względu na okoliczności.

– Widzę, że usłuchałeś mojej rady i poleciałeś na wyprawę z moim serdecznym przyjacielem Landem Calrissianem – oznajmiła kobieta, lekko się uśmiechając. – Proszę, siadajcie. Panie kapitanie – zwróciła się do Showoltera – czy zechciałby pan przynieść naszym gościom coś pokrzepiającego?

– Ja dziękuję – odezwał się Luke.

– Ja także – zawtórował mu Calrissian. – Muszę przyznać, że wędrówka tymi korytarzami odebrała mi cały apetyt. Najbardziej zapadły mi w pamięć niezbyt miłe zapachy. Jeżeli jakieś tu wleciały, kiedy wchodziliśmy, to przepraszam.

– Nic nie szkodzi – uspokoiła go Mon Mothma. – Zajmijcie miejsca przy stole. – Zaczekała, aż Lando i Luke usiądą blisko Ackbara. – Chciałbym wiedzieć – ciągnęła, spoglądając na Calrissiana – czy twoja wyprawa zakończyła się powodzeniem.

– Owszem, Mon Mothmo... ale tylko w osobistym, a nie materialnym sensie – odparł z uśmiechem Lando. – Przykro mi, ale

musieliśmy bardzo szybko zawrócić... jeszcze zanim dolecieliśmy do Korelii.

– Dlaczego? – zapytał niecierpliwie Ackbar. – Proszę nam o wszystkim opowiedzieć.

– No cóż, zdołaliśmy dolecieć jedynie do Sakorii – zaczął ciemnoskóry kapitan. – Przebywaliśmy tam zaledwie niespełna pół dnia, ponieważ później poproszono nas, żebyśmy się wynosili. Wygląda na to, że miejscowe władze wydały obywatelom zakaz utrzymywania kontaktów z mieszkańcami innych światów. Przebywaliśmy tam tak krótko, że niewiele się dowiedzieliśmy, ale Tendra, rodowita Sakorianka, którą tam poznałem... ehm... poznaliśmy, oświadczyła, że chyba na planecie zanoszą się na jakiś kryzys.

– Czy ten kryzys może mieć coś wspólnego z sytuacją na Korelii?
– zainteresował się Showolter.

– Wydaje mi się, że to całkiem możliwe – odrzekł Calrissian. – Nie mieliśmy szansy się tego dowiedzieć. Powstrzymało nas pole interdykcyjne.

– Pole interdykcyjne? – powtórzył Kalamarianin. – W okolicach koreliańskiego systemu planetarnego? Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział? Jak duże i w którym miejscu?

– Właśnie miałem do tego przejść, ale skierowaliśmy rozmowę na inne tory – wyjaśnił spokojnie Lando. – To dlatego nie mogliśmy dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w systemie. Właśnie to pole uniemożliwiło nam lądowanie na Korelii.

– Jak to możliwe? – zdziwił się Ackbar.

– Panie admirale, to pole nie zajmuje jednego fragmentu przestworzy w sąsiedztwie Korelii – odezwał się Luke. – Otacza

szczelnie cały koreliański system planetarny.

– Co takiego? To niemożliwe! – wybuchnął Kalamarianin. – Jeszcze nikomu nie udało się wytworzyć tak potężnego i wielkiego pola!

– Ja również tak uważałem – przyznał Lando. – A jednak to pole istnieje i otacza cały system. Zostaliśmy wyrwani z nadprzestrzeni, kiedy od słońca Korelii, Korela, dzieliła nas odległość jakichś dwudziestu godzin świetlnych. Pole jest ogromne. Kiedy „Ślicznotka” znalazła się na obrzeżach, o mało nie eksplodowały wszystkie urządzenia zabezpieczające.

Luke popatrzył na Ackbara, a potem przeniósł spojrzenie na byłą przywódczynię Nowej Republiki.

– Chwileczkę – odezwał się po dłuższej chwili. – Jeżeli nie wiedzieliście o polu interdyscyjnym, dlaczego zaprosiliście nas na tę naradę?

– To bardzo proste – wyjaśniła Mon Mothma. – Straciliśmy wszelką... powtarzam, wszelką... łączność z koreliańskim systemem planetarnym.

– Absolutna cisza w eterze? – zapytał współczująco Calrissian. – Możliwe, że gubernator generalny Micamberlecto doszedł do wniosku, iż sytuacja militarna zaczyna przybierać niepomyślny obrót, i postanowił wydać zakaz korzystania z komunikatorów.

– Gdyby naprawdę to uczynił, wyglądałoby to rzeczywiście niewesoło – oznajmił ponuro Kalamarianin. – Obawiamy się jednak, że jest jeszcze gorzej. Nie chodzi tylko o zakaz posługiwania się komunikatorami. Problem polega na tym, że sygnały są zagłuszane. Zagłuszanie dotyczy nie tylko sygnałów akustycznych, ale także wszystkich pozostałych, i obejmuje cały koreliański system

gwiazdny. Nie może się przedrzeć żaden sygnał... ani w tamtą, ani w naszą stronę.

Lando cicho gwizdnął.

– Bez względu na to, kto za tym wszystkim stoi – powiedział – nie waha się działać na wielką skalę.

– Ale jest jeszcze coś, czym się niepokoiacie, prawda? – domyślił się Luke. – W przeciwnym razie nie organizowalibyście narady tu, pod ziemią.

– To prawda – przyznała Mon Mothma, po czym zwróciła się do Showoltera: – Kapitanie, pan ma głos.

– Dziękuję. – Oficer Wywiadu Nowej Republiki spojrzał na Skywalkerów i Calrissiana. – Jeszcze zanim dowiedzieliśmy się o zagłuszaniu sygnałów, nasi funkcjonariusze doszli do przekonania, że ktoś z koreliańskiego systemu planetarnego poradził sobie z przechwytywaniem naszych sygnałów. Agenci, których tam wysyłaliśmy, znikali bez śladu. Wyglądało na to, że im więcej czasu poświęciliśmy na szkolenie i przygotowania, tym szybciej przeciwnicy rozszyfrowywali nasze zamiary. A zatem gdzieś poza koreliańskim systemem musi istnieć przeciek informacji. Gdyby nawet nie doszło do zagłuszania sygnałów, już sam ten fakt wystarczyłby, żeby tu, na Coruscant, rozpętała się prawdziwa burza. Obawiamy się, że ostatnich dwóch czy nawet trzech agentów, których tam wysłaliśmy, zaatakowano i zestrzelono, zaledwie zdążyli pojawić się w koreliańskich przestworzach.

– Postanowiliśmy zatem – podjęła Mon Mothma – że całą tę sytuację będziemy omawiali tylko na ściśle tajnych naradach. Zorganizujemy je w bezpiecznym pomieszczeniu, głęboko pod

ziemią, gdzie można porozmawiać bez obaw, że ktokolwiek podsłucha.

– Doszliśmy także do wniosku – ciągnął admirał Ackbar tonem nawet jak na niego niezwykle szorstkim – że musimy zorganizować wojskową wyprawę. Uważamy, że nie można rozwiązać tego problemu w inny sposób. Niestety, nie mamy okrętów, które moglibyśmy tam wysłać. – Kalamarianin przewrócił ogromnymi wyłupiastymi oczami i pokręcił głową. – Gotowość do walki spadła do poziomu chyba najniższego w historii Nowej Republiki. Mamy wystarczająco wielu admirałów, ale w tej chwili flota stanowi zaledwie drobną część tego, czym była przed laty. Chyba nie muszę wam mówić – dodał – że ta informacja jest ściśle tajna.

– Powinniśmy zakładać, że bez względu na to, kto pochwycił naszych agentów i wydał rozkaz zakłócania sygnałów... a także otoczył cały system polem interdykcyjnym... zamierzał ukryć coś przed nami. Najgorsze jednak, że stało się to teraz, kiedy nasze okręty są zaangażowane w innych sektorach galaktyki albo przechodzą okresowe remonty w stoczniowych dokach. Nie sądzę, żeby to był przypadek. W tej chwili zresztą to i tak nie ma znaczenia. Co jeszcze wiecie o tym interdykcyjnym polu?

Luke zwrócił się do stojącego nieruchomo małego astromechanicznego robota.

– Artoo? – Baryłkowaty automat dwukrotnie zapiszczał, po czym podjechał do mistrza Jedi i znieruchomiał obok jego krzesła. – Pokaż graficzną symulację pola interdykcyjnego.

Artoo posłusznie zaświergotał i włączył ukryty generator holograficznych obrazów. W powietrzu zaczął się tworzyć świetlisty wizerunek.

– Nie pozostaliśmy tam na tyle długo, żeby zebrać wszystkie możliwe informacje, ale potem udało się nam wyciągnąć to, co zapisały pokładowe rejestratory „Ślicznotki”. Lando poddał całość obróbce i wzmocnił najlepiej jak potrafił. Pamiętajcie jednak, że wszystkie sygnały dotarły do nas bardzo zniekształcone. Mogły się zakraść do nich najróżniejsze błędy.

Mały robot wyświetlił standardową siatkę przestrzennych współrzędnych i naniósł na nią ciała niebieskie tworzące koreliański system planetarny. Pierwsza pojawiła się gwiazda Korei, po niej Korelia, a następnie pozostałe zamieszkane planety – Selonia, Dralia i Bliźniacze Światy, Talus i Tralus. Chwilę później zaczęły się pojawiać –jedna po drugiej – planety zewnętrzne. Po następnych kilku sekundach całość systemu otoczyła półprzezroczysta, mlecznoszara mgiełka. Powierzchnia mglistej kuli sięgała daleko poza planety usytuowane w największej odległości od Korela.

– Gwiazda nie leży dokładnie pośrodku kuli – zauważył natychmiast Ackbar.

– Bardzo słuszna uwaga, panie admirale – pochwalił go Skywalker. – Odkrycie tego zajęło nam prawie cały dzień. Ma pan rację, nie leży. O ile zdołaliśmy się zorientować, środek interdyscyplinarnej sfery jest usytuowany gdzieś w przestworzach pomiędzy Bliźniaczymi Światami, Talusem a Tralusem.

– Bliźniaczymi Światami? – zapytała Mon Mothma. – Wybaczenie, ale chyba nie znam koreliańskiego systemu planetarnego tak dobrze jak powinnam.

– Nie czyń sobie z tego powodu wyrzutów sumienia – uspokoił ją mistrz Jedi. – Ja także musiałem najpierw się w tym zorientować. Talus i Tralus zaliczają się do najrzadziej zaludnionych i najmniej

ważnych spośród wszystkich zamieszkanym światów tworzących koreliański system planetarny. Nazywa się Bliźniaczymi Światami, ponieważ krążą po niemal identycznych orbitach. Prawdę mówiąc, okrążają się nawzajem, a ściślej – orbitują wokół wspólnego geometrycznego środka ciężkości, tak zwanego bary-centrum. I oczywiście, cały system obu tych planet krąży wokół Korela.

– Podobno dokładnie w barycentrum znajduje się jakaś ogromna kosmiczna stacja. Czy to prawda? – zapytał Ackbar. – Czy mogłaby stać się czymś w rodzaju bazy wypadowej dla naszych okrętów?

Luke uśmiechnął się do przyjaciela wyrozumiale.

– To prawda – odparł. – Zastanawiasz się, jak rozwiązać problem od strony logistyki?

– Oczywiście – potwierdził Kalamarianin. – Na tym przecież polega moja praca. Muszę przyznać, że to, co wiemy na temat rozmiarów obszaru objętego zakłóceniami, mniej więcej pokrywa się z tym, co wynika z hologramu strefy interdykcyjnej.

– A zatem mamy do czynienia z rozpracowaniem struktur Wywiadu Nowej Republiki, zakłócaniem sygnałów i gigantycznym obszarem interdykcyjnym – podsumował Luke. – Co takiego może kryć się w koreliańskim systemie, co tłumaczyłoby zadanie sobie takiego trudu?

– Uważam, że to oczywiste – rzekła Mon Mothma. – Sam system. Ktoś z obywateli Korelii, zapewne przywódca grupy rebeliantów, postanowił przejąć ster rządów. Potem postarał się uczynić wszystko, co w jego mocy, żeby cała reszta wszechświata nie pokrzyżowała mu planów... przynajmniej dopóki nie umocni swojej władzy.

– Masz słuszność – przyznał Ackbar. – Ale mnie nie interesują jego polityczne plany. O wiele bardziej chciałbym zapoznać się z liczebnością i uzbrojeniem oddziałów gwiazdnych i lądowych, a także ich możliwościami i zamiarami. To, co dotąd zrobili, sugeruje, że nasi tajemniczy wrogowie dysponują technologiami o całe wieki przewyższającymi nasze.

– Zgadza się, panie admirale – odezwał się Showolter. – Wszystko to jednak zmusza nas do zadania sobie kolejnego pytania: „Gdzie to wszystko zdobyli?” Korelia słynęła z tego, że była ośrodkiem międzyplanetarnego handlu, a nie instytutem badawczorozwojowym, którego pracownicy zajmowaliby się nowoczesnymi technologiami. Nie dziwiłbym się tak, gdyby się okazało, że takimi możliwościami dysponuje pański świat, Kalamar. Z drugiej strony jest oczywiste, że gdyby ktoś opracował taką superbroń i poszukiwał kupca gotowego zapłacić najwyższą cenę, poleciałby właśnie na planetę, która cieszy się opinią dużego centrum handlowego. Tyle że Korelia przestała być uważana za jeden z najważniejszych ośrodków handlowych na wiele lat przedtem, zanim doszło do wybuchu wojny. Gdybym więc starał się znaleźć bogatego nabywcę takiej broni, nie próbowałbym jej sprzedać na planecie trapionej poważnymi trudnościami finansowymi.

– Chyba że doszedłby pan do wniosku, iż zamożniejsze planety nie będą zainteresowane zakupem tej superbroni – zauważyła Mon Mothma. – Na ogół nikt nie stosuje tak potężnych generatorów jak te, które użyto do zakłócania sygnałów albo wzbudzenia pola interdyscyjnego, o ile nie zamierza powstrzymać reszty wszechświata –a przy okazji i Nowej Republiki – od ingerencji we

własne podstępne plany. Podstępne, ponieważ ich częścią jest rebelia. A jeżeli już o tym mowa, kto zdoła powstrzymać twórców broni przed zaproponowaniem kupna ich towaru komuś innemu?

Na kilka chwil w konferencyjnej sali zapadła głucha cisza.

– To bardzo niepokojące pytanie – odezwał się w końcu Ackbar, spoglądając na Calrissiana. – Jeżeli ktokolwiek wystawi na sprzedaż generatory tak potężnego pola, możemy wpaść w poważne tarapaty.

– Już wpadliśmy – poprawiła go Mon Mothma. – W tej chwili musi pan zastanowić się nad trzema problemami. Proponuję, żebyśmy nie zwracali uwagi na inne kłopoty, dopóki nie zmuszą nas do tego okoliczności. I tak natrudzimy się co niemiara, zanim uporamy się z kryzysem na Korelii.

– Nie wolno nam jednak zapominać, że gdyby rebelia na Korelii zakończyła się powodzeniem, mogłoby to zachęcić inne światy do wypowiedzenia posłuszeństwa Nowej Republice. Chociaż w ciągu ostatnich lat niewiele słyszało się o sektorze Korelii, to planeta wciąż jeszcze odgrywa dużą rolę. Powodzenie rebelii na tak ważnej planecie mogłoby zatem stać się początkiem końca Nowej Republiki. Nikt nie uznałby tego faktu za mało ważny incydent w zapadłym kącie galaktyki. Mogłoby się to stać ogromną wyrwą w samym środku tkanki Nowej Republiki. Gdyby inni doszli do przekonania, że powinni pociągnąć tę tkankę w swoją stronę, rozdarcie mogłoby tylko się powiększyć.

Mon Mothma zmarszczyła brwi w zadumie.

– Chociaż z przykrością, ale muszę przyznać, że admirał Ackbar ma rację – powiedziała. – Musimy opanować sytuację. Musimy dotrzeć do koreliańskiego systemu i przekonać się, o co chodzi. W dodatku powinniśmy tam lecieć na czele silnej floty, mogącej

przeciwstawić się złu, jeżeli zajdzie potrzeba. Możliwe, że wystarczy tylko demonstracja siły. Uważam jednak, że to powinna być szturmowa flota, zdolna rozstrzygnąć walkę na korzyść Nowej Republiki.

– Jeżeli w obszarze koreliańskiego systemu planetarnego będzie nadal panowało pole interdykcyjne, nie zdołamy skorzystać z jednostek napędu nadświatłowego – przypomniał Lando. – Oznacza to, że stracimy wiele miesięcy, zanim pokonamy odległość dzielącą nas od granicy pola do którejkolwiek z planet usytuowanych w obrębie systemu.

– Nie mamy wyboru – odezwał się admirał Ackbar. – Musimy pogodzić się z tym, że podróż zajmie dużo czasu. Nie muszę wam przypominać o wszelkich taktycznych i logistycznych niedogodnościach, związanych z lataniem w normalnych przestworzach, ale powtarzam: nie widzę innego wyjścia. Rzecz jasna, pozostaje jeszcze taki drobiazg jak problem znalezienia szturmowej floty. Jeżeli mam być szczery, nie mamy żadnej, a zebranie nowej mogłoby zająć nam wiele miesięcy. I właśnie o tym zamierzaliśmy z wami porozmawiać.

– Czy to znaczy, że nasz niedawny powrót z Korelii nie jest jedynym powodem zaproszenia nas na tę naradę? – zdziwił się Lando.

– Domyślałem się, że zechcecie odwiedzić koreliański system, ale nie wiedziałem tego na pewno – oznajmił Ackbar. – Informując o istnieniu tego pola interdykcyjnego, oddaliście nam nieocenioną przysługę, ale mieliśmy jeszcze jeden powód, dla którego chciałem was tu widzieć. Prawdę mówiąc, najbardziej zależało mi na rozmowie z tobą, Luke'u. Nie oznacza to, że rezygnujemy z pańskich

usług, kapitanie – dodał, spoglądając przepaszająco na Landa – ale... jak mam to powiedzieć, żeby nikogo nie urazić? Mistrz Skywalker poznał kiedyś pewną... osobę i chcielibyśmy, żeby teraz odnowił tę znajomość.

Admirał Ackbar był Kalamarianinem, więc ludzie mieli pewne kłopoty z rozszyfrowywaniem wyrazu jego twarzy. Jednak widząc, że admirał nerwowo szuka odpowiednich słów, mistrz Jedi nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Jaką znajomość? – zapytał.

– Z dawnych czasów – wyreczyła admirała Mon Mothma. – To była sprawa osobista. Powiedziałabym nawet, że romantyczna.

– Chwileczkę – zaniepokoił się Luke. – Nie wiem, do czego zmierzacie, ale...

– Problem w tym – wtrącił się Showolter – że zna pan pewną damę. Osoba, o której mowa, jest mieszkanką systemu Bakury i nazywa się Gaeriela Captison. Wygląda na to, że dysponuje właśnie taką flotą, jakiej potrzebujemy, żeby polecieć na Korelię. Liczymy na to, że namówi ją pan, aby pożyczyła nam te okręty.

ROZDZIAŁ

3.

PRZYLOT, ODLOT

Myśliwiec typu X-TIE leciał ociężale przez nadprzestrzeń, a pilotująca go porucznik Belindi Kalenda, agentka Wywiadu Nowej Republiki, była wdzięczna losowi choćby tylko za to, że maszyna jeszcze się nie rozleciała. Już na początku lotu z najwyższym trudem wdarła się do nadprzestrzeni. Teraz trochę się niepokoila, jak poradzi sobie, kiedy nadejdzie czas powrotu do normalnych przestworzy. Tak czy owak, na razie nie działo się nic złego, a to w tej chwili liczyło się najbardziej.

Myśliwiec X-TIE, zwany Brzydalem, był topornym zlepkiem, do którego budowy wykorzystano wyciągnięte ze składnic złomu części X-skrzydłowca i jednego z najwcześniejszych modeli maszyny typu TIE. O ile Kalenda mogła się zorientować, dziwaczna konstrukcja wykazywała wszystkie najgorsze cechy obu zajadłych przeciwników. Możliwe nawet, że kryła kilka innych, nie znanych dotąd paskudnych niespodzianek.

Najważniejsze jednak, że wciąż leciała i dzięki temu można było pokonać prawie całą odległość. Kalenda była zadowolona, że w ogóle udało się jej znaleźć coś, co miało skrzydła i napęd. Tym bardziej że z początku nic nie wskazywało na to, że jej wyprawa

zakończy się powodzeniem. Agentka przypomniała sobie, że zanim odleciała z Korelii, musiała porwać myśliwiec ze stołecznego kosmoportu. W tym czasie Han Solo, by odwrócić uwagę portowych strażników, posłużył się termicznymi detonatorami, w wyniku czego zniszczył chyba połowę innych stojących na lądowisku gwiazdnych maszyn. Kalenda miała szczęście, że porwała jednostkę, która latała. Prawie na cud zakrawało, że nikt nie zestrzelił jej trzydzieści sekund po odlocie z kosmoportu. To wszystko jednak nie miało teraz znaczenia. Liczyło się jedynie to, że zbliżała się do Coruscant. Miała przekazać informację, której nie znał chyba nikt, kto ostatnio nie odwiedzał koreliańskiego systemu. Musiała dolecieć. W tej chwili nie mogła myśleć o niczym innym.

Kobieta miała dwadzieścia pięć standardowych lat. Była młoda, ale nawet w najkorzystniejszych warunkach – które od dawna należały do przeszłości – sprawiała na ludziach trochę dziwne wrażenie. Miała kruczoczarne włosy, które opadałyby jej prawie do bioder, gdyby nie zaplatała ich w kunsztowny warkocz, upinany na czubku głowy. Teraz oczywiście po prostu byle jak wcisnęła włosy pod hełm pilota i nie przejmowała się, jak będą potem wyglądały. Wiedziała, że rozczesywanie ich nie będzie łatwe ani przyjemne. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała okazję zadbać o siebie. Na szczęście troska o to, kiedy się wykąpie, nie należała w tej chwili do największych zmartwień.

Jej oczy były odrobinę zbyt szeroko rozstawione, a spojrzenie nie chciało się skupić na rozmówcy albo rozmówczyni. Wyglądało to, jakby kobieta miała niewielkiego zeza. Ci, z którymi rozmawiała, często odczuwali niepokój i zakłopotanie. Odnosili wrażenie, że Kalenda nie patrzy prosto na nich, ale na coś unoszącego się za ich

plecami. Prawdę mówiąc, nie bardzo mijają się to z prawdą. Kalenda nigdy nie przywiązywała do tego wielkiej wagi, ale podejrzewała, że jest obdarzona szczątkową umiejętnością władania Mocą. Wystarczało jej zaledwie na tyle, aby przeczuwać to i owo, unikać niebezpieczeństw i bardziej ufać własnej intuicji.

Niestety, w tej chwili intuicja podpowiadała jej to, o czym od dawna wiedziała. Siedziała w tym po same uszy. W jej kieszeni spoczywał przedmiot, od którego zależało dalsze istnienie niezliczonych światów i życie wielu zamieszkujących je niewinnych istot. Co gorsza, nikt oprócz niej nie dysponował tą informacją. Kalenda starała się cały czas o tym pamiętać. W kieszeni lotniczego kombinezonu ukryła mikroobwód, który wręczył jej Han Solo, zanim odleciała z Korelii. Nie potrzeba było wielkiej wyobraźni, żeby mikroskopijny czarny obwód scalony przedstawić sobie jako ogromny ciężar, przytłaczający agentkę wywiadu niewyobrażalną odpowiedzialnością.

Musiła uczynić wszystko, co w jej mocy, żeby przekazać tę informację. Miała przeczucie, że jej się to nie uda. Czuła się zniechęcona, zmęczona, przerażona i przygnębiona.

A jednak, gdyby nawet na chwilę zapomniała o odpowiedzialności za życie milionów istot, jaką wzięła na swoje barki, mogła być z siebie naprawdę dumna. To przecież ona, nie zważając na przeciwności, doprowadziła niemal do celu maszynę, której konstrukcja przypominała senny koszmar. Co więcej, jej lot dobiegał właśnie końca. Zakładając, że w ciągu kilku najbliższych minut maszyna typu X-TIE nie rozleci się ani nie stopi, już niedługo powinna wyłonić się z nadprzestrzeni w systemie Coruscant.

Pozostawało jeszcze pytanie, z jakim spotka się przyjęciem. W ciągu ostatnich lat stolica Nowej Republiki była tyle razy atakowana, bombardowana, oblegana i kto wie, co jeszcze, że przywódcy traktowali bardzo poważnie wszystko, co wiązało się z obroną. Mimo upływu lat nie osłabili czujności ani nie zrezygnowali z patrolowania przestworzy. Kalenda była doświadczoną agentką i świetnie o tym pamiętała. Wiedziała też, jak nieufnie traktowali piloci wojsk ochrony wszystkie nieznane statki... a zwłaszcza o tak niezwykłych kształtach jak myśliwiec, którym leciała. Nie zdziwiłaby się, gdyby najpierw ją zestrzelili, a potem przypomnieli sobie o zadawaniu pytań.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Dlaczego miałaby zawczasu się tym przejmować? Istniało spore prawdopodobieństwo, że jednostka napędu nadświatelnego jej myśliwca X-TIE eksploduje podczas wyskakiwania albo wkrótce potem, a wtedy agentka nie będzie musiała się martwić niczym więcej. Co najmniej kilkanaście razy w ciągu ostatniej godziny sprawdzała stan wszystkich systemów i podzespołów. Teraz też to zrobiła. Stwierdziła, że na kontrolnym pulpicie płonie kilka bursztynowych lampek, co oznaczało, że niektóre moduły jednostki napędowej sygnalizują lekkie przeciążenia. Żaden jednak – przynajmniej na razie – nie odmówił posłuszeństwa. W przeciwnym razie lampki na pulpicie zapłonęłyby rubinowym blaskiem. Kalenda sprawdziła jeszcze raz współrzędne, jakie wpisała do pamięci astronawigacyjnego komputera. Bardzo żałowała, że jej myśliwiec nie leci szybciej albo chociaż z odrobinę większym wdziękiem.

Niestety, Brzydal nie sprawiał wrażenia maszyny zdolnej spełnić jej pragnienia.

Silniki „Ślicznotki" zagrały pełną mocą i gwiazdny jacht wdzięcznie wzniósł się ku orbicie. Lando sprawdził wskazania przyrządów.

– Wszystko w porządku – oświadczył z dumą i zerknął na pulpit centralnego repetytora. – Artoo pilotuje twój X-skrzydłowiec, ale leci dokładnie naszym śladem. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że nasz mały przyjaciel poradzi sobie z tym zadaniem.

– Mam nadzieję, że dostałeś nauczkę – odezwał się Luke. – Artoo doskonale wie, co robi.

– Och, naprawdę dostałem – przyznał Calrissian. – Teraz wiem, że jedyny niekompetentny automat, jaki bierze udział w tej wyprawie, właśnie siedzi za twoimi plecami.

– Wypraszam sobie, panie kapitanie!

– Siedź cicho, Threepio, bo inaczej wywieszę cię na zewnątrz.

Połączenie myśliwca typu X z kadłubem jachtu wymagało kilku zmian i przeróbek – niektórych całkiem pomysłowych. Teraz jednak, kiedy ich dokonano, X-skrzydłowiec mógł lecieć przyczepiony pod spodem statku. Dzięki zainstalowaniu chwytaków cumowniczych mógł nawet szczepiać się z nim, kiedy jacht leciał w przestworzach. „Ślicznotka" mogła także brać na hol wyremontowany i zmodernizowany myśliwiec Skywalkera. Chociaż wymagało to sporo dodatkowej pracy, ani Lando, ani Luke nie mieli nic przeciwko temu. Domyślali się, że lecą w nieznane. Nie wiedząc, czego się spodziewać, musieli się liczyć i z tym, że zostaną potraktowani jak wrogowie. Gdyby coś się potoczyło nie po ich myśli, powinni móc liczyć na siłę ognia i zdolność manewrową X-skrzydłowca.

Jednak żaden z nich nawet nie marzył o tym, aby wymyślić sposób pokonania warstw atmosfery, kiedy obie jednostki zostaną

połączone. Prawdę mówiąc, nie było sensu próbować, ponieważ Artoo mógł pilotować myśliwiec podczas lotu na orbitę. Lando był zaniepokojony, kiedy się o tym dowiedział, ale Luke nie miał najmniejszych wątpliwości. W końcu astronawigacyjne roboty typu R2 zaprojektowano z myślą o pomaganiu pilotom. Krótki lot, jaki miał wynieść obie jednostki z lądowiska Coruscant na orbitę, miał być dla Artoo pierwszą od dawna okazją wykonania pracy, do jakiej go zaprojektowano.

– Ten robot wie, jak powinno latać się w zwartym szyku – ciągnął z podziwem Lando. – Może powinienem pozwolić, żeby zajął się cumowaniem, kiedy znajdziemy się już w pustce przestworzy?

– Doskonały pomysł – odparł Luke, ale chyba nie zwrócił większej uwagi na jego słowa.

Lando spojrzał na przyjaciela. Kiedy uświadomił sobie, że Luke błądzi myślami gdzie indziej, postanowił powiedzieć coś wesołego, żeby go pocieszyć.

– Rozkaz, mistrzu. Połączymy nasze jednostki i nie spoczniemy, aż dolecimy na Bakurę!

– Czemu nie – odrzekł mistrz Jedi obojętnym tonem. – Bakura. Bakura i Gaeriela Captison.

Wyjrzał przez iluminator „Ślicznotki”, ale chyba niczego nie zobaczył. Myślał o Gaerielu. Pamiętał jej imię, chociaż od tamtych chwil upłynęło dużo czasu. Chyba żadne inne imię tak mocno nie wryło mu się w pamięć.

Luke nie słyszał go od wielu lat, ale na samo wspomnienie czuł, że serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Poznał Gaerielę w burzliwych czasach, jakie nastąpiły tuż po unicestwieniu Drugiej Gwiazdy Śmierci, po śmierci Dartha Vadera i Imperatora

Palpatine'a. Jej planetę, Bakurę, zaatakowała wówczas rasa nie znanych dotąd istot, Ssiruków. Najeźdźcy dążyli do zniewolenia ludzi i podporządkowania sobie wszystkich zamieszkanym światów. Zostali pokonani tylko dlatego, że wojska Imperium i Republiki połączyły siły. Od tamtych czasów Bakuranie bardzo czujnie strzegli granic swojego systemu.

Luke i Gaeriela spotkali się, kiedy rycerz Jedi przebywał na Bakurze. Poznali się doskonale w ciągu krótkiego czasu... i równie szybko musieli się rozstać. Luke przesadziłby, gdyby stwierdził, że darzył młodą kobietę wielką miłością, ale kto wie, co by się zdarzyło, gdyby mieli więcej czasu. I właśnie to niepokoiło go najbardziej. Gdyby obrał odmienną drogę życia, gdyby Gaeriela wyznawała inną religię albo nie czuła się tak odpowiedzialna za swój świat, gdyby spotkali się gdzie indziej lub gdyby w galaktyce panował pokój, a nie wojna... gdyby, gdyby, gdyby.

Luke westchnął i przetarł piekące oczy. Ani jedno z tych „gdyby” się nie spełniło. Zresztą Luke wiedział, że nawet gdyby wszystko potoczyło się po ich myśli, nie miałby absolutnej pewności. Możliwe, że on i Gaeriela byli sobie przeznaczeni. Możliwe, że by się w sobie zakochali. A może nie. Tragedia polegała na tym, że nie miał już szansy się tego dowiedzieć.

– To działo się tak dawno – odezwał się łagodnie Lando. Przestał udawać, że w zachowaniu przyjaciela nie widzi niczego niezwykłego. – Upłynęło tyle czasu. Tymczasem życie toczy się dalej.

– To prawda, panie Luke'u – zapiszczał Threepio, siedzący na rozkładanym krześle, które specjalnie dla niego ustawiono za

fotelem mistrza Jedi. – Bardzo wątpię, czy tamta przelotna znajomość będzie miała jakikolwiek wpływ na najbliższe spotkanie.

– Wspaniale – mruknął Lando. – Oto odezwał się największy autorytet w zakresie niewykorzystanych możliwości.

Luke i Lando doszli do przekonania, że postąpią najrozsądniej, jeżeli pozwolą złocistemu androidowi lecieć w sterowni. Postanowili, że umożliwią mu bezpośrednią hiperfalową łączność z Artoo –na wypadek, gdyby zaistniały jakieś problemy podczas cumowania albo normalny komunikator nie wystarczył do przesyłania sygnałów.

Ciemnoskóry mężczyzna zaczynał jednak żałować tej decyzji. Tym razem Luke był skłonny przyznać mu rację.

– Upłynęło w przybliżeniu czternaście standardowych lat, odkąd widział się pan ostatnio z tamtą damą – ciągnął Threepio radosnym tonem, jakim odzywał się zawsze, ilekroć pragnął włączyć się do czyjejś rozmowy. – Z drugiej strony, ponieważ nasza dyplomatyczna misja ma charakter poufny i delikatny, nie przejmowałbym się zbyt tym, jak ona zareaguje na pański widok. No cóż, jeżeli wziąć pod uwagę zawodność ludzkiego umysłu, nie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle pana nie pamiętała.

– Aleja o niej nie zapomniałem – odezwał się półgłosem mistrz Jedi.

– To widać – zgodził się z nim android. – Nie sądzę jednak, żeby miał pan okazję poznać jej dalsze losy. Czy wie pan, co robiła, odkąd stracił pan z nią wszelki kontakt?

– Niech zgadnę – burknął Lando. – Zadałeś sobie trochę trudu i skontaktowałeś się z Naczelną Bloovataniańską Bazą Historycznych Danych, a potem zapoznałeś się dokładnie z historią życia Gaerieli i

zanotowałeś wszystkie informacje w tej zardzewiałej, cynowej głowie.

– Nic nie wiem na temat Bloovatanii, panie kapitanie – oświadczył urażony android. – Może pan nie wie, ale wszystkie informacje na temat lady Gaerieli Captison uzyskałem, przeszukując dyplomatyczne archiwa Uniwersytetu Coruscant. Oświadczam również, że do budowy mojej głowy nie użyto ani grama cyny, a poza rym, jak zapewne pan wie, cyna nie rdzewieje.

– Luke'u, czy bardzo byś się zmartwił, gdybym potraktował go kilkoma – tylko kilkoma – celnymi strzałami z Mastera? – zapytał Lando.

Mistrz Jedi uśmiechnął się z przymusem, a potem przeniósł spojrzenie na przerażonego androida.

– Nie bądź dla niego taki surowy, Lando – powiedział. – Bądź co bądź ocalił ci życie, kiedy przebywając na Lerii Kerlsil, usiłowałeś wziąć ślub z miejscową życiowiedźmą.

– Ta–a, ale jeżeli przez to powinienem go teraz wysłuchiwać, to nie wiem, czy było warto – mruknął kapitan.

– Wypraszam sobie! – zachnął się Threepio. – Coś podobnego! Nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę zbieraniem ważnych informacji, skoro wygląda na to, że nikt się nimi nie interesuje!

– Nie przejmuj się tak, Threepio – odezwał się łagodnie mistrz Jedi, chcąc udobruchać protokolarnego androida. – Powiedz mi, co wiesz na temat dalszych losów lady Gaerieli Captison.

– Czy życzy pan sobie, żebym podał wszystkie informacje, czy tylko streszczenie najważniejszych?

– Wystarczy streszczenie. Na razie nie muszę wiedzieć nic więcej – odparł Luke.

Obawiał się, że gdyby Threepio zaczął opowiadać wszystko, co wie, jego monolog trwałby całą wieczność.

– Jak pan sobie życzy – odparł złocisty android. – Prawdę mówiąc, jest tego niewiele. Po tym, jak Ssirruukowie zostali pokonani, lady Gaeriela nie przestała zajmować się polityką. Została nawet przywódczynią swojej frakcji parlamentarnej w miejscowym senacie. Zajmowała potem kilka innych stanowisk, coraz ważniejszych i bardziej odpowiedzialnych, aż w końcu mianowano ją najmłodszą panią premier rządu w historii Bakury.

– Nie wiedziałem, że powierzono jej obowiązki premiera – odezwał się zdumiony Luke, chociaż nie istniał właściwie powód do zdziwienia. Kobieta była młoda, sprytna i ambitna. Dlaczego nie miałyby awansować na stanowisko przywódczyni bakurańskiego rządu?

– Obawiam się, że nie tylko została panią premier – ciągnął Threepio – ale potem przestała pełnić tę funkcję. Musiała, ponieważ jej ugrupowanie przegrało w następnych wyborach. W kilku prasowych artykułach uznano, że powodem tej porażki był brak czasu na kampanię reklamową, prawdopodobnie spowodowany chorobą i późniejszą śmiercią męża.

– Męża? – powtórzył Luke, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Gaeriela miała męża?

– Och, tak, panie Luke. Czyżbym zapomniał o tej informacji? Wyszła za niego mniej więcej przed sześcioma laty. Jej mąż nazywał się Pter Thanas i był kiedyś komandorem imperialnej floty. Przypuszczam, że poznał pan go podczas pobytu na Bakurze. Mieli dziecko, dziewczynkę. Dali jej na imię Malinza. Ma teraz cztery i pół standardowego roku. Kiedy kampania wyborcza zaczęła nabierać

większego tempa, Thanas zapadł na jakąś przewlekłą chorobę, która nie figuruje w moich bazach danych, a którą lekarze znają pod nazwą choroby Knowta. Wyzionął ducha dwa dni po tym, kiedy partia lady Gaerieli przegrała wybory. Wygląda na to, że pana znajoma –przynajmniej przez jakiś czas – nie będzie brała czynnego udziału w życiu politycznym.

Luke czuł, że od nadmiaru informacji zaczyna mu się kręcić w głowie. Nie potrafił oswoić się z myślą, że Gaeriela wyszła za mąż i potem straciła męża; że wspięła się na wyżyny władzy i została z nich strącona. Urodziła córkę... a on nic o tym nie wiedział.

Gdzieś w głębi podświadomości pamiętał Gaeriela taką, jaką widział przed laty. Przeżył wstrząs, kiedy uświadomił sobie, że powinien skorygować ten wizerunek. Wyobrażał sobie, że Gaeriela na zawsze pozostanie energiczną, tryskającą życiem i entuzjastycznie nastawioną młodą kobietą, którą kiedyś znał... i że nie zmieni tego upływ czasu. Popełnił błąd. Powinien był się tego domyślić. W życiu wszystko się zmieniało.

Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, co. Nie miał ochoty zwierzać się przyjacielowi ze swoich uczuć... a już z pewnością nie zamierzał tego czynić w obecności protokolarnego androida:

– Od bardzo dawna nie miałem o niej żadnych wieści – powiedział w końcu. – Przykro mi, że jej mąż nie żyje.

– To wydarzyło się przed ponad rokiem, panie Luke – pocieszył go Threepio. – Przypuszczam, że do tej pory lady Gaeriela zdołała się pogodzić z jego śmiercią.

Luke nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego, ale nie zgadzał się z jego zdaniem. Gaeriela, jaką pamiętał, nie była kobietą, która

poślubiłaby kogokolwiek dla kaprysu. Wyszłaby za mąż tylko z wielkiej miłości. Możliwe, że pogodziłaby się z utratą politycznych wpływów, ale z pewnością nie ze śmiercią męża.

I miała dziecko. Niespełna pięcioletnią córkę...

Gaeriela... Luke zaczął intensywnie rozmyślać o niej i o wszystkim, co mu się z nią kojarzyło. Wydawało mu się zawsze, że romantyczna miłość nie jest jego przeznaczeniem. Co prawda nawet mistrz Jedi nie mógł przewidzieć, co wydarzy się w odległej przyszłości, ale Luke nie potrzebował niczego więcej poza zdrowym rozsądkiem, żeby wiedzieć, że w jego życiu – takim, jakie wiódł – nie było wiele miejsca na przyjemności, na jakie mogli sobie pozwolić zwyczajni ludzie. Zdarzały się chwile, kiedy ową stratę wynagradzały mu niezwykle zdolności... ale bywały też takie momenty, kiedy tego żałował.

Wiedział doskonale, że darzy dzieci Leii tak głębokim uczuciem właściwie tylko dlatego, ponieważ uważa je za członków własnej rodziny... może jedynej, jaką będzie miał w życiu. Zawsze przypuszczał, że pogodził się z tym faktem. Teraz dochodził do wniosku, że się mylił.

– Ponieważ kiedyś znał pan ją bardzo dobrze, mam całe mnóstwo dodatkowych informacji, które może pana zainteresują– ciągnął tymczasem niestrudzony Threepio. – Co prawda, wiele pochodzi z niezbyt pewnych źródeł, na przykład szukających sensacji czasopism, ale...

– Posłuchaj – przerwał mu Calrissian. – Nie znam całej historii i wcale sienie spieszę, żeby ją poznać. Wydaje mi się jednak, że Luke wolałby nie omawiać tych spraw w mojej obecności.

– Dzięki, Lando – odparł z wdzięcznością mistrz Jedi. – Doceniam to. Porozmawiamy o tym kiedy indziej, Threepio – dodał, zwracając się do androida. Rozpiął klamry ochronnej sieci i wstał z fotela. – Prawdę mówiąc, chyba wolałbym spędzić trochę czasu w samotności. Dajcie mi znać, jeżeli będę wam potrzebny. Idę do kabiny.

– Jasne, Luke – odparł Lando. – Nie spodziewam się, żeby wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Luke kiwnął machinalnie głową i poszedł do kabiny. Stał przed drzwiami, odblokował zamek i wszedł do środka. Pozamykał wszystko starannie i położył się na wznak na łóżku. Wsunął dłonie pod głowę i wpatrzony w świetlik w suficie, leżał dłuższy czas absolutnie nieruchomo.

Zdumiewał się, jak jedno zapamiętane przed laty imię mogło obudzić w jego mózgu tyle wspomnień.

Belindi Kalenda spojrzała na pokładowy chronometr odmierzający czas, jaki pozostawał do wyskoczenia z nadprzestrzeni. Głęboko odetchnęła. Pozostało zaledwie trzydzieści sekund. Jeszcze trzydzieści sekund i znajdzie się w normalnych przestworzach systemu Coruscant. Wiedziała, że w tej samej chwili wpadnie w poważne tarapaty. Myśliwiec X-TIE nie miał żadnego kodu identyfikacyjnego, który mogłaby podać Kontroli Lotów. Najgorsze jednak, że jej maszyna miała nietypowe kształty, a na pokładzie mnóstwo broni, zazwyczaj używanej tylko przez pilotów Imperium.

Kalenda wiedziała bardzo dobrze, jak wrażliwe bywają systemy automatycznej obrony, jeżeli wykryją zbliżający się imperialny statek. Obawiała się, że automatyczne detektory zauważą panele boczne imperialnego myśliwca typu TIE, przymocowane do kadłuba

X—skrzydłowca, a wówczas ostrzegawcze światełka na kontrolnych pulpitych rozjarzą się niczym świetliste hologramy, wytwarzane przez specjalny projektor podczas błyszczotańca.

Agentka Wywiadu Nowej Republiki pokładała całą nadzieję w tym, że zdoła skontaktować się z przełożonymi. I to szybko, zanim zaczną strzelać do niej połowa turbolaserów Służb Ochrony Przestrzeni Powietrznej Coruscant. Jeżeli zdoła nawiązać łączność, postara się, aby jej głos został rozpoznany. Wypowie słowa jednorazowego szyfru, dzięki czemu może przekona operatora, że naprawdę jest tą osobą, za którą się podaje. No i oczywiście spróbuje nie dać się zabić.

Dwadzieścia sekund. Starła się nie myśleć, jak to było, kiedy ostatnio, w przestworzach nad Korelią, wyskakiwała z tej samej nadprzestrzeni. Jeszcze zanim miała czas przedstawić się albo chociaż zorientować, co się dzieje, nieznani napastnicy trafili – i poważnie uszkodzili –jej pokieroszowany towarowy transportowiec. Za żadne skarby nie chciałyby lądować jeszcze raz w taki sam sposób na Coruscant. O, nie. Mowy nie ma.

Osiemnaście sekund Sprawdź jeszcze raz, jak funkcjonuje komunikator. Upewnij się, że nastawiona częstotliwość nie uległa zmianie. Nie chcesz przecież, żeby przez przypadek twoje wołanie o ratunek dotarło do nadajnika Biura Korekt Polityki Rolnej. Za nic w świecie.

Piętnaście sekund. Jeszcze jeden, ostatni raz sprawdź dane wyświetlane na ekranie monitora nawigacyjnego komputera. Będziesz mogła mówić o prawdziwym pechu, jeżeli przeciążone urządzenie pomyli się w wykonywaniu jakiejś procedury programu i zmusi twój myśliwiec do opuszczenia nadprzestrzeni z daleka od

uzgodnionego punktu przestworzy.... albo zawiesi się na dobre i pozostawi cię w nadprzestrzeni na wieki. Zdarzało się, i to podobno całkiem często, że grzęzły w niej większe nawet statki. Nie możesz żywić żadnych wątpliwości. Sprawdź jeszcze raz. Upewnij się. Nie chcesz przecież, aby taki sam los spotkał ciebie.

Dziesięć sekund. Czy powinnaś włączyć systemy uzbrojenia, czy wyłączyć? Jeżeli Kontrola Lotów zauważy, że turbolasery są gotowe do strzału, może nie oprzeć się pokusie i otworzy ogień bez uprzedzenia. Jeżeli jednak to uczyni, a ty przygotujesz się, zanim wyskoczysz z nadprzestrzeni, będziesz miała większą szansę się obronić. Z drugiej strony jednak, zastanów się, co się stanie, jeżeli prześlesz energię do systemów uzbrojenia, a wskutek zwiększonego poboru mocy odmówi posłuszeństwa nawigacyjny komputer? I czy możliwe, żeby powitali cię od razu pociskami, a nie ostrzegawczymi błyskawicami blasterowych strzałów? Nie, uczynisz lepiej, jeżeli turbolasery pozostawisz wyłączone.

Siedem sekund. Ochronne pola. Ochronne pola to zupełnie inna sprawa. Włączone, z całą pewnością powinny być włączone. Ale nie możesz ryzykować, że zwiększony pobór mocy uszkodzi albo zniszczy centralny komputer. A zatem powinnaś włączyć je dopiero wówczas, kiedy wyłosisz się z nadprzestrzeni.

Jeżeli się z niej wyłosisz. Pięć sekund.

Cztery.

Trzy.

Dwie.

Przygotuj się, aby uczynić to osobiście, jeżeli zawiedzie cię automatyka.

Jedna. Sięgnij do przełącznika sterowania ręcznego.

Zero...

Wszechświat wokół niej obudził się do życia i rozbłysnął milionami światła. Wychodzące z jednego punktu świetliste smugi przelatywały obok burt maszyny, ale w końcu przemieniły się w punkciki gwiazd. Kalenda rozpoznała dobrze znany widok systemu Coruscant. Dokonała tej sztuki... Teraz musiała tylko pożyć wystarczająco długo, aby móc się tym widokiem nacieszyć.

Włączyła generatory i kadłub myśliwca otoczyło ochronne pole siłowe. Przekonała się jednak, że w tej samej sekundzie nawigacyjny komputer utracił kontrolę nad sterami. Ekran monitora ściemniał, aby po chwili rozjarzyć się na nowo... tyle że w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej widniały cyfry przestrzennych współrzędnych, pojawiły się same zera. Kalenda pogratulowała sobie w duchu, że postanowiła włączyć ochronne pole dopiero po wyskoczeniu z nadprzestrzeni. Kilka sekund później musiała zająć się innymi problemami.

Komunikator. Włącz komunikator. Włącz go i módl się, aby odbiornik w centrali Wywiadu Nowej Republiki był nastawiony na tę samą częstotliwość. Kalenda pstryknęła przełącznikiem zabytkowego urządzenia, po czym zbliżyła usta do mikrofonu.

– Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia. Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia. Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia.

Agentka wiedziała, że bezsensowne hasło powinno być przechowywane w pamięci komputera centrali Wywiadu – podobnie jak wszystkie charakterystyczne cechy jej głosu. Teoria głosiła, że trzykrotne wypowiedzenie zdania powinno umożliwić namierzenie

jednostki, która je nadawała. Powinno także spowodować przesłanie do Kontroli Lotów bezwarunkowej zgody na lądowanie, a do jednostek Ochrony Przestrzeni Powietrznej Coruscant żądanie zapewnienia wolnej drogi. To wszystko – przynajmniej w teorii – brzmiało bardzo pięknie. Kalenda wiedziała jednak, że praktyka wcale nie musi wyglądać tak różowo. Mogły przecież zawieść komputery. Jakiś bęcwał mógł dokonać zmiany hasła. Inny cymbał mógł – przez najzwyklejsze niedopatrzenie – skasować zapamiętany zbiór cech jej głosu. A wreszcie ktoś ze Służb Ochrony mógł nie uwierzyć zapewnieniom funkcjonariusza Wywiadu, że pilot dziwnego myśliwca typu X-TIE, który właśnie wtargnął do przestworzy, naprawdę jest sprzymierzeńcem, a nie wrogiem.

Trzykrotnie wypowiedz bezsensowne zdanie. Odczekaj dwie minuty i ponownie wymów je trzy razy. Po następnych dwóch minutach wypowiedz te same trzy zdania jeszcze raz... ostatni. Tak wyglądała regulaminowa procedura, a Kalenda zamierzała jeżeli pożyje wystarczająco długo –podporządkować się regulaminowi.

Uświadomiła sobie, że powinna włączyć zasilanie pokładowych detektorów –bez względu na to, jak dokładnych i czułych. Zaczęła przyciskać odpowiednie guziki... i nie tyle z zaskoczeniem, ile z rozczarowaniem stwierdziła, że na próżno. Ktoś, kto składał jej Brzydala z części wyciągniętych ze składnic złomu, nie potrafił sobie wyobrazić, że myśliwiec będzie wykonywał samodzielne zadania. Zapewne spodziewał się, że maszyna będzie latała w ślad za innymi, większymi jednostkami i otworzy ogień dopiero wówczas, kiedy przeciwnik znajdzie się w zasięgu wzroku. Widocznie utrzymywanie detektorów w stanie gotowości nie należało do zadań obdarzonych najwyższym priorytetem.

– Powinnam była bardziej wybrzydząć, kiedy ją wybierałam – mruknęła do siebie Kalenda. Przypuszczała, że mogłaby naprawić skanery i czujniki, gdyby poświęciła na to jakieś pół godziny... a może nie. Nie wiedziała. Najważniejsze jednak, że w tej chwili z całą pewnością nie miała owych trzydziestu minut.

Prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, że nie miała nawet trzydziestu sekund. Tam, prosto przed dziobem, lecąc tak szybko, jak mogła, zbliżała się eskadra sześciu myśliwców typu Y. Sześć śmiercionośnych maszyn. Ich widok sprawiał wrażenie, że piloci bardzo poważnie traktują swoje obowiązki.

Jeszcze zanim Kalenda uświadomiła sobie, że zamierza zrobić unik, chwyciła drążek sterowniczy i wprowadziła zamysł w życie. Zaledwie zdążyła wykonać zwrot na sterburcie, przestworza przecięła potężna turbolaserowa błyskawica. Przeleciała dokładnie tam, gdzie jeszcze sekundę wcześniej znajdował się kadłub Brzydala. Agentka odruchowo wyciągnęła rękę w stronę przełączników, żeby przesłać energię do własnych systemów uzbrojenia... ale uzmysłowiła sobie, że przecież piloci myśliwców typu Y nie są jej wrogami. Nie zamierzała wyrządzać im krzywdy. Obawiała się jednak, że może będzie musiała. Gdyby miała wybierać między przekazaniem informacji o planowanym unicestwieniu zamieszkanego świata i niemal pewnej zagładzie milionów niewinnych istot a życiem jednego albo dwóch pilotów, bez wahania – chociaż z wielką przykrością – wybrałaby to drugie. Jeżeli jednak podejmie walkę z sześcioma doświadczonymi pilotami – a także wszystkimi innymi, których mogą wysłać do walki Służby Ochrony Przestrzeni Powietrznej Coruscant – zachowa się jak wróg i straci wszelką nadzieję na przekazanie tej informacji Wywiadowi Nowej Republiki.

Musiła zatem zdać się na instynkt. Należało nadal wykonywać uniki i liczyć na to, że zyska wystarczająco dużo czasu, aby centrala Wywiadu zdążyła wysłać sygnał, który zapewni jej wolną drogę i umożliwi lądowanie. Zerknęła na pokładowy chronometr i upewniła się, że nadeszła pora na powtórzenie wezwania. Kolejna błyskawica niemal otarła się o bakburtowy panel z ogniwami, ale Kalenda szarpnęła drążek sterowniczy i skierowała myśliwiec w przeciwną stronę.

Włączyła nadajnik komunikatora i zaczęła mówić:

– Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia. Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia. Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia.

Wypowiadała słowo po słowie jak zaklęcie... jak modlitwę, która może ocalić jej życie. Pomyślała, że jeżeli będzie miała szczęście, może właśnie tak się stanie.

A jeżeli już mowa o przesyłaniu informacji, może piloci myśliwców typu Y usiłują się z nią porozumieć? Przełączyła pokładową aparaturę na odbiór i nakazała przeszukiwanie wszystkich standardowych zakresów częstotliwości wykorzystywanych do przesyłania sygnałów. Na próżno. Prawdę mówiąc, niczego innego się nie spodziewała. Piloci myśliwców na ogół nie wdają się w pogawędki z wrogami, których starają się pozbawić życia.

Maszyny typu Y złamały szyk i rozleciały się we wszystkie strony. Widocznie piloci zamierzali wziąć jej Brzydala w krzyżowy ogień laserowych strzałów. Kalenda wiedziała, że jeżeli im na to pozwoli, jej wyprawa bardzo szybko dobiegnie końca. No cóż, jeżeli obrońcy

przestworzy Coruscant nie chcieli odezwać się do niej, może ona powinna spróbować przemówić do nich? Wybrała częstotliwość, która w czasach, kiedy odlatywała, uchodziła za standardową, służącą do wydawania rozkazów pilotom Służb Ochrony.

– Uwaga, myśliwce typu Y! Mówi pilot atakowanej przez was maszyny typu XTIE. Proszę natychmiast wstrzymać ogień. Nie jestem waszym wrogiem. Mam przekazać bardzo ważną informację.

Kolejna laserowa błyskawica musnęła panel z ogniwami. Następna trafiła w sam środek kadłuba. Brzydal zatrzęsł się i zadygotał, oświetlenie kabiny przygasło, ale ochronne pola wytrzymały... tym razem. Jednak całe mnóstwo światełek, które płonęły dotąd bursztynowym blaskiem, nagle rozjarzyło się krwistą czerwienią. Agentka zrozumiała, że następne trafienie wyrządzi o wiele więcej szkód i zniszczeń. Wykonała raptowny zwrot i obróciła maszynę wokół osi, a potem zanurkowała prosto ku dwójce myśliwców typu Y. Przeleciała między nimi, dzięki czemu zdołała uniknąć zaciskających się kleszczy... po czym natychmiast tego pożałowała.

W niewielkiej odległości przed nią zmaterializował się ogromny kalamariański gwiazdny krążownik. Jego artylerzyści kierowali na nią chyba wszystkie działa. Dopóki leciała, otoczona szóstką myśliwców typu Y, załoga okrętu nie strzelała – w obawie, by nie trafić własnych pilotów. Teraz jednak celowniczy nie musieli się o nic martwić. Kalenda zobaczyła, że lufy złowieszczych dziobowych turbolaserów powoli zwracają się w jej stronę.

Natychmiast szarpnęła drążek sterowniczy i wystrzeliła świecą w przestworza. Miała nadzieję, że uczyni to szybciej niż zareagują artylerzyści krążownika. Nie pokładała w tym wielkiej nadziei, ale

też nie zamierzała poddawać się bez walki. Przełączyła komunikator z powrotem na częstotliwość używaną przez agentów Wywiadu Nowej Republiki i postanowiła jeszcze raz podać umówione hasło. Za ironię losu uznała, że ostatnie wypowiedziane w życiu słowa ułożą się w niezrozumiały, bezsensowny bełkot.

– Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe rozgałęzienia. Nieszczęśliwe strzałkoroby mają często zlodowaciałe...

Nagle poczuła, że jakaś niewidoczna gigantyczna dłoń pochwytiła i unieruchomiła jej myśliwiec w locie. Szarpnięcie było tak silne, że pomimo zapiętych pasów sieci ochronnej uderzyła hełmem w wewnętrzną powierzchnię owiewki kabiny pilota. Poczuła, że zakręciło się jej w głowie, i musiała odczekać kilka sekund, aż oprzytomnieje. Niewiele brakowało. Widocznie potężna turbolaserowa błyskawica, wystrzelona z działka kalamariańskiego krążownika, musiała przelecieć tuż obok kadłuba jej Brzydala. Kalenda szarpnęła drążek sterowniczy, aby wykonać zwrot na bakburtę... jeszcze raz, może ostatni, spróbować uniknąć spotkania z przeznaczeniem. Stwierdziła jednak, że jej myśliwiec zatrząśł się i zaskowyczał. Po całej kabinie rozniosła się przykra woń płonącej, a może tylko przegrzanej izolacji. Dopiero wówczas agentka zrozumiała. Wyłączyła zasilanie jednostki napędowej, puściła drążek sterowniczy i głęboko odetchnęła.

Promień przyciągający. Została pochwycona przez potężny promień przyciągający.

Zamknęła oczy, rozluźniła mięśnie i usiadła wygodniej na fotelu pilota. Po chwili zaczęła znów oddychać. Aż do tej pory nie

uświadamiała sobie, że na krótko wstrzymała oddech.

– Chwała niech będzie nieszczęśliwym strażakorobom – odezwała się głośno, chociaż nikt jej nie słyszał. – Chwała niech będzie nieszczęśliwym strażakorobom... i oby ich rozgałęzienia już nigdy, przenigdy nie pokryły się warstwą lodu.

Bakura.

Nawet w czasach pokoju, jaki nastał po odparciu inwazji, Bakuranie nie zrezygnowali z utrzymywania silnych wojsk ochrony przestworzy. Co prawda, nic nie wskazywało na to, żeby Ssiruuukowie przygotowywali się do kolejnej inwazji, ale przecież, prawdę mówiąc, poprzednio także nic nie świadczyło, że zamierzali zaatakować. Z pewnością upłynie mnóstwo czasu, zanim mieszkańcy Ba–kury pozwolą sobie na osłabienie czujności.

To zaś wiązało się z nieuniknionym pytaniem, dlaczego Nowa Republika pozwoliła sobie na osłabienie swojej. Niektórzy tak nie uważali twierdząc, że Nowa Republika niczego takiego nie zrobiła. Mimo iż wojska powietrzne i lądowe były o wiele mniej liczne niż w czasach wojny przeciwko Imperium, wciąż jeszcze stanowiły potężną siłę, z którą musieli się liczyć wszyscy potencjalni wrogowie. Po prostu w chwili obecnej wojska wykonywały ważne zadania w innych sektorach galaktyki. Wiele okrętów było także poddawanych okresowym przeglądom albo remontom. Kalamariańskie stocznie pracowały pełną parą. Gdyby powstanie na Korelii wybuchło pół roku wcześniej albo trzy miesiące później, Nowa Republika mogłaby wystawić potężną flotę.

Prawdę mówiąc Luke miał przecucie, że Mon Mothma mogłaby ją wystawić i teraz, gdyby doszła do wniosku, że jest to absolutnie konieczne. Byłoby to naturalnie bardzo kosztowne i ryzykowne,

ponieważ była przywódczyni musiałaby osłabić obronę jakiejś placówki albo posterunku, ale jednak możliwe.

Mon Mothma była jednak nie tylko zręcznym strategiem. Przede wszystkim była politykiem, i to znakomitym. Dobrzy politycy wiedzieli, jak postępować w sytuacjach kryzysowych i jak rozwiązywać jeden problem, aby przy okazji uporać się z kilkoma innymi. Wysyłając Luke'a i Landa na Bakurę, kobieta za jednym zamachem osiągała kilka celów. Zachowywała w odwodzie flotę Nowej Republiki, aby w razie potrzeby posłużyć się nią do rozwiązania innego konfliktu, do jakiego w każdej chwili mogło dojść w innym miejscu galaktyki. Po drugie, odwoływała się do psychiki mieszkańców Ba-kury. Planeta była usytuowana w pobliżu granic Nowej Republiki i Bakuranie czasami obawiali się, że gdyby znów wydarzyło się coś złego, mogliby zostać zapomniani albo zlekceważeni. A zatem, o ile Mon Mothma nie myliła się w rachubach, zwrócenie się do Baku-ran z prośbą o pomoc powinno pomóc zachować ściśle związki planety z resztą światów Nowej Republiki. Powinno sprawić, że poczują się potrzebni. Upewnią się, że ich udział liczy się w walce o słuszną sprawę.

Chodziło jednak jeszcze o coś innego. Całkiem niedawno Mon Mothma zapewniła Luke'a, że jedynie kwestią czasu pozostaje, kiedy mistrz Jedi zacznie brać czynny udział w życiu politycznym Nowej Republiki. Zapewne chciała wykorzystać nadarzącą się okazję, żeby ułatwić mu podjęcie decyzji, a może nawet skierować na właściwą drogę. W końcu zadanie, jakie czekało go na Bakurze, nie mogło być wykonane przez kogoś, kto z zapalonym świetlnym mieczem chciałby rzucić się w wir walki. Mon Mothma zmuszała Skywalkera, żeby nie postępował jak samotny zawadiaka, ale jak

prawdziwy przywódca i przedstawiciel Nowej Republiki... krótko mówiąc, jak polityk. Kobieta doskonale znała się na swoim fachu. Nie mogło być co do tego najmniejszych wątpliwości.

Luke usiadł. Wystarczy tych rozważań. To śmieszne oddawać się takim czarnym myślom. Miał jeszcze tyle do zrobienia. Musiał się przygotować. Przede wszystkim jednak musiał zdobyć więcej informacji. Pomyślał, że najwyższa pora, by wykorzystać Threepia.

Wyciągnął rękę do przełącznika interkomu, aby porozmawiać z protokolarnym androidem, ale urządzenie samo obudziło się do życia. Co dziwniejsze jednak rozmawiać z nim pragnął właśnie Threepio.

– Panie Luke'u, bardzo proszę, niech pan szybko przyjdzie do sterowni – powiedział złocisty automat. – Artoo przekazał nam informację, jaką otrzymał z sieci łączności Marynarki. W przestworzach toczy się jakaś walka. Eskadra myśliwców typu Y usiłuje przechwycić dziwaczną jednostkę, będącą połączeniem X-skrzydłowca i bardzo starego imperialnego myśliwca typu TIE.

Do rozmowy przyłączył się Lando. Śniadolicy mężczyzna nie ukrywał podniecenia.

– To Brzydał, Luke'u! A jedyne stocznie, w jakich mogą powstawać takie maszyny...

– Znajdują się na Korelii – wpadł mu w słowo mistrz Jedi, po czym wybiegł z kabiny i skierował się do sterowni. Ujrzawszy, że drzwi są otwarte, zanurkował do środka i natychmiast zwrócił się do złocistego androida:

– Powiedz Artoo, żeby spróbował porozumieć się z komputerami myśliwców typu Y usiłujących przechwycić tę jednostkę! Niech im powie, żeby przestali...

– Nie ma potrzeby – przerwał mu Calrissian. – Bez względu na to, kto pilotuje Brzydala, nie zapomniiał języka w gębie. Piloci myśliwców typu Y wstrzymali ogień, a technicy gwiazdznego krążownika „Naritus” włączyli generator promienia przyciągającego. Usiłują ściągnąć maszynę typu X-TIE do hangaru. A zanim mnie o to poprosisz, powiem, że tak, zmieniamy kurs. Ja również jestem pewien, że pilot tego Brzydala może powiedzieć nam coś nowego.

Luke opadł na fotel drugiego pilota i włączył komunikator, żeby nawiązać łączność z astromechanicznym robotem.

– Artoo, postaraj się skontaktować z dowódcą tego krążownika i zapytaj, czy możemy wejść na pokład jego okrętu.

Mały robot odpowiedział trzema potakującymi piknięciami. Luke pochylił się nad kontrolnym pulpitem i wbił spojrzenie w dziobowy iluminator „Ślicznotki”. Rzecz jasna, „Naritus” znajdował się zbyt daleko, żeby można było wypatrzeć go gołym okiem. Dotarcie do niego zajmie trochę czasu, ale może za to pilot myśliwca X-TIE przekaże jakieś nowe informacje.

– Zmień kurs, Lando – odezwał się mistrz Jedi. – Przekonajmy się, o co chodzi.

Kalenda wiedziała, że jej kłopoty jeszcze się nie skończyły. Wręcz przeciwnie. Siedziała zamknięta w małej celi więziennego bloku gwiazdowego krążownika, a nie w sali odpraw, gdzie zazwyczaj składano meldunki albo zdawano relacje. Prawdę mówiąc, nie mogła żywić do kapitana „Naritusa” urazy za to, że potraktował ją tak podejrzliwie. Pilotowała przecież podejrzenie wyglądający myśliwiec i nie miała absolutnie żadnej karty identyfikacyjnej, którą mogłaby okazać, żeby potwierdzić swoją tożsamość. Po prostu Wywiad Nowej Republiki nie miał zwyczaju wysyłać tajnych

agentów, aby wykonywali niebezpieczne zadania, zaopatrując ich w dokumenty z hologramami albo fotografiami. A zresztą, nawet gdyby Kalenda miała przy sobie takie zaświadczenie, byłoby od początku do końca sfalszowane. Służyłoby przecież tylko do uprawdopodobnienia historyjki, jaką miała opowiedzieć po wyskoczeniu z nadprzestrzeni w okolicy systemu Korelii. Miała nawet kiedyś taki dokument, ale dawno go się pozbyła. I tak Korelianie, jeszcze zanim podjęli próbę zestrzelenia jej transportowca podczas podchodzenia do lądowania, doskonale wiedzieli, kim ona jest i po co przylatuje.

A zatem kapitan i oficerowie „Naritusa” mieli do czynienia ze zmęczoną młodą kobietą ubraną w wybrudzony i wymięty lotniczy kombinezon. Kobieta wyglądała, jakby od dawna się nie kąpała, a jej strój –jakby od wieków nie był prany. Mimo to Kalenda nie zamierzała nikogo błagać, żeby zaprowadzono ją do łazienki albo przebrano w coś czystego. Mowy nie ma. Na razie tylko sprawdzono, czy nie ukryła broni. Na szczęście nikt nie pomyślał o tym, żeby poddać kobietę dokładnemu przeszukaniu. Kalenda nie chciała, aby któryś z marynarzy znalazł ukryty w kieszeni mikroobwód. W końcu dostała bardzo wyraźne wskazówki, komu go przekazać.

Martwiła się jeszcze czymś innym. Myśliwiec typu X-TIE, którym tu przyleciała, porwała z kosmoportu stolicy Korelii, Koronetu. Z pewnością marynarze krążownika zechcą upewnić się, czy nie przemycała czegoś niebezpiecznego, na przykład materiałów wybuchowych. Może nawet, posługując się szczoteczkami do zębów, starannie wymiotą wszystkie zakamarki. Agentka nie mogła mieć o to do nich żalu. Kłopot w tym, że nie miała pojęcia, co może

znajdować się na pokładzie Brzydala. Nie musiała mieć bujnej wyobraźni, żeby domyślać się, co tam trzymano i przez co mogła wpaść w naprawdę poważne tarapaty. Powiedziała sobie jednak, że martwienie się o coś, na co i tak nie mogła nic poradzić, najzwyczajniej w świecie nie miało sensu.

Usłyszała charakterystyczne szczęknięcie zamka zewnętrznych drzwi bloku więziennego. Po chwili otworzyły się także drzwi jej celi. Do pomieszczenia weszła drobna i szczupła, ale groźnie wyglądająca strażniczka, która niedawno ją tu zamykała.

– Jeszcze sprawdzają to, co im powiedziałaś – oznajmiła. – Wywiad Nowej Republiki potwierdził, że znałaś słowa jednorazowego hasła, ale ostrzega nas także, że ten fakt jeszcze nie przesądza, czy mówisz prawdę, czy też kłamiesz. Krótko mówiąc, nie stanowi absolutnie pewnego dowodu.

Kalenda kiwnęła głową. Znała co najmniej trzy sposoby zapoznawania się z brzmieniem tajnych haseł, ale właśnie dlatego Wywiad Nowej Republiki nigdy nie uważał podania prawidłowego tekstu za ostateczny dowód. I to nawet wówczas, kiedy zgadzały się cechy głosu podającej je osoby.

– I dlatego przysłali cię, żebyś zdjęła mi odciski palców, sprawdziła siatkówkę oka i pobrała próbkę DNA, prawda? – zapytała.

Strażniczka kiwnęła lekko głową i obdarzyła kobietę wymuszonym półuśmiechem.

– Widzę, że znasz procedury, jakie stosują ci z Wywiadu. Jeżeli jesteś obcą agentką, twoi przełożeni zadali sobie wiele trudu, by cię odpowiednio przygotować.

Chyba nie można było na to nic odpowiedzieć, a zatem Kalenda nie odezwała się ani słowem.

– Przypuszczam, że nie zmieniłaś zdania i nie jesteś gotowa złożyć oświadczenia, skąd się wzięłaś i po co przyleciałaś? – zapytała strażniczka.

– Przykro mi – odparła młoda kobieta. – Otrzymałam bardzo wyraźny rozkaz, wydany przez samą przywódczynię Nowej Republiki.

No cóż, może nie bezpośrednio przez nią, pomyślała. Z pewnością jednak mąż Organy Solo uzyskał na to zgodę żony, chociaż kiedy wydawał jej polecenie, jego głos nie brzmiał za bardzo stanowczo.

– Mam przekazać meldunek dopiero wtedy, kiedy będę mogła porozmawiać w cztery oczy z admirałem Ackbarem, Mon Mothmą albo mistrzem Jedi, Lukiem Skywalkerem.

To także nie było całkiem zgodne z prawdą, ale mniej więcej właśnie to jej powiedziano. Kalenda miała wręczyć mikroobwód jednej z tych trzech osób – i nikomu innemu. Nie mogła więc teraz wyciągnąć z kieszeni i pokazać strażniczce mikroskopijnego czarnego prostopadłościanu, a potem powiedzieć, że nie ma prawa go jej przekazać. Gdyby to uczyniła, z pewnością pięć minut później zapoznałby się z informacją kapitan „Naritusa” i kto wie, ilu jego oficerów. Agentka nie mogła ryzykować. Z centrali Wywiadu Nowej Republiki wyciekło i tak zbyt wiele ważnych, tajnych i cennych informacji. Groźba zniszczenia gwiazd musiała pozostać jak najściślej strzeżoną tajemnicą. Choćby dlatego, żeby nie dopuścić do wybuchu paniki.

Strażniczka pokręciła głową.

– Czy aby nie za wiele wymagasz? – zapytała.

– Nie ja wydaję rozkazy, koleżanko – odparła Kalenda. – Ja tylko je wykonuję.

Nie zawsze absolutnie dokładnie, pomyślała, ale doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli zachowa tę myśl dla siebie.

– Na płonące niebiosy, jaka szkoda, że nie mogę pracować dla takich samych szefów – westchnęła strażniczka. – Wygląda na to, że twoi potrafią troszczyć się o pracowników.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwiła się Kalenda.

– Za sekundę wracam – odparła jej rozmówczyni. Odwróciła się bez słowa i wyszła z celi. Agentka natychmiast zauważyła, że wychodząc, strażniczka nie zatrzasnęła drzwi pomieszczenia. Czyżby chciała ją poddać próbie? Czyżby jej przełożeni doszli do przekonania, że jeżeli Kalenda nie jest tym, za kogo się podaje, skorzysta z okazji i spróbuje uciec? A może właśnie chodziło im o to, żeby spróbowała? Co mogła mieć na myśli strażniczka, kiedy powiedziała, że ci z Wywiadu Nowej Republiki troszczą się o swoich pracowników? Czyżby dowódca okrętu rozkazał, żeby zaprowadzono ją na przesłuchanie? Kalenda nie miała pojęcia, o co mogło chodzić strażniczce, ale nie wyglądało to zachęcająco. Nic z tego, pomyślała. Przestań myśleć o głupstwach. Mogą cię przesłuchiwać, ile zechcą. I tak nie wydobędą z ciebie niczego oprócz prawdy.

Mimo to agentka nie czuła się uspokojona. Podejrzewała, że jej prześladowcy – kimkolwiek są – mogą zechcieć posłużyć się najnowszą aparaturą, żeby dokonywać eksperymentów na jej mózgu.

Kiedy strażniczka powróciła w towarzystwie wysokiego, poważnie wyglądającego nieznajomego mężczyzny, Kalenda

zrozumiała, że jej obawy chyba niedługo znajdą potwierdzenie. Uświadomiła sobie, że zaczyna się denerwować. Czyżby miała przed sobą kogoś w rodzaju oficera śledczego? Mężczyzna był szczupły i wysoki, miał jasne włosy i błękitne oczy i nosił służbowy kombinezon pilota Marynarki Nowej Republiki, chociaż pozbawiony wszelkich naszywek i odznaczeń. Nie wyglądał jak oficer śledczy. Prawdę mówiąc, jego twarz wydała się jej znajoma. Agentka na pewno jeszcze nigdy go nie widziała, ale jednak...

– Nazywam się Skywalker – odezwał się nieznajomy. – Podobno chciałaś się ze mną zobaczyć?

ROZDZIAŁ

4.

KWIATKI RODZINNEGO ŚWIATA

„Sokół Millenium” opuścił orbitę parkingową, po której dotąd okręzał Dralię, i obniżając niespiesznie lot, zaczął podchodzić do lądowania. Chewbacca, jak zwykle siedzący na ustawionym po prawej stronie fotelu drugiego pilota, pozwolił sobie na cichy jęk, który przeszedł w warknięcie.

– Nie martw się tak – pocieszył go robot Qiunine–Ekstoo, przytwierdzony do płyt pokładu za fotelem Wookiego. – Minęliśmy draliańskie systemy obronne. Nasza strategia, żeby lecieć powoli, zaczyna przynosić pożądane owoce.

– Chciałbym mieć tyle pewności siebie co ty, Qiunine – odezwał się Ebrihim.

Ebrihim był zdecydowanie zbyt niski, żeby siedzieć na fotelu pierwszego pilota. Nie przejmując się więc, że może na tym ucierpieć jego godność, stał, a nie siedział. Dzięki temu mógł jednak wyglądać przez dziobowy iluminator. Chociaż przytrzymywany pasami ochronnej sieci, uświadamiał sobie, że może odnieść obrażenia, jeżeli kadłubem frachtowca szarpnie silniejsza turbulencja.

Ebrihim był dosyć wysoki, nawet jak na Dralą. Wiedział jednak, że pod względem wzrostu nie może marzyć o tym, aby dorównać ludziom. Mierzył mniej więcej sto dwadzieścia pięć centymetrów, a jego ciało porastała krótka, gęsta sierść... ciemnoszara, jeżeli nie liczyć twarzy i szyi, gdzie miała nieco jaśniejszy odcień. Jak każdy Dral, Ebrihim miał krótkie kończyny, a porośnięte sierścią stopy i dłonie kończyły się ostrymi pazurami. Jak prawie wszyscy Dralowie, był odrobinę zbyt pulchny – a przynajmniej tak uważała większość ludzi. I chociaż inni Dralowie nie widzieli w tym nic dziwnego, bardzo wrażliwy na punkcie godności osobistej Ebrihim ubolewał – szczególnie gdy miał do czynienia z istotami ludzkimi – że jest zbyt niski, zbyt pękaty i porośnięty zbyt miękką, aksamitną sierścią. Z doświadczenia wiedział, że wielu ludzi uważało Dralów za żywe, podobne do wypchanych zwierzątek zabawki. Może właśnie z tego powodu Dralowie przywiązywali dużą wagę, aby ludzie traktowali ich z takim samym szacunkiem, na jaki zasługiwały wszystkie inne inteligentne istoty.

Qiunine chrząknął, pragnąc zwrócić na siebie uwagę Chewbacci.

– Mój pan jest często przesadnie ostrożny – powiedział, kiedy Wookie obejrzał się przez ramię. – Cieszę się, że nie zauważam u ciebie tej niekorzystnej cechy charakteru.

– Nie jestem przesadnie ostrożny, ale to nie powód, że zaraz muszę być szaleńczo pewny siebie – odezwał się Ebrihim. – Systemy obrony Dralii nie zaliczają się do skomplikowanych i są nastawione na wyłapywanie szybko lecących, agresywnych statków. Jestem pewien, że przelecieliśmy obok wszystkich systemów, o których wiedziałem i które potrafiła wykryć aparatura tego statku. To wcale

nie oznacza jednak, że nie czekają na nas inne nieprzyjemne niespodzianki.

Chewbacca ponownie jęknął i pokręcił głową.

– Zakładając, że cię dobrze zrozumiałem, całkowicie się z tobą zgadzam – odrzekł Ebrihim. – Ja także, odkąd znalazłem się na pokładzie tego statku, przeżyłem sporo ciężkich chwil i niespodzianek.

Popatrzył na ekran wewnętrznego monitora, ukazującego kabinę z trójką dzieci. Wszystkie leżały spokojnie, starannie przypięte do łóżeczek, które w tej chwili pełniły także funkcję amortyzujących zmiany przyspieszenia leżanek.

Dobrze chociaż, że dzieci – przynajmniej na razie – zachowywały się bez zarzutu. Ebrihim wiedział, że kiedy wszyscy troje zaczną się bawić na całego, nic i nikt nie potrafi ich powstrzymać. Dlaczego, na błękitne słońce, zgłosił się na ochotnika, żeby zostać ich guwernerem? Możliwe, że nigdy tego nie zrozumie. Zapewne przypuszczał, że tymczasowe zajęcie polegające na tym, aby nauczyć dzieci potężnej i wpływowej przywódczyni Nowej Republiki kilku elementarnych zasad koreliańskiego życia, może okazać się całkiem zabawne... a może też otworzyć przed nim nowe perspektywy, których nie miałby, gdyby nie zgłosił się do tej pracy. Może liczył na to, że uzyska pochlebne referencje, dzięki czemu w przyszłości zdobędzie jeszcze lepszą posadę. Okazało się jednak, że tymczasowe niewinne zajęcie wiązało się z wieloma trudnymi do przewidzenia niebezpieczeństwami. Strzelano do niego i zmuszono go do odlotu z Korelii.

– Zobaczysz, wszystko dobrze się skończy – oświadczył, zwracając się do Chewiego tonem, który dowodził bezgranicznej pewności

siebie. – Osiądziemy lekko jak piórko na podwórzu posiadłości mojej rodziny. Dopiero tam będziesz mógł się zająć naprawianiem uszkodzeń swojego... ehm... statku.

Już miał użyć na określenie „Sokoła Millenium” innego, o wiele mniej pochlebnego rzeczownika, ale w porę zrezygnował. Prawdę mówiąc dlatego, że ujrzał wyraz twarzy Chewbacca. Wyglądało na to, że potężnie zbudowany Wookie niekiedy darzy starą balię głęboką miłością, a kiedy indziej bezgraniczną nienawiścią. Raz ceni ją ponad wszystko inne we wszechświecie, żeby w następnej chwili obrzucać najgorszymi przekleństwami.

– Dopóki cały system jest poddany działaniu tego interdykcyjnego pola, możesz naprawiać swój statek tak długo, jak zechcesz – dodał Qiunine.

Automat przypominał trochę jednostkę typu R2, jakie produkowano kiedyś, żeby służyły jako astromechaniczne roboty. Prawdę mówiąc, jednostki typu Q9 były rezultatem eksperymentu, do którego realizacji wykorzystano obudowę późniejszego modelu typu R7. Wyniki doświadczenia przyjęto wszakże z mieszanymi uczuciami. Pesymiści uważali, że zakończyło się całkowitym niepowodzeniem. Optymiści twierdzili jednak, że na wyciąganie aż tak złowróżbnych wniosków jest po prostu jeszcze zbyt wcześnie.

Zachowanie Qiunina nie zawsze dostarczało na tyle przekonujących argumentów, aby na ich podstawie można było powiedzieć, iż eksperyment zakończył się sukcesem. W najlepszym razie automat stanowił zagadkę... chociaż najczęściej drażnił rozmówców i denerwował. Wiele wskazywało na to, że ma prawdziwy talent do przyprawiania swojego właściciela – a przy okazji wszystkich innych – o ból głowy... tylko po to, aby w

następnej chwili demonstracyjnie dowodzić, iż jest niezastąpiony. Wprawdzie kiedyś, gdy wszyscy uciekali z Korony, ocalił życie Ebrihima; później jednak wiele razy przypominał gubernatorowi, jakie ma szczęście, że może korzystać z usług tak inteligentnego, przedsiębiorczego i nadgorliwego automatu. Przeważnie jednak Qiunine bywał przykry i nieznośny.

Często dokonywał w swojej konstrukcji zmian, ulepszeń i modyfikacji. Zawsze starał się instalować najnowsze moduły i urządzenia. To właśnie on postarał się o repulsory i dzięki temu mógł poruszać się w terenie, który byłby dla niego niedostępny, gdyby miał nadal tylko kółka. To on zainstalował sobie wokoder, aby móc wypowiadać słowa i zdania. Odtąd nie musiał polegać na piskach, gwizdach i świergotach, do jakich ograniczały się zwykłe astromechaniczne roboty. Ebrihim nie był jednak pewien, czy wokoder Qiunina to rzeczywiście udoskonalenie. Odkąd robot go zainstalował, stał się okropnie gadatliwy.

– Co zrobimy, kiedy statek zostanie już naprawiony? – zapytał robot, dając jeszcze jeden dowód, że nie zamierza wykorzenić tej wady.

– Zastanowimy się nad tym, kiedy wylądujemy – odezwał się Ebrihim, jakby nie chciał rozmawiać dłużej na ten temat.

– To nijaka odpowiedź – stwierdził Qiunine. – Nie zawiera żadnej informacji.

– Może dlatego, że żadnej nie znam – odparł rozdrażniony Ebrihim. – Jeżeli mam być szczery, Qiunine, coraz bardziej działasz mi na nerwy. Mam nadzieję, że kiedy wylądujemy, spotkam się z członkami rodziny i przekonam ich, żeby nas ukryli... przynajmniej do czasu, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Rzecz jasna, nie

możemy zapominać o obowiązkach, jakie mamy względem dzieci. Musimy zatroszczyć się o ich bezpieczeństwo. Nie wiem jednak, jak zdołamy dokonać tej sztuki.

– Chyba nikt nie wie, jak osiągnąć coś, co jest niemożliwe – oznajmił zgryźliwie Qiunine.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że mają prawdziwy talent do wpadania w tarapaty – zgodził się z nim Ebrihim.

– A to – przyznał robot – jest chyba największym eufemizmem wszystkich czasów.

Jacen, Jaina i Anakin leżeli na wznak na swoich łóżkach, stłoczonych w jednej z małych kabin „Sokoła Millenium”. Wszyscy troje byli starannie przypięci. Zachowywali się spokojnie, starając się sprawiać wrażenie grzecznych dzieci. Przynajmniej starały się o to bliźnięta. Anakin miał chyba niejakie kłopoty; musiał powstrzymać się z całej siły, żeby nie uwolnić się z ochronnej upręży albo przynajmniej się nie wiercić.

– Chciałbym wstać – odezwał się w pewnej chwili.

– Nie możesz – odparł Jacen, bardziej niż trochę zmęczony sprawowaniem opieki nad młodszym bratem. Bliźnięta postanowiły, że będą pilnowały Anakina na zmianę. Jeszcze dziesięć minut i chłopiec będzie mógł przekazać opiekę siostrze. Już teraz cieszył się na myśl o tym, że odpocznie.

– Muszę wstać – odezwał się znów chłopczyk.

– Dlaczego? – zapytał Jacen, starając się dociec, czy Anakin mówi prawdę. – O co chodzi tym razem?

Doskonale wiedział, że braciszкови chodziło wyłącznie o to, żeby pobiec do sterowni i pomagać naciskać różne guziki. Najbardziej przerażało go to, że Anakin na pewno naciskałby tylko te właściwe.

Jego umiejętność obsługi skomplikowanych urządzeń elektronicznych i mechanizmów wprawiała wszystkich – nawet Jacena – w coś pośredniego między zdumieniem a przerażeniem. Władza nad Mocą, jaką mógł poszczycić się chłopczyk, prawdopodobnie przejawiała się w dziwny, niesamowity sposób. Co by jednak nie mówić na ten temat, „prawdopodobnie” nie było wystarczająco dokładnym określeniem – szczególnie na pokładzie tak rozklekotanego gwiazdnego statku, za jaki powszechnie uważano zmodyfikowany koreliański frachtowiec.

– No cóż... uhm... ja... – zaczął Anakin.

– Tylko mi nie mów, że znów chcesz iść do toalety – wpadł mu w słowo Jacen, jakby podejrzewał, do jakiego pretekstu zechce uciec się młodszy brat. – Niedawno tam byłeś.

– Ach, tak – powiedział Anakin. – No cóż... uhm... muszę wstać, żeby... poszukać swojego ksiązkobwodu... chciałbym trochę poczytać.

– Och, braciszku – westchnęła Jaina. – Dlaczego uważasz nas za takich idiotów? Jacenie, czy my także wygadywaliśmy takie bzdury?

– Z pewnością tak – odparł starszy chłopiec. – Mam jednak nadzieję, że byliśmy bardziej przekonujący.

– Bardziej przekonujący w czym? – zainteresował się Anakin. – W czym?

– W wymyślaniu wiarygodnych wykrętów – odrzekła Jaina. – Nie powinieneś kłamać ani oszukiwać, ale jeżeli już chcesz wywieść kogoś w pole, przynajmniej obmyśl wszystko, zanim zaczniesz. Nikt nie będzie ci wierzył, jeżeli zaczniesz mówić, a później urwiesz w

pół zdania –jak teraz. A poza tym, książkobwód nie jest dobrym pretekstem. Dobrze wiemy, że właściwie nie potrafisz czytać.

– Znam literki i cyferki – zachnął się chłopczyk.

– Ale nie potrafisz sam przeczytać całej książki – ciągnęła dziewczynka. – Może to nieprawda?

– Już prawie potrafię – nie dawał za wygraną malec, ale chyba sam uświadamiał sobie, że jego słowa nie brzmią przekonująco. – Aleja naprawdę muszę wstać.

Jacen cicho westchnął.

– Anakinie, nie możesz teraz iść do sterowni. Kropka. Koniec dyskusji. Gdybyśmy ci pozwolili, Chewbacca natychmiast by cię stamtąd wyrzucił. Ty miałbyś mnóstwo kłopotów, my mielibyśmy nieprzyjemności i z pewnością nie wynikłoby z tego nic dobrego.

– No cóż, niech będzie – odrzekł zrezygnowany chłopczyk. – Ale czy nie mogę wstać i naprawdę poszukać swojego książkobwodu?

– Nie. Nie możesz. Żadne z nas nie może. Dorośli są zbyt zajęci, a my nie powinniśmy im przeszkadzać. Nie możemy chodzić, dokąd zechcemy, ponieważ w każdej chwili „Sokół” mógłby zatrząść się, szarpnąć albo zakołysać. Ja nie mogę wstać, ty nie możesz wstać, żadne z nas nie może wstać... dopóki nie pozwoli nam Ebrihim. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – mruknął Anakin, chociaż nie ukrywał, że jest nadąsany. – Ale czy nie mógłbym chociaż...

– Nie! – przerwał stanowczo Jacen. – Leż spokojnie i bądź cicho!

Odczekał minutę, by przekonać się, jak młodszy brat zareaguje. Podejrzewał, że albo wpadnie w złość, albo będzie się dalej dąsał i milczał, od czasu do czasu tylko mruczając, że nie ma sprawiedliwości

w tym wszechświecie. Jacen gorąco pragnął, żeby Anakin wybrał tę drugą możliwość. W kabinie byłoby o wiele spokojniej.

Po jakiejś minucie absolutnej ciszy usłyszał dobiegające z dolnego łóżka pomruki. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Musiał teraz sam starać się zachowywać jak najciszej, żeby młodszy brat zapomniał o tym, iż jest wściekły. W przeciwnym razie Anakin mógłby rozgniewać się jeszcze bardziej, wściekły, że musi być cicho, podczas gdy bliźnięta mogą rozmawiać.

Nie pierwszy raz w ciągu kilku ostatnich dni Jacen uświadamiał sobie, że zaczyna doceniać wysiłek, jaki muszą wkładać rodzice w wychowywanie dzieci.

W ciągu tego okresu bliźnięta zostały zmuszone do tego, żeby szybko dorosnąć i spoważnieć. Pospieszna ucieczka z Korelii wprawiła je w przerażenie, a lot na Dralię kojarzył się im przede wszystkim z panicznym strachem, niepewnością, nudą i tandetną komedią. Paniczny strach ogarnął je na samym początku, kiedy „Sokoła” zaatakowały koreliańskie kieszonkowe patrolowce, które uszkodziły frachtowiec, zanim Chewbacca przemienił je w płomieniste kule. Niepewność wiązała się z oczekiwaniem, czy prowizoryczne naprawy, jakich dokonał Wookie, okażą się skuteczne na tyle długo, żeby „Sokół Millennium” zdołał dolecieć na Dralię – czy jakkolwiek inną zamieszkaną planetę systemu – mimo iż Chewbacca przesyłał do jednostki napędowej minimalne ilości energii, na jakie gotów byłby się odważyć. Słowo „nuda” chyba najlepiej oddawało długie, bardzo długie, ciągnące się chyba bez końca dni, kiedy pokonywali odległość dzielącą ich od Dralii. A jeżeli chodziło o tandetną komedię... no cóż, główni aktorzy grali ją

niemal odruchowo. Wystarczyło posłuchać, co mówili Chewbacca, Qiunine i Ebrihim, kiedy przebywali w tym samym pomieszczeniu.

Sytuacji nie poprawiał także fakt, że w pośpiechu i zamieszaniu, gdy wszyscy opuszczali Korelię, nikt nie pomyślał o zabraniu osobistych rzeczy. Dzieci miały więc dokładnie dwa komplety ubrań: te, które nosiły, kiedy doszło do wybuchu powstania, i drugie, sporządzone domowym sposobem z tego, co rodzice zostawili na pokładzie. Qiunine wykazał się niezwykłą pomysłowością i skrócił zbyt długie i obszerne ubrania, tak aby mogły z nich korzystać dzieci. Niestety, o tych drugich strojach nie dałoby się powiedzieć, że są szyte na miarę, a Ebrihim uprzykrzał dzieciom życie nalegając, żeby wszystko zostało starannie wyprane, zanim będzie ponownie włożone. Ponieważ starszawy Dral w ogóle nie miał na sobie żadnego przydzwiewku, dzieci uważały jego polecenie za głęboko niesprawiedliwe. Tym bardziej że jeżeli zważyć na fakt, iż miały na zmianę tylko jedno ubranie, pranie zajmowało im większość wolnego czasu.

Pozostawał jeszcze Anakin.

Jacen i Jaina nie tylko musieli zajmować się sobą i swoimi rzeczami, ale mieli obowiązek pilnować Anakina. Bliźnięta bardzo szybko doszły do przekonania, że powstrzymywanie młodszego braciszka przed wpadaniem w tarapaty jest o wiele mniej zabawne – i o wiele trudniejsze – niż namawianie go, żeby w nie wpadał.

Niestety, opanowanie umiejętności prania własnych ubrań i opiekowanie się Anakinem nie były jedynymi odpowiedzialnymi zajęciami, jakie nieoczekiwanie spadły na ich barki. Bliźnięta musiały borykać się także z innymi, o wiele poważniejszymi problemami.

Jednym z nich było znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy nadal mają zachowywać to, co wiedzą, w najściślejszej tajemnicy. Jeszcze zanim na Korelii doszło do wybuchu buntu, wszyscy troje zwiedzali miejsce tajemniczych wykopalisk. To właśnie wtedy, kiedy przebywali głęboko pod powierzchnią gruntu, Anakin jakoś wyczuł istnienie ukrytego, prastarego gigantycznego urządzenia, którego przeznaczenia nikt nie potrafił odgadnąć. Korzystając z tego, że dorośli zajmowali się czymś innym, zaprowadził tam Jacena, Jainę i Qiunina. Później dzieci opowiedziały o wszystkim rodzicom, Ebrihimowi i Chewbacce, ale okazało się, że nawet dorośli nie mają najmniejszego pojęcia, kto, kiedy ani w jakim celu mógł ukryć tajemnicze przedmioty. Wszyscy wiedzieli na pewno tylko jedno: że gigantycznych urządzeń poszukuje Liga Istot Ludzkich. Nikt wszakże nie wiedział, po co. Jacen uważał za oczywiste, że coś powinno się zrobić z tym, co odkrył Anakin, ale nie potrafiłby powiedzieć, co mianowicie. Zaczynał uświadamiać sobie, że dorośli muszą na co dzień radzić sobie w podobnych niejasnych i kłopotliwych sytuacjach.

Co gorsza, to jeszcze nie było wszystko, co przydarzyło się im, kiedy przebywali na Korelii. Późnym wieczorem, na kilka godzin przed przypuszczeniem szturmu na Koronę – oficjalną rezydencję generalnego gubernatora Micamberlecta – dzieciom udało się podsłuchać pewną rozmowę. Brali w niej udział rodzice, gubernator i tajemnicza kobieta, Mara Jade. To właśnie wtedy wszyscy troje dowiedzieli się o czymś, co miało pozostawać najściślej strzeżoną tajemnicą: usłyszały, że ktoś zamierza wywoływać eksplozje słońc, mimo iż krążą wokół nich skolonizowane światy. Ani osoba, która rzuciła tę pogroźkę, ani dorośli nie chcieli, aby owa przerażająca

wiadomość przedostała się do publicznej wiadomości. Dzieci nie powinny były tego usłyszeć, ale jednak usłyszały. Jacen miał niemal absolutną pewność, że ani Ebrihim, ani Qiunine, ani nawet Chewbacca nie mieli najmniejszego pojęcia, na co się zanoszą.

Fakt ten oznaczał także, że pociechy Hana i Leii były jedynymi inteligentnymi istotami – oczywiście, jeżeli nie liczyć złoczyńców – które odleciały z Korelii, znając straszliwą prawdę.

Jacen zupełnie nie wiedział, jak powinien zachować się w takiej sytuacji.

Ebrihim spoglądał przez iluminator na powierzchnię Dralii. W pewnej chwili zerknął na mapę, żeby porównać ją z tym, co pokazywała, a potem, wyraźnie zadowolony i uspokojony, kiwnął głową.

– Jesteśmy mniej więcej w prawidłowym miejscu – oznajmił, zwracając się do Wookiego. – Możesz zacząć podchodzić do lądowania.

Zdezorientowany Chewbacca zaryczał, okazując niezadowolenie, ale pociągnął za dźwignię i zaczął obniżać lot frachtowca.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, jakim cudem lecimy, orientując się jedynie dzięki programowi zliczającemu – odezwał się Chininę. – Jak może tak duży statek dysponować tylko tak prymitywnym systemem nawigacji?

Chewbacca odwrócił się i spojrzał przez ramię na robota. Obnażył kły i groźnie warknął.

– Jeżeli szukasz dziury w całym, Qiunine, obarcz całą winą mnie i moją ciotkę Marchę – odrzekł Ebrihim. – Ja nie zadałem sobie trudu zapamiętania współrzędnych jej wiejskiej posiadłości, kiedy ostatnio

ją odwiedzałem, a ona nigdy nie zainstalowała w ogródku nadajnika sygnału namiarowego.

Na to automat nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

„Sokół Millenium” obniżał lot tak samo jak wówczas, kiedy poprzednio osiągał orbitę parkingową– ukradkiem, ostrożnie i powoli. Chewie pilotował wysłużony frachtowiec najciszej jak potrafił. Starał się wykonywać większość manewrów nad nie zamieszkanymi okolicami, gdzie ryzyko, iż ktoś mógłby zauważyć statek, było niewielkie.

Frachtowiec wniknął w warstwy atmosfery nad tą częścią powierzchni Dralii, która była pogrążona w mrokach nocy. Później Chewbacca wyrównał lot i leciał dalej, starając się zachowywać absolutną ciszę. Ebrihim nie zachwycał się faktem, iż lądowanie miało mieć miejsce w środku nocy. Domyślał się, że miałyby trudności z odnalezieniem rezydencji ciotki Marchy nawet w dzień; nie potrafił jednak przewidzieć, z jakim przyjęciem mógłby się spotkać, gdyby ktoś zauważył nisko lecący statek.

Pamiętał, że w początkowym okresie walk, jeszcze kiedy przebywał na Korelii, słyszał meldunki, z których wynikało, że i na Dralii wybuchły zamieszki. Niestety, wkrótce po tym, gdy przeciwnicy przypuścili atak na Koronę, włączyli potężne urządzenia zagłuszające, w wyniku czego wszelka łączność stała się niemożliwa. A zatem Ebrihim nie miał skąd dowiedzieć się, jak w tej chwili wygląda sytuacja na rodzinnym świecie. Nie wierzył, żeby sprawy mogły zajść za daleko. Dralowie uważani byli za istoty zbyt łagodne i wrażliwe, żeby mogły dać ponieść się hysterii, jaka ogarnęła chyba większość mieszkańców Korelii. Mimo to nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować.

Tymczasem Chewbacca nie przestawał obniżać lotu „Sokoła”, chociaż za iluminatorami panowały niemal nieprzeniknione ciemności. Kiedy w końcu poderwał dziób frachtowca i wyrównał lot, łagodnie przechylił statek na burtę i zmienił kurs. Znalazł się nad miejscem, które Ebrihim zaznaczył na mapie jako orientacyjny punkt, usytuowany niedaleko posiadłości ciotki.

– Dobrze, bardzo dobrze – odezwał się starszawy Dral, pokazując łańcuchy niewielkich pagórków. – Muszę przyznać, że nie byłem pewien, czy naprawdę odnajdziemy to miejsce, ale teraz jesteśmy prawie u celu. Bardzo często latałem tędy własnym śmigaczem. O, tam! – wykrzyknął, pokazując coś w dole. – Leć teraz nad tą rzeką. Posiadłość ciotki Marchy znajduje się na zachodnim brzegu.

Chewie skręcił na północ, po czym jeszcze bardziej obniżył lot, tak że teraz szybował nad koronami drzew. Kiedy zaś znalazł się nad samą rzeką, opadł jeszcze niżej. Leciał teraz na wysokości dziesięciu albo piętnastu metrów nad powierzchnią wody.

– Wielkie nieba! – krzyknął przerażony Ebrihim. Zapewne nie uświadamiał sobie, że jego głos zabrzmiał zenująco piskliwie. – Rozumiem, że musimy lecieć jak najniżej, żeby nikt nas nie zauważył, ale czy rzeczywiście musisz lecieć aż tak nisko?

Wszystko wskazywało jednak na to, że Chewbacca ma dosyć istot lękliwego serca. Roześmiał się i jeszcze odrobinę obniżył lot frachtowca.

Ebrihim zaczął zdradzać pierwsze oznaki zdenerwowania. Mimo to musiał przyznać, że szybując tak nisko nad granatowoczną powierzchnią wody, czuje dziwne uniesienie. Porastające oba brzegi wielkie drzewa uciekały do tyłu tak szybko, że ich kształty stały się zamazane. Kiedy „Sokół” przelatywał obok nich, z gniazd podrywały

się do lotu całe stada spłoszonych białoskrzydłych ptaków. Ebrihim potrzebował całej siły woli, żeby oderwać spojrzenie od tych widoków i skierować je na północ, przed dziób statku, gdzie w każdej chwili mogła pojawić się rezydencja ciotki.

Chociaż od wielu lat nie odwiedzał swojego świata, widok rodzinnych stron i lot w ciemnościach nad powierzchnią wody obudziły w jego sercu wiele wspomnień. Ebrihim przypomniał sobie, że jeszcze kiedy był małym brzdącem, bardzo lubił się bawić nad rzeką, pływać w niej i hasać po wspaniałych trawnikach posiadłości ciotki. To były spokojne, wspaniałe chwile. Teraz jednak dosłownie wszystko – jego rodzinny świat, cała galaktyka – uległy zmianom. I to wcale nie na lepsze.

Zaraz, zaraz. Chwileczkę. Pośrodku rzeki ujrzał nagle niewielką wyspę. Tak. Tak. To tu.

– Poderwij trochę dziób statku, przyjacielu Chewbacca – powiedział. – Ta wyspa jest odrobinę większa niż wygląda na pierwszy rzut oka. I nie leć aż tak szybko. Trochę zwolnij. Zbliżamy się do celu. Jesteśmy naprawdę blisko. Bliżej niż ci się wydaje.

Chewbacca uniósł frachtowiec mniej więcej na wysokość stu metrów, po czym zwolnił, a później nawet zawisł w powietrzu, tak że „Sokół” prawie się nie posuwał.

– Tam! – Ebrihim pokazał rząd drzew, rosnących na lewym brzegu rzeki. – Widzisz tę małą przystań z zacumowaną białą łódką? To własność mojej ciotki. Zmień kurs i oddal się od rzeki. Najlepiej będzie, jeżeli polecisz wzdłuż tego szpaleru drzew.

Chewbacca obrócił statek wokół osi i przyspieszył, a potem obniżył lot tak, aby lecieć dokładnie nad drzewami. Po chwili, kiedy

przed dziobem frachtowca ukazał się duży biały dom, zawisnął w powietrzu niczym mroczny duch... niczym zjawą z innego świata.

Dom miał kształt dużej półkuli, wysokiej mniej więcej na dwadzieścia metrów. Z dwóch stron dobudowano długie skrzydła. Idealnie biała czasza półkuli stanowiła uderzający kontrast z czarnymi, spadzistymi dachami bocznych konstrukcji. Skrzydła miały po dwa piętra, a długość posiadłości – mierzona od końca jednego skrzydła do końca drugiego – wynosiła co najmniej sto metrów. Chociaż na zewnętrznych ścianach nie dało się zauważyć żadnych płaskorzeźb ani ozdób, rezydencja nie wydawała się odpychająca. Nawet mimo panujących ciemności można było przekonać się, że sprawia wrażenie przytulnej, zupełnie jakby zapraszała gości do środka. Otaczające ją ogrody i sady wyglądały zachwycająco, a zasadzone winorośle porastały niemal całą wolną powierzchnię ścian skrzydeł i kopuły. Krótko mówiąc, domostwo było miejscem, które członkowie licznej rodziny Ebrihima mogli odwiedzać wszyscy naraz – i niewątpliwie bardzo często to robili.

– Tak, to posiadłość mojej ciotki – odezwał się podniecony Dral. – Ale...

– Ale co? – przerwał mu zniecierpliwiony Qiunine.

– Coś tu jest nie tak, jak powinno – dokończył Ebrihim. – Ciemności zapadły dopiero przed godziną. O tej porze dom bywał zwykle rześście oświetlony, a w środku bawiło się wielu gości. We wszystkich oknach jest jednak ciemno.

Qiunine wysunął manipulator informatyczny i umieścił końcówkę w gnieździe pokładowego systemu zbierania danych.

– Nie widzę w tym nic niezwykłego – oznajmił po chwili. – Nie wykrywam obecności ochronnego pola ani włączonych silnych

systemów obronnych. Nikt nie wysyła ani nie odbiera żadnych sygnałów. Badanie za pomocą podczerwieni ujawniło, że w środku przebywają tylko dwie istoty. W garażu za domem zaparkowano cztery pojazdy, ale zasobniki energetyczne trzech z nich są bliskie wyczerpania. Nie wiem, czy pozwoli to na wyciągnięcie jakichś wniosków...

– Właśnie skończyłeś podawać informacje, które same w sobie stanowią coś niezwykłego – przerwał mu Ebrihim. – O tej porze w rezydencji powinno przebywać co najmniej czworo albo pięcioro Dralów. Nawet jeżeli w tej chwili nie ma w środku ciotki Marchy, powinni tam być jej służący. A służący nigdy by nie dopuścili, żeby zasobniki energetyczne pojazdów uległy wyczerpaniu.

Chewbacca pozwolił sobie na głuchy, gardłowy pomruk.

– Nie wiem, co powinniśmy zrobić – odparł Ebrihim. – Daj mi trochę czasu, żebym mógł zebrać myśli.

Wszyscy pasażerowie „Sokoła” byli – z praktycznego punktu widzenia – uciekinierami. Szukali kogoś, kto mógłby im pomóc. Kogoś, kto zechciałby ich ukryć. Kto też mógł przebywać w wielkim domu? Czy jedną z istot, które wykrył Qiunine, mogła być ciotka Marcha? A może opuściła rezydencję? W takim razie, kim mogli być dwaj intruzi? A jeżeli jedną z osób była jednak Marcha? Co się mogło wydarzyć, skoro miała do pomocy tylko jednego służącego? Czyżby się ukrywała? Dlaczego kazała wyłączyć wszystkie światła? Czy groziło jej jakieś niebezpieczeństwo? A może wpadła w tarapaty? Czy przylatując do niej, nie pogorszą jej sytuacji? Dokąd jeszcze mogli jednak polecieć? Z drugiej strony, jeżeli coś albo ktoś zagraża jej życiu, może właśnie Ebrihim, Qiunine i Chewbacca będą mogli przyjść jej na ratunek? Bardzo zwrotny, zmodyfikowany

koreliański frachtowiec, który dysponował silnymi polami ochronnymi, turbolaserami, czujnikami i całą resztą, mógłby się jej bardzo przydać w trudnej sytuacji. W końcu pasażerowie „Sokoła” także mogli pochwalić się wieloma umiejętnościami.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że Ebrihim natychmiast się zdecydował.

– Ląduj – powiedział, zwracając się do Wookiego. – Postaraj się posadzić frachtowiec pod drzewami, tak by nikt nie zauważył go z powietrza.

Nawet gdyby Ebrihim nie znał mowy Wookiech, pełne oburzenia spojrzenie, jakim zmierzył go Chewbacca, powiedziałoby mu, że groźne wycie i warczenie oznacza: „Nie ucz mnie, co mam robić”.

„Sokół Millennium” obniżył lot i skierował się w stronę jednego ze skrzydeł domu. Przeleciał nad trawnikiem i opadł jeszcze niżej, a potem zanurkował pod drzewa. Kiedy skrył się pod baldachimem liści, Chewbacca nakazał mu, żeby zawisnął nieruchomo, a potem powoli, lekko osadził statek na murawie.

Ebrihim odetchnął z ulgą. Uświadomił sobie, że dopiero teraz poczuł się bezpieczny i odprężony.

– Qiunine, na miłość przestworzy, odepnij pasy ochronnej sieci i uwolnij mnie z tego przeklętego fotela!

Mały robot wyłączył zasilanie elektromagnesów i oderwał się od płyty pokładu, a potem potoczył do fotela pierwszego pilota. Wyciągnął parę chwytaków i bardzo szybko uporał się z zapięciami. Ebrihim zeskoczył z fotela i przeciągnął się – zadowolony, że nareszcie odzyskał swobodę ruchów.

Qiunine wcisnął przycisk umieszczony na ścianie obok drzwi sterowni. Kiedy skrzydła się rozsunały, wszyscy wyszli – albo

wyjechali – na korytarz. Ebrihim udał się do kabiny, gdzie leżały dzieci. Stał przed drzwiami i zapukał.

– Jaino, Jacenie, Anakinie! – zawołał. – Wylądowaliśmy! Jesteśmy bezpieczni. Możecie wstać z łóżek i wyjść z kabiny.

Usiłował usunąć się na bok najszybciej jak umiał, ale i tak omal nie został stratowany, ponieważ w następnej sekundzie pociechy Leii i Hana przepychając się, wybiegły z pomieszczenia.

Kiedy się w końcu pozbierał, zauważył, że Chewbacca i Qiunine są gotowi otworzyć klapę śluzy i opuścić rampę.

– Zaczekajcie chwilę! – zawołał i pospiesznie ruszył do nich. – Będzie lepiej, jeżeli zejdem na ląd pierwszy. I to sam.

Wszyscy pozostali zaczęli zgodnym chórem protestować, ale Ebrihim stanowczo pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Zejdem sam. Gospodyni mnie zna, a was nie. Możliwe, że przebywa w domu i widziała, jak lądujemy. Zapewne jest bardziej niż trochę zaniepokojona i zdenerwowana. Gdyby ujrzała, że po rampie schodzi ktoś, kogo nigdy w życiu nie widziała, sprawy mogłyby przybrać niekorzystny obrót.

– No cóż, chyba masz rację – przyznała niechętnie Jaina. – Ale wróć jak najszybciej! Przebywaliśmy stłoczeni w tej kabynie o wiele za długo!

– Wróć tak szybko, jak będę mógł – obiecał guwerner. – Mimo to uważam, przyjacielu Chewbacco, że powinieneś być gotów do natychmiastowego startu. Możliwe, że mojej ciotki nie ma w domu, a wówczas możemy natknąć się na kogoś, kto nie zechce przyjąć nas tak... no, tak życzliwie, jak się spodziewamy.

Chewbacca kiwnął kudłatą głową na znak, że przyznaje mu rację.

– Anakinie, czy nie zechciałbyś przycisnąć guzika, żeby właz się otworzył, a rampa zaczęła opadać?

– Jasne! –odkrzyknął uszczęśliwiony chłopczyk, zachwycony, że ma okazję uruchomić prawdziwe urządzenie. Wcisnął w odpowiedniej kolejności wszystkie cyfry kodu i z dumą obserwował jak wewnętrzna klapa śluzę się otwiera, a pochylnia zaczyna znikać w ciemnościach nocy. Natychmiast do wnętrza frachtowca wpadło świeże powietrze. Napływało przesycone wilgocią, niesione wiatrem znad pobliskiej rzeki.

– Wrócę tak szybko, jak to będzie możliwe – obiecał jeszcze raz Ebrihim.

Starał się, żeby jego głos nie drżał. Nie chciałby okazać, że jest zdenerwowany. Dlaczego miałyby się denerwować? Mimo wszystko, przecież wrócił do domu. Wylądował na terenie posiadłości, należącej do członków najbliższej rodziny. Jeżeli we wszechświecie istniało jakiegokolwiek miejsce, gdzie mógłby się czuć spokojny i bezpieczny, była nim właśnie ta rezydencja.

Zszedł po rampie i ruszył w kierunku domu. Kiedy poczuł pod stopami – pierwszy raz od wielu, bardzo wielu lat – glebę rodzinnego świata, zdziwił się, jaka jest miękka.

Odszedł od frachtowca na pewną odległość, ale nagle znieruchomiał. Dopiero teraz uświadomił sobie pewną prawdę, doskonale znaną wszystkim międzygwiazdowym podróżnikom. Ci, którzy mu o tym mówili, uważali to za coś oczywistego. Prawda sprowadzała się do stwierdzenia, że wszędzie jest dobrze, ale najlepiej w domu. Nikt nie czuł się nigdzie taki wolny i spokojny jak na rodzinnej planecie, gdzie ciśnienie powietrza, skład atmosfery, siła ciężenia i wszystko inne było dokładnie takie samo jak

wówczas, gdy był dzieckiem. Ebrihim czuł uniesienie, ponieważ jego ciało znów podlegało trochę mniejszej sile ciężenia Dralii. Zachwycał się, że może znów oddychać świeżym, chłodnym powietrzem. Stał bez ruchu, napawając się dobrze znanym brzęczeniem owadów, pohukiwaniami nocnych ptaków i innymi znajomymi odgłosami, jakie napływały z oddali. Wszystkie one kołysły jego nerwy... przypominały o chwilach, które dawno przeminęły. Nawet powietrze sprawiało wrażenie przesyconego jakimś aromatem; mieszaniną dawno nie wyczuwanych...

TRACH!

W ciemnościach rozległ się donośny trzask i w grunt tuż przed jego stopami wbiła się oślepiająca blasterowa błyskawica.

Ebrihim natychmiast zanurkował w bok, przetoczył się i znieruchomiał. Leżał, kryjąc twarz między rabatkami ogromnych, błękitnych, śmiesznie wyglądających kwiatów. To właśnie one syciły powietrze słodkim, odurzającym aromatem. Dral zrozumiał, że wylądował w ulubionym ogródku ciotki Marchy.

– Jest tam kto? – usłyszał dobrze znany głos. – Czyżbym kogoś trafiła?

Jego ciotka. Co mogło się wydarzyć, skoro musiała strzec domu, nie wypuszczając z dłoni tak ciężkiej broni?

– Nie strzelaj! – odkrzyknął w odpowiedzi. – Nie strzelaj. To ja, twój siostrzeniec Ebrihim.

– Ebrihim? – powtórzyła zdumiona Marcha. – Co, u diabła, tam robisz? Może przyleciałeś tym pirackim statkiem, który wylądował cicho jak duch pod moimi drzewami?

– To nie są piraci! – zawołał Ebrihim. – To przyjaciele! Przylecieliśmy, bo szukamy kogoś, kto mógłby nam pomóc.

– W takim razie dlaczego wylądowaliście w nocy, jak złodzieje? – nie dawała za wygraną ciotka.

Podeszła na tyle blisko, że gubernator mógł ją ujrzeć pomimo panujących ciemności. Wyglądała odrobinę starszej i szczuplej niż wówczas, kiedy widział ją ostatnio, ale sprawiała wrażenie osoby równie zadziornej jak kiedyś. Ciężki blaster, którego ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni, jeszcze bardziej podkreślał jej wojownicze nastawienie.

– To naprawdę ty, Ebrihimie – powiedziała lekko zirytowanym tonem, jakby oczekiwała, że mógłby przemienić się w kogoś innego. – Wstawaj! Kiedy leżysz, wyglądasz po prostu śmiesznie.

– Tak jest, ciociu – odrzekł Ebrihim. Posłusznie wstał i otrzepał sierść z grudek gleby.

– A teraz powiedz mi całą prawdę – rozkazała Marcha. – Tylko nie próbuj mnie oszukiwać. Dlaczego twój pilot leciał tak cicho? Dlaczego wylądował pod drzewami, jeżeli nie macie niczego do ukrycia?

– Nie ukrywaliśmy się przed tobą, ciociu – wyjaśnił Ebrihim. – Obawialiśmy się, że może nas zauważyć ktoś, kto nie należy do rodziny. A pilot wylądował pod drzewami, ponieważ nie chciał, żeby jego frachtowiec zauważył ktoś, kto przelatywałby nad twoją posiadłością.

– Hmm... Chyba rozumiem – odezwała się ciotka Marcha. Przewiesiła karabin blasterowy przez ramię i pochyliła się, aby obejrzeć jeden z błękitnych kwiatów, który Ebrihim zmiażdżył, kiedy padał między grządki. Później wyprostowała się i zbadła miejsce pod kadłubem „Sokoła Millennium”, gdzie w miękkim gruncie zagłębiły się łapy ładownicze.

– Następnym razem – powiedziała tonem chyba jeszcze bardziej zirytowanym niż poprzednio – powiedz swojemu przyjacielowi pilotowi, żeby lądował gdzieś obok, a nie pośród moich rabatek nannarii.

ROZDZIAŁ

5.

JAK ZA DAWNYCH CZASÓW

Han oprzytomniał, kiedy ktoś chlusnął mu w twarz kubłem zimnej wody. Parskając i krztusząc się, usiadł na pryczy.

– Obudź się – usłyszał nieznośnie znajomy głos. – Przedstawienie skończone.

Ostrożnie otworzył oczy i przekonał się, że przecucie go nie omyliło. Znajdował się w tej samej celi, której oświetlenie, choć nie zaliczało się do najsilniejszych, raziło teraz w oczy. Han uświadamiał sobie, że bolą go wszystkie mięśnie poobijanego ciała. Jego przeciwniczka, Selonianka Drackmus, naprawdę nie oszczędzała go podczas walki.

– Daj spokój – odezwał się samozwańczy Dyktator. – Ocknij się wreszcie. Kazałem medykom, żeby cię zbadali. Powiedzieli mi, że przeżyjesz. Podobno jesteś zbyt uparty, żeby cię łatwo zabić.

– Upór był zawsze cechą raczej twojego charakteru, Thrackanie – odrzekł Solo. Zauważył, że jego głos przypomina charczenie. Otworzył odrobinę szerzej oczy i obserwował, jak kuzyn, zanosząc się od śmiechu, przysuwa taboret i siada obok pryczy.

– Zawsze ten sam Han, którego tak dobrze znałem – powiedział. – Miło mi słyszeć, że nie straciłeś pogody ducha ani animuszu.

Thrackan siedział przy samej pryczy. Zdumiewająco blisko. Han nagle uzmysłowił sobie, że w oddechu krewniaka wyczuwa woń alkoholu. Dopiero teraz zauważył, że kuzyn trzyma butelkę czegoś, co wyglądało na vasariańską brandy. A więc Thrackan był przynajmniej trochę pijany.

– Czego chcesz ode mnie tym razem? – zapytał, nie wiedząc, o co może chodzić. – Dostarczyłem ci dość rozrywek.

– Nie denerwuj mnie, Hanie – ostrzegł Korelianin. – Jeżeli chodzi o ciebie, moja cierpliwość jest bliska wyczerpania.

– A zatem czemu zawdzięczam twoją wizytę? – powiedział Solo. Nie potrafił do końca opanować irytacji. – Czyżby ten dzień tak ci się dłużył, że postanowiłeś odwiedzić mnie, aby zabić chociaż trochę czasu? A może doszedłeś do wniosku, że najwyższa pora powyrywać mi paznokcie?

– Nie podsuwaj mi nowych pomysłów – odrzekł Thrackan. – Nie potrzebuję ich. I tak nie mogę zliczyć własnych. Mam dla ciebie pewną niespodziankę, ale zanim ci ją pokażę, musisz uzbroić się w cierpliwość. Najpierw chciałbym z tobą porozmawiać.

Han usiłował się roześmiać, ale z jego gardła wydobył się tylko skrzek.

– Ta–a, jeżeli chodzi o to, mamy duże zaległości – odezwał się po chwili. – Co właściwie cię tu sprowadza? – Zakładam, że nie chodzi ci tylko o to, aby opróżnić tę butelkę tak, żeby nikt nie widział – dodał w duchu. Domyślał się, że kuzyn może odczuwać coś w rodzaju wyrzutów sumienia z powodu tego, co mu zrobił. Możliwe, że postanowił odwiedzić go w celi, żeby zmusić do oświadczenia, iż Solo nie ma mu tego za złe. Zapewne nie byłoby to najrozsądniejsze, ale znając kuzyna, Han wcale by się nie zdziwił.

– Chciałem cię tylko zobaczyć – powiedział, a raczej wymamrotał Korelianin. – A poza tym, muszę ci coś powiedzieć, zanim sprawię ci tę niespodziankę. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– W porządku – odrzekł Solo. – Co takiego chcesz mi powiedzieć? Thrackan ciężko westchnął.

– Przyszedłem, bo potrzebuję twojej pomocy – zaczął. – Gdybym jej nie potrzebował, skazałbym cię na śmierć za szkody, jakie wyrządziłeś w kosmoporcie.

– I uważasz, że wydając polecenie tej Seloniance, aby zrobiła ze mnie miazgę, nakłoniłeś mnie do tego, bym ci pomógł?

– Musiałem to zrobić – odparł beztrąsko kuzyn. – Prawdziwe igrzyska dla spragnionych rozrywki oficerów. Jak dotąd, jesteś najznakomitszym więźniem, którego pochwyliłem... a sam wiesz, jakie znaczenie przywiązują mieszkańcy tej przeklętej planety do rodzinnych więzów. Słyszałeś historię o mężczyźnie, który postanowił sprzeniewierzyć się wszystkim regułom i zlekceważyć obowiązki, byle tylko zatroszczyć się o członków rodziny, prawda? Moi oficerowie musieli upewnić się, że mam za nic takie śmieszne głupstwa.

– Cieszę się, że pomogłem ci pokazać się z jak najlepszej strony – mruknął Han. Doskonale pamiętał, że w owej historii chodziło w rzeczywistości o coś innego. Wynikał z niej morał, że powinno się dbać o interes rodziny, ale nie za wszelką cenę. Wyglądało na to, że członkowie Ligi Istot Ludzkich nie zwracają uwagi na takie drobiazgi. – Tylko dlaczego miałbym ci pomagać?

Thrackan spojrzał mu prosto w oczy.

– Istnieją co najmniej dwa powody – zaczął. – Po pierwsze, zamierzam powiedzieć wszystkim, że odtąd będziesz przebywał

dokładnie tam, gdzie ja. Dzięki temu staniesz się czymś w rodzaju mojej polisy ubezpieczeniowej. To miejsce jest dobrze ukryte, ale w przeszłości znajdowano już nie takie kryjówki. Ma bardzo grube ściany, ale jeżeli ktoś zapragnie rzucić odpowiednio potężną bombę i uczyni to wystarczająco celnie, potrafi zniszczyć każdą twierdzę.

Han pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Jeżeli ktoś okaże się na tyle zdecydowany, że spróbuje dokonać zamachu na twoje życie, bardzo wątpię, żeby zmartwił się tym, iż przy okazji uśmierci niejakiego Hana Solo.

– Jesteś odważny, ale nie masz racji – odparł Thrackan. – Bez względu na to, czy do kontrataku ośmieli się przejść generalny gubernator Micamberlecto – co wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne – czy do walki przyłączy się Nowa Republika, nikt nie przypuści szturm, jeżeli mógłby przez to narazić twoje życie. Naprawdę uważasz, że gubernator generalny albo twoja małżonka rozkazaliby zbombardować obiekt, gdzie cię przetrzymuję? A może wydaje ci się, że taką próbę podjęłaby flota Nowej Republiki, skoro jej okrętami dowodzą twoi dobrzy znajomi? Nigdy! – oświadczył z mocą, jakby zamierzał uciąć dalszą rozmowę na ten temat. – Może zaryzykują i wyślą oddział komandosów, żeby cię uwolnili, ale przypominam ci, że wszyscy liczymy się z taką ewentualnością.

Wymówił ostatnie słowo z niejakim trudem i zmarszczył brwi, kiedy sobie to uświadomił.

W tym, co powiedział, było oczywiście sporo prawdy. Han uznał, że najwyższy czas zmienić temat rozmowy.

– A jaki jest drugi powód, dla którego mnie odwiedziłeś? – zapytał po chwili. Liczył na to, że kuzyn nie zwróci uwagi na fakt, iż jego rozmówca skierował rozmowę na inne tory.

Korelianin pociągnął jeszcze jeden łyk trunku z butelki, a później wykonał zamaszty gest drugą, wolną ręką.

– Na razie opowiadam światu sama kłamstwa – przyznał. – To wszystko stanowi zresztą część planu. Nadejdzie jednak pora, kiedy będę musiał odkryć karty... albo przynajmniej podjąć próbę ujawnienia prawdy. Liczę na to, że zostaniesz wtedy moim wysłannikiem. Ludzie – a przynajmniej ci, na których mi zależy – uwierzą, kiedy ty to powiesz.

– Kłamstwo i prawdę o czym? – zapytał Solo.

Tym razem Thrackan lekko się uśmiechnął.

– O, nie – powiedział. – Nic z tego. Mowy nie ma. Nie. Nie zamierzam ryzykować. Może i tak powiedziałem ci za dużo? – Umilkł na chwilę i ponownie spojrzał Hanowi prosto w oczy. Położył dłoń na jego kolanie, a potem zacisnął palce. Han poczuł, że przez całe posiniaczone ciało przenika nowa fala bólu. Wyglądało jednak na to, że Thrackan niczego nie zauważył. – Wiesz, chociaż nie znoszę o tym mówić, ale naprawdę cieszę się, że cię znów widzę. Możliwe, że w tej chwili uważasz mnie za wroga. Możliwe, że masz mi za złe, iż trzymam cię w tej celi. Przypuszczam jednak, że nie zapomniłeś o rodzinnych więzach. Ta myśl sprawia, że czuję się jak za dawnych czasów.

– Ja też – mruknął Han. Co prawda dawno minione chwile, jakie zdarzyło mu się spędzić w towarzystwie Thrackana, nie należały do najprzyjemniejszych, ale po walce z Drackmus musiał sobie o nich przypomnieć. Z drugiej strony, kuzyn sprawiał wrażenie, że chciałby porozmawiać, a Han z pewnością wolałby go nie zniechęcać. – Wygląda jednak na to, że i teraz mamy sporo zmartwień.

– A rzeczywiście, mamy – przyznał mężczyzna. – Zwłaszcza ja. Jeżeli chodzi o ciebie, nie musisz się o nic martwić. W najbliższym czasie i tak niewiele będziesz robił, ponieważ nigdzie się stąd nie ruszysz.

– Znając ciebie, chyba właśnie czegoś takiego się spodziewałem.

Thrackan uczynił wysiłek, żeby nadać twarzy wyraz przebiegłości, a potem pogroził Hanowi palcem.

– W takim razie, skoro to wiesz – zaczął – czy mogę liczyć na odrobinę współpracy z twojej strony? Kiedy nadejdzie właściwa chwila, zostaniesz uwolniony. Poprosimy cię wtedy o przekazanie pewnej informacji... rzecz jasna, o ile wcześniej nie sprawisz nam tylu kłopotów, że dalsze przetrzymywanie cię w celi przestanie się opłacać.

– Posłuchaj, kuzynie – odparł Solo. – Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, ale uważam się za kogoś w rodzaju jeńca wojennego. A powinieneś wiedzieć, że jedynym zadaniem jeńców jest przysparzanie kłopotów tym, którzy ich pochwycili.

– Obawiałem się, że zechcesz spojrzeć na wszystko z takiej strony – burknął Korelianin. – A zatem nie mam co liczyć na to, że zechcesz dać mi słowo – jak uczyniła to wcześniej Drackmus – iż nie będziesz starał się stąd uciec?

– Przykro mi – odrzekł Han. – Mowy nie ma.

– Nawet gdybyś mi to obiecał, i tak chyba nie mógłbym zaufać ci bez zastrzeżeń, tak jak ufam tej Seloniance – mruknął Thrackan. Jego więzień zdumiał się, kiedy uświadomił sobie, ile w owym stwierdzeniu kryło się beztroskiej arogancji. W jednej chwili jego krewniak mięknął jak wosk, wspominając dawno minione chwile, a w następnej pozwalał sobie na pogardliwe znieważanie Hana... rym

gorsze, że niczym nie usprawiedliwione. – Wiesz, omal nie pochwyciliśmy twoich dzieciaków – ciągnął po chwili. – Nasi obserwatorzy zauważyli, że twój wspólnik Wookie zabiera je na pokład statku i odlatuje, żeby uciec. Posłaliśmy za nimi eskadrę kieszonkowych patrolowców, ale nadaremnie. Wielka szkoda. Gdybyśmy je pochwycili, moglibyśmy wywierać jeszcze większy nacisk na twoją żonę.

Han popatrzył na kuzyna i zdumiał się jeszcze bardziej – chociaż sądził, że to niemożliwe. Ktoś, kto potrafił knuć tak podłe plany, musiał być rzeczywiście zepsuty do szpiku kości. Widział tak dużo, ale naprawdę nie różnił się niczym od ślepca.

– Jak możesz tak postępować, Thrackanie? – zapytał. – Jak możesz sprzeniewierzać się odwiecznej tradycji swojego ludu? Czy już zapomniałeś: „Nigdy nie narażaj życia istot, które w niczym ci nie zawiniły. Zawsze chroń członków własnej rodziny”? Czyżby te słowa przestały znajomo brzmieć w twoich uszach?

– Nie kieruję się w życiu zasadami wywodzącymi się ze źłobków albo sierocińców – burknął Thrackan.

– A zatem czym się kierujesz w życiu, kuzynie? – zapytał Han czując, że przestaje panować nad nerwami. – Zgodnie z jakimi zasadami postępujesz?

Korelianin zarechotał i pociągnął jeszcze łyk trunku z butelki.

– I kto o to pyta? – zadrwił. – Pirat, przemytnik i zdrajca własnej rodziny?

– Obrzucano mnie gorszymi wyzwiskami – odparł spokojnie Solo.
– Nie próbuj zmieniać tematu rozmowy. Pytałem, bo naprawdę zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, jak żyłeś i co robiłeś, skoro stałeś się tym, kim jesteś? – Pomyślał, że nie istnieje coś takiego, jak

nadmiar informacji o przeciwniku. Przypuszczał, że jego kuzyn jest rzeczywiście tak ambitny, butny i próżny, za jakiego zawsze go uważał. Gdyby mógł teraz połechtać jego dumę i namówić, żeby ujawnił więcej faktów z życia, może dowiedziałby się czegoś istotnego. Czegoś, co będzie mógł później wykorzystać. – Kiedy odlatywałem z Korelii – ciągnął po chwili – byłeś tylko niewiele znaczącym imperialnym urzędnikiem. Jak doszło do tego, że stałeś się Potężnym i Ważnym Zakonspirowanym Wodzem albo kimkolwiek innym, za kogo cię teraz uważają? Thrackan prychnął pogardliwie.

– Uważają mnie za tego, kim naprawdę jestem – warknął. – Za Dyktatora. To tytuł, który należy mi się z mocy prawa.

– Jakim cudem? – zdziwił się Solo. – Jak na niego zasłużyłeś? Mężczyzna spiorunował spojrzeniem krewniaka, ale później rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

– W bardzo staroświecki sposób – wycedził. – Wykazując się stanowczością. Stanowczością i ambicją.

– Może także uciekłeś się do kilku ciosów nożem w plecy oraz oszustw, żeby dopomóc szczęściu? – zapytał Solo.

– Uważaj, Hanie, jak do mnie mówisz, w przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co mi zrobisz? – wpadł mu w słowo Han, który zaczynał mieć dosyć zabawy w uprzejmości. – Stłuczesz mnie na kwaśne jabłko? Spróbujesz porwać moje dzieci? Wydasz rozkaz wystrzelenia rakiet w dom, gdzie zamieszkam z całą rodziną? Nie mów mi, że mężczyzna zdolny do takich czynów nie musiał uciec się do jednej albo dwóch podstępnych sztuczek, byle tylko wspiąć się na wyżyny władzy.

– I cóż z tego, jeżeli nawet to zrobiłem? – obruszył się Thrackan.
– Nie byłoby w tym nic nowego. Wielu innych przywódców, wspinając się po szczeblach władzy, musiało uciekać się do tego i owego.

– A ty wyciągnąłeś z tego faktu właściwe wnioski. Nie mogłeś postąpić inaczej, skoro wszyscy inni tak postępują.

– Powinienem był pozwolić tej Seloniance, żeby jednak cię uśmierciła – mruknął Korelianin.

– Ta–a. Jaka szkoda, że jestem ci potrzebny – odciął się Solo. –Ale mówiliśmy o tym, jak przebiegała twoja bohaterska wspinaczka na najwyższy szczebel.

– Może jeszcze pozwolę jej, żeby cię zabiła – ciągnął posępnie Thrackan. – A jeżeli chodzi o mnie, nie ma w tym nic niezwykłego. Powiedzmy, że stopniowo piąłem się coraz wyżej. Pełniłem coraz ważniejsze obowiązki, zajmowałem bardziej odpowiedzialne stanowiska. Kiedy twoja śmierdząca Rebelia wygrywała pierwsze bitwy z Imperium, zostałem domniemanym następcą Dyktatora. Dyktatorem był wówczas Dupas Thomree, jego prawowitym następcą Daclif Gallamby, a ja... ja miałem objąć władzę po nim.

– Wielu ludzi zdumiałoby się, gdyby to usłyszało – przyznał Han.
– Pamiętam, oczywiście, kim był Thomree, ale muszę przyznać, że o Gallambym nigdy nie słyszałem. Nigdy też nie wiedziałem, że ty miałeś przejąć po nim ster koreliańskich rządów.

– To prawda, tylko niewielu o tym wiedziało – przyznał Thrackan. Kolejny raz spróbował nadać głosowi oficjalne brzmienie i podobnie jak poprzednio, bez większego powodzenia. – Pamiętaj jednak, że imperialny rząd Korelii słynął z tego, że utrzymywał

prawie wszystko w tajemnicy. Nie uznawaliśmy nad sobą żadnej władzy.

– Zapominasz o swoim bliskim przyjacielu, Imperatorze – zauważył Han. – Musieliście uznawać nad sobą jego władzę.

– Niezupełnie – odrzekł kuzyn. – Imperator wymagał, aby wszędzie panował ład i spokój, a my pilnowaliśmy, żeby nie miał żadnych zastrzeżeń... przynajmniej jeżeli chodziło o Korelię. Możesz być tego pewien. Musieliśmy obiecać, że Imperium nie będzie miało z nami żadnych kłopotów. Prawdę mówiąc, zatroszczylibyśmy się o to nawet wówczas, gdyby tego od nas nie zażądano. Złożyliśmy także przysięgę, że będziemy udzielali bezwarunkowego poparcia, jeżeli chodzi o politykę względem innych światów. W zamian za to Imperator wyraził zgodę, żeby Dyktator Thomree władał całym sektorem, jak mu się podobało. Nie istniały żadne powody, dla których mielibyśmy informować opinię publiczną o tym, kogo mianowaliśmy następcą. Co więcej, opinia publiczna nie знаła nikogo spośród osób obdarzonych największą władzą. Ludzie wiedzieli tylko, kto jest Dyktatorem. Pozostali dostojnicy zdawali sobie sprawę, że w ich interesie leży zachowywanie wszystkiego innego w tajemnicy.

– I co się stało? – zapytał Solo.

– Kiedy wybuchła wojna przeciwko Rebeliantom, Thomree nie przestał wywiązywać się ze swojej części obietnicy. Dostarczał Imperatorowi okręty i żołnierzy. Wkrótce później jednak Thomree... hmm... no cóż, niespodziewanie rozstał się z życiem.

– Założę się, że historia tego rozstania byłaby jedną z najbardziej pasjonujących opowieści – stwierdził Han, mimo iż nie mógł nie

zauważyć wahania w głosie krewniaka. – Możliwe nawet, że krążyło na ten temat wiele różnych historii.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – zastrzegł się Korelianin. – Jednak nie zamierzam cię oszukiwać. Niejeden Dyktator tracił życie w okolicznościach, które trudno byłoby uznać za normalne. Osobiście przypuszczam, że Thomree doszedł do przekonania, iż nie musi obawiać się ataku skrytobójców, ponieważ nie mianował nikogo swoim następcą. To nie byłby zresztą jedyny raz, kiedy ktoś przyjął takie założenie... i kiedy okazało się, że nie miał racji.

– Kto później został Dyktatorem?

– Gallamby. Daclif Gallamby. To on zajął jego stanowisko. Został ostatnim Dyktatorem... tylko nie wiem, czy zasłużył na to, żeby go tak nazywano. W rzeczywistości był tylko figurantem... pociągana za sznurki marionetką.

– Zapewne należałeś do grona tych, którzy za nie pociągali? – domyślił się Han.

– Nie. Staralem się, ale inni mnie w tym ubiegli. Zdołali przejąć kontrolę nad polityką. Zaczęli domagać się wprowadzenia w życie posunięć, które przyniosłyby oszczędności. Postanowili, że zrezygnują z poparcia, jakie udzielał Imperatorowi Thomree w walce przeciwko Rebeliantom. – Thrackan na chwilę umilkł i pokręcił głową. – Czy przypuszczasz, że gdybyśmy wysłali kilka koreliańskich okrętów więcej albo rzucili do walki jeszcze parę tysięcy żołnierzy, zdołalibyśmy przechylić szalę wojny na korzyść Imperium? Nie sądzisz, że może to właśnie Gallamby i jego poplecznicy umożliwili wam odniesienie zwycięstwa w tej wojnie?

Han nie odpowiedział. Nie stanowiło tajemnicy, że Sojusz Rebeliantów wygrał wiele walk, których wynik nie był z góry

przesądzony. Czasami zwycięstwo wisiało wręcz na włosku.

– Nic nie mówisz – ciągnął po chwili Thrackan. – Moim zdaniem, przegraliśmy tę wojnę dlatego, że paru głupców postanowiło zaoszczędzić kilka kredytów.

– W tej wojnie nie chodziło wyłącznie o to, kto ma więcej okrętów albo żołnierzy – odparł Han. – Na naszą korzyść działało także coś innego.

– Zapewne chodzi ci o Skywalkera – domyślił się Korelianin.

– No cóż, to prawda – przyznał Solo. – O Luke'a Skywalkera. A może także o wichry historii.

– Nigdy nie wierzyłem w coś takiego jak przeznaczenie – oświadczył Thrackan. – Zawsze starałem się być panem własnego losu.

– Nie zapominaj, że Sojusz Rebeliantów wygrał, a Imperium upadło – odezwał się Solo. – Wydaje mi się, że na to nie mogłeś nic poradzić.

– Dlaczego z takim uporem starasz się mnie drażnić? – zapytał kuzyn. – Zupełnie jakby sprawiało ci to przyjemność. Już zapomniłeś, że kiedy zechcę, mogę cię kazać torturować albo nawet zabić?

– Przede wszystkim dlatego, że cię nie lubię – odrzekł Han. – Po drugie, pragnąłem usłyszeć tę historię, a ty chciałeś mi ją opowiedzieć. Co wydarzyło się w koreliańskim sektorze, kiedy już pokonaliśmy Imperium?

– Chociaż nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby działać otwarcie – ciągnął Thrackan – aż do samego końca nie przestałem czynić wysiłków, aby Korelia powróciła na drogę poprzedniej polityki.

– A zatem podjąłeś próbę przechwycenia władzy – sprecyzował Solo.

– Oczywiście, że tak, głupcze. Pod rządami Gallamby'ego wszystko, dosłownie wszystko, zaczęło się rozsypywać. Usunięcie go ze stanowiska byłoby dowodem patriotyzmu. Kiedy rozpoczęliście walkę z Drugą Gwiazdą Śmierci, byłem prawie gotów się go pozbyć. Wszystko mieliśmy przygotowane. – Thrackan ponownie przerwał, aby pociągnąć jeszcze jeden łyk trunku, po czym mówił dalej, chociaż spurpurowiał od alkoholu. – Wkrótce potem dowiedzieliśmy się jednak, że Imperator nie żyje, a także o klęsce, jaką poniosło Imperium podczas bitwy o Endor. To wystarczyło, żeby obce szumowiny i ich sympatycy podnieśli głowy.

– Obce szumowiny? – zdziwił się Han. – Kogo właściwie masz namyśli?

– Dobrze wiesz, kogo. Obce istoty, które mieszkają tu, na Korelii.

– Czyli Selonian i Dralów?

– Oczywiście!

– Dlaczego uważasz ich za szumowiny? Przecież mieszkają tu od wielu tysięcy lat.

– Nie są ludźmi. A zatem to obcy, szumowiny. – Wyglądało na to, że przynajmniej Thrackanowi żadne inne uzasadnienie nie jest potrzebne. – Wszyscy doszli do przekonania, że skoro Imperator nie żyje, nie może być mowy o żadnym Imperium. Nie uwierzysz, ale kiedy rozniosła się wieść o śmierci Palpatine'a, na ulicach zaczęto wiwatować.

– Nie mów – odezwał się Han. – Coś niesamowitego!

Zaczynał coś rozumieć. Gdzieś, chyba na samym dnie duszy, Thrackan nie mógł uwierzyć, żeby Han, członek jego rodziny, nie

potrafił odróżnić prawdy od fałszu. Jedynym wyjaśnieniem, z jakim pogodziłby się Korelianin, mogło zatem być to, że jego kuzyn nigdy nie poznał całej prawdy. Thrackan spodziewał się, że kiedy wszystko mu opowie, Han zrozumie, co właściwie się wydarzyło, a wówczas przejrzy na oczy i przestanie się zdumiewać. Możliwe, że nawet zacznie myśleć tak jak on. Han doszedł do wniosku, że nic nie straci, jeżeli uda, iż zgadza się z takim punktem widzenia.

– Chyba nawet nieprzyjaciele Palpatine'a płakali – ciągnął – kiedy nadeszła wiadomość o śmierci dzielnego przeciwnika.

Rzecz jasna, było to bezczelne kłamstwo. Kiedy ludzie się dowiedzieli o śmierci Imperatora, wylegli na ulice i zaczęli tańczyć. Han uznał jednak, że wyjawianie kuzynowi tej prawdy po prostu nie ma sensu.

– Dziękuję, Hanie, że mi to powiedziałaś. Tutaj wszyscy świętowali. Nawet żołnierze i gwiazdni marynarze. Dezerterowali całymi oddziałami. Jeżeli chodzi o Korelię, nikt Imperium nie pokonał. Imperium po prostu samo się rozpadło. – Thrackan wyprostował się na taborecie i widać było, że próbuje zebrać myśli. – Osoby, które nie cieszą się autorytetem, nie powinny sprawować żadnej władzy – podjął po chwili uroczystym tonem. – A tutejsza władza straciła cały szacunek swoich obywateli.

– Ludzie przestali się ciebie bać, o to chodzi? – zapytał Solo.

– Życie w nieustannym strachu jest czynnikiem doskonale umacniającym każdą organizację – przyznał samozwańczy Dyktator. – Ochłonięcie ze strachu nie było wszakże jedynym powodem, dla którego władza chwiała się i chyliła ku upadkowi. Chodziło o to, że my zaczęliśmy czuć strach przed nimi. Pierwszy nie wytrzymał Gallamby. Później przyszła kolej na tych, którzy nim kierowali. Po

prostu zniknęli, zabierając połowę kredytów z rządowego skarbca. A to był dopiero początek. Inni zachowywali się jak łupieżcy. Rzucali się niczym sępy i zabierali wszystko, co tylko zdołali unieść. A jeszcze później ludzie dobrali się do archiwów. Zaczęli aresztować członków rządu i zwykłych urzędników. Zamierzali postawić ich przed sądem za przestępstwa, jakich tamci rzekomo się dopuścili, sprawując władzę. Czyste szaleństwo. Jak cokolwiek, co uczyniło się, służąc Imperium, może być poczytane za przestępstwo?

– Pojęcia nie mam – odrzekł Han. – Mówisz więc, że Imperium po prostu się rozpadło? A co ty wtedy zrobiłeś? Jakim cudem stałeś się tym, kim jesteś?

– Zacząłem kombinować. Układać rozmaite plany. Zastanawiać się nad tym, co może wydarzyć się w odległej przyszłości. Szukać w pewnych miejscach przyjaciół, a w innych – wyświadczać uprzejmości. Starąłem się odnaleźć ludzi, którzy wzbogacili się w czasach rządów Imperium i teraz nie mieliby nic przeciwko temu, żeby wróciły dawne, dobre czasy.

– A więc taki postawiłeś sobie cel w życiu? – zapytał Solo. – Przywrócenie rządów Imperium? Zapomnij o tym, kuzynie. Imperium od dawna nie istnieje. Jak powiedziałaś, samo się rozpadło. Nie odrodzi się i nie wróci.

– Wiem o tym – przyznał Korelianin. – Nie jestem zachwycony, ale nie mogę na to nic poradzić. Zrozumiałem tę prawdę, kiedy rozniosła się wieść o śmierci Palpatine'a i Dartha Vadera. Wierzę jednak, że potrafilibyśmy przywrócić to, co zamierzał wprowadzić Imperator... Nowy Ład, system sprawowania władzy. Może nie wszędzie, ale z pewnością tu, w sektorze Korelii. Tyle że bez Imperatora, tak aby Dyktator mógł sprawować absolutną władzę.

Władca sektora nie będzie zależał od nikogo, kto chciałby rozkazywać mu, co ma robić. Stanie się niezależny. Nie–za–leż–ny. Będziemy liczyli się tylko my, a obce istoty zmusimy, żeby wróciły na swoje miejsca.

– Myślałem, że chcecie wyrzucić je z Korelii – zdziwił się Han. – Słyszałem, czego domagaliście się w tamtym ultimatum. Zażądaliście, aby Nowa Republika przetransportowała wszystkie obce istoty na inne światy. W przeciwnym razie miało dojść do eksplozji następnej gwiazdy.

Thrackan zaniósł się chrapliwym śmiechem.

– Ta–a. Założę się, że to słyszałeś – odparł, kiedy przestał rechotać. – Słyszeli chyba wszyscy przebywający wówczas na Korelii. To jedno z kłamstw, o których ci wspominałem. Mowy nie ma. Niemożliwe. Ale dzięki tej groźbie wpadliście w przerażenie.

– Co jest niemożliwe? – zapytał Han, może zbyt szybko i zbyt gorliwie. – Przetransportowanie tylu istot czy wywołanie eksplozji kolejnej gwiazdy? Czy naprawdę to wy odpowiadacie za wybuch pierwszej?

Thrackan znów zarechotał.

– O, nie – powiedział. – Nie mogę tego ci powiedzieć. To przestałoby być niespodzianką. – Urwał i zmarszczył brwi. – Właśnie o czymś sobie przypomniałem – ciągnął po chwili, a twarz wykrzywiła mu się wyjątkowo paskudnym grymasem. – Coś, o czym chciałem ci powiedzieć. To jeszcze jedna niespodzianka, a zarazem powód, dla którego cię odwiedziłem. Prawdziwa duchowa uczta dla kogoś, kto jak ty kocha obce istoty.

– Co... co masz na myśli? – wyjąkał Solo.

Miał wrażenie, że jakaś lodowata obręcz ściska jego serce. Niespodzianki Thrackana bardzo rzadko bywały przyjemne.

– Zaczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę.

Korelianin wstał chwiejnie z taboretu i podszedł do drzwi celi. Uderzył trzykrotnie pięścią w metalową płytę, a drzwi się otworzyły. Zanim Thrackan wyszedł, odwrócił się do Hana.

– Za sekundę wracam – obiecał, po czym wyszedł na korytarz.

Han wstał, ale natychmiast poczuł, że z różnych punktów ciała napływają nowe fale bólu. Nie spodziewał się, żeby zwykłe wstawanie mogło sprawiać tyle dolegliwości. O ile mógł się zorientować, walka z Drackmus nie zakończyła się złamaniem żadnej kości, ale i tak sporo czasu upłynie, zanim będzie mógł się uważać za całkiem zdrowego.

Drackmus...

I nagle Han uświadomił sobie, że chyba wie, na czym ma polegać następna niespodzianka kuzyna.

Po kilku minutach na korytarzu pojawił się Thrackan w towarzystwie uzbrojonego żołnierza. Żołnierz pozostał jednak na zewnątrz celi. Stał pod przeciwległą ścianą, odbezpieczył blaster i skierował lufę w głąb korytarza.

Po chwili do celi weszła Selonianka Drackmus, a tuż za nią następny żołnierz z Masterem gotowym do strzału.

Thrackan spojrzał najpierw na Hana, później na obcą istotę, a w końcu znów przeniósł spojrzenie na więźnia. Cały czas szeroko się uśmiechał.

– Hanie – powiedział. – Kochany kuzynie. Drogi, kochający obce istoty zdrajco rodziny. Zdrajco Imperium. Zdrajco Imperatora.

Zdrajco ludzkiej rasy. Chyba najwyższy czas, żebyś przywitał się z nową osobą, z którą będziesz odtąd dzielił tę celę.

Zmęczeni pasażerowie zeszli po opuszczonej rampie „Sokoła Millenium”. Starając się nie rozdeptać żadnych więcej nannarii, skierowali się w stronę wielkiego domu. Przewiesiwszy przez ramię pas z ciężkim blasterem, pierwsza kroczyła ciotka Ebrihima, Marcha. Poprowadziła wszystkich do środkowej części rezydencji, po czym wspięła się po kilku niewysokich schodkach i przystanąła przed wielkimi, wiodącymi do środka drzwiami. Odwróciła się do siostrzeńca i spojrzała na niego, jakby czegoś się po nim spodziewała.

Ebrihim natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Odwrócił się do pozostałych.

– Nasza tradycja wymaga, aby każdy gość, odwiedzający pierwszy raz dom gospodarza – powiedział – poddał się nieskomplikowanej ceremonii, w trakcie której zostanie przedstawiony. Jeżeli nie ma nikogo, kto znałby i gościa, i gospodarza, osoba składająca wizytę może przedstawić się sama. Jeżeli jednak więcej osób zna obie zainteresowane strony, ceremonii przedstawienia jednych drugim dokonuje osoba najmłodsza. W tym przypadku ja.

– Jesteś jedyną osobą – zauważył Jacen.

– Jedyną, to znaczy najmłodszą – odparł Ebrihim. – A właśnie to jest najważniejsze. Dzięki temu oddajemy cześć wszystkim starszym.

– Rozumiesz coś z tego, Anakinie? – zapytał scenicznym szeptem starszy chłopiec.

– Bądź cicho, Jacenie – syknęła Jaina.

– Nasze zwyczaje wymagają także – ciągnął surowo ich guwerner – żeby wszystkie starsze osoby zachowywały się tak, aby zasłużyć na szacunek.

– Przepraszam – bąknął zawstydzony Jacen.

– A zatem możemy zaczynać ceremonię. Chewbacca. Jaina Solo. Jacenie Solo. Anakinie Solo. Pozwólcie, że przedstawię wam księżną Marchę z Mastigophoru. Jeżeli łaskawie zechce uczynić nam ten zaszczyt, to zgodzi się przyjąć nas pod dach swojego domu. Proszę, zechciejcie okazać jej szacunek.

– Nigdy nie powiedziałeś nam, że twoja ciotka jest księżną – odezwał się oskarżycielskim tonem Jacen.

– Nigdy mnie o to nie pytaliście – odparł rzeczowo Ebrihim.

Jaina dygnęła i jakimś cudem uczyniła to jak prawdziwa dama dworu – chociaż była ubrana w wygnieciony, zbyt obszerny płaszcz, skrojony z jakiegoś kombinezonu.

– Cieszę się, że mogę panią poznać, Wasza Miłość.

Chewbacca zgiął się w głębokim ukłonie i uczynił to ze zdumiewającym wdziękiem. Ebrihim zwrócił się do Jacena i Anakina. Czekał w milczeniu kilka chwil, aż Jaina szturchnęła brata bliźniaka pod żebro.

– Hmmm? Ach, tak.

Jacen skłonił się niezgrabnie. Wyglądało to, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Chwilę później wyprostował się i popatrzył na brata. Anakin zrozumiał, o co chodzi, ale zamiast ukłonić się jak Jacen, dygnął jak siostra.

– Może być – mruknął do siebie Ebrihim, po czym odwrócił się do ciotki. – Wasza Miłość, pozwól, że przedstawię ci nowych gości. To

jest Wookie Chewbacca, a to istoty ludzkie: Jaina Solo, Jacen Solo i Anakin Solo. Wszyscy z planety Coruscant.

– Widzę, że znów się mnie ignoruje – wymamrotał Qiunine.

Jak wymagały dobre obyczaje, księżna nie zwróciła na robota najmniejszej uwagi.

– Jestem zachwycona, że mogę was poznać – powiedziała uroczystym tonem. – To zaszczyt móc gościć was pod swoim dachem. Proszę, zechciejcie czuć się u mnie jak u siebie w domu...

– W granicach rozsądku – wtrącił się Ebrihim, rzucając ostrzegawcze spojrzenie trójce dzieci.

– .. I przyjmijcie wszystko, czym będę mogła was ugościć – dokończyła księżna, nawet nie mrugnawszy powieką.

– Dziękujemy – odparły niezgodnym chórem wszystkie dzieci.

– A zatem zapraszam was do środka – odezwała się ciotka Marcha. Zamaszystym gestem pokazała drzwi, które same się otworzyły.

Odeszła na bok, by przepuścić gości. Pierwsze przekroczyły próg dzieci, po nich Chewbacca, a później Cuunine. Ebrihim i Marcha uczynili to ostatni. Przystanęli, pragnąc dać czas Chewbacce i dzieciakom na podziwianie wnętrza środkowej części rezydencji.

Ebrihim pamiętał, jakie odniósł wrażenie, kiedy pierwszy raz znalazł się w tym pomieszczeniu. Nikt nie mógł wejść do środka, żeby nie przystanąć z zachwytem. To miejsce tchnęło dziwnym spokojem, jakby kryło w sobie jakąś tajemnicę. Pozbawione jakichkolwiek ozdób, idealnie białe ściany przechodziły stopniowo w sklepienie, jakby same zachęcały do unoszenia głów i upewniania się, że rzeczywiście łączą się w górze. Po obu bokach, dokładnie naprzeciwko siebie, widniały obrzeżone kolumnami drzwi do

bocznych części rezydencji. Kunsztownie zdobione, stanowiły dziwny kontrast z gładkimi ścianami półkuli. Jedne wyrzeźbiono z najczystszej białego marmuru, a drugie – z czarnego jak węgiel ebonitu. Ościeżnice i kolumny upięszono rzeźbami potworów, latających smoków, uskrzydlnych węży i innych dziwacznych stworzeń, jakie można znaleźć chyba tylko w baśniach.

Pomiędzy fantazyjnie ozdobionymi drzwiami znajdował się dziedziniec, zastawiony ogromnymi donicami pełnymi najróżniejszych kwiatów. Pośrodku widniała fontanna z tryskającą wodą. Otoczona skomplikowanym labiryntem, zachęcała wszystkich, żeby spróbowali swoich sił i puścili się poprowadzoną między żywopłotowym szpalerem wąską ścieżką. Pod samą kopułą krążyło, radośnie szczebiocząc i świergocząc, co najmniej kilkanaście okazów draliańskich i koreliańskich różnobarwnych ptaków.

Dzieci stały z szeroko otwartymi oczami, podziwiając wnętrza półkuli i zachwycając się nieznanymi widokami. Po kilku chwilach rozbiegły się we wszystkie strony. Zapewne pragnęły dokładniej zapoznać się z niezwykłym wnętrzem. Ebrihim zauważył, że Anakin biegnie prosto w stronę wlotu labiryntu. Zastanawiał się, czy malec pobije rekord szybkości odnalezienia właściwej drogi do fontanny, czy też może przypadnie w labiryncie na zawsze.

– Musimy oszczędzać energię gdzie indziej, żeby wystarczyło do utrzymania tego wszystkiego w należywym stanie – oznajmiła ciotka Marcha. Zwracała się do Ebrihima i Chewbacci, ale nie przestawała obserwować podnieconych dzieci. – Przysięgam sobie, na wszystkie niebiosa, że nie dopuszczę, aby moim roślinom i stworzeniom stało się coś złego.

Zaczęła oprowadzać gości po ogrodzie. Ebrihim kroczył u jej boku, za nim stąpał Chewbacca, a Qiunine toczył się kilka metrów zanim.

– Cieszę się, że cię znów widzę, ciociu Marcho – odezwał się siostrzeniec. – Musisz jednak zrozumieć, że przylecieliśmy prosto z Korelii, gdzie uniemożliwiono rozpowszechnianie wszelkich informacji. Co sprawiło, że zostałam zmuszona do oszczędzania energii?

– Nie co, tylko kto. Bandyci. Terroryci. Draliści – odparła porywczo księżna. – Możesz nazywać ich, jak na to zasługują, albo jak sami siebie nazywają. To zresztą i tak nie ma znaczenia. To oni uszkodzili kable energetyczne i to oni zniszczyli miejscowy rezerwowy generator, zapewniający dopływ prądu w przypadku awarii zasilania. Korzystamy z tego, co wycisną z siebie domowe awaryjne agregaty, ale one od czasu do czasu odmawiają posłuszeństwa. Odesłałam do domów prawie wszystkich służących... nie tylko dlatego, by oszczędzić jeszcze trochę energii, ale przede wszystkim z uwagi na ich bezpieczeństwo. Został ze mną tylko Driggs. Opiekował się tym domem jeszcze zanim się urodziłam. Powiada, że nie ma innego, który mógłby nazwać własnym.

– Ciociu, proszę, powiedz mi – wtrącił się Ebrihim. – Kim są ci Draliści?

Księżna Marcha odwróciła głowę i obrzuciła siostrzeńca poważnym spojrzeniem.

– Jeżeli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, to bardzo dobrze zrobiłeś, że tu przyleciałeś – zaczęła. – Draliści to Dralowie, którzy twierdzą, że na Dralii nie powinien mieszkać nikt inny. Dralia dla Dralów! Precz z obcymi istotami! Żadnych Selonian. Żadnych ludzi.

Wszyscy z ogonami precz z tej planety! Wszyscy nie porośnięci sierścią wynocha z naszego świata!

– O, nie – mruknął Ebrihim. – Chyba ta zaraza nie rozpleniła się także na Dralii?

– Owszem, rozpleniła się, drogi siostrzeńcze – odparła ciotka. – Owszem, szerzy się jak zaraza. – Przystanąła, żeby przenieść spojrzenie z Ebrihima na Chewbaccę. – Ale zrobiło się późno, a wy przylecieliście z tak daleka – ciągnęła po chwili. – O ile się nie mylę, niemało czasu zajmie wam zapędzenie tych ludzkich szczeniąt do łóżek. Porozmawiamy następnego dnia, kiedy się obudzicie.

Chewbacca jeszcze raz zgiął się w ukłonie. Cicho zaskomlał i warknął, po czym wyciągnął kosmatą rękę w kierunku, gdzie pod drzewami drzemał gwiazdny statek.

– Co mówi twój przyjaciel, Ebrihimie? – zapytała księżna. –Jakoś nigdy nie nauczyłam się mowy Wookiech.

– Proponuje, że może dostarczyć energię bezpośrednio z pokładu „Sokoła Millenium”, ciociu. Może też rzucić okiem na twoje domowe agregaty. Musisz wiedzieć, że kiedy tu lecieliśmy, nasz frachtowiec został lekko uszkodzony. Nic poważnego, ale musimy trochę popracować przy jednostce napędu nadświatlnego. Powinniśmy również dokonać kilku sprawdzeń i regulacji.

– Dziękuję za tę propozycję i z chęcią przyjmuję każdą pomoc, jakiej zechcecie mi udzielić – oznajmiła ciotka Marcha, spoglądając na Chewbaccę. – Możecie oczywiście naprawiać tu swój statek, ale obawiam się, że nie będziecie mieli pożytku z jednostki napędu nadświatlnego. Nic nie wiecie o polu interdyscyjnym? Z powodu zagłuszenia nie funkcjonują komunikatory, ale trochę wiemy, co się

dzieje, ponieważ informacje rozchodzą się dzięki sieciom światłowodów.

Ebrihim popatrzył na ciotkę, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

– Jakim polu interdyscyplinarnym? – zapytał. – Jak wspominałem, przylecieliśmy z Korelii. Ostatnią odebraną wiadomością było to, co oświadczył Thrackan Sal-Solo. Zagroził, że jeżeli Nowa Republika nie wyrzuci z Korelii wszystkich istot nie będących ludźmi, dokona eksplozji jakiejś gwiazdy.

– Co takiego? – W głosie ciotki zabrzmiało przerażenie. – O czym ty, na miłość przestworzy, mówisz?

– Oświadczył, że jeżeli żądanie Ligi Istot Ludzkich nie zostanie spełnione, rozerwie na strzępy następne słońce.

– W wiadomościach rozpowszechnianych tu, na Dralii, nie było na ten temat najmniejszej wzmianki – oznajmiła księżna. – Gdyby coś o tym mówiono, w ciągu godziny usłyszeliby wszyscy na planecie. Gdzie dowiedziałeś się o czymś tak niezwykłym?

– Dowiedzieliśmy się, kiedy stamtąd odlatywaliśmy – odrzekł Ebrihim. – Wiadomość nadawano chyba we wszystkich możliwych pasmach częstotliwości. Została zarejestrowana automatycznie przez aparaturę pokładową „Sokoła”. Chewie i ja dowiedzieliśmy się o tym podczas przesłuchiwania nagrania. Postanowiliśmy nie zdradzać tego dzieciakom. Doszliśmy do wniosku, że nie powinniśmy ich niepokoić. Domyślam się, że na Dralii nic o tym nie mówiono?

– Absolutnie nic. Ani słowa.

– Jaki sens miałyby rzucanie takiej groźby tylko na jednej planecie? – zaniepokoił się Ebrihim.

– Należałoby zacząć od tego – odrzekła Marcha – dlaczego w ogóle ktoś miałby grozić, że unicestwi gwiazdę?

– Bardzo dobre pytanie – zauważył siostrzeniec. – Ktoś jednak rzucił taką groźbę. Co więcej, ten sam ktoś twierdzi, że posunął się jeszcze dalej. Utrzymuje, że to on dokonał eksplozji jakiejś gwiazdy. Na miłość niebios, ciciu, nie mów o tym dzieciakom. A poza tym nie powiedziałaś mi jeszcze, co to za historia z tym polem interdyscyplinarnym.

– Jakim cudem możesz o tym nie... Aha, oczywiście – zreflektowała się księżna. – Ponieważ wasza jednostka napędu nadświetlnego nie funkcjonowała, wskazania przyrządów nie mogły wam powiedzieć, że i tak nie przeniknęlibyście do nadprzestrzeni.

– Co to za interdyscyplinarne pole? – zapytał jeszcze raz Ebrihim.

– Wygląda na to – zauważyła ciotka Marcha – że następnego dnia nie zabraknie nam tematów do rozmowy.

ROZDZIAŁ

6.

SPOTKANIA I KŁAMSTWA

Gaeriela Captison poprawiła płaszcz i zsunęła kaptur na plecy, odsłaniając kaskady jasnobrązowych włosów, które otaczały jej głowę niczym aureola. Kobieta pomyślała, że może czerwony płaszcz był zbyt formalnym strojem na powitanie gości z Coruscant. Bez względu na to, z czym przylatywali, byli jedynie roboczym zespołem, a nie oficjalną delegacją. Mimo to Gaeriela chciała wywrzeć na nich jak najlepsze wrażenie.

Westchnęła i zaczęła niespokojnie spacerować po komnacie. Głupota. Absolutna głupota. Dlaczego miałyby się oszukiwać? Ani trochę nie dbała o to, jakie wrażenie wywrze na członkach przylatującej delegacji. Miała dość polityki – a przynajmniej związanych z nią formalności – i wcale się tym nie martwiła. Chociaż zawsze cieszyła się, kiedy mogła zrobić coś pożytecznego, w końcu straciła cierpliwość do stwarzania pozorów, udawania i martwienia się o to, jakie wywrze wrażenie.

Pozostawał jeszcze Luke Skywalker. Był jednym z członków delegacji i to na nim chciała wywrzeć jak najlepsze wrażenie. To jemu chciała pokazać się z jak najlepszej strony. Dlaczego miałyby

kryć to przed sobą? Podejrzewała, że jest próżna, nierozsądna i niemądra, ale zawsze postępowała, jak dyktowało jej serce.

W tej samej sekundzie usłyszała kurant domowego zwiastuna i zrozumiała, że nie musi dłużej przejmować się takimi sprawami. Przylecieli goście z Coruscant.

Mogła była posłać służącego, by wprowadził ich do apartamentu. Członkowie delegacji nalegali jednak, że pragną zachować tajemnicę, więc Gaeriela oświadczyła służącym, że mają wolny dzień. Podeszła do drzwi. Przystanęła na chwilę, by poprawić włosy, a potem przycisnęła guzik panelu kontrolnego.

Skrzydła drzwi bezszelestnie ukryły się we wnękach w ścianach.

Na progu stał Luke Skywalker. Przyszedł sam. Był ubrany w kombinezon pilota gwiazdowego myśliwca – wprawdzie czysty i nienagannie wyprasowany, ale pozbawiony wszelkich naszywek i odznaczeń. Miał przypięty do pasa miecz świetlny w miejscu, gdzie powinna wisieć kabura ze standardowym służbowym Masterem. Nie nosił nakrycia głowy, a jego włosy były ostrzyżone krócej niż wtedy, kiedy Gaeriela go ostatnio widziała. Zapewne odkąd stał się mężczyzną, Luke pobłazał sobie mniej niż wówczas, gdy był młodzieńcem. Wyglądał jak człowiek nie tyle starszy, ile z pewnością bardziej dojrzały. Kobieta domyśliła się jednak, że starannie kontrolowane emocje i stanowczość – utrzymywane na wodzy przez żelazną samodyscyplinę – wcale się nie zmieniły. Poznała to od pierwszej chwili, kiedy spojrzała w jego oczy.

– Mistrzu Skywalkerze – powiedziała – witam cię w moim domu. Jesteś zawsze mile widzianym gościem. Widzę jednak, że przyszedłeś sam.

Luke zarumienił się i lekko skinął głową.

– Pozostali członkowie mojej grupy pojawią się za kilka minut, lady Captison – odparł cicho. – Pomyślałem, że będzie najlepiej, jeżeli powitam cię sam, bez żadnych świadków, po to, żebyśmy mogli... żebyśmy mogli...

– Żebyśmy mogli odegrać tę dziwną scenę, którą właśnie odgrywamy, bez obawy, że inni będą jej świadkami – dokończyła kobieta. – Oczywiście. To bardzo przezornie z twojej strony, mistrzu Skywalkerze.

Jej gość, sztywno wyprostowany, stał cały czas przed drzwiami apartamentu.

– Uczyniłabyś... uczyniłabyś mi przyjemność i zaszczyt, gdybyś zechciała zwracać się do mnie po imieniu – odezwał się w końcu.

– Z miłą chęcią, Luke'u. Cieszę się, że to słyszę. Ty i ja nie powinniśmy odnosić się do siebie jak dwoje nieznajomych.

– Dziękuję ci... Gaerielo. – Luke wyciągnął szyję, jakby chciał zapuścić żurawia do środka pomieszczenia. – Czy nie moglibyśmy...

– Ależ tak, oczywiście – zreflektowała się gospodyni. – Gdzie moje dobre maniery? Proszę cię, proszę, wejdź dalej.

Cofnęła się i gestem zachęciła mistrza Jedi.

– Chodźmy tędy, do ogrodu – powiedziała. – Tam będziemy mogli porozmawiać.

Powiodła gościa przez przestronne i jasno oświetlone pomieszczenia na wewnętrzny dziedziniec. Jego część zajmował piękny ogród, ozdobiony różnobarwnymi kwiatami, które chłonąc blask słońca, przydawały piękna chyba całej Bakurze. W samym rogu ogrodu, w najciemniejszym zakątku dziedzińca, spoczywała niewielka nagrobkowa płyta. Wyglądała na nową, co sprawiało dziwne wrażenie, jakby płyta nie pasowała do reszty ogrodu.

Przypominała roślinę, która jeszcze nie zdążyła głęboko zapuścić korzeni. Prochy męża kobiety spoczywały pod zwykłą kamienną płytą. Gaeriela usiadła na ławce, tak by mogła spoglądać na grób męża, a potem przeniosła spojrzenie z twarzy Luke'a na nagrobkową płytę. O czym też mogła myśleć, zapraszając gościa na pierwszą rozmowę w takie miejsce? Czy spodziewała się, że zmarły małżonek będzie pełnił obowiązki świadka rozmowy? Czyżby czuła ukłucie... czego? Wyrzutów sumienia? Zakłopotania? Wstydu? Niepewności? Bez względu na to, co odczuwała, jej zachowanie nie miało sensu.

Zapewne sama doszła do przekonania, że to śmieszne. Postanowiła jednak, że nie będzie o tym myślała. Gestem zaprosiła mistrza Jedi, żeby zajął miejsce obok niej, na ławce. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna pokazać mu nagrobkowej płyty i wyjaśnić, co oznacza, ale zrezygnowała. Jakiż miałoby to sens –poza tym, że jej gość poczułby się jeszcze bardziej zakłopotany i skrępowany niż w tej chwili?

Luke usiadł, ale Gaeriela natychmiast zauważyła, że zachował nieco większą odległość niż wymagałyby tego względy przyzwoitości. Kiedy przemówiła, uświadomiła sobie, że jej słowa brzmią dziwnie sztucznie, jakby zmuszała się, żeby okazywać pogodę ducha.

– A zatem, Luke'u – zaczęła – co sprowadza cię na Bakurę?

Luke spuścił głowę i wpatrywał się we własne stopy. Dopiero po chwili przeniósł spojrzenie na twarz kobiety.

– Teraźniejszość – powiedział. – Nie przeszłość.

– Ach – odrzekła jego rozmówczyni. – Rozumiem.

– Kiedyś znaczyłeś dla mnie bardzo dużo, Gaerielo – ciągnął mistrz Jedi. – Nadal znaczysz bardzo dużo. W ciągu tych wielu lat

nie raz, nie dwa chciałem się z tobą skontaktować. Myślałem o tym, żeby wysłać wiadomość albo po prostu cię odwiedzić...

– I co ci przeszkodziło? – przerwała mu kobieta. – Dlaczego nie zrealizowałeś swoich planów?

A dlaczego ty nigdy go nie odwiedziłaś? – zadała sobie pytanie. Poczła się bardzo dziwnie. Ona także niejednokrotnie w ciągu tych lat myślała o tym, że mogłaby się z nim zobaczyć. Ani razu jednak nie przyszło jej do głowy, żeby do niego polecieć.

– Ponieważ nigdy nie mógłbym zająć miejsca w twoim życiu... w normalnym znaczeniu tego słowa – odparł Luke. – Wiesz przecież, że mógłbym zostać wezwany w każdej chwili nie wiadomo dokąd, żeby załatwić jakąś ważną sprawę. Nie mogłem, ponieważ uniemożliwiłoby to twoją karierę polityczną i obowiązki, jakie miałabyś względem swojego ludu. Obawiałem się, że tylko zrujnuję ci życie, skoro później znów musiałbym z niego zniknąć. Czy uważasz, że któreś z nas zasługiwało na taki los?

– Nie – przyznała Gaeriela. – Nawet nie wiesz, co przeżywałam ten pierwszy raz, kiedy pożegnałam się z tobą i patrzyłam, jak odlatujesz. Nie, Luke'u. Myślę, że masz rację. Chyba nie potrafiłabym tego znieść, gdybym miała przyglądać się, jak przylatujesz... tylko po to, żeby ponownie pożegnać się i odlecieć, znów przylecieć i odlecieć, i tak bez końca. Chyba bym tego nie wytrzymała.

– Ale... ale najważniejsze, że czas nie stoi w miejscu – odezwał się Skywalker. – Pamiętam, co do ciebie czułem, ale to nie to samo, co czuć to cały czas, bez zmian. Zawładnęłaś jakąś częścią mojego serca, ale teraz ta częśćka jest inna niż kiedyś... spokojniejsza, cichsza, jakby pogodzona z rzeczywistością.

Gaeriela spojrzała na nagrobek męża i jeszcze raz się uśmiechnęła, tym razem z większym smutkiem.

– Jeżeli cię to pocieszy, Luke'u – powiedziała – ja także pogodziłam się z tym, że cię straciłam.

– To prawda – przyznał mistrz Jedi. – Wyszłaś za męża, urodziłaś dziecko i...

– I przeżyłam śmierć męża – dokończyła kobieta. – A teraz znów rozmawiamy jak za dawnych czasów. Powiedziałeś jednak, że sprowadza cię do mnie teraźniejszość, a nie przeszłość, prawda?

– Tak – odrzekł Luke i głęboko odetchnął. – Chciałbym cię prosić o pomoc. Kiedy przybędą pozostali członkowie delegacji, opowiemy ci o wszystkim bardziej szczegółowo. A zresztą o pewnych sprawach dowiedziałem się stosunkowo niedawno... od agentki Wywiadu Nowej Republiki, niejakiej Kalendy, która także z nami przyleciała. Prawdopodobnie właśnie ona dysponuje najświeższymi informacjami. Teraz opowiem ci o tym w skrócie. Cały problem w tym, że Nowa Republika przeżywa poważny kryzys. Wygląda na to, że w sektorze Korelii doszło do wybuchu buntu albo powstania. Rebelianci twierdzą, że mogą dokonywać eksplozji gwiazd – kiedy i których zechcą. Istnieje prawdopodobieństwo, że mówią prawdę. Co gorsza, zamierzają wywoływać eksplozje słońc okrążanych przez zamieszkane światy. Wyraźnie tego nie powiedzieli, ale zasugerowali, że to uczynią, jeżeli podejmiemy próbę pokrzyżowania ich zamiarów. Przetrzykują w charakterze zakładników moją siostrę, a także jej męża i dzieci, a ja chciałbym ich uwolnić.

– W jaki sposób moglibyśmy wam pomóc? – zapytała jego rozmówczyni.

– Układając plany, przywódcy rebelii wybrali chyba najważniejszy moment – odparł mistrz Jedi. – Wznieci bunt w chwili, kiedy niemal wszystkie okręty Nowej Republiki wykonują zadania w odległych sektorach galaktyki albo znajdują się w stoczniach, gdzie przechodzą modernizacje czy naprawy. Nie dysponujemy zatem jednostkami, które moglibyśmy wysłać do sektora Korelii. Chcielibyśmy prosić, żebyś pożyczyła nam kilka swoich.

Zdumiona Gaeriela spojrzała na Luke'a, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – rzekła w końcu. – Muszę przyznać, że w ciągu tych wszystkich lat wiele razy wyobrażałam sobie, jak to będzie, kiedy się znów spotkamy. Nigdy jednak nie przypuszczałam, że przylecisz do mnie i poprosisz o pożyczenie gwiazdnych okrętów.

– Wiem, że to nie najbardziej romantyczny sposób odnawiania starej znajomości – odezwał się Skywalker.

– To prawda – przyznała kobieta. – Ma jednak pewną zaletę. Z pewnością jest oryginalny.

Umilkła i zaczęła się zastanawiać. Jeżeli goście z Coruscant przybyli, aby prosić o pomoc bakurańską Marynarkę, będą musieli porozmawiać z Ossilegiem. On zaś z pewnością zechce, żeby w rozmowach uczestniczyło grono taktyków. Oznaczało to, że będzie musiała opowiedzieć o wszystkim także nowemu premierowi. Premier zaś nie wyrazi zgody, jeżeli w rozmowach nie weźmie udziału jakiś członek jego gabinetu...

Jeszcze nie skończyła o tym myśleć, kiedy ponownie rozległ się kurant domowego zwiastuna. Zamrugła i przyszła do siebie –

zdumiona, jak szybko zaczęła obmyślać wszystkie praktyczne kroki, niezbędne do spełnienia niezwyklej prośby. Doskonale znała wszystkie tajniki sprawowania władzy. Dźwięczny kurant rozległ się jeszcze raz.

– To z pewnością moi przyjaciele – odezwał się mistrz Jedi.

– Proszę, wpuść ich – powiedziała Gaeriela, wstając z ławy. – Teraz, kiedy usłyszałam, o co chodzi, wiem, z kim muszę porozmawiać. Daj mi pół godziny, żebym mogła zwołać zebranie wszystkich, którzy mogą podjąć decyzję w waszej sprawie.

Han Solo siedział na pryczy i nie przestawał wpatrywać się w Seloniankę Drackmus, a Selonianka Drackmus siedziała na drugiej pryczy i nie przestawała wpatrywać się w niego. Oboje spędzili tak, nie odzywając się jedno do drugiego, co najmniej połowę nocy. Han nie miał pojęcia, co robić. Czy powinien uważać istotę za sprzymierzeńca, czy też wroga? Nie wiedział, czy Selonianka pragnie się z nim zaprzyjaźnić, czy może czeka, aż zaśnie – skracając sobie czas rozmyślaniami, która część jego ciała okaże się najsmaczniejsza.

– Wybacz moja pytanie się w basicu – odezwała się Drackmus tak niespodziewanie, że zdumiony Han aż podskoczył. – Mój basie ja nie używała od lat i dlatego nie jest dobry. Ja używać, wtedy mój basie się polepszać. Musieć używać. Musieć zapytać. Nie mogę pytać w moja języka, bo na Selonia nie ma odpowiednie słowa. A zatem, w basicu. Ten mężczyzna, Thrackan Sal-Solo, czy on jest twój kuzyn? Tak nazywacie taka osoba?

Możliwe, że to nie był najbardziej pomysłowy sposób szukania okazji do konfrontacji, ale zważywszy na okoliczności, Han gotów byłby wykorzystać wszystkie szanse, byle tylko do niej nie dopuścić.

– Ta–a, to prawda – powiedział. – Jest moim kuzynem.

– Znaczy się, jakiś rodzaj krewny? – dopytywała się Selonianka. – Łączą was więzy krwi? Jakiego rodzaju, proszę, to być pokrewność?

– Istnieją pokrewieństwa różnego stopnia – odparł nieobowiązująco Solo. – To, o które mnie pytasz, jest najbliższe z możliwych. Takim mianem określamy osoby, zrodzone przez rodzeństwo czyichś rodziców. Thrackan jest moim siostrzeńcem... synem siostry mojego ojca.

– Ach – odparła Drackmus, nie przestając wpatrywać się w Hanę. – Czynię wyznanie, że mam pewne kłopoty, jeżeli chodzi o właściwie zrozumienie stopni pokrewności u istot ludzkich.

– Ta–a – odparł z namysłem Han. – Chyba rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Nadal nie miał pojęcia, czego spodziewać się po Seloniance. Obawiał się, że po stoczonym pojedynku istota może żywić do niego coś w rodzaju urazy. Wyglądało wszakże na to, że – przynajmniej na razie – nie zamierza o tym wspominać. No cóż, jeżeli nadal będzie trwała w tym zamiarze, Han nie pragnął zaczynać rozmowy na ten temat. Nie spodziewał się jednak, że istota zapyta go najpierw o kuzynów. Dlaczego właśnie o nich? Han wiedział o życiu rodzinnym Selonian stosunkowo mało, ale to nie znaczyło, że nie wiedział niczego.

Selonianie należeli do stworzeń żyjących w grupach albo w stadach – podobnie jak pewne owady, które łączą się w większe albo mniejsze roje. Takie grupy określano czasami mianem nor. Na ogół wszyscy członkowie nor mieszkali razem, chociaż niektórzy odbywali dłuższe albo krótsze wyprawy. Inni mogli żyć nawet z daleka od pozostałych. Tym, co najbardziej łączyło wszystkich

członków grupy, były jednak więzy krwi, a nie fakt, iż wszyscy mieszkali blisko siebie.

W każdej grupie żyło na ogół kilka płodnych samców i dokładnie jedna płodna samica, która zostawała królową. To właśnie ona – jedyna istota zdolna rodzić młode – była matką wszystkich członków nory. Rodziła potomstwo cztery albo pięć razy w roku i mogła utrzymywać takie tempo jakieś trzydzieści, a czasami nawet czterdzieści standardowych lat. Mniej więcej jeden na sto noworodków był samcem, ale wszyscy potomkowie płci męskiej byli płodni. Najwyżej raz na pięćset urodzonych maleństw zdarzała się płodna samica. Wszystkie pozostałe nowo narodzone istoty były bezpłodnymi osobnikami płci żeńskiej.

Wszystkie płodne samce i samice, a zatem istoty, na których barkach spoczywało zadanie reprodukcji, stanowiły prześladowaną, ale zarazem rozpieszczaną mniejszość. Osobniki bezpłodne traktowały płodnych członków jaskini jak kogoś w rodzaju niewolników. Najwyższą władzą w grupie obdarzano nie płodną królową, ale jedną z jej bezpłodnych córek, sióstr albo ciotek, która w rzeczywistości traktowała ją jak swoją własność.

Han pomyślał, że we wspólnocie Selonian panowały doprawdy bardzo dziwne zwyczaje. Rozumiał więc, dlaczego Drackmus dziwi się, słysząc o zwyczajach panujących pośród istot ludzkich.

– Wy, Selonianie, widzicie te problemy w innym świetle – dodał po chwili.

– Tak, tak. Widzieć zupełnie inaczej – przyznała trochę machinalnie Selonianka, jakby w tym czasie rozmyślała o czymś innym. Zwinęła ogon i złożyła na podolku. – Ale to twój kuzyn. On nie jest taki jak ty.

Han odnosił wrażenie, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Miał ciężki dzień, a teraz musiał odpowiadać na pytania jakiejś Selonianki, która usiłowała bawić się w antropologa. Mimo to w tonie istoty wyczuwał jakiś upór, świadczący o tym, że Drackmus tak łatwo nie zrezygnuje. Nie da mu spokoju, dopóki nie zaspokoi swojej ciekawości.

– Jest i nie jest – odezwał się w końcu. – Wyglądamy niemal tak samo i mówimy tak samo. Mimo to różnimy się pod względem tego, co myślimy. To właśnie dlatego on spędza czas w towarzystwie pijanych kompanów, a ja w celi.

– Czy to stanowi regułę, jeżeli chodzi o kuzynów ludzi? – nie dawała za wygraną Selonianka. – Wyglądają podobnie, ale myślą niepodobnie?

– Nie istnieje żadna reguła – wyjaśnił Solo. – Może zdarzyć się i tak, i tak. To zależy. Tharckan i ja jesteśmy podobni do siebie bardziej niż inni krewniacy. Kuzyni na ogół nie zachowują się tak samo.

– To bardzo ciekawe – odezwała się Selonianka. – Bardzo, bardzo ciekawe. I on być twój wróg? Ty mówić szczerze i prawdziwie? Ta sama krew, bliska pokrewność, a jednak postępujecie jeden wbrew drugiemu?

– O, tak – przyznał Han. – Z całą pewnością.

Koniuszek ogona Drackmus – zapewne z powodu zaskoczenia – zakołysał się w prawo i lewo.

– Zdziwienie. My, Selonianie, my wiedzieć, że inne istoty tak postępują, ale wiedzieć nie to samo, co rozumieć. Powiadasz, że wbrew więzom krwi?

– Ta–a. Wbrew więzom – mruknął Han. Uświadomił sobie, że jest zmęczony. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła brać udział w grzecznościowej rozmowie, zanim zemdleje albo zaśnie. Mimo to nie chciał urazić Selonianki – zwłaszcza ilekroć spoglądał na jej ostre zęby. Kilka chwil się wahał, ale w końcu doszedł do wniosku, że powinien zaryzykować.

– Posłuchaj, nie obraź się za to, co ci teraz powiem – zaczął. – Naprawdę jestem rad, iż wszystko wskazuje na to, że nie rozerwiesz mnie na kawałki, ale w obecnym stanie nie bardzo mam ochotę na rozmowy. Czy to dla ciebie takie ważne? Nie możesz zaczekać z tym do rana?

– Ważne bardzo – odparła istota. – Wierzę teraz, że nie jesteś jak on, ale nadal zastanawiam się, dlaczego nie jesteś. Cieszę się, że nie jesteście tacy sami. I ty też powinien być zadowolony.

– A to dlaczego? – zainteresował się Solo.

– Ponieważ jeden zły to wystarczy – odparła Drackmus. – Gdybym wyciągnęła wniosek, że ty podobny do niego, już dawno ja rozerwałaby twoja gardziel.

Han kiwnął głową i uśmiechnął się do siebie.

– W takim razie i ja cieszę się, że nie jesteśmy tacy sami. Tyle że jestem skonany.

– Skonany? – zdziwiła się Selonianka. – Tak, pobiłam cię bardzo mocno. Moje przeprosiny.

– Nie. To znaczy tak, ale nie to miałem na myśli – szybko zastrzegł się Han. – To żargonowe powiedzenie. Oznacza, że jestem bardzo zmęczony, wyczerpany.

– Ach. Potrzebujesz wypoczynek – domyśliła się istota. – Zrozumiałe.

– Właśnie. A zatem jeżeli obiecasz, że od razu nie rozszarpiesz mojego gardła, chętnie dokończyłbym tę rozmowę z samego rana.

Drackmus cicho zasyczała, co u Selonian było odpowiednikiem śmiechu. Potem odprężyła się i wyciągnęła na pryczy.

– Obiecuję to, czcigodny Han Solo – powiedziała. – Rano ty jeszcze mieć swoja gardziel. Tej nocy nie wyrządę ci żadna krzywda. Mamy jednak wiele do porozmawiania.

– Założę się, że tak – mruknął Han.

Także położył się na pryczy. Przynajmniej na razie mógł się czuć bezpieczny. Większość Selonian cieszyła się opinią istot dzikich i bezwzględnych, ale prawdomównych i uczciwych. Jeżeli Drackmus obiecała, że tej nocy nie wyrządzi mu żadnej krzywdy, mógł spać bez obaw, iż stanie mu się coś złego.

Przynajmniej do rana. Uwadze Hana nie uszedł fakt, że jeżeli chodziło o dalszą przyszłość, istota zostawiła sobie wolną rękę.

Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Lady Tendra Risant z planety Sakoria spojrzała przez makrolornetkę na wieczorne niebo. Natychmiast zauważyła, że dzieje się coś złego.

Ustawiona na trójnogu makrolornetka miała dużą moc i skomplikowany system automatycznego śledzenia, który umożliwiał kobiecie łatwe obserwowanie wszystkich statków. Prawdę mówiąc, ani Moc, ani zaawansowany system nie były jej potrzebne, ponieważ większe okręty pozostającej na orbicie floty i tak były widoczne gołym okiem... jeżeli się wiedziało, gdzie patrzeć. Po tym zaś, jak Tendra Risant zebrała – wyjątkowo ostrożnie – kilka informacji, doskonale wiedziała, czego i gdzie szukać.

Nigdy nie miała do czynienia z niczym, co nie stanowiło od dawna części jej życia. Sytuacja zmieniła się niedawno, zaledwie przed kilkoma tygodniami. To właśnie wówczas spotkała Landa Calrissiana. To właśnie wtedy uświadomiła sobie, że jej życie wkroczyło na nowe tory. Nie kochała go, ani on jej nie kochał. Możliwe, że ich przyjaźń nigdy nie przerodzi się w głębokie uczucie. Tendra wiedziała jednak, że między nią a przystojnym ciemnoskórym mężczyzną wytworzyło się coś na kształt duchowej więzi. Uzmysławiała sobie, że istnieje porozumienie – coś, czego nigdy dotąd nie odczuwała.

A później, zaledwie kilka godzin po tym, jak Lando i jego przyjaciel Luke Skywalker wylądowali na Sakorii, zostali wyrzuceni z planety przez miejscowe władze. Wystartowali, ale przedtem oznajmili, że udają się na Korelię. Zniknęli, a wkrótce potem w przestworzach pojawiło się gigantyczne interdrekcyjne pole, które uniemożliwiło dokonywanie skoków przez nadprzestrzeń. Ustała także wszelka łączność w obrębie koreliańskiego systemu.

Sakoria należała do grupy tak zwanych Zewnętrzniaków – planet usytuowanych na obrzeżach koreliańskiego systemu – w związku z czym była cokolwiek odizolowana od pozostałych zamieszkałych światów. Przywódcy i obywatele zawsze uważali, że doskonale poradzą sobie bez pomocy Korelii. Marzyli nawet, że któregoś dnia, kiedy wyrwą się spod jej kontroli, staną się naprawdę samodzielni. Otrzymali jednak bolesną nauczkę, gdy ich marzenia stały się rzeczywistością. Teraz byli zaniepokojeni, a nawet przerażeni. Ich gospodarka – pozbawiona zysków, jakie dotąd ciągnęła z handlu z Korelią – nie tylko podupadła, ale zupełnie zamarła, jakby zderzyła się z kamienną ścianą.

Coś się wydarzyło... coś poważnego. A Lando mógł się znaleźć w opałach.

Lando. Może Tendra wiązała z tą znajomością zbyt duże nadzieje? Czy to duchowe porozumienie, po którym tak wiele sobie obiecywała, istniało jedynie w jej wyobraźni? A może Lando był po prostu jeszcze jednym wygadany bawidamkiem? Może – nawet gdyby na Korelii nie spotkało go nic złego – zapomniał o niej i nigdy nie miał wrócić? Obiecywał przecież, że da znać, kiedy pomyślnie załatwi własne sprawy. Czyżby jego obietnice nie płynęły z głębi serca? To wszystko jednak i tak nie miało znaczenia. Znajomość z nim sprawiła, że kobieta zaczęła zastanawiać się i martwić.

Wkrótce też przekonała się, że ma nawet jeszcze więcej powodów do niepokoju, niż początkowo przypuszczała. Najwięcej zmartwień przysparzała jej Triada, czyli trójka istot sprawujących władzę na planecie. Obywatele byli zmartwieni i zatrwożeni, ale Triada starała się ich uspokajać, twierdząc, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Z wydawanych oświadczeń wynikało, że członkowie rządu nie wiedzą więcej niż przeciętny mieszkaniec Sakorii – czy to istota ludzka, czy Dral, czy też Selonianin. Rzecz jasna, gdyby dało się scharakteryzować jednym słowem takie postępowanie, byłoby nim „paranoidalne”. Większość dyktatorów, którzy wspięli się na wyżyny władzy dzięki podstępom, zamachom albo knuciu przebiegłych planów, obawiała się, że może paść ofiarą podobnych machinacji. Nic dziwnego zatem, że trójka takich dyktatorów – po jednym przedstawicielu wszystkich ras inteligentnych istot zamieszkujących Sakorię – w obawie o los, jaki mógłby zgotować jednemu każdy z dwójki pozostałych, miała się jeszcze bardziej na baczności przed spodziewanymi intrygami i sztuczkami.

Mimo to Triada nie wydała żadnych historycznych oświadczeń. Nie aresztowała wrogów ani przeciwników istniejącego systemu sprawowania władzy. Jediną oznaką, że dzieje się coś dziwnego, stał się fakt, iż z ulic zniknęli wszyscy żołnierze i oficerowie. Zazwyczaj odnosiło się wrażenie, że co trzecia widziana osoba nosi taki albo inny mundur. Teraz wojskowi zniknęli, jakby żołnierzy odwołano z urlopów i kazano powrócić do jednostek. Jeżeli wierzyć pogłoskom, wszystkie oddziały postawiono w stan pogotowia. Takie postępowanie miałoby sens, gdyby istniał jakiś kryzys i gdyby Triada, zamierzając walczyć z tajemniczym niebezpieczeństwem, jakie zagrażało Korelii, usiłowała zmobilizować własne oddziały. Szperając tu i tam, Tendra dowiedziała się jednak, że mobilizację ogłoszono dwa dni przed pojawieniem się pola interdyscyplinarnego... prawdę mówiąc, godzinę albo dwie po wylądowaniu na Sakorii Calrissiana i Skywalkera.

Fakt ten tłumaczyłby, dlaczego władze zezwoliły im na lądowanie, ale wkrótce potem nakazały wynieść się z planety. Naprawdę trudno byłoby oprzeć się wrażeniu, że Triada wiedziała zawczasu o tym, iż cały koreliański system zostanie objęty zasięgiem pola interdyscyplinarnego. Tendra nie miała najmniejszego pojęcia, czy oznaczało to, że członkowie Triady od samego początku należeli do grona organizatorów spisku, czy tylko dowiedzieli się o nim dzięki sprawności funkcjonariuszy własnego wywiadu, czyli najzwyczajniejszych szpiegów.

Najbardziej jednak martwił Tendrę Risant fakt gromadzenia się na orbicie okrętów floty. Widziała bardzo dużo jednostek, a z każdą chwilą pojawiały się następne. Już teraz było ich co najmniej dziesięć razy tyle, do ilu przyznawali się publicznie członkowie

rządu. Nawet gdyby uwzględnić poprawkę na tajemnicę wojskową i paranoję, ukrycie przed opinią publiczną dziewięćdziesięciu procent stanu własnych sił stanowiło nie lada osiągnięcie. Co więcej, Sakoria nie zaliczała się do grupy szczególnie gęsto zaludnionych światów. Szybkie arytmetyczne obliczenia pozwoliły jej na wyciągnięcie wniosku, że obsadzenie wszystkich okrętów, jakie widziała na orbicie, wymagałoby powołania do sakoriańskiej Marynarki co najmniej połowy wszystkich dorosłych obywateli. A zatem, wiele – o ile nie większość – okrętów z załogami musiało przylecieć z innych planet. Pozostawało pytanie, skąd członkowie Triady zdołali je sprowadzić? I w jakim celu zamierzali nimi się posłużyć?

Mimo iż Tendra nie знаła szczegółów, odpowiedź na drugie pytanie wydawała się oczywista. Gromadząca się flota musiała szykować się do lotu na Korelię. Kobieta nie miała najmniejszego pojęcia, w jakim celu ani kto był dowódcą, ale przeczuwała, że to wszystko musiało mieć coś wspólnego z Korelią. Po prostu nie mogło istnieć żadne inne sensowne wyjaśnienie.

Przypuśćmy jednak, że ci, którzy zgromadzili tak ogromne siły, odpowiadali za wytworzenie interdyscyplinarnego pola? Przypuśćmy, że potrafili je włączać i wyłączać, kiedy zechcą, żeby przepuszczać własne jednostki i uniemożliwiać przedostawanie się jakichkolwiek innych? Nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, żeby zrozumieć, jak potężną bronią by dysponowali.

Co jednak powinna zrobić? Nie darzyła szczególną sympatią członków Triady. Gdyby musiała opowiedzieć komukolwiek obcemu o tym, czego się dowiedziała, poczułaby najwyżej przelotne wyrzuty sumienia. Ale przecież urodziła się i spędziła tyle lat życia na Sakorii. Bez względu jednak na to, jak dobrze się czuła, mieszkając

na rodzinnej planecie, nie miała żadnych zobowiązań, jeżeli chodziło o Triadę. Jej członkowie byli zbirami i tyranami – nie gorszymi i nie lepszymi niż większość pozostałych.

Co zatem miała zrobić? Udać się na Coruscant, żeby ostrzec członków rządu Nowej Republiki? Chwilę zastanawiała się doszła do wniosku, że takie postępowanie nie miałyby sensu. Nawet gdyby zdołała dotrzeć do kogoś, kto chciałby jej wysłuchać, i tak nie powiedziałaaby niczego, o czym już nie wiedzą. Zapewne na Sakorii roіło się od funkcjonariuszy Wywiadu Nowej Republiki – i to jeszcze zanim wybuchło powstanie na Korelii. Z pewnością od tamtych czasów wywiadowcy zdwoili czujność i starania. Cóż, jeśli agenci WNR nie potrafili zobaczyć tego, co ujrzałby każdy przeciętny obywatel, gdyby szeroko otworzył oczy, nie zasługiwali na to, żeby ktokolwiek ich informował.

Co innego, jeżeli chodziło o Korelię. Mieszkańcy koreliańskiego systemu o niczym nie wiedzieli. Nie mogli wiedzieć. To właśnie im powinna przekazać te informacje. A jeżeli przypadek zrządzi, że przekazując je, spotka się z Landem.... no cóż, tym lepiej.

Dobrze. Wie zatem, co robić. Poleci do koreliańskiego systemu, a potem odszuka Calrissiana. Ostrzeże go – i wszystkich innych – że na orbicie wokół Sakorii gromadzą się okręty potężnej gwiazdnej floty.

Pozostawało tylko jedno, bardzo istotne pytanie. Jak zrealizować swoje plany?

– Obudziłeś się już, czcigodny Solo?

Han otworzył oczy i zobaczył paszczkę pełną ostrych zębów... tuż koło swojego gardła.

– Już teraz tak – odparł poważnie. Możliwe, że pierwsze chwile nie należały do najprzyjemniejszych, ale jeżeli zaraz po

przebudzeniu widzi się tuż przy twarzy garnitur przypominających noże kłów, chyba nie można pozwolić sobie na dalszą drzemkę. – Dlaczego pytasz? Co się stało?

– Pragnąć z tobą porozmawiać.

– Nie możemy odłożyć tego na później?

– Nie myślę tak. Jest jeden powód, o którym nie mogę nic mówić. Drugi to chyba oczywistość. Jeżeli tamci się dowiedzą, że noc minęła, a my nie stanęliśmy do żadnej walki, poczują się rozczarowani, a wówczas znów nas rozdzielią.

– Chyba masz rację – odparł Han. – Chociaż nie miałbym nic przeciwko temu, żebyśmy ich rozczarowali. – Poruszając się najostrożniej jak umiał, usiadł na pryczy. Z przyjemnością zauważył, że nawet się nie skrzywił. Możliwe, że się starzał, ale rany i obrażenia nadal goiły się równie szybko jak dotychczas. – A zatem, o czym chcesz porozmawiać?

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o niektórych kłamstwach – odrzekła istota. – Z tym kłamaniem jest trochę jak z kuzynami, nieprawda?

– Co takiego? – zapytał Han. – O co ci właściwie chodzi?

– Wybacz – rzekła Selonianka. – Dziwny sposób, żeby ci to powiedzieć. Chodzi mi o to, jak przypuszczam, że my, istoty z Selonii, także mamy krewnych i kuzynów. Tak, również wujków, siostrzenice i tak dalej. Wystarczy tylko spojrzeć na nasze dokumenty genealogiczne. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie jestem tego pewna, ponieważ nie znam znaczenia tych słów. Nawet jednak jeżeli mamy tych wszystkich krewnych, nigdy o nich w ten sposób nie myślimy. Mam wrażenie, że chyba najlepiej nie rozumiemy, jakie związki kryją się za tymi określeniami.

– Chyba utrafiłaś w sedno – oznajmił Solo. – Nie macie rodzin w naszym znaczeniu tego słowa.

– Nie, rzeczywiście nie mamy – przyznała Drackmus. – A jeszcze ta historia z kuzynami, którzy mogą być tacy sami i odmienni... Wszyscy żyjący w norze Selonianie są prawie identyczni. Jeżeli chodzi o geny, podobieństwo większe niż pomiędzy waszymi braćmi i siostrami. Jesteśmy nawet jeszcze bardziej tacy sami. Mniej więcej jak setki identycznościowych bliźniętów.

– Wiedziałem o tym – powiedział Han.

Rzeczywiście, seloniańskie geny nie wykazywały takich różnic jak ludzkie. Każda płodna istota płci męskiej była ojcem wielu bezpłodnych istot płci żeńskiej, a wszystkie bezpłodne samice, które miały tego samego ojca, tworzyły coś, co określało się mianem klanu. Wszystkie członkinie takiego klanu były zatem – z teoretycznego i praktycznego punktu widzenia – klonami, ponieważ miały takie same zestawy genów.

– Selonianie nawet nie tworzą rodzin w ludzkim znaczeniu tego słowa – ciągnęła tymczasem Drackmus. – Tworzą nory. Według twojego punktu widzenia mam trzysta sióstr zwykłych i przyrodnich. Możliwe, że także braci, ale nic o tym nie wiem, bo żadnego nie znam. I tak zresztą, nawet gdybym znała, odesłano by ich gdzie indziej, żeby pomagali w reprodukcji. Tak więc pojęcia brata i siostry – w twoim znaczeniu tych słów – sami obce. Kiedy widzimy parę istot ludzkich, otoczonych potomkami, albo ciężarną kobietę, która pokazuje się publicznie, uważamy to za coś dziwnego i niesmacznego. Ciężarne samice powinny przebywać w norach. Myślimy, jak dziwnie traktujecie płodne samice – i dopiero potem przypominamy sobie, że wszystkie wasze kobiety mogą rodzić

dzieci. Żona, mąż, matka czy ojciec... my nie rozumiemy w taki sposób.

Han popatrzył na Drackmus. Nigdy przedtem nie spoglądał na problem od tej strony. Możliwe, że w celu spłodzenia potomka Selonianie łączyli się w pary, ale ponieważ nie zawierali małżeństw, nie znali pojęć takich jak mąż albo żona. Skąd mieliby znać? Podobnie jak w przypadku chyba wszystkich innych inteligentnych istot, seloniańska kultura wynikała z seloniańskiej biologii. W rodzinach, a raczej norach, gdzie jedna płodna królowa mogła mieć tysiące bezpłodnych córek, pojęcie małżeństwa nie miało najmniejszego sensu. Zapewne w analogiczny sposób społeczeństwo ludzkie musiało się wydawać Drackmus czymś dziwnym, a może nawet nienormalnym.

Rzecz jasna, zawieranie związków małżeńskich między ludźmi wiązało się prawie zawsze z rodzeniem dzieci, ale rozmowa na ten temat uchodziła u Selonian za coś wyjątkowo nieprzyzwoitego. Han doskonale wiedział, że Selonianie gardzili rasami innych istot, u których rodzić mogły wszystkie istoty płci żeńskiej.

– Możliwe, że przez większość czasu nie rozumiesz w taki sposób – odezwał się w końcu – ale powinnaś się nauczyć, jeżeli zamierzasz utrzymywać kontakty z ludźmi.

– To, co mówisz, jest prawdziwe – przyznała Drackmus. – Przedtem właściwie nie opuszczałam swojej nory. Zadanie porozumiewania się z istotami ludzkimi przypadło w zaszczytie mojej – jak powiedziałbyś – starszej siostrze, ale ona straciła życie w wypadku, jaki mieć miejsce przed ośmioma dniami. Teraz ja muszę zająć się wykonywaniem tej pracy.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej siostry – odezwał się współczująco Han.

– Mnie także przykro. Moje szkolenie, jeżeli chodzi o kontakty z ludźmi, jeszcze nie było ukończone.

Zdumiony Han ponownie zwrócił oczy na Seloniankę. Jak mogła powiedzieć coś tak bezdusznego? Chwilę później się zreflektował. Bądź co bądź, dlaczego miałyby mocno przeżywać śmierć jednej siostry, skoro miała ich coś około trzech setek? Zapewne człowiek poczułby się tak samo, gdyby dowiedział się o śmierci dalekiej, dawno nie widzianej kuzynki. A jeżeli i tak wszystkie tworzące klan bezpłodne samice były czymś w rodzaju prawie identycznych klonów, jakież sens miałyby rozpaczanie po śmierci jednej, jeżeli wokół siebie miało się dwadzieścia albo pięćdziesiąt innych, absolutnie identycznych?

– No cóż – przyznał Han po namyśle. – Wydaje mi się, że nawet jeśli nie ukończyłaś szkolenia, radzisz sobie po prostu doskonale.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, czcigodny Solo, ale nasza rozmowa zбочyła na inne tory – rzekła Selonianka. – Musimy porozmawiać o kłamstwach. Pojęcie kłamstwa jest dla nas równie dziwne i niezrozumiałe jak pojęcie rodziny. My, Selonianie, potrafimy kłamać, ale nie mamy w tym wielkiej wprawy. Widzimy w tym coś niedobrego. Nie trochę niedobrego, jak wy, ludzie, ale coś bardzo, bardzo niedobrego... uważamy kłamstwo za coś jak morderstwo.

– Kłamstwo czasami może być taką bardzo niedobrą rzeczą – przyznał Han, ale w następnej sekundzie pomyślał o wszystkich niestworzonych historiach, jakie zdarzyło mu się, i to całkiem

często, w życiu opowiadać. – Przeważnie jednak... uhm... na ogół jest tylko trochę niedobre.

– Widzisz? – odparła Selonianka. – Ludzie mają w tym większą wprawę. Rozumieją kłamstwa i potrafią odróżnić wielkie od małych. Selonianie okropni gracze w sabaka... niedobrzy we wszystkie gry, gdzie konieczne zatajenie prawdy. Myślę, że dla ludzi kłamstwa mogą nie być groźne, ponieważ jesteście tacy osamotnieni. Kłamstwo może dotknąć tylko jedną istotę. Może zranić tylko tę jedną. Może zostać zatajone. Jeżeli zaś chodzi o Selonian, razem w nora, dotyka wszystkich, rani wszystkich. Wszyscy je znają. Żadnych tajemnic, wszystkie ranią. Rozumiesz, o czym mówię?

– Mniej więcej – odrzekł Han, starając się dopowiedzieć sobie brakujące fragmenty zdań. – Domyślałem się, że ktoś naopowiadał ci kłamstw, a teraz chciałabyś porozmawiać o nich właśnie ze mną.

– Tak! Tak! Cieszyć się, że nie zabiłam cię podczas tamtej walki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mruknął Solo. – O co właściwie chodzi z tymi kłamstwami?

– Po pierwsze, proszę, powiedz, czy potrafisz odróżnić, kiedy twój kuzyn Thrackan mówi kłamstwo? – zapytała istota.

– Czasami – odrzekł Han. – Ostatniej nocy twierdził, że nie mam pojęcia o wielu sprawach. Powiedział coś, co stało w jaskrawej sprzeczności z tym, co już wiedziałem. Przyznał się nawet, że kłamie, ale nie wyjawiał, na czym miałyby polegać jego kłamstwo.

– Ale kiedy nie jesteś tego pewien... – nalegała Drackmus. – Czy potrafisz odróżnić, jeżeli słyszysz tylko słowa, które wypowiada?

Han zastanowił się nad odpowiedzią.

– Czasami – odparł w końcu. – Do pewnego stopnia. Mogę także domyślać się, czy w kłamstwach, jakie mi opowiedział, może być

choć część prawdy.

– Jak na przykład? – dociekała Selonianka. – Powiedz mi coś więcej, żebym ja mogła lepiej się zorientować.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – zainteresował się Solo.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, na ile może zaufać nieznajomej istocie. Na razie Drackmus zachowywała się całkiem poprawnie, ale Han nie miał najmniejszego pojęcia, o co może jej chodzić. Należałoby zacząć od tego, że nie wiedział, dlaczego w ogóle trafiła do więzienia Ligi Istot Ludzkich. Dotychczas polegał tylko na wyświechtanym frazesie, w myśl którego nieprzyjaciel twojego wroga może nagle okazać się twoim sprzymierzeńcem.

– Wyjaśnię ci to później, jeżeli mieć dosyć czasu. Ale to dla mnie bardzo ważne. Proszę.

Han zastanowił się i po namyśle doszedł do wniosku, że stawka jest zbyt wysoka, by miał ryzykować. Musiał wiedzieć coś więcej.

– Nie. Ty pierwsza powiedz – oznajmił stanowczo. – Dlaczego chcesz się dowiedzieć, jak rozpoznać ludzkie kłamstwa?

Drackmus się zawahała. Wstała i podeszła do drzwi celi, a potem, kołysząc ogonem z boku na bok, wróciła i stanęła obok pryczy.

– To straszliwy problem – rzekła w końcu. – Muszę wiedzieć o wiele więcej o tym, ludzie mają jakie zwyczaje. O wiele więcej niż wiem teraz. To wielki kłopot, że moja siostra z klanu tak nagle umarła.

– Co to za problem? – zapytał Han.

– Proszę cię, żebyś wyjaśnił ludzkie kłamanie, ale jeżeli możesz wyjaśnić, to dlatego, że ludzie mają w tym większe doświadczenie – odrzekła Selonianka. – Przypuszczam, że ty dobry kłamca. Jestem tego pewna, czcigodny Solo.

– Dzięki za komplement – odparł Han. – Już kiedyś mi to mówiono.

– To była śmiertelna zniewaga, nie komplement – poprawiła go istota. – Ty jednak, jeżeli tak to przyjąłeś, tylko przydałeś większej wagi moim argumentom. Powiem ci coś więcej. Powiem coś, o czym inni nie móc się dowiedzieć. Jakże jednak mogę zaufać ludzkiej istocie, która szczyci się tym, że umie dobrze kłamać? – Machnęła ręką, jakby chciała jednym zamaszystym gestem objąć cały kompleks podziemnych pomieszczeń. – To może być twoja sztuczka, żebym wyjawiała to, co i tak zamierzałam powiedzieć.

Han lekko się uśmiechnął.

– Widzę, że Selonianie dobrze wiedzą, co to paranoja – powiedział – mimo iż nie mają wprawy w kłamaniu.

– O, tak, paranoja – przyznała Drackmus. – Jesteśmy w tym naprawdę dobrzy.

– A zatem i tak powinnaś bardzo uważać na wszystko, co do mnie mówisz – powiedział Han. – W tej celi mogły zostać ukryte najróżniejsze szpiegowskie kamery i mikrofony. Tamci mogą nagrywać każde twoje słowo. Moje zresztą także. Może powinniśmy przejść na seloniański?

– Bezcelowość – odparła Drackmus. – Jestem pewna, że tamci nas nie podsłuchiwać, ale gdyby to robili, zarejestrowaliby wszystko, co mówimy, a później odtworzyli w obecności kogoś, kto dobrze umieć naszą mowę.

– Masz rację – przyznał Han i spoważniał. – Tylko skąd wiesz, że nas nie podsłuchują?

– Nie wolno mi powiedzieć na to ani słowa więcej.

Interesujące, pomyślał Solo. Bez względu na to, co jeszcze można było powiedzieć o Selonianach, istoty nie radziły sobie najlepiej w zatajaniu faktu, że muszą coś zachować w tajemnicy. Jak zresztą mogło być inaczej, skoro same twierdziły, że są kiepskimi kłamcami? Było oczywiste, że Drackmus wie na temat tego miejsca więcej niż można się było spodziewać. Han doszedł jednak do wniosku, że najlepiej będzie nie wypytywać jej o szczegóły.

– A co jeszcze wolno ci powiedzieć? – zapytał. Selonianka spojrzała na niego, jakby pragnęła prześwidrować go wzrokiem na wylot, ale nie odezwała się ani słowem. Han westchnął. – Czy uspokoilibym cię, gdybym przysiągł... na przykład na życie swoich dzieci... że nie wyjawię Thrackanowi ani jego ludziom niczego, co zechcesz mi powiedzieć?

– To bardzo poważna przysięga, jeżeli mówisz szczerze – rzekła istota. – Złamiesz ją, to zgodnie z seloniańskimi zwyczajami składania przysięgi mam prawo i obowiązek tropić twoje dzieci tak długo, aż wszystkie zabiję.

Han wahał się przez chwilę. Co będzie, jeśli tamci wezmą go na przesłuchanie, w trakcie którego poddadzą go torturom, posłużą się sondami mózgu albo naszpikują go narkotykami? Czy wówczas Drackmus weźmie to pod uwagę? Miał co do tego poważne wątpliwości. Na szczęście ani Thrackan, ani jego kompani nie wykazywali chęci przesłuchiwania Hana. A poza tym, nawet gdyby załamał się w wyniku tortur i Drackmus postanowiłaby zabić jego dzieci, musiałyby najpierw je odnaleźć – a potem pokonać Chewiego. Dopiero ta ostatnia myśl pomogła mu się zdecydować. Wiedział, że Drackmus nie zdołałaby pokonać Chewbacci.

– Przysięgam – powiedział uroczystym tonem. – Nie zdradzę cię i nie wyjawię nikomu z tamtych, co usłyszę. A teraz twoja kolej.

– Jeżeli zawiodę cię albo zdradzę, czcigodny Solo, życie wszystkich sióstr mojego klanu pójdzie w twoje ręce.

– Chyba nie mógłbym żądać niczego więcej – oznajmił Han. – Co chciałaś mi powiedzieć?

Drackmus westchnęła i wyraźnie odprężona usiadła na pryczy.

– Bardzo dobrze – zaczęła. – Pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Han usiadł wygodniej i uzbroił się w cierpliwość.

– Powstanie rozpoczęło się od zamieszek, jakie wybuchły w zamieszkiwanej przez Selonian enklawie miasta Bela Vistas. W zamieszkach brali udział nasze pobratymcy, którzy chcieli w ten sposób dać znak sprzeciwu wobec powtarzających się coraz częściej prowokacji ze strony Ligi Istot Ludzkich. Nie myślę jednak, że to Selonianie je wzniecili. Nawet nie jestem przekonana, czy bijatyki na ulicach – bo to one dały początek buntowi – były prawdziwe, czy może inscenizowane przez bojówkarzy Ligi. Przypuszczam, że prawdziwe raczej to drugie.

– Musiało tak być – wtrącił się Solo. – Powstanie objęło tak szybko wiele odległych od siebie miejsc, że chyba nie można uznać tego za przypadek. Co więcej, wybuchło w najodpowiedniejszej chwili... rzecz jasna, z punktu widzenia interesów Ligi. Prawdopodobnie przywódcy w ogóle nie interesowali się, czy ktoś oskarży ich o udział we wzniesieniu buntu. Troszczyli się tylko o to, żeby nikt nie zdołał im tego udowodnić. Szukali wymówki albo pretekstu, ale nie powodu.

– Tak! – odezwała się Drackmus. – Pod wieloma względami wybrali najważniejszą moment. Myślę jednak, że nie znasz całej prawdy. Nie wiesz, co najważniejsze.

– Co masz na myśli? – zapytał Han lekko zdezorientowany.

Drackmus chwilę milczała, jakby się nad czymś zastanawiała. Później podjęła opowiadanie.

– Przypuszczam, że... prawie pewna, że Thrackan cię oszukuje. Jego Liga Istot Ludzkich nie mogła dokonać eksplozji tamtej gwiazdy, co przemieniła się w supernową. Myślę, że na tym polega jego kłamanie.

– Co takiego? – zdumiał się Solo.

– Pomyśl – rzekła Selonianka. – Jego organizacja jest zbyt mała, zbyt głupia. To prawda, że teraz, kiedy odnieśli zwycięstwo, może szybciej urosną w siły, ale całkiem niedawno Liga składała się tylko z Thrackana i kilku zaufanych współpracowników. Nie miała środków, możliwości ani wiedzy, żeby poważnie się na coś takiego. Ani także pieniędzy, żeby przekupić tych, którzy mogli. Budowa gwiazdogromu to skomplikowane i kosztowne przedsięwzięcie. Naprawdę sądzisz, że te pijane głupce, które przyglądały się naszej walce, zdolne zniszczyć jakąkolwiek gwiazdę?

– Uważasz więc, że Thrackan mnie oszukuje – podsumował Han.

– Przypuszczasz, że tamta gwiazda eksplodowała sama z siebie.

– Tak i nie – odrzekła istota. – Wierzę, że Thrackan tego nie zrobił. Wierzę też, że nie dokonała tego jego Liga. Tamta gwiazda nie mogła jednak eksplodować sama z siebie. Nieodpowiedniego typu. Ktoś musiał jej w tym dopomóc. Nie wiem, kto. Nie wiem, dlaczego. Przypuszczam, że miało to być coś w rodzaju tajnego testu.

– Tajnego? – zdziwił się Han. – Przecież wszyscy o tym wiedzą!

– Pomyśl, czcigodny Solo! Wiadomość o eksplozji miała dotrzeć na Korelię. W przeciwnym razie przez wiele następnych lat nikt nie zauważyłby eksplozji tamtej supernowej. Nie okrążyły jej żadne zamieszkane światy. Prędkość światła daje ograniczenie, a zatem wiadomość o eksplozji dotarłaby do najbliższego zamieszkanego systemu po upływie kilku dziesięcioleci. Dotarła wcześniej jedynie dzięki anonimowej wiadomości wysłanej przez któryś członek Ligi. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Skąd wiesz to wszystko? – zapytał Han. – O pewnych sprawach nikt nie miał się dowiedzieć.

– Nie wolno mi powiedzieć nic więcej niż to – oświadczyła Selonianka.

Z całą pewnością nie potrafiła ukryć faktu, że znała jakąś ważną tajemnicę.

– Nie mogę ci odmówić jednego – rzekł Han po chwili. – Jesteś konsekwentna. No dobrze, niech ci będzie. Nie wolno ci powiedzieć, skąd to wiesz. Mów dalej.

– To wszystko jest logiczne – ciągnęła istota. – Gwiazda nie mogła eksplodować sama z siebie. Liga Istot Ludzkich to nie laboratorium naukowe. Nie mogła wywołać eksplozji gwiazdy. Muszą zatem istnieć inni i to oni odpowiadają za wybuch tamtej supernowej. Prawdopodobieństwo jest, że mogą umieć i chcieć wybuchnąć następne gwiazdy.

– Rozumujesz logicznie... pod warunkiem, że nasi gospodarze rzeczywiście nie podołaliby temu zadaniu – przyznał Solo. – Kto zatem, twoim zdaniem, wywołał eksplozję tamtej supernowej? Jakim cudem dowiedzieli się o tym zbiry z Ligi? Co wspólnego z

Ligą mogą mieć prawdziwi sprawcy? Czy będą zachwyceni, kiedy dowiedzą się, że Liga przypisuje sobie całą zasługę za tę eksplozję?

– Nie mam na to pojęcia – odrzekła Selonianka. – Nie wiem, co to za organizacja ani kto do niej należy. Nie wiem, dlaczego jeszcze pozostaje w ukryciu. Możliwość, że nigdy nie zechce się objawić. Może w jej interesie stoi, żeby całą zasługę, ale i całą winę wzięła na siebie Liga Istot Ludzkich. Kto zechce szukać prawdziwych winowajców – zakonspirowanych sprawców – jeżeli uwierzy, że za wszystko odpowiada Liga?

– I chciałaś wiedzieć, co sądzę na ten temat? – domyślił się Han. – Musiałaś się upewnić, czy w twoim rozumowaniu nie ma żadnej luki? To właśnie dlatego pytałaś mnie, czy orientuję się, kiedy mój krewniak kłamie? Chciałaś przekonać się, czy to Thrackan mógł doprowadzić do eksplozji tamtej supernowej i czy to on posłużył się gwiazdogromem?

– Tak! Tak! – przyznała Drackmus. – Twoja opinia. Proszę.

Przemyślał to jeszcze raz od początku.

– Masz rację – odezwał się w końcu. – Liga nie jest organizacją, która zajmowałaby się takimi rzeczami jak nauka czy technika. A jeżeli ktokolwiek dysponował takim gwiazdogromem, prawdopodobnie znalazł kogoś, kto zgodził się zapłacić najwyższą cenę. Jeżeli ta część twojego rozumowania jest poprawna, chyba nie mylisz się też, jeżeli chodzi o resztę. Za eksplozję supernowej musi odpowiadać ktoś inny. Ktoś, kto nie ma nic przeciwko temu, żeby całą zasługę przypisała sobie Liga Istot Ludzkich.

– Jeżeli tak uważasz – podjęła Selonianka – pozostaje jeszcze kilka pytań. Kto sprawuje kontrolę nad tym interesującym

urządzeniem? Dlaczego wywołuje eksplozje supernowych? I jakie związki łączą go z Ligą Istot Ludzkich?

Han pokręcił głową.

– Pojęcia nie mam. Bez względu na to, kim jest, jeszcze nie ujawnił swoich zamiarów. Teraz jednak, kiedy o tym wszystkim myślę, zaczynam zastanawiać się, czy przypadkiem Liga Istot Ludzkich nie stanowi tylko czegoś w rodzaju parawanu.

– Parawanu? – zdziwiła się Drackmus. – Jakiego parawanu?

– Przepraszam – powiedział Han. – To jeszcze jedna przenośnia. Chodziło mi o coś, co zasłania. Co stawia się, żeby ukryć coś innego.

– Aha. Organizacja od gwiazdogromu ukrywa się za parawanem Ligi Istot Ludzkich. Dzięki temu można wyjaśnić wszystko, co się robi, pozostając samemu w ukryciu.

– Właśnie – przyznał Solo.

– Tyle że to nie przybliży nas do znalezienia rzeczywistych sprawców.

– Chwileczkę! – Han wyraźnie wpadł na nowy pomysł. – Może jednak jesteśmy dość blisko. Bliżej niż byśmy chcieli. Może osoba, która doręczyła nam tę wiadomość, była kimś więcej niż tylko zwykłym posłańcem.

– Nie rozumiem.

– To wydarzyło się, jeszcze zanim wybuchło powstanie – przypomniał Han. – Po eksplozji supernowej, ale zanim ktokolwiek mógł się o tym dowiedzieć. To właśnie wtedy otrzymaliśmy tę wiadomość. My, to znaczy ja, moja żona i generalny gubernator Micam-berlecto. Z wiadomości wynikało, że ktoś, kto dokonał eksplozji supernowej, ostrzega nas, żebyśmy postępowali zgodnie z

instrukcjami. Nadawca groził, że w przeciwnym razie zacznie niszczyć słońca zamieszkanym światów.

– Tak – przyznała Drackmus. – I co z tego?

– Mara Jade.

– Mara Jade? – zdziwiła się Selonianka. – Ta kobieta, co zajmuje się międzygwiazdny handel? Wiele razy robiła interesy z Selonianami. Znamy ją dobrze. Darzymy zaufaniem.

– Ta–a, no cóż. Możliwe, że Mara Jade jest kimś więcej niż tylko kobietą zajmującą się handlem – powiedział Han. – Czy wiesz, że kiedyś była Ręką Imperatora? Jego osobistą powierniczką, tajną agentką i skrytobójczynią?

– Nie – oznajmiła Drackmus, wyraźnie zaskoczona. – Mówisz prawdziwie?

– Jak najbardziej –zapewnił ją Han, może odrobinę zbyt gorliwie. – To wyjaśniałoby także, jakim cudem złoczyńcy zdołali poznać tajniki osobistego dyplomatycznego szyfru przywódczyni Nowej Republiki. Mara była kiedyś imperialnym szpiegiem. Dobrze wie, jak zdobywa się takie informacje. – Umilkł i zamyślił się. – To wszystko układa się w logiczną całość –zaczął znów po długiej chwili. – Mara Jade przekazała nam tę wiadomość, a przy okazji opowiedziała długą i zawiłą historię o tym, jak weszła w jej posiadanie. Zewnętrzna powierzchnia informacyjnego sześcianu pozwalała domyślać się, że z początku nadawcy chcieli przekazać go Luke'owi Skywalkerowi. Gdy jednak okazało się to niemożliwe, postanowili skorzystać z usług Mary. Przypuszczam, że wszystko było z góry ukartowane, a my – nie znając wówczas wszystkich faktów – bez zastrzeżeń uwierzyliśmy w to, co nam powiedziała.

– Sugerujesz, że Mara Jade przekazała wam wiadomość, którą sama wysłała? – zapytała Selonianka. – Że należy do grupy gwiazdogromców?

– Tak! – odparł Han. – Tamtego dnia, kiedy buntownicy zaatakowali Koronę, nie mogliśmy jej nigdzie znaleźć.

– Ach! Jeżeli chodzi o to, mogę mówić. Uczynię to z radością. Zamierzam stanąć, żeby bronić honoru Mary. Po tym dniu, kiedy rakiety trafią w Koronę, ktoś widział ją w środku rezydencji.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Dobrze, dobrze. Powinienem być się domyślić, co odpowiesz. Nie wolno ci powiedzieć ani słowa więcej. Wygląda na to, że znasz mnóstwo tajemnic, na których temat nie możesz powiedzieć ani słowa, prawda? Przyjmuję jednak, że mówisz prawdę. Załóżmy, że Mara Jade była w Koronie przed i po ataku buntowników... To wcale jeszcze nie oznacza, że cały czas przebywała w rezydencji.

– Dlaczego miałyby z niej wychodzić? – zapytała istota. – Jakiż mogłaby mieć powód?

Han odgiął kciuk i pokazał drzwi celi.

– Nasi gościnni gospodarze są albo byłymi imperialnymi funkcjonariuszami, albo ludźmi, którzy chcą, żeby wróciły dawne dobre czasy. Powiedział mi to zresztą sam Thrackan. Przyznaję, że w ciągu ostatnich lat Mara Jade uczyniła wiele dla dobra Nowej Republiki. Co więcej, nie śpiewała wysławiających Imperatora pochwalnych pieśni. Nie wznosiła na jego cześć żadnych okrzyków. Nie okazywała, że pragnie powrotu tamtych czasów. Zawsze jednak była kobietą tajemniczą i skrytą. Nigdy nie zdradzała swoich planów i doskonale potrafiła utrzymywać je w tajemnicy. Wątpię, żeby ktokolwiek wiedział, co zamierza. Może doszła do przekonania, że

się pomyliła? Może zapragnęła, żeby wszystko znów było jak za czasów Imperium? Może skierowała spojrzenie na Korelię i pomyślała, że dobrze by było zacząć właśnie od niej? Przyznaję, że to mało prawdopodobne i chyba trudno ci będzie w to uwierzyć. Wygląda jednak na to, że oboje musimy wybierać między różnymi, mniej lub bardziej nieprawdopodobnymi wyjaśnieniami.

– Twój pomysł ma logikę, ale nie przekonuje – oznajmiła Selonianka. – Przyznaję, że Mara Jade bywa bezwzględna i szorstka. Dbą jednak o własny honor, a my mówimy o unicestwianiu całych gwiazd. Czy naprawdę uważasz, że byłaby zdolna poważnie się na coś tak brutalnego?

– Masz rację – przyznał Solo. – Mara Jade była zawsze bezwzględna i szorstka, ale nigdy bezlitosna ani okrutna. Nie dopuściłaby się niczego tak barbarzyńskiego. Nie wymordowałaby z zimną krwią milionów niewinnych istot. Możliwe jednak, że nie znamy wszystkich faktów. Może o czymś nie wiemy. Pamiętaj o tym, że eksplozja pierwszej gwiazdy nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy. Może groźba unicestwienia słońc zamieszkanego światów jest po prostu tylko... częścią pogroźki?

– Ja mieć inną teorię – powiedziała Drackmus. – Wierzę, że naprawdę mogli to zrobić byli funkcjonariusze Imperium. Nie służyli jednak w imperialnym Wywiadzie, ale w Marynarce. Należeli do resztek jakiejś floty. Pracowali w tajemnicy, ale w końcu zdołali ukończyć jakąś straszliwą imperialną superbroń. Ten gwiazdogrom jest trochę jak Gwiazda Śmierci, Pogromca Słońc czy niszczyciel światów. Potężna broń pomyślana tak, aby wprawiać w przerażenie, a nie wykorzystywać do wojskowych celów.

Han pokręcił głową.

– Nic z tego – odrzekł. – Nie ma mowy. Od pokonania ostatnich oddziałów Imperium upłynęło naprawdę mnóstwo czasu. W ciągu tych lat dokładnie przetrząsnęliśmy wszelkie imperialne archiwa. Doliczyliśmy się absolutnie wszystkich brakujących albo zagubionych jednostek i oddziałów. Możesz sobie wymyślać tyle teorii, ile zechcesz. Możesz twierdzić, że ktoś stworzył szturmową flotę z okrętów, pomyłkowo uznanych za zniszczone. Jeżeli wierzyć temu, co mówią pewni ludzie, to po zakamarkach przestworzy kryją się całe floty, o których dotąd nikt nic nie wie. Nawet jednak gdyby miało to okazać się prawdą, skąd wziąć tysiące dobrze wyszkolonych członków załóg? Ilekroć gdzieś w Nowej Republice dzieje się coś złego, pojawia się samozwańczy znawca sztuki konspiracji i ogłasza wszem i wobec, że ktoś znów usiłuje wskrzesić Imperium. Upiera się, że to sprawka Imperium – nawet wówczas, jeżeli ktoś przesunie wycieraczkę przed drzwiami pałacowego komisarza. Jeżeli mam być szczery, już dawno przestałem wierzyć w istnienie jakiegokolwiek nieznanego konspiratora. Imperium nie istnieje, a Darth Vader nie żyje. Nadal twierdzę, że to Mara Jade. Zna wielu ludzi, umie się targować i prowadzić negocjacje... a poza tym była imperialnym szpiegiem. Ma okręty, możliwości, a zapewne także ośrodki techniczne i własnych wywiadowców. Co najważniejsze jednak, jest istotą z krwi i kości, a nie żadną nierzeczywistą flotą, rzekomo dryfującą w Mgławicy Piaskowy Krab. Ma motyw i środki – a od niedawna również okazję.

– Istnieje także możliwość – odezwała się pojednawczo Selonianka – że oboje mamy rację. Konspirowanie oznacza zbieranie się wielu osób w tym samym celu. Możliwe, że jedna część spisku to Mara Jade, druga to szczątki imperialnej floty, trzecia to Liga Istot

Ludzkich i tak dalej. Przypuszczam jednak, że oboje się mylimy. Naprawdę w to wierzę, czcigodny Solo.

– Dlaczego tak uważasz, Drackmus? – zapytał zaskoczony mężczyzna.

– Czyż to nie oczywistość? Jeżeli za tym spiskiem stoi Mara Jade, musi kierować nim z miejsca, które sama uznaje za najbardziej odpowiednie. W takim razie musi przebywać teraz tam, gdzie przebywa. Tam, gdzie może najlepiej dbać o pomyślność spisku.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Han.

– W tej chwili – oświadczyła istota – Mara Jade przebywa dokładnie tam, gdzie twoja żona.

ROZDZIAŁ

7.

ZAUFANIE

– Muszę uzyskać dostęp do działającego środka łączności! – oświadczyła Leia Organa Solo strażnikowi, zresztą nie pierwszy raz tego dnia. Stała wpatrzona w niego, z zaciśniętymi pięściami, i nawet nie usiłowała udawać, że nie jest wściekła. Tymczasem mężczyzna kompletnie ją ignorował. Podszedł do stołu i postawił na blacie tacę z obiadem. Leia uświadomiła sobie, że już od wielu dni jest przetrzymywana w jednym z pomieszczeń Korony. Jeszcze niedawno budynek służył jako oficjalna rezydencja koreliańskiego gubernatora, ale Liga Istot Ludzkich przemieniła go w więzienie. Leia pragnęła jak najszybciej odzyskać wolność. – Nie słyszałeś, co powiedziałam? Muszę uzyskać dostęp...

Strażnik Ligi Istot Ludzkich trochę się zasapał –jak zawsze, kiedy przynosił z dołu tacę z jedzeniem. Kiedy postawił ją na stole i złapał oddech, doszedł do wniosku, że może zwrócić uwagę na więźniarkę. Roześmiał się jej prosto w twarz – także zresztą nie pierwszy raz.

– Wiesz, co postanowiłem? – oświadczył szyderczo. – Niczego takiego nie zrobię. Nie udostępnię ci żadnego środka ani nawet półśrodka. Ale coś ci powiem... Nie przestawaj mnie prosić o to samo za każdym razem, kiedy przynoszę ci jedzenie. – Uśmiechnął

się złośliwie. – Mnie to ani ziębi, ani grzeje, a tobie może poprawi samopoczucie. – Popchnął tacę zjedzeniem w jej stronę, po czym sięgnął po tę, na której przyniósł śniadanie. – Jeżeli chcesz, możesz powiedzieć jeszcze raz to samo, kiedy przyniosę ci kolację.

Widocznie wydawało mu się, że powiedział coś wesołego, ponieważ zarechotał na cały głos. Odwrócił się i począpał z powrotem do drzwi gościnnego pokoju, służącego jako tymczasowa więzienna cela. To właśnie w niej Liga Istot Ludzkich przetrzymywała przywódczynię Nowej Republiki.

Zanim doszedł do drzwi, odwrócił się i powiedział:

– Aha, byłbym zapomniał. Zamieniamy miejscami więźniarki w niektórych celach. Wygląda na to, że jedna z nich rzuciła się na swoją towarzyszkę niedoli. Musimy je rozdzielić. Niedługo po obiedzie damy ci kogoś, z kim będziesz mogła porozmawiać.

Roześmiał się jeszcze raz, po czym otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Leia usłyszała cichy szcęk blokowanych zapadek zamka. Zawsze go słyszała. Czasami zastanawiała się, dlaczego jedyną rzeczą, o jakiej nigdy nie zapominali ci niekompetentni głupcy, było blokowanie zamka drzwi jej celi.

Uczyliła wysiłek, żeby się uspokoić. Rozluźniła pięści, wyprostowała palce i trzykrotnie głęboko odetchnęła. Mogła posłużyć się ćwiczeniami Jedi, gdyby pragnęła uspokoić się do końca, ale kłopot w tym, że nie chciała być zupełnie spokojna. Postanowiła, że pozwoli sobie na mały luksus i pozostanie trochę zagniewana.

Nie była ani trochę głodna, a jedzenie sprawiało wrażenie takiej samej jak zawsze, byle jakiej racji polowej, ale zmusiła się, żeby

podejść do stołu, usiąść i zabrać się do jedzenia. Nie mogła pozwolić sobie na to, żeby opaść z sił. Wiedziała, że wcześniej czy później zbiry z Ligi zadecydują, co z nią zrobić, a wtedy będzie musiała być silna, czujna i gotowa. Przełknęła spory łyk zimnej wody, aby popić niesmaczną papkę, jaką znalazła na talerzu, a potem skupiła się i zaczęła myśleć.

Jeżeli miała wierzyć ściśle tajnej wiadomości, Liga zamierzała wywołać eksplozję drugiej gwiazdy, Thanty Zilbry, po upływie trzech i pół tygodnia, o ile Nowa Republika nie zastosuje się do jej ultimatum. Cały kłopot w tym, że wysuwanych żądań nie mógłby spełnić chyba nikt w całej galaktyce.

Leia zastanawiała się, dlaczego w ogóle ktoś wysuwa tak skandalicznie nierealne żądania. I dlaczego przywódcy Ligi mieliby zadawać sobie tyle trudu, by przesyłać jej rzekomo ściśle tajną informację, skoro już następnego dnia ta sama Liga podała do publicznej wiadomości lekko tylko uproszczoną wersję tej samej wiadomości.

Coś w tym wszystkim się nie zgadzało. Albo pewien fragment planu Ligi Istot Ludzkich spalił na panewce – w wyniku czego przywódcy, starając się wyjść z opresji, musieli improwizować najlepiej jak umieli – albo tajna wiadomość miała tylko odwrócić jej uwagę... albo też służyła jakiemuś innemu, dotąd nie znanemu celowi.

Leia skończyła obiad, ale nie potrafiłaby powiedzieć, co jadła. Odsunęła tacę na bok i zmusiła umysł do jeszcze intensywniejszego wysiłku. Nic z tego, co wymyśliła, nie miało jednak sensu.

Problemy, sprzeczności, brak logiki... to wszystko wirowało w jej głowie jak w szaleńczym tańcu. Nie mogła wyłowić niczego, na

czym dałoby się oprzeć rozumowanie. Nie wiedziała, czy spędziła tak dwie minuty, czy dwie godziny, ale ocknęła się dopiero wówczas, kiedy usłyszała szcęk otwieranego zamka drzwi celi.

Aha, przypomniała sobie, strażnik wspominał coś na temat drugiej więźniarki. To dobrze, pomyślała Leia. Z przyjemnością z kimś porozmawia. Zapewne zbiry z Ligi spodziewały się, że uzna przymus dzielenia celi z kimś obcym za coś w rodzaju wyszukanej zniewagi. Może liczyli na to, że wpadnie w złość, ponieważ ktoś pogwałcił sanktuarium osobistej celi przywódczyni Nowej Republiki. Bez względu na to, co myśleli, poczują się rozczarowani. Leia postanowiła, że powita drugą więźniarkę jak wyczekiwanego, od dawna nie widzianego gościa. Wstała, obeszła stół i serdecznie, ciepło się uśmiechnęła.

Kiedy drzwi celi się otworzyły, szczerzący zęby strażnik wepchnął nową towarzyszkę niedoli. Na jej widok Leia zeszywniała, a uśmiech znikł z jej twarzy.

Nowo przybyłą więźniarką okazała się Mara Jade.

Drzwi z hukiem się zatrzasnęły; dwie kobiety stały naprzeciwko siebie w celi, przyglądając się jedna drugiej. Mara Jade. Dlaczego właśnie ona? – zastanawiała się Leia. Udział Mary w ostatnich wydarzeniach wciąż jeszcze nie został do końca wyjaśniony. To prawda, była przemytniczka przekazała im ultimatum, ale nic – poza jej słowami – nie świadczyło o tym, że naprawdę weszła w posiadanie sześcianu informacyjnego, jak powiedziała. Nieco później, podczas ataku na Koronę, zniknęła, żeby pojawić się dopiero następnego ranka: ostrożnie stąpając między stertami gruzu, zeszła po schodach z jednego ze zniszczonych wyższych pięter gmachu. Oświadczyła, że została tam uwięziona poprzedniego dnia

podczas ataku, jaki przypuścili na Koronę buntownicy z Ligi. Także tym razem nic – oprócz jej słów – nie świadczyło, że naprawdę spędziła noc tam, gdzie powiedziała. A teraz pojawiała się w celi Leii. Czy rzeczywiście należało to uznać za przypadek? A może strażnicy postąpili tak celowo? Może wiedząc, że kobiety nie przepadają za sobą liczyli na to, że będą świadkami zabawnych scysji? A może wtrącenie obu kobiet do tej samej celi stanowiło część starannie przemyślanego planu?

Ileż to razy Mara usiłowała dokonać zamachu na życie Luke'a Skywalkera? Niewykluczone, że próby zabicia go należały do odległej przeszłości... a może nie należały? Leia nie była pewna, co o tym wszystkim sądzić.

Pełna dramatycznego napięcia cisza trwała jeszcze kilka sekund. Pierwsza przerwała ją Mara.

– Cześć, Leio – powiedziała, zbliżyła się o krok i lekko kiwnęła głową. Zwracała się do przywódczyni Nowej Republiki po imieniu, ale z tonu głosu i gestów przebijał szacunek. – Cieszę się, że cię widzę.

Nie podeszła bliżej ani nie wyciągnęła ręki na powitanie. Sprawiała wrażenie spokojnej, opanowanej, wypoczętej i najedzonej. Przeżycia ostatnich kilku dni – jeżeli w tym czasie cokolwiek przeżywała – nie pozostawiły na niej najmniejszego śladu. Mara, jak zawsze szczupła i wysoka, poruszała się z wdziękiem zawodowej tancerki. Płomiennorude włosy stanowiły niesamowity kontrast z czernią prostego i obcisłego, szytego na miarę jednoczęściowego kombinezonu.

– Ja też cieszę się, że cię widzę – odparła Leia, chociaż nie potrafiłaby się zdecydować, czy to prawda. Odwróciła się, obeszła

stół i usiadła –jedynie po to, by położyć kres niezręcznej sytuacji. – Przyznaję jednak, że jestem zaskoczona.

– Może ściślej byłoby stwierdzenie, że niezupełnie wiesz, co o tym sądzić – rzekła beznamiętnie Mara, po czym podeszła do stołu i zajęła miejsce naprzeciwko rozmówczyni. – Gdybym była na twoim miejscu, także snułabym domysły na mój temat. Żadna z nas nie jest głupia ani naiwna. Znam kilka dobrych powodów, dla których mogłabyś mnie podejrzewać, a zatem nic, co ci teraz powiem, nie przekona cię, że nie odegrałam w tym wszystkim żadnej roli. Nie wiem, na ile sprawnie posługujesz się Mocą ale nie sądzę, żebyś opanowała umiejętności Jedi do takiego stopnia, aby zapuścić myślową sondę do mojego mózgu.

– Nie na tyle, żebym mogła mieć zaufanie do jej rezultatów – przyznała Leia.

– A zatem obie wróciłyśmy do punktu wyjścia.

– Uważasz więc, że powinnam uwierzyć ci na słowo?

Mara wzruszyła ramionami.

– A widzisz jakieś inne wyjście? O ile się orientuję, nie jesteśmy sojuszniczkami. Możemy być pewne tylko jednego: obie pragniemy się stąd wydostać.

– Uważasz, że mogę być tego pewna?

Mara się uśmiechnęła.

– Tak – odparła. – Możesz. Naprawdę zależy mi na tym, by się stąd wydostać. Im dłużej przebywam w tym więzieniu, tym większe ponoszę straty i tym bardziej cierpią na tym moje interesy. Chyba nigdy nie uważałaś, że w moich osobistych sprawach kłamię albo owijam w bawełnę. Siedząc tu, tracę czas i pieniądze.

– I uważasz, że powinnam się zadowolić tym wyjaśnieniem?

– Nie – rzekła Mara – ale nie potrafię inaczej cię przekonać. Nie jestem wplątana w to, co tu się dzieje. To czyste szaleństwo, ale nie mam z nim nic wspólnego. Jak mogę przekonać cię, że mówię prawdę?

Leia milczała, ale nie przestawała wpatrywać się w twarz rozmówczynie. Odnosiła nieprzeparte wrażenie, że Mara mogłaby zdradzić coś jeszcze, gdyby chciała, ale wszystko wskazywało na to, że nie ma zamiaru powiedzieć na ten temat ani słowa więcej.

– Czy wiesz coś, co oświeciłoby mnie, o co w tym wszystkim chodzi? – zapytała w końcu przywódczyni Nowej Republiki.

– Niewiele – odparła kobieta. – Strażnicy zamknęli mnie na tym samym piętrze, tylko trzy cele dalej. Moja towarzyszka niedoli oskarżyła mnie, że sympatyzuję z Ligą, a ponieważ nasz spór zaczynał się zaostrzać, nasi gościnni gospodarze uznali, że pora przenieść mnie do innej celi. Zapewne nie słyszałam nic więcej niż ty.

– Masz jakąś teorię? – nie dawała za wygraną Leia. – Spędziłam wiele godzin, zastanawiając się nad sytuacją, ale jeżeli chodzi o mnie, to wszystko nie ma sensu. Kawałki łamigłówek nie chcą układać się w logiczną całość. Chciałabym wiedzieć, co ty o tym sądzisz.

Na tak sformułowane pytanie Mara mogła odpowiedzieć, co chciała. Leia zadała je jednak całkiem świadomie. Pragnęła poznać opinię byłej przemytniczki... prawdziwą albo wymyśloną na użytek Leii.

– Prawdę mówiąc, nie mam żadnej teorii – odezwała się jej rozmówczynie. – Wygląda jednak na to, że Dyktator Thrackan Sal-Solo doskonale wie, co robi. Panuje nad sytuacją i, co więcej, zdaje

sobie z tego sprawę. Jest przebiegły i sprytny. Zna się na polityce... przynajmniej na tyle, żeby móc przewidywać rezultaty własnych poczynań. Nie sądzę, żeby musiał cokolwiek robić. Uważam, że wystarczy, jeżeli ogłosi swoje zamiary.

– Na razie jedynym rezultatem jego oświadczenia, że zamierza wyrzucić z planety wszystkie istoty nie będące ludźmi, są zamieszki – rzekła Leia. – Jego słowa wzmogły wzajemną nienawiść wszystkich trzech ras. Nastroje uległy radykalizacji. Jeśli ktoś jest zmuszony radzić sobie w ekstremalnych sytuacjach, zdobywa się na ekstremalne posunięcia.

– Podejrzewam jedno: wydając to oświadczenie, Sal-Solo spodziewał się, że doprowadzi właśnie do takiej sytuacji – stwierdziła Mara. – Może po prostu chce, żeby obarczono całą winą Nową Republikę. Z pewnością zależy mu na tym, żeby przedstawić w jak najgorszym świetle siebie.

– Nigdy w to nie wątpiałam – przyznała Leia. – Obmyślił wszystko w taki sposób, żeby zmusić mnie do wybrania jednego z dwóch politycznie i fizycznie niemożliwych rozwiązań. Mam dopuścić, żeby tysiące, a może nawet miliony niewinnych istot zginęło, kiedy ich słońce stanie się supernową, albo zmusić do opuszczenia rodzinnych domów inne miliony równie niewinnych obywateli. Bez względu na to, co wybiorę, dobra opinia, jaką dotąd cieszy się w galaktyce Nowa Republika, zostanie poważnie nadszarpnięta, a może nawet nieodwracalnie zepsuta.

– Możliwe, że taki obrał sobie ostateczny cel – przyznała jej rozmówczyni. – Unicestwienie Nowej Republiki. Zamierza ogłosić niepodległość koreliańskiego sektora. Wydaje mu się, że im słabsza

Nowa Republika, tym większe szanse, żeby jego niepodległy sektor przetrwał próbę czasu.

– A zatem uważasz, że nie bardzo przejmuję się tym, co się stanie, ani tym, co zrobię, byleby tylko mógł obarczyć nas całą winą – rzekła Leia. – Czy dobrze cię rozumiem?

– To jedna z możliwych teorii – przyznała Mara Jade.

– Tyle że nie możemy nic zrobić, dopóki siedzimy zamknięte w tej celi – mruknęła Leia. – Jaki może mieć interes w przetrzymywaniu nas tutaj?

– Rzeczywiście nie widzę żadnego – odpowiedziała kobieta. – A zatem nie spodziewam się, żebyśmy miały tu spędzić dużo czasu. Prawdopodobnie wydał rozkaz swoim żołnierzom, aby strzegli Korony, dopóki nie upewni się, że panuje nad sytuacją. Potem poleci strażnikom, żeby się wycofali, a jeszcze później wyłączy urządzenia zagłuszające. Ty i Micamberlecto będziecie mogli wtedy wydawać rozkazy, jakie zechcecie... dowódcom wszystkich oddziałów, z którymi zdołacie się porozumieć. Obawiam się jednak, że nie będziecie mieli komu wydawać tych rozkazów. Staniecie się pionkami na jego szachownicy. Co więcej, nie zdołacie wydostać się z systemu. Nie zapominaj o polu interdyscyjnym. Sal-Solo z pewnością go nie wyłączy. Pole nie pozwoli wam odlecieć, a waszym przyjaciółom przybyć na ratunek.

– Pole interdyscyjne nie powstrzyma wojsk Nowej Republiki przed interwencją – oświadczyła Leia. – Może tylko trochę opóźni jej moment. Nieważne, czy będą musieli spędzić miesiąc, dwa czy trzy miesiące lecąc z prędkością podświetlną.

– Leio... pani przywódczyni – odezwała się poważnie Mara Jade.
– Z całym szacunkiem, ale znam się dobrze na wszystkim, co

dotyczy handlu. Dobrze wiem, że informacja stanowi krwiobieg mojej działalności. Wiem zatem, że w tej chwili republikańskie okręty nie są zdatne do walki. Naprawdę uważasz, że twoi wrogowie, skoro potrafili złamać osobisty szyfr przywódczyni Nowej Republiki, nie wiedzą także o bolączkach twojej floty?

– Możliwe, że wiedzą nawet więcej – przyznała Leia. – A zatem, nawet jeżeli Thrackan nas uwolni, z pewnością zechce nas śledzić, żeby wiedzieć, co zrobimy. Spróbuje zastraszyć mnie i zmusić, żebym przystąpiła do negocjacji, a kiedy się zgodzę, przystawi mi do skroni wylot lufy Mastera. – Umilkła i zastanowiła się. – Nic z tego – oświadczyła w końcu z mocą. – Mowy nie ma. Muszę się stąd wydostać, zanim to się stanie.

Mara Jade obrzuciła ją przenikliwym wzrokiem.

– Do tego samego zmierzałam – powiedziała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Leia, która natychmiast nabrała nowych podejrzeń. – Ułożyłaś jakiś plan, prawda?

Mara zawahała się, ale po chwili wzruszyła ramionami.

– Poddaję się – rzekła. – Chyba nie umiem cię w to wtajemniczyć tak, żeby nie wyglądało, iż wszystko z góry obmyślałam. Powiem więc, a ty sama zdecydujesz, co o tym sądzić. Na pokładzie swojego statku, „Ognistej Jade”, kazałam zainstalować obwód podporządkowania.

Leia popatrzyła na Marę; tym razem myślała o wszystkim innym, tylko nie o wyglądzie swojej rozmówczyni. Nagle w jej sytuacji otworzyło się kilkanaście nowych możliwości. Obwód podporządkowania był, krótko mówiąc, urządzeniem do zdalnego sterowania gwiazdnym statkiem. Najprostsze umożliwiały tylko

zdalne naprowadzanie na cel. Przyciskało się guzik, a statek sam przylatywał. Bardziej skomplikowane obwody podporządkowania pozwalały na zdalne kierowanie pracą wszystkich ważniejszych pokładowych urządzeń i podzespołów.

Z początku Leia nie wiedziała, jak zareagować na tę sensacyjną informację. Nie musiała mieć bujnej wyobraźni, żeby odgadnąć wszystkie związane z nią możliwości zastawienia pułapki. Nie powinna być zdziwiona tym, że Mara dysponuje takim urządzeniem; jednak jeżeli je miała, dlaczego go dotąd nie wykorzystała?

– Gdzie masz sterownik? – zapytała, nie spuszczając oczu z byłej przemytniczki.

– Ukryłam go... dobrze ukryłam... w swoim apartamencie na dwunastym piętrze. Po wybuchu powstania nie miałam szansy tam wrócić. Jeżeli już o tym mowa, nadal nie widzę żadnej szansy.

– Ja także – zgodziła się z nią Leia. – Chyba że wymyślisz sposób przenikania przez zamknięte drzwi albo prześlizgiwania się cicho jak duch obok rozstawionych przy schodach posterunków. Domyślam się, sądząc po numerze drzwi mojego pokoju, że przebywamy na osiemnastym piętrze. Wiem również, że kwatery strażników Ligi znajdują się na szesnastym albo siedemnastym.

– Skąd wiesz?

– Miałam apartament na piętnastym – ciągnęła Leia. – Zanim mnie uwięziono, widziałam, jak wyglądał budynek po ostrzale. Piętnasty poziom przypominał stertę gruzów, a wszystkie inne między ósmym a piętnastym były chyba w jeszcze gorszym stanie. Oznacza to, że strażnicy nie mogą mieć kwater na piętrze niższym niż szesnaste. Ten, który przynosi mi jedzenie, wspominał, że musi

wspinać się po schodach. Ilekroć się pojawia, z trudem łapie oddech, jakby pokonał co najmniej jedno piętro.

– I co? – zapytała Mara. – Tylko na tym opierasz swoje rozumowanie?

– Wydaje się całkiem przekonujące – obruszyła się Leia. – Mówiliśmy jednak o twoim sterowniku. Skąd wiesz, że strażnicy jeszcze go nie znaleźli?

– Wątpię, żeby ta banda zbirów potrafiła odnaleźć w ciemnościach własne głowy – parsknęła była przemytniczka. – Odniosłam wrażenie, że o wiele bardziej interesuje ich przeszukiwanie pomieszczeń i chowanie do kieszeni wszystkiego, co ma jakąkolwiek wartość.

Leia myślała intensywnie jak chyba jeszcze nigdy, odkąd została uwięziona. Stopniowo w jej głowie zaczynał świtać pewien pomysł.

– To nic pewnego... ale możliwe, że pomogłabym ci odnaleźć ten sterownik – odezwała się w pewnej chwili. – Jeżeli to zrobię... jeżeli okaże się, że urządzenie jest nadal tam, gdzie je ukryłaś, czy potrafisz sprawić, żeby zadziało?

– Jak chcesz mi pomóc w jego odzyskaniu? – zainteresowała się jej rozmówczyni.

– Na razie powinno ci wystarczyć, że jest taka szansa – odrzekła Leia. W jej planie istniała bądź co bądź poważna luka. – Jak sądzisz – ciągnęła – czy twoje urządzenie zdoła sobie poradzić z zakłócaniem sygnałów?

– Liga Istot Ludzkich nie jest pierwszą organizacją, która zakłóca sygnały komunikatorów – odparła Mara. – Mój sterownik wykorzystuje nie tylko fale elektromagnetyczne. Umożliwia także przesyłanie sygnałów laserowych i funkcjonuje prawidłowo, jeżeli

nadajnik i odbiornik znajdują się w zasięgu wzroku. – Mara wstała od stołu, podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Wyciągnęła rękę i pokazała coś w dali. – Tam znajduje się kosmoport – oznajmiła. – Mój statek jest tylko kropką na horyzoncie, ale widzę go doskonale. „Ognista Jade” nadal tam stoi, unieruchomiona i zabezpieczona, jak ją zostawiłam. Przyleci, o ile zdołam wymierzyć w nią antenę sterownika. Możliwe, że wskutek zagłuszania nie obejdzie się bez kłopotów, ale jestem pewna, że ją tu sprowadzę.

– A zatem uważasz, że jeśli zdobędziesz to urządzenie, sprowadzisz swój gwiazdny statek – podsumowała przywódczyni Nowej Republiki.

– Zawsze coś może pójść nie po mojej myśli, ale powiedziałabym, że szanse powodzenia są bliskie dziewięćdziesięciu pięciu procent.

– Problem w tym, czy potrafiłabyś sprowadzić go tak blisko budynku, żebyśmy mogły dostać się na pokład? – zaniepokoiła się Leia.

Mara zmarszczyła brwi.

– To może okazać się trochę trudniejsze – stwierdziła po chwili. – Uważam jednak, że możliwe, a prawdopodobieństwo powodzenia oceniam na jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

– To więcej niż mamy w tej chwili, siedząc w tej celi – zauważyła Leia.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak zamierzasz przedostać się do pomieszczenia, gdzie ukryłam sterownik – przypomniała Mara.

Leia znów wbiła podejrzliwy wzrok w byłą przemytniczkę. Nadal nie miała żadnego dowodu, że kobiety nie łączy nic z Ligą Istot Ludzkich, ale teraz wierzyła jej jakby odrobinę bardziej niż poprzednio. Przypuśćmy jednak, że apartament Mary nie znajdował

się na dwunastym piętrze. Co wówczas powinna uczynić? Czy bardzo pogorszyłaby własną sytuację? W najgorszym wypadku mogła stracić życie. Nie byłby to najprzyjemniejszy los, ale zapewne najkorzystniejszy dla interesów Nowej Republiki. Zamordowanie przywódczyni byłoby lepsze niż postawienie jej przed koniecznością wyboru między przyzwoleniem na śmierć milionów niewinnych istot a zmuszeniem milionów innych do opuszczenia własnych domostw. Leia mogła więc zaryzykować śmierć, jeżeli istniał choćby cień szansy, że ucieczka zakończy się powodzeniem.

– Potrzeba nam będzie wiele szczęścia – odezwała się w końcu. – Musimy dokładnie zaplanować każde posunięcie. Siadaj tutaj. Zabierzmy się do opracowania szczegółów planu.

ROZDZIAŁ

8.

TRUDNIEJSZY SPOSÓB

– Zaczynam ja się zastanawiać, czy powinna była powiedzieć chociaż słowo o okolicznościach twoja żona – odezwała się Drackmus.

– Twierdziłaś, że jeżeli będziesz więcej używać basica, to się wprawisz – przypomniał Han Solo, nie przestając przechadzać się tam i z powrotem po celi.

– Och, ja by się poprawiłam – zapewniła go Selonianka – gdyby czcigodny Solo, zachowując się tak nerwowo, nie doprowadzał mnie do szkwału.

– Do szału – poprawił ją Han. – Poprawnie mówi się: „Doprowadzać kogoś do szału”.

– Do szału czy do szkwału, wprawiasz mnie w załomotanie.

– Zakłopotanie – rzucił mimochodem Han i przystanął, żeby chyba setny raz przyjrzeć się drzwiom celi. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– Zaiste tak – przyznała istota.

– Posłuchaj – rzekł mężczyzna. – Chyba wiem, co zrobimy. Zawsze kiedy przynoszą nam jedzenie, pojawia się dwóch strażników. Jeden niesie tace, a drugi osłania go, mierząc do nas z

blastera. Zabiorę swoją tacę z raje pierwszego strażnika i rzucę w twarz drugiemu. Tamten uchyli się, żeby uniknąć trafienia, a wtedy ja wyszarpnę mu blaster. W tym czasie ty powalisz silnym ciosem pierwszego strażnika i zabierzesz jego blaster. Później oboje wyjdziemy na korytarz i...

– A kiedy ty będziesz bohaterko ciskał tacą ze smakołykami w pierwszych dwóch strażników, trzeci, czwarty i piąty, a może także szósty i siódmy prześwidrują nas setkami blasterowych strzałów – przerwała mu Drackmus i spokojnie usiadła na swojej pryczy. – A na zdarzenie, gdyby wszyscy chybili, wyjścia zostaną zablokowane na twardo, a potem inni strażnik goni nas i pochwyca.

Han spiorunował gniewnym spojrzeniem towarzyszkę niedoli.

– Wiesz co? – zapytał. – Jakoś nie bardzo mi pomagasz.

– Bardziej niż może ci się wydaje – odcięła się istota. – Cierpliwość, czcigodny Solo. Wszystko, co wymagane w tej chwili, to drobina cierpliwości.

– Cierpliwości? – wybuchnął Han. – Przecież to ty mi przypomniałaś, że moja żona cierpi katusze, dręczona przez tę podłą Marę Jade. Muszę się stąd wydostać, żeby ostrzec ją i uratować...

– Martwy ty nie zdołasz zrobić tego – zauważyła Selonianka. – Martwa ja także nic nie zrobię, a chciałabym zrobić coś więcej niż nic. Twoje szalone plany zabiją nas oboje. Pozostać spokojny. Pozostać spokojny.

– Spokojny? – powtórzył Solo. – Jak mogę zachowywać spokój, skoro...

Nagle istota zerwała się na równe nogi. Przekrzywiła głowę, jakby nasłuchiwała. Równocześnie gestem dała znak Hanowi, by był cicho.

– Proszę, cisza! – powiedziała.

Han wytrzeszczył oczy na Drackmus, nie wierząc własnym uszom.

– Co, u...

– Szszsz! – powtórzyła Selonianka. – Cisza!

Han zamarł jak sparaliżowany i także zaczął nasłuchiwać. W końcu i on usłyszał... bardzo ciche, dobiegające z daleka mruczenie, od czasu do czasu przerywane głośniejszym szcęknięciem.

Drackmus odwróciła się do mężczyzny i obnażyła wszystkie zęby w budzącym grozę seloniańskim odpowiedniku uśmiechu.

– Czy jesteś słyszający to? – zapytała. – Zastanawiam się, co by to mogło oznaczać.

– Jesteś gotowa? – zapytała Mara.

Leia uśmiechnęła się blado.

– Nie bardzo, ale domyślam się, że już bardziej nie będę – powiedziała. – Miejmy nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Musiały przyznać, że ich plan jest bardziej logiczny niż praktyczny. Wiedziały, że teoretycznie wszystko powinno się udać. W praktyce jednak wiele rzeczy mogło pójść nie po ich myśli.

– A zatem zaczynajmy – oświadczyła była przemytniczka.

Koronę zaprojektowano i wzniesiono jako oficjalną rezydencję generalnego gubernatora, a nie więzienie. Dzięki temu budynek nie miał cel, za to mnóstwo gościnnych pokoi i apartamentów, różniących się wielkością i wyposażeniem. W luksusowo urządzonej apartamentach lokowano zazwyczaj tylko najznakomitszych gości. Mniejsze pomieszczenia, w których strażnicy Ligi Istot Ludzkich przetrzymywali więźniów z Nowej

Republiki, wyglądały mniej więcej jak konwencjonalne pokoje hotelowe. Nie miały w oknach prętów ani krat, a wszystkie łóżka były starannie zaścielone. Teraz, kiedy zapadła noc, Leia i Mara postanowiły wykorzystać obie te zalety.

Skończyły właśnie wprowadzać w życie pierwszy punkt swojego planu. Ściągnęły z obu łóżek prześcieradła i powłoczki, a potem – posługując się tęnym nożem, który Leia ukradkiem ściągnęła z pustej tacy, zanim zwróciła ją strażnikowi – pocięły je na wąskie, długie pasy. Następnie związały końce, dzięki czemu otrzymały coś w rodzaju niezgrabnej liny. Liczyły na to, że lina okaże się bardziej wytrzymała niż wskazywałby na to jej wygląd.

Etap drugi okazał się trudniejszy. Istniały sposoby wybicia szyby w oknie tak, aby nie narobić hałasu, ale żaden nie był niezawodny. Byłoby o wiele lepiej, gdyby mogły po prostu otworzyć okno, ale okazało się, że strażnicy Ligi pomyśleli i o takiej ewentualności. Nie mając dość czasu na wstawienie prętów albo krat, najzwyczajniej w świecie przyspawali metalową ramę każdego okna do futryny. Wszystko wskazywało jednak na to, że pracowali w pośpiechu. Jedno z okien pokoju Lei i zostało wprawdzie przy spawane solidnie i chyba nic nie zdołałoby uszkodzić spoiny, ale drugie sprawiało wrażenie przymocowanego byle jak. Kropla spoiwa łączącego ramę z futryną wyglądała, jakby miała poddać się już przy pierwszej próbie.

Okazała się jednak bardziej wytrzymała, niż można byłoby sądzić na pierwszy rzut oka. Pracując na zmianę, obie więźniarki spędziły ponad dwadzieścia minut na usiłowaniach podważenia jej i oderwania. Najpierw Mara, potem Leia, a później znów Mara próbowały wcisnąć ostrze noża w szczelinę między dwiema

metalowymi płaszczyznami. Ich wysiłki okazywały się nieskuteczne – jeżeli nie liczyć fantazyjnie wygiętej klingi noża, połamanych paznokci, posiniaczonych palców i kilku głębokich rys, wyrytych w ramie i framudze.

Kiedy Leia znowu zabrała się do roboty, już chciała zaryzykować i wybić szybę, gdy niespodziewanie usłyszała, że spoina z trzaskiem pęka na połowę. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu i spojrzała na Marę, po czym bezszelestnie uniosła szklaną tafelę. Następną sekundę zajęło rozdarcie przeciwodblaskowej osłony.

A jeszcze później obie przystąpiły do wykonania najtrudniejszej części planu.

Przymocowały jeden koniec sporządzonej naprędcy liny do ramy łóżka. Leia przewiązała się prowizorycznym pasem, który miał pomagać jej przy schodzeniu, i wsunęła pod niego linę. Przeciągnęła ją prawie do końca, a potem podeszła do parapetu i z całej siły szarpnęła, pragnąc upewnić się, że utrzyma ciężar jej ciała. Później przerzuciła drugi koniec liny przez krawędź okna.

– Życz mi szczęścia – powiedziała, zwracając się do Mary.

– Będzie ci potrzebne – zapewniła była przemytniczka. – Mnie także. Mimo wszystko schodzę następna.

Leia przełknęła z trudem ślinę, a potem wspięła się na parapet. Przełożyła nogi przez krawędź okna i postawiła stopy na kamiennym występie poniżej. Trzymając jedną dłoń framugę, a drugą linę, zamarła na chwilę i rozejrzała się dookoła. Noc była pogodna i dość chłodna. Wiatr chwilami się wzmaczał, rozwiewając jej włosy. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ulice, place i zabudowania Koronetu... bała się jednak spojrzeć pod nogi. Woląa skierować spojrzenie na horyzont. Przekonała się, że może spoglądać w tamtą

stronę bez żadnych obaw. Widoku nie przesłaniała szyba, więc wszystko wydawało się ostrzejsze i wyraźniejsze, jakby bliższe niż w rzeczywistości.

W stolicy panowała głucha cisza. Wywierało to niesamowite wrażenie. Zamiast odgłosów ruchu ulicznego, niesionych wiatrem okrzyków, dolatującej od czasu do czasu muzyki Leia słyszała tylko stłumiony, monotony szum morskich fal, rozbijających się o brzeg gdzieś daleko, pod samym horyzontem. Spojrzała uważniej w tamtą stronę i dopiero wówczas dostrzegła granicę między lądem a wodą. Zauważyła nawet białe grzywacze fal, majestatycznie sunące ku brzegowi. Potem znowu zwróciła spojrzenie na miasto.

Całe dzielnice były ciemne, jakby wymarłe. Gdzieś tam tylko płonęły punkciki świateł. W tę pogodną, chłodną noc całe miasto sprawiało wrażenie na poły opustoszałego. Możliwe, że właśnie tak jest naprawdę, pomyślała przywódczyni Nowej Republiki. Z pewnością do tej pory wszystkie obdarzone choćby odrobiną zdrowego rozsądku obce istoty wyprowadziły się z miasta albo starannie ukryły.

Leia nie wyszła jednak za okno po to, żeby podziwiać panoramę wyludnionej stolicy. Jeszcze raz upewniła się, że prowizoryczna lina jest w odpowiednich miejscach umocowana do pasa, i głęboko odetchnęła. Sprawdziła jeszcze raz szarpnięciem wytrzymałość liny, wreszcie chwyciła ją oburącz z całej siły, zeskoczyła z kamiennej półki i odpychając się stopami od ściany, zaczęła zjeżdżać. Miała nadzieję, że ani ona, ani Mara nie pomyliły się w ocenie odległości i że lina okaże się wystarczająco długa, aby można było zejść po niej na piętnaste piętro.

Schodzenie – przynajmniej na początku – okazało się łatwiejsze niż się spodziewała. Prowizoryczna lina utrzymywała ciężar jej ciała, a rozmieszczone w jednakowych odległościach węzły sprawiały wrażenie mocno zaciśniętych. Bez wyczuwalnego oporu prześlizgiwały się pod pasem i ocierały o ubranie. Na razie zatem wszystko przebiegało po jej myśli. Ostrożnie i powoli Leia opuszczała się coraz niżej. Znieruchomiła, kiedy stopy znalazły się na wysokości górnej framugi okna siedemnastego piętra. Oparła się czubkami palców o biegnący tam kamienny występ i przesunęła się nieco w prawo. Zależało jej nie tylko na tym, żeby nie zauważył jej nikt wyglądający akurat przez okno; nie chciała też uderzyć stopą w szklaną tafłę. W normalnych okolicznościach szkło zapewne by wytrzymało, ale niedawno budynek został ostrzelany i uszkodzony. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że futryna albo rama okna mogła być nadwątlona.

Chociaż przyszło jej to z niejakim trudem, Leia zdołała przejść poza obręb okna. Musiała pokonać siłę ciężenia, która uparcie kierowała linę pionowo w dół od punktu zaczepienia. Na szczęście uciekinierka mogła opierać się barkiem o kamienny występ, biegnący wzdłuż pionowej krawędzi ramy. Odetchnęła i ostrożnie zaczęła opuszczać się jeszcze niżej.

Nagle nadleciał silniejszy podmuch wiatru, z przeciwnej strony niż do tej pory. Trwał tylko kilka sekund, ale to wystarczyło, żeby przeniknął jej ciało zimnem do szpiku kości. Co gorsza, rozwiane włosy smagnęły ją po twarzy i prawie oślepiły. Upewniwszy się dokładnie, że zdoła utrzymać linę tylko lewą dłonią, Leia rozluźniła palce prawej. Dopiero jednak kiedy stwierdziła, że lina sienie przesuwa, oderwała od niej prawą dłoń, odgarnęła pasemka włosów

z twarzy i wcisnęła je – najlepiej jak umiała – znów za uszy. Przy okazji uświadomiła sobie, jak bardzo zmarzły i zdrętwiały jej palce.

Spojrzała w dół, ale tylko na górny gzyms okna pod stopami. Uchwyciła oburącz linę, odepchnęła się od ściany i z ogromną ulgą przekonała się, że okno jest zasłonięte. Wiedziała jednak, że cały czas powinna być czujna i ostrożna. Na wysokości szesnastego czy siedemnastego piętra panowała taka cisza, że każdy szmer, szelest albo stuk słyszało się bardzo wyraźnie.

Oparła stopy na kamiennym występie i postanowiła, że kilka chwil odpocznie. Ucieszyła się, że znów stoi na czymś solidnym, a nie wisi. Mimo iż stała nieruchomo, nie mogła pozwolić sobie nawet na sekundę nieuwagi. Musiała się liczyć z tym, że potknie się albo poślizgnie... i runie. Z kamiennej półki mógł także oderwać ją silniejszy podmuch wiatru. Leia musiała cały czas pilnować, żeby lina była chociaż trochę naprężona. Gdyby przerwała się albo rozwiązała, Leia spadłaby z wysokości szesnastego piętra. Ale i tak stanie na występie było lepsze niż huśtanie się na linie.

Leia spróbowała potrząść dłońmi o linę, żeby choć trochę rozgrzać zgrabiące palce, a kiedy to nie pomogło, zaczęła ogrzewać je ciepłym oddechem. Liczyła na to, że w ten sposób przywróci w nich krążenie krwi. Nie mogła przecież stać tak w nieskończoność. Ostrożnie rozprostowała i zgięła palce – najpierw jednej, a potem drugiej dłoni. Wreszcie chwyciła węzlastą linę oburącz i odepchnąwszy się od kamiennego występu, ponownie powierzyła jej cały ciężar ciała.

Niemal natychmiast uświadomiła sobie, że dzieje się coś złego. Lina zamiast naprężać się, zdawała się wydłużać. Rozciągała się odrobinę pod ciężarem ciała, ilekroć uciekinierka odpychała się od muru Korony. Nie wróżyło to niczego dobrego. Absolutnie niczego.

Jeżeli lina rozciągnie się za bardzo, zwiększonego obciążenia może nie wytrzymać najpierw jedno włókno, które trzaśnie, na skutek czego osłabi sąsiednie. Powstanie mała dziura, powiększy się, a potem...

Leia spojrzała w dół – prosto w dół – i natychmiast tego pożałowała. Jeżeli lina się zerwie, ona runie na bruk i tak będzie wyglądał koniec jej niecodziennej eskapady.

– Nie poddawaj się – szepnęła, zwracając się do liny. – Nie musisz mnie zabijać. Jest tyle innych rzeczy, które mogą cię w tym wyręczyć.

Możliwe, że jedną z nich okaże się schodzenie po ścianie budowli na wysokości szesnastego piętra. Jeżeli jej podejrzenia są uzasadnione, właśnie tam mieszczą się kwatery żołnierzy Ligi Istot Ludzkich. Leia spojrzała ostrożnie w dół i zobaczyła tuż pod stopami górną krawędź okna na szesnastym piętrze. Z przerażeniem zauważyła, że ozdobiona węzłami lina kołysze się dokładnie na tle oświetlonego prostokąta okna. Zakłęta cicho, zastanawiając się, jak mogła pozwolić sobie na taką nieuwagę.

To nic. To nic. Najważniejsze, żeby się nie przejmować. Postawiła stopy na gzymsie nad oknem i przesunęła się w bok – tak daleko, jak mogła. Modliła się, żeby wiatr wiał w taki sposób, aby końca liny nie zauważył nikt przebywający wewnątrz... ani nikt wyglądający przez sąsiednie okno, ale na to nie mogła nic poradzić. Starając się opierać barkiem o kamienny występ biegnący równolegle do pionowej krawędzi ramy, zaczęła ostrożnie schodzić jeszcze niżej. Kątem oka zerknęła do oświetlonego pokoju i z przerażeniem stwierdziła, że zasłony nie są zasunięte. Co gorsza, zauważyła co najmniej czterech strażników Ligi. Na szczęście wszyscy spali albo

drzemali, wyciągnięci na standardowych polowych pryczach, jakich wiele pozostawiło Imperium.

Leia głęboko odetchnęła i zaczęła schodzić dalej. Zachować ciszę... Poruszać się ostrożnie i powoli jak duch... O, tak. Coraz niżej. Coraz niżej. Górny gzyms niższego piętra. Postawić stopy... Odpocząć, ale tylko chwilę... Oprzeć się pokusie, żeby spędzić tu więcej czasu niż to absolutnie konieczne, tylko złapać oddech i jeszcze raz rozprostować zgrabiące palce. A potem w dalszą drogę.

Leia odepchnęła się od kamiennej półki i opadła na wysokość piętnastego poziomu – piętra, na którym umieszczano zwykle najznakomitszych gości. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że apartamenty tutaj są dwukrotnie wyższe niż te na wyższych piętrach. Zapewne chodziło o to, żeby dostojni goście czuli się odpowiednio zaszczyceni. To właśnie na tym poziomie znajdował się jej apartament. Leia nie spodziewała się, że trafi akurat na swoje okno... i miała rację.

Liczyła jednak, że będzie miała trochę szczęścia i trafi na okno z wybitą szybą. Piętnaste piętro zostało podczas ataku najbardziej zniszczone, a Leia nie przypuszczała, żeby zbiry z Ligi spędzały wolne chwile pracowicie wstawiając nowe szyby. Tak, jest szansa, że bez trudu dostanie się do środka.

Kiedy minęła kamienny występ i spojrzała w bok, odetchnęła z prawdziwą ulgą. Przekonała się, że szyby we wszystkich oknach są wybite albo wypchnięte siłą eksplozji. W niektórych oknach powiewały zasłony, tarmoszone podmuchami wiatru. Leia się ucieszyła. Nareszcie szczęście jej dopisało. Powinna bez trudu dostać się do któregoś apartamentu. Cały kłopot w tym, że zapomniała, iż wszystkie pomieszczenia na tym poziomie są dwukrotnie wyższe niż

na innych piętrach. Oznaczało to, że jeżeli chce postawić stopy na kamiennym występie pod oknem, musi pokonać jeszcze jedno piętro. Wiedziała, że prowizoryczna lina ma taką długość, na jaką pozwalały pocięte prześcieradła, ale nie miała pojęcia, czy to wystarczy, żeby pokonać tak dużą odległość. Zaryzykowała i spojrzała w dół, ale nie mogła ocenić, ile jeszcze liny zostało. Było zbyt ciemno, a koniec liny kołysał się, szarpany podmuchami wiatru.

Nagle, przy kolejnym odepchnięciu się od muru, stopa Leii zsunęła się z gzymsu. Natychmiast jej ciało oderwało się od ściany i zaczęło wirować, w miarę jak lina skręcała się i rozkręcała. Przy okazji kilkakrotnie obilo się o kamienną ścianę. W pewnej chwili Leia poczuła, że opada jakieś pół metra. Domyśliła się, że zapewne jakiś węzeł liny, który przedtem zahaczył o jedną z czterech kamiennych półek nad jej głową, teraz ominął przeszkodę.

Ocierając się ciałem o mur, Leia zdołała unieruchomić wirującą linę. Znow musiała oprzeć się pokusie, żeby choć przez chwilę złapać oddech i odpocząć. Bała się, że chwycą ją dreszcze, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Uświadomiła sobie jednak, że teraz prowizoryczna lina ociera się o cztery kamienne półki nad jej głową. Przy każdym takim otarciu może rozwiązać się albo przerwać. Leia powinna zatem jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Na szczęście bardzo blisko, tuż pod jej stopami, znajdował się duży, pozbawiony szyb otwór. Zapewne szkło wyleciało razem z ramą i framugą. Nie miała wyboru; musiała się tym zadowolić. Odpychając się od muru, zaczęła schodzić, ale w pewnej chwili stwierdziła, że nie widzi ściany przed sobą. Wisiała dokładnie naprzeciwko wyrwanego okna.

Modląc się w duchu, żeby jakiś przypadkowy podmuch nie zakołysał liną ani nie wprowadził jej w ruch obrotowy, ześliznęła się jeszcze niżej.

W okiennym otworze powiewały ciężkie zasłony, targane coraz silniejszymi podmuchami. Leia bała się w nie wplątać. Usiłowała kopniakiem odsunąć kotary na bok, ale wiatr ponownie otulił nimi jej ciało. Leia kopnęła je drugi raz, a potem trzeci i czwarty... i nagle przekonała się, że zasłony powiewają nad jej głową. W tej samej sekundzie znów ją oślepiło, kiedy silniejszy podmuch nadleciał z przeciwnej strony, wyszarpnął jej włosy z za uszu i smagnął ją nimi po twarzy.

A później uciekiniarka uderzyła stopą o kamienny występ – tak silnie, że o mało nie złamała sobie jakiejś kości. Jednak Leia chyba jeszcze nigdy w życiu nie powitała z większą radością dotkliwego bólu. Postawiła stopy na kamiennej półce... i dopiero wtedy zauważyła, że prowizoryczna lina kończy się zaledwie metr poniżej występu. To się nazywa niewielki margines bezpieczeństwa, pomyślała. Jakaś płachta – tym razem chyba firanka – znów smagnęła ją po twarzy, ale Leia nawet nie zwróciła na to uwagi. Zamknęła oczy i usiłowała się odprężyć. Kilka chwil stała absolutnie nieruchomo.

Nie było czasu na nic więcej. Odepchnęła firankę na bok, przeszła przez wyszczerbiony mur i stanęła na okiennym parapecie. Wyciągnęła koniec liny spod pasa, a potem trzykrotnie szarpnęła. Odczekała moment, po czym powtórzyła czynność, a po kolejnych kilku chwilach pociągnęła za linę jeszcze trzy razy. Wysłała w ten sposób Marze umówiony sygnał, że dotarła na piętnaste piętro cała i zdrowa.

Chwilę później Mara potwierdziła odbiór sygnału; lina w dłoniach Leii naprężyła się trzy razy.

Starając się nie nadepnąć na odłamki szkła, rozsypane wszędzie po podłodze, Leia ześliznęła się z parapetu i rozejrzała po apartamencie. Wiedziała, że zaraz musi znów podejść do okna, aby pomóc Marze, ale postanowiła wykorzystać te kilka chwil, żeby się uspokoić.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem i może właśnie to sprawiało, że czuła się przerażona. Przemarzała do szpiku kości, a dłonie miała zgrabiące z zimna, posiniaczone i pocięte. Prawdopodobnie skręciła sobie nogę w kostce i przynajmniej dwukrotnie o mało nie spadła. Poza tym wszystko przebiegało po jej myśli.

Żałowała, że nie potrafi posługiwać się Mocą Jedi w takim stopniu jak jej brat, Luke Skywalker. Gdyby swego czasu doskonaliła umiejętności, zapewne teraz uniosłaby się w powietrzu i opadła na wysokość piętnastego piętra lekko jak piórko wzdłuż pionowej ściany. Możliwe nawet, że jedną ręką trzymałaby Marę, a drugą rękę świeżość świetlnego miecza. Z dokonaniem takiej sztuki miałby zapewne trudności sam mistrz Jedi, ale w tej chwili Leia nie chciała się nad tym zastanawiać. Wiedziała, że jej umiejętności Jedi są więcej niż skromne, a więc nie może mieć do nich zaufania... szczególnie w tak krytycznej chwili.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Leia zauważyła, że na podłodze leży przewrócone krzesło. Postawiła je, zgarnęła z siedzenia szklany pył i usiadła. Na razie wszystko szło dobrze. Możliwe, że już niedługo wydarzy się coś, czego żadna z uciekinierek nie przewidywała, ale przynajmniej pierwsza część

planu została wykonana... o ile oczywiście Mara nie wciągała przywódczyni Nowej Republiki w nieprawdopodobnie skomplikowaną pułapkę. Leia miała nadzieję, że na korytarzu Korony nie czają się uzbrojeni strażnicy, którzy nagle wyłamią drzwi i zastrzelą ją „podczas próby ucieczki” czy pod innym pretekstem.

Nie poczuła się lepiej, kiedy o tym pomyślała, ale doszła do wniosku, że najwyższy czas, aby podejść do okna i przekonać się, jak radzi sobie Mara. Aby wychylić się przez nie istniejące okno, wskoczyła na parapet. Zauważyła, że koniec smaganej podmuchami wiatru liny zatacza się jak pijany. W pierwszym odruchu chciała pochwycić go i przytrzymać nieruchomo, ale uświadomiła sobie, że nie wie, czy w ten sposób ułatwi Marze schodzenie, czy utrudni. Postanowiła więc, że nie unieruchomi liny, ale tylko postara się, by za bardzo nie odchyłała się od pionu. Dobrze będzie za to odsunąć zasłony i firanki. Uporała się z tym w ciągu kilku sekund, po czym znów wychyliła się i spojrzała w górę, aby upewnić się, jak radzi sobie była przemytniczka.

W miarę jak Mara schodziła niżej i niżej, koniec liny kołysał się coraz energiczniej. Zdumiewająco szybko ukazały się nogi kobiety, a chwilę później i ona sama. Ześlizgiwała się bardzo płynnie. Kiedy znalazła się na wysokości górnej krawędzi okiennego otworu, znieruchomiła na krótką chwilę i spojrzała w dół na czekającą przywódczynię Nowej Republiki.

– Leio! – krzyknęła głośno, aby przebić się przez świst wzmagającego się wiatru. – Musimy się pospieszyć. Pomóż mi dostać się do ciebie.

Czyżby wydarzyło się coś złego? Leia usiadła na parapecie, wychyliła się możliwie najdalej i przyglądała się, jak Mara zjeżdża

po linie, która jakby coraz bardziej się rozciągała. Leia nie chciała by ponownie powierzać jej ciężaru ciała.

W końcu Mara, z ponurą miną i zaciśniętymi zębami, znalazła się na wysokości okiennego otworu. Jej włosy rozwiewały się we wszystkie strony. Dopiero teraz Leia wyciągnęła rękę i pochwyciła linę. Unieruchomiła ją, dzięki czemu współniczka mogła szybciej ześliznąć się ostatnie parę metrów. Leia pomogła jej dostać się do środka, puściła linę i pospieszyła za Marą w głąb ciemnego pomieszczenia.

– Lina – rzuciła zwięźle była przemytniczka, przestępując z nogi na nogę i rozcierając zgrabiące dłonie. – Coraz bardziej się rozciągała. W pewnej chwili pochwycił ją wiatr i jakiś węzeł uderzył o szybę na szesnastym piętrze... tam, gdzie spali strażnicy. To prawdziwy cud, że żaden się nie obudził, kiedy zjeżdżałam na wysokości ich okna.

– Może przesunę linę w bok, tak by nie zauważył jej nikt, kto wyjrzy przez okno – zaproponowała Leia. – Zaraz wrócę.

Wskoczyła na parapet i chwyciła kołyszącą się linę. Nie mogła nie zauważyć, że koniec sięga teraz co najmniej pół metra niżej niż wtedy, gdy wskakiwała do pomieszczenia. No cóż, może będzie mogła to wykorzystać – w taki sposób, żeby strażnicy na szesnastym piętrze niczego nie zauważyli. Nie wypuszczając liny, przeszła do sąsiedniego okna, a potem obejrzała je, by się przekonać, w jakim jest stanie. Wyglądało na to, że rama tkwi w otworze, ale szyba rozprysnęła się na kawałki. To dobrze. Leia uniosła i umocowała pustą ramę, a potem – korzystając z tego, że okna znajdowały się blisko siebie – wychyliła się i przełożyła linę. Następnie wciągnęła ją do środka przez drugie okno najdalej, jak mogła. Kiedy lina się

naprężyła, opuściła ramię, aby metalowa krawędź przytrzasnęła koniec. W końcu upewniła się, czy wiatr go nie wyszarpane.

Zanim wróciła do Mary, stała chwilę nieruchomo obok pozbawionego szyby okna. Możliwe, że tylko się jej wydawało, ale wyczuwała w powietrzu jakąś nową woń, inną od tej, jaką niósł wiatr zaledwie kilka minut wcześniej, kiedy jeszcze ześlizgiwała się po linie. Koronet był nadmorskim miastem i słynął z tego, że pogoda zmieniała się czasami w ciągu kilkunastu minut. Na szczęście tym razem zaczekała ze zmianą, dopóki obie uciekiniarki nie skończyły schodzić po linie. Tylko czy laser sterownika Mary zdoła poradzić sobie z nawałnicą, jaka zapewne już niedługo się rozpęta? Leia nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Mara siedziała na tym samym krześle, które wcześniej zwolniła Leia.

– Schodzenie musiało kosztować cię sporo sił – stwierdziła raczej niż zapytała, ujrawszy Leię.

– Z pewnością tak – przyznała przywódczyni Nowej Republiki. – Unieruchomiłam koniec liny, ale przedtem przeciągnęłam ją do sąsiedniego okna. Teraz zwisa pod takim kątem, że jeżeli będziemy miały szczęście, żaden strażnik jej nie zobaczy, o ile nie wychyli się z okna. A poza tym wszystko wskazuje na to, że musimy liczyć się z pogorszeniem pogody. Lepiej będzie, jeżeli ruszymy w dalszą drogę.

– Mówisz poważnie? – zaniepokoiła się Mara, wstając z krzesła. – To mogłoby pokrzyżować nasze plany. Pospieszmy się. Dokąd teraz?

Były teraz na piętnastym piętrze, bezpośrednio pod głównymi kwaterami strażników Ligi Istot Ludzkich. To właśnie na tym poziomie znajdował się apartament przywódczyni Nowej Republiki.

– Chodź za mną – odezwała się Leia.

Starając się przeniknąć wzrokiem panujące ciemności, zaczęła szukać wyjścia z pokoju, a przynajmniej drzwi, przez które mogłaby przejść do salonu. Potykała się co chwila, z trudem odzyskując równowagę; musiała dwukrotnie zawracać, zanim znalazła właściwą drogę. Na podłogach wszystkich pokoi, przez które przechodziła, wciąż jeszcze leżały nie uprzątnięte sterty gruzu. Trudno je było w porę zauważyć. Żałowała, że nie ma ze sobą latarki albo chociaż miniaturowego pręta jarzeniowego, ale strażnicy Ligi Istot Ludzkich nie byli na tyle uprzejmi, żeby pozostawiać więźniom takie urządzenia. Leia zastanawiała się, czy nie powinna włączyć światła, ale po chwili zrezygnowała – obawiała się, że z pewnością zwróciłoby to czyjąś uwagę.

W końcu znalazła drzwi wiodące z apartamentu na korytarz. Martwiła się, czy zamki nie będą zablokowane albo czy usiłując wyjść, nie napotka innych trudności. Jeżeli zostanie drzwi do swojego apartamentu zamknięte, ona i Mara będą musiały wrócić do okna, przez które dostały się na piętnaste piętro, a potem zdobyć nową linę i trzymając się jej, obejść budynek po biegnącym na zewnątrz kamiennym gzymsie. Będą zmagać się z podmuchami wiatru, aż znajdą okno byłego apartamentu Leii. Taki sposób nie sprawiłby nikogo w euforię, ale mogło okazać się, że żaden inny nie istnieje.

Kiedy Leia wyjrzała na korytarz, odetchnęła z prawdziwą ulgą. Natychmiast zrozumiała, że poszukując wartościowych przedmiotów, żołnierze Ligi Istot Ludzkich splądrowali na tym piętrze wszystkie pomieszczenia. Chociaż na korytarzu panowały chyba jeszcze głębsze ciemności, można było zauważyć porzucone w pośpiechu przedmioty. Drzwi do wszystkich apartamentów stały

otworem, dzięki czemu na korytarz wpadała słaba, trupioblada poświata... zapewne blask gwiazd, wciąż jeszcze świecących pomimo chmurzącego się nieba. Leia ruszyła w kierunku drzwi własnego apartamentu, a Mara podążała krok albo dwa za nią.

Zanim jednak Leia przestąpiła próg, przystanęła tak raptownie, że Mara omal na nianie wpadła.

– Co się stało? – zapytała szeptem. – Coś jest nie w porządku?

Leia schyliła się i podniosła niewielki przedmiot, który leżał na posadzce tuż przed progiem. Nie potrafiłaby powiedzieć, jakim cudem zauważyła go pomimo panujących ciemności. Był to miniaturowy model grawilotu – jedna z zabawek, z którymi nigdy nie rozstawał się Anakin. Świadomość tego, co znalazła, poraziła Leię niczym cios obuchem. Zabawka jej synka. Czyżby chłopczyk upuścił ją w gorączkowym pośpiechu, kiedy uciekał podczas ostrzału? A może jakiś zbir Ligi Istot Ludzkich uznał za stosowne przeszukiwanie dziecięcych szafek z zabawkami – w nadziei, że może właśnie tam ukryto coś wartościowego? Co mogło stać się z jej dziećmi? Gdzie się teraz podziewają? Czy nie zagraża im jakieś niebezpieczeństwo? Czy Chewbacca opiekuje się nimi jak należy?

Dość tego. Skończ z takimi myślami, skarciła się Leia. Musisz skupić uwagę na czymś innym. Powinnaś wykonać zadanie, które przysłuży się i twoim dzieciom, i wszystkim innym obywatelom Nowej Republiki. Musisz odzyskać wolność, a potem zorganizować coś w rodzaju sił oporu. Później zapewne staniesz na ich czele, aby zdołały się przeciwstawić potworom, odpowiedzialnym za rozproszenie twojej rodziny. Nie możesz przy tym zapominać, że osobą odpowiedzialną za to wszystko jest nie kto inny, ale jeden z

członków twojej rodziny. Thrackan Sal-Solo nie powinien uniknąć odpowiedzialności.

Leia zamknęła zabawkę Anakina w dłoni. Kiedy poczuła chłodny metal i plastik, uświadomiła sobie, że może trzymać jedyną rzecz, jaka pozostała po jej synku. Wsunęła miniaturkę grawilotu do kieszeni kombinezonu i przekroczyła próg apartamentu, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie Mary. Jak mogłaby liczyć na to, że ta kobieta zdoła ją zrozumieć?

Znalazła się w salonie apartamentu, który jeszcze niedawno pełnił funkcję jej tymczasowego domu. Przekonała się, że meble są poprzewracane, a szyby w oknach strzaskane albo wybite. Wyczuwała przykrą woń spalenizny... dawno zgasłego ognia, przesiąkniętego wilgocią padającego deszczu, i ponownie zmusiła się, by nie myśleć o domowym ognisku ani o członkach rodziny. Najprawdopodobniej żołnierze Ligi już ich szukają. Nie miała wiele czasu.

Udała się prosto do kuchni i uklękła pod głównym automatem służącym do przyrządzania posiłków. Tuż pod grzejną płytą znajdowała się niewielka szafka. Leia otworzyła ją i starając się robić to jak najciszej, wyciągnęła kilka garnków i patelni. W panującej ciszy każde brzęknięcie brzmiało głośno niczym huk gromu. Leia sięgnęła w najdalszy kąt skrytki i w końcu znalazła to, czego szukała. Wyciągnęła oba przedmioty.

Najpierw rozpakowała pierwszy, owinięty najdelikatniejszym czarnym aksamitem i przewiązany srebrną wstążką. Jej oczom ukazała się rękojeść świetlnego miecza, który otrzymała w prezencie od brata. Przypomniała sobie, że Luke wręczył jej broń rycerza Jedi na krótko przedtem, zanim wyruszyła na tę wyprawę. Starannie

złożyła aksamit i schowała do kieszeni, nagle przeświadczona, że nie chce zostawiać tutaj niczego, co stanowi jej własność. Przypięła miecz do pasa i sięgnęła po drugi przedmiot. Ten był opakowany w kawałek zwyczajnego materiału – prawdę mówiąc, oddarty z jednej ze starych koszul Hana.

Zawahała się, zanim go rozwinęła. Pomyślała jednak, że skoro przeszła aż tyle, nie powinna mieć żadnych wątpliwości. Gdyby Mara pragnęła ją zabić, mogła była uczynić to już dawno. Wystarczyłoby, gdyby przecięła linę, kiedy Leia huśtała się na wysokości szesnastego albo siedemnastego piętra. Odwinęła opakowanie do końca. W środku znajdował się zapasowy blaster Hana.

– Weź go – szepnęła, podając broń byłej przemytnicze.

Kobieta spojrzała na Leię, ale w słabym blasku, wpadającym przez zniszczone okna, nie sposób było zauważyć wyrazu jej twarzy. Nie wyciągnęła jednak ręki po broń.

– Jesteś pewna, że chcesz, żebym z czymś takim znalazła się za twoimi plecami? – zapytała równie cichym szeptem.

– Nie bardziej, niż ty byś chciała mieć za plecami mnie z mieczem świetlnym w dłoni – odparła Leia. – To nie jest odpowiednia pora na okazywanie braku zaufania. Weź ten blaster.

Mara sięgnęła po broń, ale Leia zatrzymała skrawek koszuli. Wsunęła go do tej samej kieszeni, gdzie przedtem ukryła zabawkę Anakina i kawałek aksamitu. Uświadomiła sobie, że nie wie także, co stało się z jej mężem. Oddarty strzęp koszuli był może jedyną pamiątką, jaka po nim została. Mimo to nie zapomniała, że ma coraz mniej czasu.

– No, dobrze – szepnęła Mara. – Chcesz zabrać stąd coś jeszcze?

Leia zastanowiła się chwilę. Potrzebowały latarek, a ona wiedziała, że gdzieś w apartamencie powinna znajdować się przenośna lampka. Nie miała jednak pojęcia, czy w ciemnościach potrafi ją odnaleźć i czy przypadkiem złoczyńcy z Ligi, plądrując pomieszczenie, nie zabrali ze sobą wszystkiego, co mogło służyć jako źródło światła. Trudno. Nie było sensu tracić czasu na poszukiwania czegoś, czego i tak mogła nie znaleźć.

– Nie – szepnęła w odpowiedzi. – Niczego, co mogłabym łatwo odszukać. Możemy się stąd wynosić.

– Jest tam kto?

Mara i Leia stanęły jak wryte. Trochę zaspany głos mężczyzny dobiegał z wyższego piętra, gdzie kiedyś znajdowała się sypialnia dzieci. Leia uświadomiła sobie, że jej serce wali jak młotem.

– Magminds, czy to ty? Magminds?

Słowa dochodziły zapewne ze szczytu schodów. Widocznie co najmniej kilku żołnierzy Ligi Istot Ludzkich postanowiło spędzić noc na czymś wygodniejszym niż rozkładane imperialne polowe prycze.

Gdyby uciekinierki rzuciły się do ucieczki, narobiłyby straszliwego zamieszania, a wówczas któryś z żołnierzy mógłby podnieść alarm. Gdyby zaś spróbowały wspiać się na wyższy poziom apartamentu, musiałyby najpierw przemierzyć pogrążony w ciemnościach salon i wejść po schodach, a potem zacząć przeszukiwać jedną sypialnię po drugiej. Istniało nikłe prawdopodobieństwo, że nikt im w tym nie przeszkodzi.

Czasami najlepszym wyjściem było powstrzymanie się od robienia czegokolwiek. Leia popatrzyła na Marę i przyłożyła palec do warg. Potem pokazała na siebie i na współniczkę, a jeszcze

później na podłogę. Zachowaj ciszę i stój nieruchomo – zdawała się mówić.–I czekaj.

Mara kiwnęła głową, ale uniosła prawą rękę, wyciągnęła poziomo złączone palce i powoli opuściła dłoń na wysokość biodra. Znaczyło to: „Schylmy się. Ukryjmy”.

Znalazły się w potrzasku.

Zdumiony Han obserwował, jak wibroostrze przecina kamienną posadzkę celi, a potem, jazgotliwie piszcząc, zaczyna wycinać idealne koło. Kiedy po jakiejś minucie skończyło, zniknęło w dole, a kamienny krąg uniósł się i zawisnął na wysokości mniej więcej pół metra nad mroczną dziurą. Han pochylił się i stwierdził, że do spodu kręgu ktoś przymocował przenośny antygravitator.

Później z otworu wyłoniła się seloniańska ręka, która odepchnęła kamienny krąg na bok. Ciężka tafla, nie przestając unosić się w powietrzu, poszybowała w kąt celi, gdzie odbiła się od ściany i znieruchomiła.

W otworze ukazała się głowa obcej Selonianki. Na widok Drackmus jej twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Cieszymy się, że odnalazłyśmy właściwą celę – odezwała się po seloniańsku. – Wpadłyśmy w zakłopotanie, kiedy okazało się, że przeniesiono cię do innej.

– To nie ma żadnego znaczenia – odrzekła Drackmus. – Ruszajmy w drogę. – Odwróciła się do Hana i zapytała go w rodzimej mowie: – Pójdiesz z nami, czcigodny Solo? Musimy się pospieszyć. A może nadal wolisz odwracać uwagę strażników, obrzucając ich smakołykami?

Han wahał się kilka sekund. Nie miał pojęcia, kim może być nieznajoma, ani po czyjej stronie się opowiada. Jeżeli o to chodziło,

nie był też pewien, po czyjej stronie stoi sama Drackmus. Skąd mógł wiedzieć, czy właśnie go uwalniają, czy też pozostaje zakładnikiem, ale w innych rękach? Z drugiej zaś strony czekał go niezbyt przyjemny los, kiedy Thrackan przekona się, że Drackmus uciekła.

– Idę – odparł w końcu.

– Przez chwilę obawiałam się, że nie zechcesz skorzystać z propozycji – wyznała jego była pogromczyni.

– Poważnie się nad rym zastanawiałem – odrzekł Han. Podeszedł do otworu i usiadł na krawędzi, po czym spuścił nogi w mroczną czeluść, jakby chciał zademonstrować, że jest gotów w każdej chwili zeskoczyć.

– Ach, ci ludzie – westchnęła Drackmus. – Zawsze skłonni wybierać trudniejszy sposób. Chodźmy. Nie możemy zwlekać ani chwili.

Han zeskoczył.

ROZDZIAŁ

9.

KONIEC BEZCZYNNOŚCI

Leia przykucnęła tam, gdzie stała, po czym, starając się nie stracić równowagi, przeszła w najciemniejszy kąt kuchni. Gdyby żołnierz Ligi Istot Ludzkich doszedł do wniosku, że tylko wydawało mu się, iż usłyszał czyjeś głosy, albo gdyby pomyślał, że to tylko wiatr wpadający przez okno, cała przygoda zakończyłaby się pomyślnie. Mężczyzna wróciłby do łóżka, a ona i Mara mogłyby zająć się własnymi sprawami.

– Magminds?

Męski głos, tym razem już nie taki zaspany i wyraźniejszy, napłynął jakby z mniejszej wysokości. Sprawiał wrażenie cokolwiek zaniepokojonego. Nagle Leia ujrzała błysk. Promień światła omiótł kuchnię tuż nad jej głową. Skrzypnął także stopień. Mężczyzna schodził.

Leia odwróciła się do Mary i ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma jej w kuchni. Usłyszała stuk dobiegający z salonu, a przesuwane się po ścianach kuchni cienie powiedziały jej, że źródło światła znalazło się w tamtym pomieszczeniu.

– Stać! – rozległ się nagle ten sam męski głos. – Mam Master, mierzę prosto w ciebie i jeżeli...

Rzeczywiście, ciemności przeszła laserowa błyskawica. Na ułamek sekundy rozjaśniła kuchnię, ale zaraz zniknęła, jakby w ogóle sienie pojawiła. Rozległ się jęk, później stłumiony huk i nagle światło latarki zgasło. W tej samej chwili Leia zerwała się na równe nogi, odpięła rękojeść miecza i włączyła broń. Wybiegła z kuchni... i zamarła.

Zobaczyła silnie zbudowanego mężczyznę – a raczej to, co z niego pozostało – ubranego w nocną koszulę, który zwisał na najniższym stopniu schodów. W piersi żołnierza Ligi widniała spora dziura, a na twarzy zastygł wyraz bezgranicznego zdumienia.

– Upuścił i potłukł latarkę – odezwała się Mara, wyraźnie poirytowana tym faktem, jakby uważała, że żołnierz uczynił to celowo. – Przydałaby się nam. A ten głupiec nawet nie miał blastera.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– To wszystko, na co mamy w tej chwili czas, jeżeli nam życie miłe – burknęła była przemytniczka. – Jeżeli cię to uspokoi, zamierzałam jedynie go ogłuszyć, ale kiedy facet oświadczył, że ma blaster...

– Niewiele mu to pomoże – stwierdziła Leia, nie przestając wpatrywać się w zabitego mężczyznę. Zaliczał się do jej wrogów. Gdyby zdołał wszcząć alarm albo gdyby rzeczywiście miał blaster i pochwycił uciekinierki, ich sytuacja wyglądałaby naprawdę niewesoło. Uświadomienie sobie tego wszystkiego nie przywróci mu jednak życia. Musimy stąd uciekać – ciągnęła, kiedy trochę oprzytomniała po przeżytych wstrząsach. – Jeżeli obudził się jeden śpiący żołnierz, mogą pojawić się tu następni. Możliwe, że któryś coś usłyszał, a może ten obudził kolegów, zanim zaczął schodzić do salonu.

– Masz rację – przyznała Mara. – A zatem do schodów i na dół. Chyba że chcesz zjeżdżać następne trzy piętra po innej prowizorycznej linii.

– Uprzejme dzięki – powiedziała z przekąsem przywódczyni Nowej Republiki. W schodzeniu awaryjną klatką mogło kryć się niebezpieczeństwo, ale z pewnością nie tak duże jak w zjeżdżaniu po linie. – No, to w drogę.

Nie mogły tracić ani chwili. Leia wyłączyła świetlistą klingę. Potknąwszy się w ciemnościach raz czy dwa, powiodła Marę na korytarz, po czym skierowała się ku awaryjnej klatce schodowej. Szła nią już raz, tuż po zakończeniu ostrzału Korony, ale chociaż znała drogę, poruszanie się w nieprzeniknionych ciemnościach okazało się bardzo utrudnione. Prawie wszędzie leżały odłamki szkła, pogięte metalowe belki czy sterty gruzu.

– Cofnij się trochę i na chwilę zamknij oczy – rzekła, zwracając się do Mary. – Muszę posłużyć się świetlnym mieczem.

Odpięła rękojeść od pasa, ale zanim włączyła broń, także zamknęła oczy. Wydając znajomy pomruk, śmiercionośna energia obudziła się do życia. Nawet przez zaciśnięte powieki Leia ujrzała jaskrawy blask, przebijający się przez ponure ciemności. Odczekała kilka chwil, żeby jej oczy zdążyły się przyzwyczaić, a potem ostrożnie je otworzyła. Starła się nie spoglądać na samą klingę. Uniosła ją pionowo i rozejrzała się po korytarzu oświetlonym niesamowitym, rubinowoczerwonym blaskiem.

– Pierwszy raz widzę, żeby ktoś posługiwał się czymś takim jak przenośną lampą – zdziwiła się Mara.

– No cóż, używam tego, co mam pod ręką – odrzekła Leia. – To tamte drzwi prowadzą schody. Chodźmy.

Omijając szczątki strzaskanych mebli i sterty porzuconych w pośpiechu przedmiotów, ruszyły w stronę awaryjnej klatki schodowej. Stwierdziły, że drzwi są lekko uchylone. Leia pchnęła je czubkiem buta, usiłując otworzyć. Płyta cofnęła się jeszcze trochę, ale szczelina okazała się zbyt mała, aby uciekinierki zdołały się prześliznąć. Leia użyła większej siły, a kiedy to nie pomogło, naparła biodrem. W końcu udało się jej popchnąć ciężką taflę.

Nie wypuszczając zapalonego miecza świetlnego, przestąpiła próg, ale kiedy stanęła na podeście schodów, zobaczyła, co nie pozwalało drzwiom otworzyć się do końca. Mało brakowało, a wycofałaby się z powrotem na korytarz.

Ujrzała zwłoki... tarasujące przejście zwłoki młodego mężczyzny, ubranego w mundur służb technicznych generalnego gubernatora. Funkcjonariusz leżał na plecach, a w głowie – dokładnie pomiędzy oczami – miał niewielką, idealnie okrągłą dziurę. Purpurowe ruchome cienie, rzucane przez klingę świetlnego miecza, nadawały mężczyźnie dziwaczny, obcy wygląd. Leia rozpoznała go, chociaż nigdy nie słyszała jego nazwiska. To był ten sam młody technik, który uświadomił jej fakt istnienia interdyscyplinarnego pola... krótko po zniknięciu Hana. Jak dawno to się wydarzyło? Zaledwie przed kilkoma dniami? A może upłynęło już pół życia? Chłopak wydawał się taki sympatyczny. A teraz leżał, zastrzelony, na podeście awaryjnej klatki schodowej. Cóż takiego uczynił, że musiał oddać życie? Zapewne zawinił jakimś błahym wykroczeniem. Doprawdy, żołnierze Ligi Istot Ludzkich robili wszystko, co mogli, żeby dać się znienawidzić.

Leia odwróciła się i gestem dała znak Marze, aby szła za nią, a potem przestąpiła martwe ciało i zaczęła schodzić. Wspólniczka

podążała tuż za nią. Poruszając się w krwistym błęku rzucanego przez ostrze miecza ruchliwego blasku, Leia schodziła coraz niżej. Klatka schodowa wywierała na niej nieprzyjemne, złowieszcze wrażenie. Stresbetonowe ściany nie zostały pomalowane ani nawet wygładzone. Każde wybrzuszenie chropowatej, szarej powierzchni rzucało własny cień, którego wydłużone, zmieniające się kształty nadawały szybowi klatki wygląd jaskini. Nawet tu, na kamiennych stopniach, leżały łupy porzucone w pośpiechu przez żołnierzy Ligi. Zanim zeszła na czternaste piętro, Leia zauważyła uszkodzoną stołową lampę, plik dokumentów, ozdobną wazę, kapelusz i miniaturowy komunikator, który po rozpoczęciu zagłuszania sygnałów musiał zostać uznany za całkowicie zbyteczny.

Leia wyobraziła sobie żołdaków Ligi, kilka dni wcześniej zbiegających po tych schodach. Prawdopodobnie wszyscy mieli pełne ręce zagrabionych przedmiotów i nie bardzo przejmowali się tym, że mogą zgubić jakiś damski but albo coś innego. Możliwe też, że po nie w czasie ten czy ów doszedł do przekonania, iż ciężki frozjański metalowy posążek nie jest na tyle wartościowym przedmiotem, żeby opłacało się go zabierać. Grabież staje się tym gorszym wykroczeniem, im bardziej jest chaotyczna, marnotrawna i bezmyślna.

– Pssst!

Leia odwróciła się i ujrzała, że Mara przykłada do warg wskazujący palec. Dawała znak, żeby były cicho. Kiedy stwierdziła, że przywódczyni Nowej Republiki na nią patrzy, dotknęła palcem ucha.

Leia zamarła bez ruchu i po chwili usłyszała stłumiony, głuchy łoskot. Dźwięk przebił się przez cichy świst wiatru wpadającego

przez wybite okna.

– Burza? – zapytała bezgłośnie, samymi wargami, a potem na wszelki wypadek lewą ręką wykonała gest, naśladujący spadające krople deszczu.

Mara pokręciła głową na znak, że nie o to jej chodzi. Pokazała na świetlistą klingę miecza, a później jeszcze raz przyłożyła palec do warg.

Dopiero wtedy Leia wyłączyła miecz i jego buczenie ucichło. Uciekinierki stały nieruchomo i nasłuchiwały. Teraz, kiedy innych dźwięków nie zagłuszał pomruk klingi, monotony szum padającego deszczu słyszało się o wiele głośniejsze. Z pewnością jednak to nie on sprawił, że Mara wydawała się taka zaniepokojona.

Po chwili i Leia to usłyszała. Dźwięki napływały z góry. Głosy... gardłowe głosy mężczyzn, wydających krótkie, urywane okrzyki. A na ich tle nieco cichsze tupanie podkutych butów i szuranie stóp wielu osób, biegnących w różne strony. Kobiety nie potrafiły rozróżnić słów, ale nie miały żadnych wątpliwości, co oznaczają. Dowódcy wydawali podwładnym pilne rozkazy.

A zatem żołnierze Ligi wiedzieli, że uciekły. Może któryś zauważył zwisającą linę. Może zabity w apartamencie Leii żołnierz powiadomił towarzyszy, że schodzi do salonu. W tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Leia ponownie włączyła świetlny miecz i obie kobiety zaczęły zbiegać po schodach. Minęły czternaste piętro, a potem trzynaste.

Kiedy dotarły na wysokość dwunastego – gdzie mieścił się pokój Mary, zanim cały świat wywinął kozła – Leia chwyciła klamkę zamkniętych drzwi i pociągnęła z całej siły. Drzwi jednak się nie otworzyły. Czyżby żołnierze Ligi przyspawali płytę do futryny? A

może drzwi zaklinowały się, wciśnięte siłą eksplozji? Tak czy owak, nie było czasu na oglądanie drzwi ani zastanawianie się nad tym, co się stało. W każdej chwili żołnierze Ligi, poszukując uciekinierów, mogli pojawić się na awaryjnych schodach.

Leia machnęła świetlistą klingą i zagłębiła ją w płytę w taki sposób, żeby wyciąć klamkę i zamek. Kiedy skończyła, cofnęła się krok i z całej siły kopnęła metalową taflę, ta zaś odbiła się od framugi i odchyliła w jej stronę. Leia i Mara przeszły przez próg, a była przemytniczka starannie zamknęła drzwi za sobą. Ślady po cięciu świetlnym mieczem powinny uzmysłwić nawet najmniej rozgarniętemu żołnierzowi Ligi, co się stało, ale może zdarzy się cud i żadnemu nie przyjdzie na myśl, by ich tam szukać.

Leia odwróciła się do Mary.

– W porządku – odezwała się głośnym szeptem. – Jesteśmy na dwunastym. Dokąd teraz?

Jej towarzyszka pokręciła głową.

– Trudno powiedzieć.

Leia rozejrzała się i zrozumiała, o co chodziło Marze. Znajdowały się na korytarzu dwunastego piętra, ale jeżeli podobny korytarz na piętnastym sprawiał wrażenie zniszczonego, ten wyglądał, jakby w ogóle przestał istnieć. Siła potężnej eksplozji, jaka zapewne miała miejsce na tym poziomie, wyrwała z framug prawie wszystkie drzwi. Przy okazji porzrzucała wszędzie potężne bryły strobetonu, wyrwane ze ścian, podłogi i sufitu.

Artystycznie zdobiona boazeria została strzaskana i rozłupana w tylu miejscach, że teraz wyglądała, jakby ktoś rąbał ją toporem. Co najmniej połowa drzwi wiodących do prywatnych apartamentów albo nie istniała, albo stała otworem. W pewnym miejscu cała ściana

korytarza legła w gruzy, tak że ukazywała wnętrza kilku sąsiednich pokoi. Większość pozostałych drzwi zwisała smętnie, trzymając się najwyżej na pojedynczym zawiasie. Żadne okno nie miało szyby, więc po korytarzu hulały podmuchy wiatru. Leia wyraźnie słyszała monotony plusk ulewnego deszczu. Woń wilgotnego powietrza ścisnęła jej serce i poraziła niczym cios pięścią. Uprzytomniła jej nie tylko wszystko, co dotąd przeżyła, ale także trudności, na które mogła być jeszcze narażona.

Poczuła jednak coś więcej: przyprawiającą o mdłości woń rozkładających się ciał. Kiedy w ścianę Korony trafiły rakiety, musiało umrzeć tu niemało ludzi. Jedni zginęli od razu, rozerwani siłą eksplozji, ale inni, przygnieceny blokami stresbetonu, skonali dopiero po jakimś czasie. Wszyscy spoczywali teraz, pogrzebani w ciemnościach, które stały się ich grobem.

Nie wiadomo, czy upiorna sceneria wywierała jakieś wrażenie na Marze Jade. W każdym razie była przemytniczka nie dawała tego poznać po sobie.

– Mój pokój jest tam – powiedziała.

– Prawdopodobnie tylko jego szczątki – odezwała się Leia, ale ruszyła w ślad za swoją towarzyszką niedoli. Kobieta powiodła ją prawie do samego końca korytarza... na tyle daleko od miejsca, gdzie eksplodowała rakietka, że drzwi pomieszczeń nadal trzymały się futryn. Niektóre wisiały tylko na jednym zawiasie, ale inne sprawiały wrażenie zamkniętych, a może nawet zablokowanych.

Na szczęście nie te, przed którymi przystanąła Mara. Były wgięte do środka pod dziwacznym kątem. Jednak chociaż trzymały się tylko na górnym zawiasie, skutecznie uniemożliwiały dostanie się do pokoju byłej przemytniczki.

– Pozwól – powiedziała Leia i rozcięła klingą miecza drzwi na wysokości upartego zawiasu. Ciężka płyta runęła z głośnym hukiem na podłogę. Dawna kwatery Mary stanęła otworem.

Apartament był o wiele mniejszy niż ten, który przydzielono Leii, ale nie było w tym nic dziwnego. Mimo wszystko Leia była przywódczynią Nowej Republiki, a Mara jedynie Mistrzynią Kupców. Dano jej do dyspozycji tylko niewielką sypialnię, do której przylegała jeszcze mniejsza łazienka. W jednej ścianie zainstalowano małą automatyczną kuchnię. Jednak meble musiały być niegdyś wykwintne i bogato zdobione.

Teraz leżały zniszczone, podobnie jak cały apartament, ale można było się zorientować, że zniszczenia powstały w wyniku eksplozji rakiety, a nie późniejszego plądrowania przez żołnierzy Ligi Istot Ludzkich. Na łóżku spoczywał ogromny blok stresbetonu, który oderwał się od sufitu i zmiądzzył część ramy. Leia uniosła głowę i spojrzała na dziurę, jaką pozostawił. Reszta pomieszczenia znajdowała się mniej więcej w takim samym stanie. Obrazy i ozdoby spadły ze ścian, a krzesła i stół, wywrócone siłą eksplozji, leżały na podłodze. Całą podłogę zaśmiecały okruchy i odłamki szkła.

Leia wyjrzała przez okno i stwierdziła, że leje jak z cebra. Rozpętała się prawdziwa burza. Nagle ciemności za oknem przeszyła oślepiająca błyskawica. W jej świetle Leia zobaczyła lejące się z nieba strugi wody. Wyładowanie musiało mieć miejsce bardzo blisko, ponieważ chwilę później rozległ się huk gromu. Trwał dobrych kilka sekund, jakby przetaczał się po niebie. W oknie łopotały przesiąknięte wodą zasłony.

Mara nie przystanęła, aby rozejrzeć się po pokoju, gdzie spędzała czas przed atakiem na Koronę. Natychmiast podeszła do szafki i

szarpnęła stawiające opór drzwiczki. Wyrzuciła zawartość na podłogę, uklękła i szukała w stosie różnych przedmiotów, dopóki nie znalazła niewielkiej torby z długim paskiem.

Wstała, przewiesiła pasek przez ramię i otworzyła torbę. Chwilę szperała w środku, po czym wyciągnęła ręczną latarkę. Włączyła ją i natychmiast rzucane przez rubinowe ostrze cienie zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Kobiety zauważyły, że ciepłe, żółte światło latarki koi wzrok po rzucanym przez ostrze świetlnego miecza krwistoczerwonym blasku, z którego dotąd korzystały. Nagle pokój Mary – pomimo opłakanego stanu – wydał się im normalnym, swojsko wyglądającym pomieszczeniem, a nie mroczną i pełną złowieszczych cieni pieczarą.

Leia wyłączyła świetlny miecz, ale nie przypięła do pasa rękojeści broni. Obawiała się, że w każdej chwili mogą zjawić się żołnierze Ligi.

– Gdzie ukryłaś ten sterownik? – zapytała.

Mara podeszła do stołu i postawiła go pionowo, a potem położyła na blacie ręczną latarkę i pokazała na zniszczone łóżko.

– Tam. Pod materacem – powiedziała. – Mamy szczęście, ponieważ wygląda na to, że żaden żołnierz Ligi go nie przeszukiwał. Z drugiej zaś strony nie jestem pewna, czy to, że ich uprzedzimy, będzie miało dla nas jakiegokolwiek znaczenie.

– Podejrzewasz, że mógł zostać zmiażdżony? – zaniepokoiła się przywódczyni Nowej Republiki.

Największa bryła stresbetonu miała jakieś pół metra długości, co najmniej dwa razy tyle szerokości i jakieś osiemnaście centymetrów grubości.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – odparła Mara. – Pomóż mi zdjąć to z łóżka.

– Cofnij się i pozwól mi najpierw sprowadzić problem do odpowiednich rozmiarów – rzekła Leia.

Włączyła świetlny miecz i zaczęła ciąć ciężką bryłę na plasterki. Posługiwała się energetycznym ostrzem bardzo ostrożnie, tak by nie naruszyć materaca. Wreszcie wyłączyła broń i wiedząc, że będzie musiała przenosić płyty oburącz, przypięła rękojeść do pasa.

Zaczęły zdejmować z łóżka tafle stresbetonu. Większe i cięższe przenosiły wspólnie.

– To powinno wystarczyć – odezwała się w końcu Mara. – A teraz pomóż mi odwrócić to łóżko.

Stały obok siebie i chwyciły za skraj ramy, a potem szarpnęły i dźwignęły w górę. Kiedy łoże się uniosło, z materaca posypała się na podłogę niewielka lawina odłamków. Łóżko zakołysało się i pochyliło, ale gdy oparły je o ścianę, stanęło mniej więcej pionowo.

– No cóż, narobiłyśmy tyle hałasu, że nie byłabym zdziwiona, gdyby usłyszeli go wszyscy żołnierze Ligi – odezwała się Mara. – Nie wiem jednak, jak można było postawić je po cichu.

– Miejmy nadzieję, że ulewa zdołała stłumić wszystkie dźwięki – zauważyła przywódczyni Nowej Republiki.

– Tyle że ta ulewa jest nam potrzebna jak dziura w moście – burknęła była przemytniczka. – Przez tę ścianę deszczu nie zdoła przedrzeć się do „Ognistej Jade” żaden laserowy promień. Musimy poczekać, aż przestanie padać.

– Żadnej szansy, żeby posłużyć się komunikatorem? – zapytała Leia. – Nie sądzisz, że sygnał mógłby dotrzeć pomimo zagłuszania?

Mara wzruszyła ramionami.

– Nie zaszkodzi spróbować, ale nie wiemy, czy okaże się to skuteczne. Rzecz jasna, zakładając, że sterownik nie uległ uszkodzeniu. Przynieś latarkę, sprawdzimy, czy nie stało mu się nic złego.

Leia wróciła po latarkę i wręczyła ją kobiecie. Po chwili ujrzała niewielkie, płaskie metalowe pudełko, przymocowane samoprzylepną taśmą pośrodku ramy od spodu. Nikt nie zdołałby go zauważyć, zanim nie ustawiłby łóżka pionowo. Nawet wówczas zresztą mógłby je przeoczyć. Czy to na skutek zbiegu okoliczności, czy też Mara świadomie wybrała właśnie takie miejsce, pudełko miało identyczną ciemnobrązową barwę jak rama łoża.

Przemytniczka odkleiła pudełko i odwróciła je na drugą stronę. Jeden róg sprawiał wrażenie zgniecionego, ale cała reszta wydawała się nie uszkodzona. Mara otworzyła pudełko i wyjęła małe, czarne jak smoła urządzenie. Jego powierzchnię zdobiły liczne guziki, różnobarwne lampki i przełączniki. Kobieta włączyła zasilanie i wszystkie lampki rozjarzyły się silnym blaskiem.

– To już coś – powiedziała. – Wygląda na to, że funkcjonuje prawidłowo. Przynajmniej na pozór.

Leia już miała na końcu języka jakaś pocieszająca uwaga, ale usłyszała stuk, brzęk i stłumione głosy. Natychmiast wyłączyła latarkę, po czym obie uciekinierki zanurkowały między materac łóżka a ścianę sypialni.

Kłęczały tam, spoglądając jedna na drugą w blasku rzucanym przez lampki sterownika. Nasłuchiwały. Po chwili usłyszały grzechot toczących się okruchów stresbetonu, a później odgłos ciężkich butów, szurających po zaścielonym gruzem korytarzu. Głosy i stukot kroków nasilały się. Leia ponownie odpięła rękojeść świetlnego

miecza i położyła kciuk na włączniku broni. Mara wyłączyła sterownik, żeby zgasły wszystkie lampki, a potem wsunęła urządzenie do torby, którą cały czas miała przewieszoną przez ramię. Wyciągnęła z niej zapasowy blaster Hana i przygotowała do strzału. Sięgnęła jeszcze raz w głąb torby, żeby wyjąć z niej drugi, nieco mniejszy blaster.

Nagle czyjeś kroki rozległy się tuż obok; Leia odniosła wrażenie, że żołnierz zaraz ją rozdepcze. W mrocznym pokoju rozbłysło światło latarki. Przesunęło się po ścianach, rzucając ogromne, zniekształcone cienie.

– Sprawdź następny! – krzyknął mężczyzna do kogoś, kto pozostał na korytarzu. – Ja się tym zajmę!

Uciekinierki usłyszały, jak skrzypnęła płyta drzwi, na którą ktoś nadepnął ciężkim butem. Po chwili rozległ się przejmujący zgrzyt rozdeptywanych okruchów szkła, a kiedy żołnierz wszedł do pokoju, usłyszały szmer jego oddechu. Dźwięki dolatywały wyraźnie pomimo monotonnego szumu padającego deszczu. Leia zastanawiała się, jakim cudem przybysz nie słyszy głośnych uderzeń jej serca.

Tymczasem żołnierz nawet nie spojrzał na wywrócone łoże. Odwrócony plecami do Mary i Leii, zaczął zaglądać w kąty pomieszczenia.

Mara cały czas trzymała blaster wymierzony dokładnie w jego serce. Mężczyzna – widocznie nie spodziewając się, że kogoś znajdzie – pobieżnie rozglądał się po sypialni. W końcu obrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz... nie wiedząc, że zawdzięcza życie przegapieniu stojącego pionowo łóżka.

Kiedy już przestąpił próg, uciekinierki odprężyły się, ale tylko odrobinę. Żadna nie musiała przypominać swojej towarzyszce

niedoli, że żołnierz albo któryś z jego kolegów mogą lada chwila powrócić. Leia klepnęła Marę po ramieniu i pokazała zniszczone okno. Była przemytniczka zmarszczyła brwi, ale po namyśle kiwnęła głową. Żadnej nie uśmiechało się stanie na smaganym strugami deszczu wąskim kamiennym gzymsie, ale nie miały innych miejsc, gdzie mogłyby się ukryć.

Leia przypięła do pasa rękojeść świetlnego miecza. Posługując się jedną ręką i nie wypuszczając latarki z palców drugiej, wspięła się na parapet. Natychmiast przekonała się, że musi bardzo uważać, gdzie stawia stopy. Szyba z okna nie wyleciała w całości ani nie została wybita, jak w oknach wyższych pięter. Ostre jak brzytwy odłamki nadal tkwiły w kilku miejscach ramy, a okruchy rozsypały się po powierzchni parapetu. Najostrożniej jak umiała Leia uprzątnęła je, a potem wyrzuciła za okno jeden po drugim wszystkie kawałki.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak, kiedy uchwyciła jedną ręką krawędź okiennej ramy i wyszła na zewnątrz, na zalewaną strugami wody kamienną półkę. Pragnąc zniknąć z widoku, przeszła poza prawą krawędź okiennego otworu. Natychmiast przemokła do nitki. Zimny wicher, jeszcze silniejszy niż poprzednio, przenikał ją do szpiku kości. Poruszanie się po sieczonej falami deszczu półce przypominało ślizganie się po mokrym lodzie. Leia przycisnęła plecy do ściany, schowała latarkę do kieszeni i chwyciła jedną z łopoczących w oknie mokrych zasłon. Trzymała ją kurczowo, jakby od tego zależało jej życie. Wiedząc, że to niemądry pomysł, spojrzała w dół, ale nie zobaczyła ulicy, smaganej potokami lejącej się z nieba wody. Tak łatwo było pośliznąć się, a wówczas...

Zauważyła kątem oka, że przez okno gramoli się Mara, i zrozumiała, że teraz ma na głowie inne zmartwienia. Tym bardziej że Mara poruszała się o wiele szybciej niż powinna. Pośliznęła się, ale Leia wyciągnęła drugą rękę i chwyciła kobietę dosłownie w ostatniej chwili. Była przemytniczka wygięła ciało pod nieprawdopodobnym kątem, ale odzyskała równowagę. Przy okazji zraniła sobie biodro o jakiś zapomniany odłamek szyby. Chwilę trwało, zanim przyszła do siebie, później jednak ruszyła w stronę Leii. Przywódczyni Nowej Republiki ułatwiła jej to, przyciskając plecy do ściany. Potem nie wypuszczając przesiąkniętej wodą zasłony – przesunęła się jeszcze odrobinę dalej od okna. Starła sienie odrywać pleców od ściany budowli. Na chwilę zamknęła oczy i stała absolutnie nieruchomo. Nie potrafiła skupić się na niczym innym z wyjątkiem oddychania.

Uciekły. Nie straciły życia... ale to było wszystko, co dałoby się powiedzieć na temat plusów ich obecnej sytuacji. Wiedziały, że wcześniej czy później żołnierze Ligi zaczną szukać ich znowu. Z pewnością ktoś, kto będzie miał więcej rozumu niż zjełczały zeszłotygodniowy gumbahowy budyń, zauważy na drzwiach apartamentu Mary oskarżycielskie ślady cięcia klingą świetlnego miecza, a wtedy domyśli się, co się stało.

Możliwe też, że ktoś inny zwróci uwagę na równiutko pocięte kawałki stresbetonu, a może nawet dojdzie do wniosku, że powinien wyjrzeć za okno. Istniała także całkiem duża szansa, że wiatr zmieni kierunek i po prostu zepchnie uciekinierki z kamiennego gzymsu. A może obie potopią się jak szczury, nieustannie zalewane strugami wody?

Cóż, nie jest też wykluczone, że ten przeklęty zdalny sterownik Mary zacznie funkcjonować jak należy, a wówczas korweta byłej przemytniczki przyleci na ratunek.

Leia otworzyła oczy i spojrzała na swoją towarzyszkę. Mara wyjęła urządzenie i pomimo strug siekącego deszczu starała się nakłonić je do współpracy. Leia zerknęła na zniszczone okno, ale uznała, że prawie nie ma szans, aby żołnierze Ligi Istot Ludzkich zauważyli promień światła... rzecz jasna, pod warunkiem, że one zachowają ostrożność. Wyjęła latarkę z kieszeni przesiąkniętego wodą kombinezonu, zapaliła ją i wyregulowała w taki sposób, aby strumień światła padał tylko na sterownik.

Mara kiwnęła głową na znak, że dziękuje, po czym ustawiła urządzenie tak, by antena zwróciła się w kierunku niewidocznego kosmoportu. Później przycisnęła guzik, żeby wezwać swój gwiazdny statek. Chwilę czekała, a potem zrezygnowana pokręciła głową.

– To na nic! – krzyknęła prosto do ucha Leii. – Sygnały komunikatora są zagłuszane, a w całej wielkiej galaktyce nie znajdzie się sposobu, żeby promień lasera przedarł się przez tę ścianę deszczu. Będziemy musiały poczekać, aż trochę przestanie padać.

Leia kiwnęła głową, a Mara wyłączyła i schowała do torby małe urządzenie. Jej towarzyszka zgasła latarkę, ale tym razem, zamiast do kieszeni, wsunęła ją pod bluzę.

– Chwileczkę – powiedziała do siebie tak cicho, że Mara nie mogła jej usłyszeć. Obie wiedziały przecież, że długo nie wytrzymają. Leia uznała, że powinna skoncentrować się na korzystnych aspektach sytuacji. Gdyby ten deszcz zaczął padać trochę wcześniej, kiedy jeszcze wisały na linie, ani ona, ani Mara

nie zdołałyby zejść na dwunaste piętro. A tymczasem żyły i dotarły tak daleko. Poza tym tak intensywne ulewy zdarzały się nieczęsto i rzadko trwały długo. Im szybciej przychodziły, tym szybciej się kończyły. – Cierpliwości. Nie trać ducha. Na wszystkie gwiazdy, nie trać nadziei, że w końcu ten zdalny sterownik zacznie wreszcie działać prawidłowo...

Nagle strugi deszczu przed jej oczami rozjarzyły się jak iskry. W pokoju Mary, który zaledwie kilka chwil wcześniej opuściły, włączono bardzo silne światło. Ktoś chodził po pomieszczeniu; zapewne jeszcze raz je przeszukiwał. Leia trąciła lekko Marę, pragnąc zwrócić jej na to uwagę. Kobieta otworzyła szerzej oczy i w odpowiedzi kiwnęła głową. Jak inaczej mogła zareagować?

Znalazły się znów w potrzasku, ale Leia nie zamierzała poddawać się bez walki. Poruszając wargami, wyszeptała:

– Kieszonkowy blaster!

Mara zrozumiała i kiwnęła głową. Sięgnęła do torby, wyjęła broń i podała Leii. Przywódczyni Nowej Republiki chwyciła ją prawą dłonią. W lewej wciąż jeszcze trzymała mokrą zasłonę. Dopiero kiedy upewniła się, że nie wypuści Mastera z mokrych palców, rozluźniła palce lewej dłoni i przełożyła do niej mały pistolet. Prawą sięgnęła do pasa, żeby odpiąć rękojeść świetlnego miecza. Pomyślała, że ktoś, kto wyrzy przez to okno, zapłaci bardzo wysoką cenę.

Nagle jednak światło zgasło i iskry deszczu zniknęły, pochłonięte przez ciemności nocy. Czyżby jeszcze raz się im udało? Leia uświadomiła sobie, że cały czas wstrzymywała oddech. Zmusiła się, by wypuścić powietrze, a potem kilkakrotnie głęboko odetchnęła. Może jednak wszystko pójdzie po jej myśli?

W tej samej chwili zauważyła, że wiatr zmienia kierunek. Chwilę później strugi deszczu przemieniły się w pojedyncze krople. Wyglądało to, jakby przemieszczająca się nad Koronetem ciemnoszara zasłona oddalała się i nikała w mroku, zapewne po to, by wyładować wściekłość gdzie indziej.

Leia spojrzała na Marę, ale ona już trzymała w dłoniach włączony zdalny sterownik. Wymierzyła antenę w kierunku wciąż jeszcze niewidocznego kosmoportu i przycisnęła guzik, żeby wysłać wezwanie. Niemal natychmiast na kontrolnym panelu zapaliła się jeszcze jedna lampka.

– Wezwanie przyjęte! – odezwała się Mara, spoglądając z uśmiechem na Leię... ale w tej samej sekundzie przeniosła spojrzenie dalej, na coś, co zobaczyła za nią.

Przywódczyni Nowej Republiki włączyła świetlny miecz, jeszcze zanim zdążyła się odwrócić. Ujrzała, że z okna pokoju Mary wychyla się głowa żołnierza Ligi. Mężczyzna właśnie wyciągał w jej stronę gotowy do strzału ciężki blaster. Leia uniosła rękojeść nad głowę i z półobrotu cięła z góry na dół. W tym samym ułamku sekundy żołnierz strzelił, ale ostrze miecza zmieniło kierunek lotu laserowej wiązki. W następnej sekundzie Leia uniosła rękojeść. Świetlista klinga przeszła najpierw blaster, a potem odcięła głowę żołnierza u nasady szyi.

Koziółkując w locie, głowa zniknęła w ciemnościach nocy, a ciało mężczyzny wpadło do pokoju Mary. Niestety, było już za późno. Z drugiego okna wychylił głowę inny żołnierz... na tyle daleko, że Leia nie zdołałaby odciąć jej nawet czubkiem ostrza. Wymierzyła w niego lufę kieszonkowego Mastera, ale głowa szybko się schowała.

Leia nie potrafiłaby powiedzieć, czy trafiła, czy tylko żołnierz zorientował się w jej zamiarach i przezornie postanowił się ukryć.

Potem w oknie pojawiła się ręka. Rzuciła w stronę Leii miniaturowy detonator i natychmiast zniknęła. Leia odbiła klingą miecza lecący ładunek wybuchowy w taki sposób, że wpadł z powrotem przez zniszczone okno. Ekspłodował ułamek sekundy później – z taką siłą, że Leia runęłaby w przepaść, gdyby w porę nie schowała blastera i nie chwyciła się znów mokrej zasłony. Z pokoju Mary wystrzelił jęzor ognia – tak blisko i tak gorący, że omal nie opalił włosów przywódczyni Nowej Republiki. Leia poczuła, że Mara chwyta ją za ramię. Zachowała jeszcze tyle przytomności umysłu, że zanim odwróciła się ku niej, wyłączyła świetlny miecz, żeby energetyczna klinga żadnej z nich nie okaleczyła.

Z okna pokoju, gdzie kiedyś mieszkała była przemytniczka, nie przestawały wydobywać się płomienie. Leia zrozumiała, że los uciekinierek jest przypieczętowany. Ani ona, ani Mara nie mogły zrobić już nic. Spojrzała w stronę kosmoportu; rozwidniało się i było już widać linię horyzontu. Jest! Zobaczyła! Lecąc z dużą prędkością, kierował się w ich stronę punkcik światła. To nie mogło być nic innego! „Ognista Jade” leciała, żeby je ocalić. Leia wskazała punkcik Marze; ta tylko kiwnęła głową i zaraz przestała zwracać uwagę na towarzyszkę. Zajął się ustawianiem przełączników na powierzchni zdalnego sterownika. Raz po raz unosiła głowę, aby ocenić odległość, jaka wciąż jeszcze dzieliła jej gwiazdny statek od Korony. Wiedziała, że ich kłopoty się nie skończyły. Musiała najpierw zwabić korwetę na tyle blisko, żeby obie mogły dostać się na pokład.

Leia zerknęła jeszcze raz na okno, z którego wydobywały się płomienie i kłęby dymu. Nie zobaczyła w nim nikogo. Pomyślała, że

zapewne nieprędko zobaczy... chyba że Liga Istot Ludzkich znajdzie żołnierzy, gotowych upiec się żywcem, byle tylko pochwycić albo zabić obie kobiety. Spojrzała teraz w drugą stronę, na okno tuż za Marą–i zobaczyła w nim światło, raz po raz przesłaniane przez cienie.

– Maro! –krzyknęła, by ostrzec swoją towarzyszkę.

Ona jednak, zapewne ogłuszona niedawnym hukiem eksplozji, a może tylko zanadto zajęta zdalnym kierowaniem nadlatującego statku, nie usłyszała jej okrzyku albo po prostu nie zwróciła nań uwagi. Leia puściła zasłonę i sięgnęła po kieszonkowy blaster. Wymierzyła i strzeliła tuż za głową Mary w dłoń, która właśnie ukazała się za tamtym oknem. Trafiła w ciężki blaster i broń eksplodowała. W ten sposób Leia zażegnała niebezpieczeństwo grożące z tamtej strony, ale – niejako przy okazji – doprowadziła do wybuchu drugiego pożaru. W dodatku błysk eksplozji niemal ją oślepił.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Kiedy znów otworzyła powieki, spojrzała przed siebie. Tam, na tle czarnego nieba... na tyle blisko, że mogła już rozpoznać charakterystyczny kształt. Tak, to była „Ognista Jade”. Zbliżała się coraz szybciej.

Nagle jednak nad samą linią horyzontu ujrzała inne świetliste punkciki. Z płyt lądowiska kosmoportu poderwały się do lotu niewielkie jednostki typu KP... kieszonkowe patrolowce. Zapewne wysłano je w nadziei, że piloci zdołają przechwycić albo zestrzelić statek, który niespodziewanie sam wystartował.

Ogniste jęczory, strzelające z okien po obu stronach Mary i Leii, płonęły coraz intensywniejszym blaskiem, ale przywódczyni Nowej Republiki słyszała dobiegające z obu stron syczenie wyrzutni

gaszącej piany. Z pewnością żołnierze Ligi już niedługo zdołają opanować trudną sytuację.

– Leio! – zawołała nagle Mara, starając się przekrzyczeć huk płomieni. – Przygotuj się! Nie jestem pewna, jak blisko zdołam go doprowadzić, ale kiedy się zorientujesz, że potrafisz przeskoczyć, nie wahaj się ani chwili! Możesz nie mieć następnej szansy. Jeżeli dostaniesz się na pokład, biegnij na mostek! Bądź gotowa do drogi, kiedy i ja znajdę się na pokładzie!

– Masz to u mnie jak w banku! – odkrzyknęła Leia.

Obserwowała, jak „Ognista Jade” zbliża się coraz bardziej. Korweta była gwiazdowym statkiem, większym niż „Sokół Millenium”. Miała opływowy kształt, lekko zadarty dziób i szeroki kadłub, łagodnie przechodzący w dwa grube eliptyczne skrzydła. Całą powierzchnię polakierowano w jaskrawe pomarańczowe i czerwone płomienie. Leia z pewnością nie ryzykowałaby sprowadzenia tak dużego statku w pobliże ściany budowli tylko za pomocą zdalnego sterownika. Wyglądało zresztą, że i Mara ma z tym pewne kłopoty. Kiedy „Ognista Jade” znalazła się bliżej, zwolniła i lekko się zakołysała. Zapewne jakaś turbulencja.

Mara zakłęta cicho i bardzo delikatnie trąciła dźwigienkę potencjometru. Korweta zwolniła jeszcze bardziej i odrobinę opadła... na tyle, żeby wierzchołek kadłuba znalazł się mniej więcej na wysokości kamiennego gzymsu. Dopiero wówczas była przemytniczka unieruchomiła gwiazdny statek – chociaż od ściany Korony dzieliła go wciąż jeszcze odległość jakichś pięćdziesięciu metrów.

W tej samej chwili z okna jednego z wyższych pięter byłej rezydencji generalnego gubernatora wystrzeliła blasterowa

błyskawica. Odbiła się od kadłuba „Ognistej Jade” i zniknęła w mroku. Sekundę później w górnej powierzchni kadłuba ukazał się spory otwór, a z niego wyłoniło się niewielkie laserowe działko. Jeszcze się unosiło, kiedy lufa obróciła się i plunęła ogniem.

– Automatyczny system odpowiadania na nieprzyjacielskie strzały – wyjaśniła Mara, zanim jeszcze Leia zdążyła zapytać. – Samoczynnie namierza cel i strzela tam, skąd został zaatakowany. Aha, coś sobie przypomniałam. Schowaj ten blaster i nie strzelaj, w przeciwnym razie to działko usmaży cię na amen.

– Dzięki za ostrzeżenie – odparła przywódczyni Nowej Republiki. – Lepiej późno niż wcale.

Wsunęła miniaturowy blaster do kieszeni, a potem przypięła do pasa rękojeść świetlnego miecza.

Tymczasem Mara, posługując się zdalnym sterownikiem, zaczęła przyciągać „Ognistą Jade” bliżej budowli. Powoli, stopniowo korweta zmniejszała odległość dzielącą ją od stresbetonowej ściany Korony. Z jakiegoś okna znów wystrzeliła blasterowa błyskawica i natychmiast działko gwiazdnego statku plunęło strumieniem śmiertelnej energii. Bliżej, jeszcze bliżej... Nagle kłapa górnego wjazdu syknęła i odskoczyła, a z wnętrza statku trysnęła smuga złocistożółtego blasku. Leia spojrzała na skraj ogromnego bakburtowego skrzydła i oceniła, że odległość zmalała do niespełna dwóch metrów. Po chwili było zaledwie półtora.

Wystarczająco blisko. Nie trać czasu i nie filozofuj, zganiła się w myślach. Odczekała sekundę, a potem zebrała się w sobie i przeskoczyła.

Wylądowała na górnej powierzchni kadłuba i przez długą jak wieczność, mrozącą krew w żyłach chwilę czuła, że ześlizguje się po

gładkiej, mokrej powierzchni. Nagle jednak jedna ręka natrafiła na jakiś występ. Leia zacisnęła palce i przestała się ześlizgiwać. Podciągnęła się, wstała i zaczęła biec do otwartego włazu. Starła się nie myśleć o wszystkich pozostałych w budynku żołnierzach Ligi, którzy mogli dojść do wniosku, że warto pokusić się o trafienie tak łatwego celu.

Usłyszała dobiegający zza pleców głuchy stuk i domyśliła się, że na kadłubie wylądowała Mara. Nie miała jednak czasu, żeby obejrzeć się i sprawdzić, co się stało. Wskoczyła w czeluść włazu nie zastanawiając się, gdzie wyląduje i czyjej skrecona kostka wytrzyma ten upadek. Najbardziej zależało jej na tym, żeby gruba powłoka kadłuba jak najszybciej oddzieliła ją od prześladowców.

Zetknęła się z płytami pokładu dosyć nieszczęśliwie, ponieważ wylądowała na bolącej nodze. Mięśnie stawu nie wytrzymały ciężaru ciała i Leia rozciągnęła się jak długa na skrzyżowaniu dwóch korytarzy. Odczołgała się na bok i w tej samej chwili usłyszała, że po drabinie ześlizguje się Mara. Kiedy głowa byłej przemytniczki zniknęła w otworze włazu, kobieta natychmiast uderzyła otwartą dłonią w przycisk zamykania kłapy. Później zbiegała dalej, od czasu do czasu przeskakując po dwa szczeble.

Zeskoczyła na płyty pokładu, ale zachwiała się i omal nie upadła. Leia podtrzymała ją i ujrzała, że nogawka jednoczęściowego kombinezonu jest przesiąknięta krwią spływającą z rozcięcia na biodrze. Widocznie rana była głębsza i poważniejsza niż początkowo wyglądało. Nie było jednak czasu, żeby zająć się opatrywaniem.

– Tędy! – krzyknęła Mara, pokazując jeden z korytarzy.

Nagle od strony rufy statku dobiegły odgłosy wzmożonej strzelaniny. Kadłub korwety się zakołysał, a kobiety omal nie

upadły. Umieszczone na wierzchu kadłuba działko odpowiedziało na niespodziewane strzały.

– To kieszonkowe patrolowce – domyśliła się Leia. – Czy pancierz wytrzyma pomimo wyłączonych osłon?

– Przez pewien czas – odrzekła Mara. – Nie powinniśmy jednak starać się ustalić, jak długi.

Leia spieszyła ku mostkowi, pomagając iść Marze. Kiedy przystanąły przed zablokowanymi drzwiami, Mara wcisnęła odpowiednią kombinację cyfr na umieszczonej obok framugi klawiaturze. Płyta wjazdu odsunęła się i ukryła w ścianie, a Mara potykając się wbiegła do środka. Natychmiast opadła na fotel pilota i włączyła generator ochronnego pola.

– To powinno powstrzymać te kieszonkowe patrolowce – oznajmiła, spoglądając na Leię.

Wcisnęła guzik i przesłała energię do jednostki napędowej. „Ognista Jade” skoczyła jak smagnięta biczem. Nabierała szybkości i wznosiła się w czarne, usiane punkcikami gwiazd niebo.

Leia podeszła do konsolyty głównego nawigatora. Czuła, że traci resztkę sił. Bezwładnie opadła na obrotowy fotel. Przemokła i przemarzła do szpiku kości. Zęby jej szczękały, a na ciele trudno byłoby znaleźć miejsce bez otarć albo sińców. Na razie jednak była księżniczka, niegdysiejsza senatorka Leia Organa Solo, a obecna przywódczyni Nowej Republiki niczego nie czuła. Kiedy trochę przyszła do siebie, odetchnęła z ogromną ulgą. Udało się. Uciekły. Obserwowała przez iluminator, jak „Ognista Jade” oddala się od Korelii.

Nie było jej przykro, że się nie pożegnała.

ROZDZIAŁ

10.

KONIEC BEZCZYNNOŚCI

Gaeriela Captison, siedząca u szczytu długiego konferencyjnego stołu, kiwnęła głową w stronę mężczyzny stojącego w przeciwległym końcu.

– Panie admirale – powiedziała. – Wydaje mi się, że możemy zacząć.

– Dziękuję, pani Captison. – Admirał Bakurańskiej Marynarki, Hortel Ossilege, omiół spojrzeniem siedzące przy stole osoby. – Zaczniemy od podsumowania i upewnijmy się, że wszyscy wszystko dobrze rozumieją – oznajmił po chwili. – Panie Skywalker, proszę nam jeszcze raz powiedzieć, ile czasu potrzebowałyby Nowa Republika, żeby zakończyć modernizowanie albo przemieszczanie okrętów w celu stworzenia z nich własnej floty?

– Oceniamy, że ściągnięcie okrętów i przygotowanie ich tak, by mogły wziąć udział w tej operacji, zajęłoby nam mniej więcej czterdzieści pięć standardowych dni – wyjaśnił mistrz Jedi.

– Doprawdy? – zapytał unosząc brwi Ossilege. – Zastanawiam się, jakim cudem udało się wam pokonać Imperium.

Admirał był niski i szczupły. Miał bardzo jasną karnację delikatnej skóry i bardzo dbał o siebie. Mimo iż na czubku lśniącej

głowy trudno byłoby znaleźć choć włosy, brwi admirała były gęste i czarne, a spiczasto zakończona kozia bródka wypielegnowana. Był ubrany w paradny kremowy mundur admirała Bakurańskiej Marynarki, ozdobiony wieloma rzędami różnobarwnych naszywek, odznak, baretek i wstążeczek. Prawdę mówiąc, wyglądał śmiesznie... jak pokazywane w komediach karykatury oficerów, walczących i wygrywających –jedynie bitwy o najlepsze miejsca w kolejkach do bufetów albo zmagania przed biurkami urzędników, od których zależały awanse i podwyżki żołdu.

Luke jednak już dawno doszedł do przekonania, że pozory potrafią mylić. Tak było i tym razem. W ciągu półtora dnia intensywnej rozmów Ossilege dowiódł, że ma bystry umysł i nie lubi zawracać sobie głowy głupstwami.

– To prawda, w tej chwili gotowość jest bardzo niska – przyznał Luke, spoglądając na admirała. – Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Mamy jednak dowody na to, że koreliańscy spiskowcy zdołali przeniknąć do naszych służb wywiadu. Dowiedzieli się, w jakim stanie znajduje się nasza Marynarka, a później bardzo starannie zaplanowali każde posunięcie.

– Krótko mówiąc, przyłapali was z ręką w nocniku – zadrwił Ossilege. Jeszcze chwilę wpatrywał się w mistrza Jedi, a potem przeniósł spojrzenie na Kalendę. – Pani porucznik, proszę jeszcze raz powiedzieć nam, jak ocenia pani siły Marynarki naszych przeciwników. Czy ma pani jakieś podstawy, żeby zmienić poprzednią opinię?

– Nie, panie admirale, chociaż bardzo bym chciała – odezwała się agentka Wywiadu Nowej Republiki. – Na podstawie tego, co zdołałam zobaczyć, muszę zameldować, że siły powietrzne i

gwiazdne Ligi Istot Ludzkich i ich sojuszników są praktycznie zerowe. Wygląda na to, że nasi wrogowie dysponują wieloma myśliwcami i okrętami podobnymi do korwet, ale nie mają niczego silniejszego. Wskazują na to wszystkie dowody, ale trudno mi w nie uwierzyć. Uważam, że dawanie wiary tym informacjom równałoby się samobójstwu. Nasi wrogowie muszą dysponować większymi i silniejszymi okrętami. Powinniśmy zatem zakładać, że zataili przed nami fakt ich posiadania. Nie mamy pojęcia, gdzie je ukrywają, dlaczego ani co chcą z nimi zrobić.

– Twoi przełożeni nie zbierają takich informacji? – zainteresował się Lando.

Kalenda wzruszyła ramionami.

– Wywiad Nowej Republiki robi, co może, żeby wiedzieć, co dzieje się z wszystkimi okrętami, ale to zadanie jest prawie niewykonalne. Co więcej, bardzo trudno dotrzeć z zebranymi informacjami do ludzi, którzy najbardziej ich potrzebują. Mamy swoich agentów na wszystkich Zewnętrzniakach, ale zanim składane przez nieb raporty dotrą do mnie, muszą najpierw przejść przez centralę na Coruscant. Jeżeli chodzi o najświeższe meldunki, jeszcze ich nie otrzymałam. Możliwe, że pilot jakiegoś kurierskiego statku przyleci tu następnego dnia i przekaze mi wszystko, co powinnam wiedzieć. A może nie przyleci. Nigdy nie wiadomo. A zresztą, nawet jeżeli wyląduje, nie przykładalabym większej wagi do informacji, jakie może mi przekazać. Galaktyka jest bardzo duża. Bez najmniejszych kłopotów można ukryć w niej całe floty gwiazdnych statków albo nawet całe stocznie. A poza tym w przestworzach dryfuje mnóstwo najróżniejszego rezerwowego sprzętu, którego nie wykorzystano w czasach, kiedy Imperium zmagало się z Republiką.

– Nie znacie sposobów, żeby policzyć wszystkie te jednostki? – zdumiał się Ossilege. – Wy, funkcjonariusze słynnego Wywiadu Nowej Republiki?

– Z całym szacunkiem, panie admirale, ale zajmuje się pan problemami tylko swojego systemu – odpowiedziała funkcjonariuszka Wywiadu. – My zaś musimy troszczyć się o wszystkie, jakie wchodzą w skład Nowej Republiki. Czy pan wie, co się stanie, jeżeli ktoś wyremontuje porzucony, dryfujący w przestworzach gwiazdny krążownik, a potem sprzeda na czarnym rynku władcom systemu, do którego nigdy nie dotarliśmy? Co pan zrobi, jeżeli jacyś ludzie oświadczą, że ich stocznia podejmie się przerabiania liniowych okrętów na statki handlowe, a później zdemontują całe uzbrojenie z pokładu jakiejś korwety i przekażą powstały w taki sposób transportowiec jakiemuś uczciwemu, cieszącemu się dobrą sławą przedsiębiorcy? Jak pan zareaguje, jeżeli później okaże się, że systemów uzbrojenia nie zdemontowano, a przedsiębiorstwo transportowe istnieje tylko dzięki temu, że jakiś zręczny programista włamał się do pańskiej tajnej bazy danych? Jak poradzi pan sobie ze sprawdzeniem wiarygodności takich informacji? Co się stanie, jeżeli ktoś postanowi zbudować tyle gwiazdnych jednostek, ile zechce, ale później nie uzna za stosowne powiedzieć nikomu o tym ani słowa? Jakim cudem zdoła pan policzyć wszystkie okręty, które mogą powstać w taki sposób w odległości tysięcy lat świetlnych od systemu Korelii?

Ossilege uniósł jedną krzaczastą brew. Wyglądało to zabawnie.

– Przed chwilą opisała pani prawie wszystkie sposoby, za pomocą których Bakura weszła w posiadanie swojej floty – powiedział, nie kryjąc rozbawienia – a ja wolałbym nie prowadzić dyskusji na ten

temat. W każdym razie rozumiem, o co pani chodzi. – Skierował spojrzenie na Calrissiana. – Panie kapitanie, miał się pan zająć bardziej szczegółową analizą motywów, jakimi mogli kierować się tak zwani gwiazdogromcy. Pańskie wnioski?

Ciemnoskóry mężczyzna rozłożył ręce w geście absolutnej bezradności.

– Posługując się komputerami, przejrzałem bit po bicie wszystkie dane, jakie zdołaliśmy wycisnąć z przekazanego nam przez panią porucznik mikroobwołu. I nic. Przetwarzałem je na wszystkie możliwe sposoby, ale nadal to, co otrzymywaliśmy, nie miało wielkiego sensu. Nie da się wykazać z absolutną pewnością, że wiadomość, jaką otrzymała przywódczyni Nowej Republiki, została wysłana, zanim eksplodowała tamta gwiazda... podobnie jak nie sposób wykluczyć możliwości, że wiadomość nadano po wywołaniu eksplozji, ale postarano się, aby wyglądało, że wysłano ją wcześniej, tylko informacyjny sześciennik dotarł zbyt późno. Jedną rzecz wiemy na pewno: tamta gwiazda nie mogła wybuchnąć sama z siebie. Nie należała do takich, które same przemieniają się w supernowe. A zatem ktoś musiał jej w tym pomóc. Istnieje jeszcze jeden problem, a mianowicie nagranie, jakie otrzymał gubernator generalny Micamberlecto. Ukazywało zarejestrowany z bliska wizerunek eksplodującej gwiazdy. Co prawda, ktoś mógł go spreparować, ale nie byłoby to takie proste. Jeżeli więc założymy, że nagranie jest prawdziwe, stajemy przed wyborem jednej z dwóch ewentualności. Albo ktoś, kto zarejestrował eksplozję, miał tyle szczęścia, że przez przypadek znalazł się w odpowiednim miejscu i czasie, albo też miał coś wspólnego z gwiazdogromcami i wysłał wcześniej sondę, aby zarejestrowane nagranie uwiarygodniło jego żądania.

– Z tym wiąże się jeszcze jedna sprawa – odezwał się Luke. – Nowa Republika musi przynajmniej podjąć próbę ewakuacji wszystkich istot zamieszkujących gwiazdny system, wymieniony jako następny na liście gwiazdogromców. Kiedy odlatywałem, plany takiej ewakuacji nie były jeszcze opracowane do samego końca, ale istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że weźmie w niej udział co najmniej kilka dużych jednostek. Zapewne do ich grupy będzie należał „Naritus”, a także dwa albo trzy inne okręty, patrolujące obecnie przestworza systemu Coruscant. Oznacza to, że nie będą mogły wziąć udziału w wyprawie na Korelię.

– No cóż, chyba nie mam innego wyjścia – powiedział Ossilege, nie bardzo uszczęśliwiony wyciągniętymi przez Landa wnioskami. – Wygląda na to, że wiem wszystko, co powinienem. Zanim jednak zaczniemy dyskutować na temat wojskowej strony wyprawy, powinienem porozmawiać z panią Captison na temat aspektów politycznych.

Luke – podobnie jak wszyscy inni siedzący przy długim stole – przeniósł spojrzenie na Bakuranę.

– Od strony politycznej nie przewiduję żadnych trudności – rzekła kobieta. – Obecna pani premier i członkowie rządu polecieli, aby Bakurańska Marynarka pomogła Nowej Republice uporać się z tym problemem. Zgodzili się, żeby pan admirał stanął na czele floty, która poleci do sektora Korelii.

– Wspaniale! – odezwał się mistrz Jedi. – Proszę przekazać pani premier wyrazy podziękowania.

– Dziękujemy, pani Captison – zawtórował mu Lando.

– Proszę bardzo – ciągnęła Gaeriela. – Chyba nie muszę dodawać, że cała Bakura jest zachwycona i dumna, iż może spłacić chociaż

część ogromnego długu wdzięczności, jaki zaciągnęliśmy wobec Nowej Republiki. Jest jednak jeszcze jeden problem... zapewne mało istotny, ale chyba godny wzmianki. Wprawdzie admirał Ossilege został mianowany dowódcą tej wyprawy, ale pani premier postanowiła, że w sprawach politycznych ja będę jej pełnomocnikiem. Uważała, że to konieczne, ponieważ zakłócanie sygnałów uniemożliwia prowadzenie normalnych konsultacji.

– Ależ Gaer... uhm... pani Captison – zaniepokoił się Skywalker. – Co stanie się z twoim dzieckiem?

– Malinza oczywiście pozostanie tu, na Bakurze, pod opieką innych członków rodziny – odparła kobieta. – Nie jestem pierwszą ani jedyną matką, którą wzywają niebezpieczne obowiązki.

– Tak, to jasne – zgodził się Luke.

Pragnął zaprotestować... nie zgodzić się, żeby Gaeriela leciała na tak ryzykowną wyprawę, ale po namyśle doszedł do wniosku, że nie wygrałby pojedynku na argumenty.

– Dziękujemy za twoją troskę, mistrzu Jedi, ale decyzja w tej sprawie już zapadła – ciągnęła Bakuranka. – Panie admirale, przekazuję panu głos. Zajmijmy się omawianiem praktycznych aspektów wyprawy.

– Oczywiście, proszę pani. – Ossilege spojrzał na Skywalkera. – Chyba powinienem zacząć od tego, co uważam za najważniejsze. Otóż muszę oznajmić panu, że Bakura sama z siebie nie może brać udziału w tej wojnie. Nie możemy wyręczać Nowej Republiki. Mimo iż jesteśmy wdzięczni za pomoc, jakiej udzieliliście nam w przeszłości, nie możemy pozbawiać naszego systemu całej obrony na wiele, wiele miesięcy... ponieważ właśnie tak długo potrwa ta wyprawa, jeżeli będzie trzeba lecieć tam i z powrotem w

normalnych przestworzach. A zatem nie możemy na tak długo pożyczyć wam okrętów bakurańskiej floty. Uważam jednak, że najprawdopodobniej zdołamy uczynić coś równie pożytecznego. Mianowicie jestem prawie pewien, że potrafimy dolecieć do systemu i zlokalizować generator interdyscyjnego pola, a potem unicestwić go i umożliwić wniknięcie do systemu wszystkim okrętom, jakie tymczasem zmobilizuje Nowa Republika. Co więcej, jestem przekonany, że zdołamy dokonać tej sztuki, nie przejmując się zbytnio istnieniem tak zwanego pola koreliańskiego.

– Jakim cudem? – zapytał zdumiony Lando.

– Wiadomo mi, że nasi naukowcy opracowali urządzenie, które potrafi chociaż częściowo neutralizować oddziaływanie pola interdyscyjnego. – Ossilege uniósł rękę, by powstrzymać pytania, jakie z pewnością cisnęły się na usta zaskoczonych gości. – Co prawda, w tych okolicznościach nie jesteśmy pewni, czy w ogóle będzie ono funkcjonować. Na razie dokonano tylko kilku wstępnych testów. Zasada działania jest jednak bardzo prosta. Jak państwo wiedzą, pole interdyscyjne symuluje linie masy wytwarzane przez istniejące w przyrodzie pola grawitacyjne. Jeżeli takie pole jest bardzo silne, statek czy okręt nie może wlecieć w nadprzestrzeń, a jeżeli pilot spróbuje dokonać skoku, jego jednostka jest ściągana do normalnych przestworzy.

Nasi uczeni poświęcili na to sporo czasu, ale w końcu opracowali urządzenie zwane hiperfalowym inercyjnym stabilizatorem momentu albo HISM, jak wolą nazywać je technicy. Jeżeli chodzi o mnie, nazywam je po prostu hiperfalowym stabilizatorem. Urządzenie jest wyposażone w czujnik siły przyciągania, a jeżeli grawitacja staje się zbyt silna, jego sygnał powoduje automatyczne

wyłączenie pokładowej jednostki napędu nadświetlnego. Stabilizator wytwarza także coś w rodzaju statycznego bąbla nadprzestrzeni. Umożliwia to specjalna nadprzestrzenna zwojnica, zaprojektowana i wykonana w taki sposób, aby działała jak coś w rodzaju bezpiecznika. Powinna przegrzewać się i przepalać, jeżeli statek wniknie w obszar działania pola interdykcyjnego.

Statyczny bąbel nadprzestrzeni nie zapewnia oczywiście statkowi żadnej siły napędowej, ale pomimo to jednostka leci, pchana siłą bezwładności. Spalenie się pierwszej zwojnicy powoduje włączenie drugiej, spalenie się drugiej włącza trzecią i tak dalej. W wyniku tego statek raz po raz wskakuje do bąbla nadprzestrzeni... jedynie po to, żeby kilka chwil później zeń wyskoczyć. Cały proces powtarza się tyle razy, ile nadprzestrzennych zwojnic zawiera urządzenie – dopóki statek nie wyleci poza obszar działania pola interdykcyjnego. Dopiero wówczas normalne działanie może podjąć pokładowa jednostka napędu nadświetlnego.

– Bardzo skuteczne i pomysłowe rozwiązanie – przyznał Luke, wyraźnie przejęty.

– Też tak sędzę... chociaż trochę toporne – zgodził się Ossilege. – Polega na wykorzystaniu brutalnej siły. Nasze testy dowodzą, że lot statku nie odbywa się bez wstrząsów i szarpnięć, za to czas lotu ulega istotnemu skróceniu.

– Przypuszczamy, że urządzenie umożliwi kapitanowi statku uporanie się z polem interdykcyjnym o niewielkim natężeniu i zasięgu – odezwała się rzeczowo Gaeriela. – Nie wiemy jednak, czy poradzi sobie ze wszystkim innym. Istnieją pewne ograniczenia...

– Jakie ograniczenia? – zaniepokoił się Calrissian.

– Instalowanie stabilizatora hiperfalowego jest zajęciem pracochłonnym, czasochłonnym i kosztownym – podjął Ossilege. – Na razie zamontowaliśmy takie urządzenia na pokładach czterech okrętów: trzech gwiazdnych niszczycieli i jednego lekkiego krążownika. Jeżeli wyposażymy w nie wszystkie inne jednostki, jakie wam pożyczymy, oceniamy, że zdołamy utrzymywać je w nadprzestrzeni przez mniej więcej trzy czwarte odległości od granicy do centrum interdykcyjnego pola. Niestety, okręty nie będą mogły lecieć w zwartym szyku. Możliwe nawet, że rozproszą się po sporym obszarze. Mimo to uważam, że zdołamy wnikać w głąb koreliańskiego systemu planetarnego na tyle daleko, żebyśmy nie musieli obawiać się automatycznych systemów obronnych. Co więcej, kiedy w końcu wyskoczymy z ostatniego statycznego bąbla nadprzestrzeni, w zasięgu ognia dział będziemy mieli Selonię.

– Dlaczego właśnie Selonię? – zapytał Lando. – Jaką możemy odnieść z tego korzyść? Zdawało mi się, że doszliśmy do wniosku, iż generator interdykcyjnego pola został umieszczony na którymś z Bliźniaczych Światów, Talusie albo Tralusie. Dlaczego mielibyśmy atakować Selonię?

– Ponieważ Selonia jest bardzo atrakcyjnym celem, a zaatakowanie jej pozwoli odwrócić uwagę naszych przeciwników od późniejszego ataku na Bliźniacze Światy – odrzekł Ossilege. – Pozwólcie państwo, że wyjaśnię, o co mi chodzi.

Wcisnął kilka guzików na pulpicie. Oświetlenie sali konferencyjnej przygasło, a pośrodku, nad blatem stołu, pojawił się hologram standardowego schematu koreliańskiego systemu planetarnego. Unosił się nieruchomo, mieniając różnymi barwami.

– Tak wygląda w tej chwili wzajemne usytuowanie wszystkich pięciu zamieszkanym planet – ciągnął Bakuranin. – Jak państwo widzą, Korelia znajduje się po przeciwnej stronie gwiazdy Korei niż Talus i Tralus, Dralia wyprzedza Korelię o jakieś dziewięćdziesiąt stopni, a Selonnia zbliżyła się do Bliźniaczych Światów chyba najbardziej, jak mogła. Widzicie państwo także, że orbita Selonii przebiega w większej odległości od Korela niż orbity Talusa i Tralusa. Jeżeli zatem zdecydujemy się na bezpośrednie koplanarne podejście spoza systemu do Bliźniaczych Światów, i tak będziemy musieli przelecieć blisko Selonii. A Selonnia jest poważnym celem. Rebelianci będą musieli jej bronić.

– O ile na planecie kryją się jacyś rebelianci – powiedział Luke. – Nie wiemy prawie nic o tym, co się tam dzieje.

– Nie jestem pewien, czy gdziekolwiek w systemie kryją się jacyś rebelianci – odrzekł Ossilege. – Na wszystkich pięciu zamieszkanym światach wybuchły identyczne powstania. Jak mogłyby mieć niezależnych organizatorów? Nigdy w to nie uwierzę. Podejrzewam, że w tym wszystkim chodzi o coś więcej. Musi istnieć ścisła więź łącząca różne grupy rebeliantów. W tej chwili jednak nie chcę na ten temat dyskutować. A teraz odpowiedź na pańskie wątpliwości, mistrzu Jedi. Jednym z powodów, dla których chciałbym zaatakować Selonię, jest chęć zaobserwowania, co się stanie, a także jak i kto na to zareaguje. Reakcja ludności na nasz atak powinna wiele nam wyjaśnić. Jeżeli mieszkańcy powitają nas jak wybawicieli, tym lepiej. Jeżeli jednak stawią opór – a podejrzewam, że właśnie tak będzie – spodziewam się uzyskać również wiele cennych informacji. Co więcej, liczę na to, że zmuszę ich do rzucenia przeciwko nam własnych sił obronnych. Mam nadzieję, że

kiedy zwiążemy je podczas walki o Selonię, osłabimy odwody, jakie rebelianci mogli ukryć na Talusie i Tralusie.

Lando spojrział na taktyczny hologram.

– To ma dużo sensu – przyznał. – Ale jest ryzykowne. Niesamowicie ryzykowne. Zamierza pan rzucić niewielkie siły do walki głęboko na terytorium wroga, ale nie zapewnia im żadnego wsparcia. Jeżeli coś potoczy się niezgodnie z planem, nie zdoła pan ich wycofać.

Ossilege wyłączył hologram i zapalił światło w sali konferencyjnej.

– Ma pan całkowitą rację – powiedział. – Uważam jednak, że zuchwalstwo jest silną bronią; czasami równie potężną jak ten Master, który nosi pan u boku. I jedno, i drugie jest jednak nieszkodliwe, jeżeli się tego nie używa. Zuchwalstwo jest zatem bronią, a broń powinna być od czasu do czasu wyciągana z pochwy.

– To bardzo poetyckie – odrzekł ciemnoskóry mężczyzna – ale... z całym szacunkiem, mam pewne doświadczenie w takich sprawach. Muszę powiedzieć, że mając tylko cztery okręty, może zbyt wiele wymaga pan od ich kapitanów i załóg.

Ossilege lekko się uśmiechnął.

– Ja też mam pewne doświadczenie w takich sprawach – odparł chłodno. – A moje doświadczenie mówi mi, że zazwyczaj osiąga się więcej, jeżeli wymaga się za dużo niż za mało.

Luke Skywalker nie odezwał się ani słowem. Zaczynał uświadamiać sobie, jak niebezpiecznym mężczyzną jest Ossilege.

Kłopot w tym, że nie miał pojęcia, komu może zagrażać największe niebezpieczeństwo ze strony bakurańskiego admirała.

Han Solo czołgał się podziemnym korytarzem za Selonianka Drackmus. Bolały go wszystkie mięśnie, a na domiar złego dręczyła niepewność, o co w tym wszystkim może chodzić. Od czasu, kiedy nieznanne Selonianki uwolniły oboje z celi ukrytej twierdzy Ligi Istot Ludzkich, upłynęły dwa dni... i mniej więcej od tego czasu Han przestał mieć jasny obraz swojej sytuacji. Oswobodzicielki towarzyszyły Hanowi i Drackmus tylko do skrzyżowania wydrążonego chodnika z jednym z głównych tuneli, a potem pożegnały się i zniknęły. Od tamtej chwili mężczyzna i Selonianka dawali sobie radę sami. Od czasu do czasu spotykali inne obce istoty, ale przeważnie wędrowali ciasnymi tunelami, nie niepokojeni przez nikogo.

Han wciąż jeszcze nie był pewien, czy powinien uważać się za więźnia, czy też Drackmus prowadzi go tam, gdzie będzie bezpieczny. Bardzo możliwe, że prawdą było i jedno, i drugie. Selonianka wykazywała zdumiewającą umiejętność unikania udzielania jasnych odpowiedzi na kłopotliwe pytania.

Han mógł być pewien tylko tego, że istota dokądś go prowadzi, i że pragnąc tam dotrzeć, musi pełznąć na czworakach nie kończącymi się podziemnymi chodnikami. Prawie nic nie widział w ciemnościach, rozjaśnianych jedynie słabiutkim blaskiem czerwonych lampek.

– Daleko jeszcze do miejsca, gdzie mógłbym stanąć wyprostowany? – zapytał podnosząc głos, tak by Drackmus go usłyszała. Selonianka czołgała się – jak zresztą przez prawie cały czas trwania wyprawy – kilka, a czasem nawet kilkanaście metrów przed nim. Han spędzał ten czas, przyglądając się jej zadowi i kołyszącemu się z boku na bok ogonowi.

Drackmus roześmiała się, co zabrzmiało jak złowrogie syczenie. Han nie miałby nic przeciwko temu, żeby już nigdy nie usłyszeć tego dźwięku.

– Zawsze chciałbyś stać prosto – odparła istota. – Czyż to nie miłe, kiedy nie musisz opierać cały ciężar ciała na stopach? Rozciągnij się i pozwól, żeby część przejęły przednie kończyny.

Han zauważył, że i tym razem Selonianka właściwie nie odpowiedziała... a naprawdę nie widział żadnego sensu w unikaniu odpowiedzi na tak błahe pytanie. Odnosił coraz silniejsze wrażenie, że Drackmus otrzymała od którejś z oswobodzicielek bardzo surowe polecenie, żeby trzymała język za zębami. Kiedyś Han zapytał prosto z mostu, czy właśnie dlatego istota nie chce mu nic powiedzieć. Jeżeli jednak nawet utrafił w sedno, widocznie zakaz obejmował także kwestię zdradzenia samego zakazu, ponieważ i tym razem Selonianka zbyła go jakąś uwagą. Zapewne więc naprawdę otrzymała polecenie, aby nie udzielać żadnych informacji, i stosowała się do niego z niewolniczą gorliwością. Cóż by szkodziło, gdyby powiedziała Hanowi, jak wysoko znajduje się sklepienie w dalszej części podziemnego labiryntu? Odkąd jednak jej przyjaciółki uwolniły oboje z więzienia Ligi, Han i Drackmus odbyli tę samą rozmowę – z niewielkimi zmianami – co najmniej kilkanaście razy. Mężczyzna nigdy nie usłyszał jasnej odpowiedzi, a przecież trzy czwarte czasu spędził, czołgając się na czworakach.

Rozumiał, dlaczego tunele były takie niskie. Selonianki poruszały się na czworakach równie zwinnie i szybko – a może nawet jeszcze zwinniej i szybciej – niż wówczas, kiedy chodziły wyprostowane. Żyły przecież pod ziemią, drążyły tunele, chodniki i pieczary... Podziemne chodniki, kopane wyłącznie z myślą o Selonianach

chodzących na czworakach, mogły mieć tylko metr szerokości i metr wysokości, podczas gdy takie same tunele dla istot poruszających się na tylnych łapach musiałyby mieć wysokość co najmniej dwóch metrów. Istoty nie widziały sensu w ryciu dwukrotnie obszerniejszych wykopów tylko dlatego, żeby mogły chodzić wyprostowane. Niestety, uświadomienie sobie tego faktu nie łagodziło bolesnego skurczu w barku ani nie likwidowało pulsującego bólu w kolanach.

Dobrze chociaż, że Han nie był pierwszą istotą ludzką, jaka musiała tędy pełznąć. Zanim oswobodzicielki się pożegnały, wręczyły mu hełm, wyściełane rękawice i parę ochraniaczy na kolana. Czasami jednak Han zastanawiał się, czy te udogodnienia nie pogorszyły jego sytuacji. Hełm był ciężki, nie przystosowany do kształtu ludzkiej głowy i – co gorsza – pozbawiony otworów wentylacyjnych. Rękawice sprawiały wrażenie topornych i zbyt wielkich, a ochraniacze na kolana wyglądały, jakby miały ześliznąć się przy każdym kroku... jeżeli krokami można nazwać posuwanie na czworakach. Upłynęło wiele godzin prób i błędów, zanim Han nauczył się tak zginać nogi podczas stykania kolan z gruntem, aby ochraniacze pozostawały tam, gdzie je założył.

Zastanawiał się, czy nie powinien po prostu odmówić zgody na dalsze wędrowanie tam, gdzie każe Selonianka, i zamiast tego spróbować poszukać wyjścia z labiryntu podziemnych chodników na własną rękę. Wiedział jednak, że byłoby to beznadziejne przedsięwzięcie. Po pierwsze, Drackmus potrafiła poruszać się w mrocznych tunelach o wiele lepiej niż on, a po drugie, zapewne dobrze znała labirynt i wiedziała, dokąd się udać. Oprócz tego, gdyby zaistniała potrzeba, mogła wezwać na pomoc mnóstwo

koleżanek. Han świetnie wiedział, że chociaż rzadko widuje inne istoty, oboje nie są pod ziemią zupełnie sami.

Nagle usłyszał dobiegające z za pleców sapanie, a po chwili dwukrotny gwizd. W odpowiedzi Drackmus zawyła i zapiszczała. Dźwięki nie należały do seloniańskiej mowy, jaką Han znał jeszcze z czasów, gdy był dzieckiem. Były czymś w rodzaju używanych w tunelach sygnałów... powszechnie zrozumiałych, nawet pomimo echa, odbijającego się od ścian wąskich tuneli. Han bardzo szybko przekonał się, co oznaczają. Przeworzą wiedzą, ile razy słyszał je, odkąd oboje zostali uwolnieni. „Doganiam was. Pozwólcie mi przejść” –prosiła Selonianka, która znalazła się za ich plecami. „Proszę bardzo. Nie krępuj się i przechodź” – odpowiedziała Drackmus. Han westchnął, wyciągnął nogi i położył się na brzuchu.

– Znów to samo – mruknął do siebie.

Usłyszał dobiegające z za pleców odgłosy kroków. Towarzyszyło im zgrzytanie pazurów, drapiących o kamienie albo odłamki skał, jakich wiele leżało na dnie tunelu. Potem na chwilę zapadła cisza, kiedy nadchodząca z tyłu Selonianka stanęła i zdumiona, że natrafiła na człowieka, postanowiła obwąchać jego spodnie i stopy. Później zaczęła gramolić się przez rozciągnięte ciało. Nadepnęła jedną łapą na plecy Hana, a po chwili postawiła drugą na jego głowie. Nieszczęśnik westchnął. Następne sińce, z którymi musiało pogodzić się jego ciało. Wyprzedzające go istoty potrafiły znaleźć takie miejsce na Hanie, gdzie poprzedniczki jeszcze nigdy nie postawiły uzbrojonej w pazury ciężkiej stopy. Te, co szły w przeciwną stronę, miały paskudny zwyczaj stawiania łap na pośladkach i nogach.

Spiesząca się Selonianka przechodziła teraz po Drackmus, która także rozciągnęła się jak długa. Przez chwilę Han pocieszał się myślą, że nie jest jedyną istotą cierpiącą katusze. Prawdę mówiąc, nie była to wielka pociecha. Selonianki nie widziały w tym niczego niezwykłego. Przywykły do takich sytuacji, ale Han z przyjemnością wyobrażał sobie, że przy tej okazji Drackmus też zostanie dźgnięta pazurem pod któreś żebro. Mimo to, nawet jeżeli odniosła jakieś obrażenia, nie dała tego poznać po sobie.

Kiedy nieznajoma istota przeszła, Han dźwignął się znów na czworaki. Potem, nie mówiąc ani słowa, podjął wędrówkę w ślad za przewodniczką.

A może więzienną strażniczką, bo i to mogło się okazać. Po prostu nie był tego całkiem pewien.

Księżna Marcha z Mastigoforu lubiła podkreślać, że nie wierzy, aby jej siostrzeniec Ebrihim odziedziczył wszystkie dziwactwa po kimś z jej gałęzi rodu. Nie mogła jednak żywić najmniejszych wątpliwości, że odziedziczył także dwie czy trzy cenne zalety. Za jedną z nich uważała wytrwałość, aczkolwiek uważała, że siostrzeniec zbyt rzadko ją okazuje. Czasami jednak, kiedy wymagały okoliczności, Ebrihim potrafił wykrzesać z siebie sporo sił, podczas gdy wszyscy inni, kompletnie wyczerpani, dawno zrezygnowali z dążenia do celu.

Kiedy chciał, był także znakomitym uczonym, ale – zdaniem ciotki – nie robił właściwego użytku z tej umiejętności. Umiał przedstawiać we właściwym świetle fakty i spokojnie na ich temat dyskutować. Zdarzało się, że obiektywnie analizował sytuację, a potem wyciągał z niej rzetelne wnioski. Nigdy też nie dopuszczał, żeby fakty myliły mu się z opiniami. Także w tym pomagała mu

wytrwałość. Potrzebował jej, żeby móc badać, śledzić, obserwować i egzaminować. Niewątpliwie osiągnąłby niejedno, gdyby nie miał usposobienia dyletanta. A ponieważ interesował się dosłownie wszystkim, nigdy nie poświęcał dosyć czasu na dogłębne zajęcie się jednym zagadnieniem.

Tej nocy jednak robił użytek ze wszystkich swoich umiejętności. Dzieci od dawna spały, podobnie jak ich opiekun, Wookie Chewbacca. Odpoczywał nawet nieznośny robot Ebrihima, Qiunine-Ekstoo, który wrócił na pokład „Sokoła Millenium”, żeby uzupełnić zasoby energii.

Starszawy Dral jednak nie spał; rozmyślał, wypoczęty i radosny jak skąpany poranną rosą kwiat dressela. Razem z nim siedziała w kuchni i czuwała ciotka Marcha. Rozmawiali sobie, popijając mocną herbatę i posilając się znakomitymi, pożywnymi twardoherbatnikami, które wspaniale ćwiczyły użębienie oraz mięśnie szczęki, ale ścierały albo łamały zęby istot ludzkich.

Rzecz jasna, najważniejszym tematem rozmowy były sprawy rodzinne. Mawiano o Dralach, że gdyby pewnego dnia gigantyczna czarna dziura pochłonęła cały wszechświat, a przez przypadek tego samego dnia rozniosła się wiadomość, iż ulubiony kuzyn postanowił rozstać się ze swoją ukochaną, żaden z członków rodziny owego kuzyna przez wiele dni nawet nie wspomniałby o zagładzie wszechświata.

Ebrihim nie odwiedzał ciotki od wielu lat, zawsze jednak nadchodzi taka chwila, kiedy rodzinne sprawy muszą ustąpić miejsca ogólniejszym problemom. Oboje doszli zatem do wniosku, że najwyższy czas porozmawiać na temat fali kryzysów, jaka od

pewnego czasu stara się pograć w chaosie koreliański system planetarny.

– Jeszcze nigdy sytuacja nie wyglądała tak ponuro – zaczęła ciotka Marcha. – Wygląda na to, że nagle, pewnej nocy pojawiło się kilka niezależnych grup separatystów. Wszyscy krzyczą, jak bardzo nienawidzą członków rządu koreliańskiego sektora. Jedni i drudzy zapewnniają że Nowa Republika właściwie niczym się nie różni od Imperium. Zachęcają pozostałych, żeby zwarli szeregi, przyłączyli się akurat do nich i przeciwstawili się nieprzyjaciołom Ligi Istot Ludzkich. Wydaje mi się, że członkowie każdej grupy najbardziej we wszechświecie nienawidzą wszystkich pozostałych. To nie ma sensu. Zupełnie niepodobne do Dralów.

– Którzy sprawiają ci najwięcej kłopotów, ciociu? – zapytał Ebrihim. Wspominałaś o jakiejś grupie... nazwałaś ich Dralistami, prawda?

– To oni są najgorsi. Ze wszystkich innych grup właśnie Draliści przysparzają mi największych zmartwień. To oni tną energetyczne kable i to oni terroryzują podróżników. Każdego dnia oskarżają kogoś innego o to, że jest kolaborantem. Dasz wiarę? Pewnego razu nawet mnie nazwali kolaborantką. Rzecz jasna, nie zatroszczyli się o to, żeby wyjaśnić, z kim kolaboruję i o co może chodzić moim rzekomym mocodawcom. Wszystko wskazuje, że najbardziej zależy im na tym, by panował chaos i żeby mogli twierdzić, iż nie zgadzają się z nikim i niczym. Ja jednak dobrze wiem, co to znaczy być nazywanym kolaborantką. Nie uwierzysz, ale w kilku domostwach eksplodowały podrzucone bomby.

– Co takiego? – przeraził się Ebrihim. – Dralowie podrzucają bomby do domów innych Dralów? Rzeczywiście, trudno w to

uwierzyć.

– Z początku sama tak mówiłam, siostrzeńcze, ale nie mogłam narażać innych tylko dlatego, że ktoś uznał mnie za kolaborantkę. A zatem odprawiłam wszystkich, których mogłam – krewnych, służących, przyjaciół... wszystkich. Dom bez nich wydaje się strasznie pusty. Mam nadzieję, że powrócą, kiedy ta historia wreszcie się zakończy. Jeżeli kiedykolwiek się zakończy.

Marcha pokręciła głową i nalała do filiżanki siostrzeńca nową porcję herbaty.

– Nie mam pojęcia, co będzie dalej – ciągnęła ponuro. – Naprawdę nie wiem.

– Ja także nie, ciociu Marcho – powiedział Ebrihim. – Ja też nie wiem.

– Czym mogłabym cię poczęstować? – zapytała nagle księżna, jakby dopiero teraz przypomniała sobie o obowiązkach dobrej gospodyni. – Może jeszcze jednym twardoherbatnikiern? – dodała, sięgając po głęboką misę.

– Z prawdziwą przyjemnością, ciociu – odrzekł Ebrihim. – Twoje herbatniki są, jak zawsze, doskonałe. Twarde jak drewno i takie aromatyczne. Już zdążyłem zapomnieć, jak kiedyś za nimi przepadałem. Jedzenie, jakim żywią się istoty ludzkie, nie wpływa korzystnie na stan siekaczy.

– Cieszę się, że ci smakują, siostrzeńcze – odparła Marcha, wyraźnie zadowolona. – Ale mów, co u ciebie? Jak to się stało, na wszystkie gwiazdy, że obracasz się w towarzystwie trojga ludzkich szczeniąt i dorosłego Wookiego?

– To nie są zwyczajne ludzkie szczenięcia, ciociu Marcho – zachnął się Ebrihim. – Czy naprawdę ich nazwisko nic ci nie mówi? Ich

rodzice są znanymi, ważnymi osobistościami.

– No cóż, może i są – prychnęła pogardliwie Marcha. – Nigdy nie przywiązywałam większej wagi do tego, kim w danej chwili są tacy czy inni ludzie. Dotychczas przypuszczałam, że jesteś guwernerem i nauczycielem dzieci pochodzących z jakiegoś szlacheckiego, ale koreliańskiego rodu. Nie spodziewałeś się chyba, że zapamiętam nazwisko?

– Spodziewałem się, że przynajmniej wiesz coś o ich rodzicach. Ojciec jest bohaterem z czasów wojny przeciwko Imperium... i wszystko wskazuje na to, że także kuzynem przywódcy Ligi Istot Ludzkich. Nie był zachwycony, kiedy się o tym dowiedział! Matką jest Leia Organa Solo, przywódczyni Nowej Republiki, a wujem – sam mistrz Jedi, Luke Skywalker.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła ciotka Marcha, wbrew samej sobie wyraźnie poruszona. Sama była głową znakomitego rodu; wiedziała wszakże, że czasami długa linia przodków oznaczała, iż głupcy po prostu nie potrafili przestać się rozmnażać. Zawsze przykładała większą wagę do osiągnięć, a nie rodowodów. Niektórzy przodkowie znamienitych rodzin wywierali jednak duże wrażenie także na niej. – Doprawdy, siostrzeńcze, obracasz się w kręgach wybitnych osób. Opowiedz mi o wszystkim bardziej szczegółowo.

– Z miłą chęcią, ciotciu – zgodził się Ebrihim. – Uprzedzam jednak, że to długa historia.

– Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek opowiedział mi krótką – odrzekła księżna.

Ebrihim nalał sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty, po czym zaczął opowiadać o wszystkim, co mu się przydarzyło, odkąd został zatrudniony przez Leię Organę Solo. Wyglądało na to, że w

społeczności koreliaóskich dostojników od niepamiętnych czasów knuło się intrygi. Może to dziwne, ale Ebrihim zawsze umiał znaleźć sposób, żeby wplątywać się jak nie w jedną, to w drugą.

Marcha zawsze martwiła się o to, co może przydarzyć się jej siostrzeńcowi. Możliwe, że Ebrihim wydawał się ludziom istotą zrównoważoną, spokojną i rozsądną, a czasem nawet surową. Jednak, gdyby oceniać go według przyjętych na Dralii norm postępowania, należałoby stwierdzić, że jest kapryśny, lekkomyślny, nieodpowiedzialny i trzpiotowaty. Jego ciotka już dawno straciła wszelką nadzieję, iż siostrzeniec ustatkuje się i założy własną rodzinę. Nie musiała znać się na psychologii, żeby uznać sympatię, jaką darzył ludzkie szczenięta, za namiastkę miłości do własnych dzieci, które nigdy mu się nie urodzą. Z drugiej strony niewykluczone, że pozwalała sobie na wyciąganie zbyt daleko idących wniosków. Księżna z Mastigoforu nie powinna tracić czasu na bzdury... nawet jeżeli sama je wymyślała.

Chyba jednak w każdej rodzinie dałoby się znaleźć kilku ekscentrycznych siostrzeńców albo bratanków i było to niewątpliwie jakąś pociechą. Księżna Marcha przypomniała sobie o tym, słuchając opowieści Ebrihima o przygodach, jakie przeżył, podróżując w towarzystwie członków rodziny przywódczyni Nowej Republiki. Szpiegowanie, niespodziewane napaści, porwanie i uwolnienie Hana Solo, atak na Koronę... to wszystko było dla niej czymś wyjątkowym, niecodziennym.

Jednak bardziej niż wszystko inne wstrząsnęło nią wykorzystanie przez siostrzeńca szacunku, jakim cieszyła się rodzina nowych pracodawców, do własnych, samolubnych celów. I to do jakich! Czyżby naprawdę Ebrihimowi chodziło jedynie o obejrzenie miejsca

archeologicznych wykopalisk? Możliwe, że prace wykopaliskowe interesowały jego pracodawców albo mogły przynieść korzyść ich pociechom. Tym lepiej. Mimo to bezczelność, jaką okazał Ebrihim, zaparła dech w jej piersi. Marcha wątpiła, żeby nawet człowiek ośmielił się wykorzystać w tak haniebnym sposobie swoje stanowisko. Żaden Dral przy zdrowych zmysłach nigdy, przenigdy nie chciałby mieć z czymś takim nic wspólnego. Na szczęście cała przygoda zakończyła się pomyślnie. Gdyby siostrzeniec nie zapaścił się w głąb archeologicznego szybu, może mały Anakin nigdy nie odkryłby tamtej gigantycznej komory.

Opowiedziana przez siostrzeńca historia jednak przypomniła jej inną historię, którą kiedyś znalazła w codziennych wiadomościach.

– Siostrzeńcze – zagadnęła. – Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby i na Dralii były prowadzone jakieś archeologiczne prace?

Ebrihim spojrział na nią i zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Właśnie dlatego tak bardzo zależało mi na tym, żeby obejrzeć miejsce tamtych wykopalisk. Dralowie nie potrafią prowadzić prac archeologicznych, podobnie jak ludzie nie umieją pielęgnować ogonów.

– Dokładnie takie samo odnosiłam wrażenie – przyznała Marcha.
– Dralowie nie potrzebują archeologów. Nie mają niczego wartościowego, co chcieliby wykopywać.

Dralowie byli bardzo starą rasą inteligentnych istot, dobrze znanych z zamiłowania do porządku. Zawsze wszystko starannie rejestrowali, organizowali i przechowywali. Od tysiącleci wszystko, co przedstawiało dla nich jakąkolwiek wartość, trzymali w magazynach albo przekazywali w celu odzyskania cennych surowców. Nie istniały dla nich takie pojęcia, jak historia,

starożytność czy prehistoria... a jeżeli nawet kiedyś istniały, wszyscy dawno o nich zapomnieli i uważali, że równie dobrze mogłyby nie istnieć.

– Właśnie dlatego tak bardzo się zdziwiłam, kiedy pewnego dnia znalazłam w prasie krótką wzmiankę, że w okolicach naszego równika są prowadzone poważne prace wykopaliskowe – ciągnęła księżna.

– To jakiś absurd! – zachnął się Ebrihim.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – oznajmiła Marcha. – Uznałam to za coś tak dziwnego, że postanowiłam dowiedzieć się czegoś jeszcze. Niestety, zdołałam tylko ustalić dokładne miejsce, gdzie prowadzą te wykopaliska, ale już nic więcej. W gazetach nie wspomniano później o tym ani słowem, a wszyscy, których wypytywałam, nie potrafili albo nie chcieli udzielić mi żadnych informacji. Doszłam do wniosku, że kierowała mną zwykła ciekawość, i wkrótce potem zrezygnowałam z dalszych poszukiwań... może zbyt szybko. Najbardziej jednak intryguje mnie to, że miejsce naszych wykopalisk musi chyba wyglądać zupełnie tak samo jak tamto, które udało ci się obejrzeć na Korelii.

Zdumiony Ebrihim zapomniał zamknąć usta, ale nie przestawał wpatrywać się w swoją rozmówczynię.

– Ciociu Marcho! – wykrzyknął w pewnej chwili. – Czy wiesz, że znaczenie tego, co przed chwilą powiedziałaś...

– Wiem, wiem – przerwała mu księżna. – Jest ogromne. Chyba nie mamy wyjścia i musimy zająć się rozwiązaniem tej zagadki. Uważam, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej – o wiele więcej – na temat tego, co właściwie odkryły wówczas dzieci.

Pokonując ciemności nadprzestrzeni, Tendra Risant kierowała niedawno nabyty gwiazdny statek ku Korelii. Jednostka była wysłużonym, powolnym koreliańskim trampem, który kobieta nazwała „Szarmanckim Gościem”. Na pierwszy rzut oka „Szarmancki Gość” wyglądał raczej jak włóczęga, ale wygląd rzadko świadczył o możliwościach. Najważniejsze, że wszystko wskazywało na to, iż statek wcześniej czy później doleci do celu. Tylko to miało jakieś znaczenie.

Tendra opuściła Sakorię zaledwie kilka godzin wcześniej, ale już zdążyła nauczyć się wielu ciekawych rzeczy o podróżach międzygwiazdnych. Bardzo chciałaby gdzieś usiąść i porozmawiać z Landem Calrissianem o wszystkim, czego się dowiedziała... jeżeli kiedykolwiek go odnajdzie. Przeczuwała, że ciemnoskóry mężczyzna zna się dobrze na takich sprawach, i liczyła na to, że może zechce udzielić jej kilku cennych informacji.

Pierwszą i zarazem najważniejszą prawdą, jaką poznała, była ta, że pieniądze umożliwiały niemal wszystko. Naprawdę ułatwiały wiele rzeczy, zwłaszcza jeżeli ktoś był gotów rozrzucić je na prawo i lewo w postaci łapówek, prezentów albo innych zachęt. Embarga? Zarządzenia, nakazujące kapitanom wszystkich gwiazdnych statków pozostawianie swoich jednostek na miejscowych lądowiskach? Przepisy, zakazujące sprzedawania używanych maszyn? Formularze rejestracyjne? Każda z tych przeszkód przestawała istnieć, poddana presji odpowiednio ulokowanej określonej sumy.

Druga odkryta przez nią prawda dotyczyła samych międzygwiazdnych lotów. Tendra Risant doszła do przekonania, że jeżeli chodzi o latanie w przestworzach, ludzie byli strasznie rozpieszczeni. Wszyscy chyba przypuszczali, iż otaczające

koreliański system pole interdykcyjne jest czymś w rodzaju solidnego, nieprzeniknionego muru. Sądziła, że po prostu nie da się przezeń przelecieć. Tymczasem to wszystko wyglądało inaczej. Interdykcyjne pole uniemożliwiało wnikanie do koreliańskiego systemu jedynie gwiazdnych statków lecących z szybkością większą niż prędkość rozchodzenia się fal świetlnych. Tylko tyle. Nic więcej.

A zatem dostanie się na Korelię nie przedstawiało większych trudności – o ile oczywiście podróżnik nie miał nic przeciwko temu, aby poświęcić na dotarcie więcej czasu. Nawigacyjny komputer powiedział Tendrze, że jeżeli „Szarmancki Gość” będzie leciał z największą prędkością podświetlną, na jaką pozwoli jednostka napędowa, podróż od granicy pola do Korelii potrwa trzy długie tygodnie. Tendra jednak miała przecucie, że zajmie jej to mniej czasu. Sądziła, że wcześniej czy później Kordianie wyłączą generator pola interdykcyjnego. Może uczynią to sami, a może ktoś to zrobi za nich. A nawet jeżeli pole nie zaniknie, niewykluczone, że ustanie dokuczliwe zagłuszanie sygnałów komunikatorów.

A poza tym Tendra wiedziała, że może osiągnąć bardzo dużo, nawet jeżeli nie zbliży się do Korelii. Nic nie szkodzi, że normalne częstotliwości, na jakich pracowały komunikatory, będą nadal zakłócone. Nic nie mogło zakłócić funkcjonowania archaicznego urządzenia, jakie przekazał jej Lando, zanim odleciał na Korelię. Zapewne pragnął pozostawić po sobie coś w rodzaju romantycznej pamiątki; zamierzał może porozumiewać się tajnie z Tendrą, –jak czasami robią zakochani. Co prawda urządzenie miało przekazywać sygnały tylko między Sakorią a jej księżycem, ale kobieta nie wątpiła, że potrafi wykorzystać je także w inny sposób.

Aparatura rzeczywiście sprawiała wrażenie dziwacznej i bardzo starej. Wysyłała i odbierała modulowaną wiązkę fal elektromagnetycznych o częstotliwościach określanych kiedyś mianem fal radiowych. Ponieważ przekazanie informacji wiązało się z koniecznością wysłania fali elektromagnetycznej, szybkość porozumiewania się była ograniczona przez prędkość światła. Lando powiedział, że taki system przesyłania sygnałów nazywa się radioniką. Tendra nie widziała powodu, dla którego by tego archaicznego systemu nie dało się przystosować także do przekazywania obrazów, jednak sprzęt, jaki zabrała w drogę, umożliwiał przesyłanie jedynie dźwięków. Bardzo prymitywne rozwiązanie. Mówiło się do mikrofonu, a głos szybował w przestworza w postaci wiązki odpowiednio zmodulowanych fal elektromagnetycznych. Rozchodząc się z prędkością światła, leciał w określonym kierunku.

Prędkość światła była jednak i tak większa niż szybkość, jaką osiągał gwiazdny tramp Tendry. Średnica koreliańskiego systemu miała zaledwie kilka godzin świetlnych. Kobieta liczyła na to, że Lando znajdował się w obrębie systemu. Miała nadzieję, że on –albo ktokolwiek inny – ma włączony radioniczny odbiornik, nastrojony na tę samą częstotliwość co jej nadajnik. Kiedy więc „Szarmancki Gość” dotrze do obrzeży systemu, w ciągu zaledwie kilku godzin Lando powinien dowiedzieć się, że w przestworzach wokół Sakorii gromadzą się okręty potężnej floty. Tendra zdawała sobie sprawę, że szanse odebrania jej ostrzeżenia są bardzo małe. Cóż, nawet bardzo małe szanse były lepsze niż zerowe.

Najważniejsze jednak, że znalazła sposób, żeby wyrwać się z Sakorii.

ROZDZIAŁ

11.

LOGICZNE ROZUMOWANIE

Kiedy dzieci obudziły się następnego ranka w rezydencji ciotki Marchy, myślały tylko o jednym. Zamierzały jak najszybciej zjeść śniadanie, a potem wyruszyć na wyprawę. Chciały zapoznać sienie tylko ze wszystkimi zakamarkami wielkiego domu, ale także otaczającego go ogrodu.

Okazało się jednak, że w kuchni czeka na nie Qiunine. Robot pomógł dzieciom w przyrządzaniu posiłku najlepiej i najszybciej jak potrafił, a potem przekazał im wiadomość, że Ebrihim i ciotka Marcha chcą z nimi porozmawiać. Tematem rozmowy miała być podziemna komora, którą odkrył Anakin, kiedy dzieci przebywały na Korelii. To wystarczyło, żeby ostudzić ich entuzjazm. Nagle śniadanie zaczęło smakować jak ostatni posiłek skazańca.

Nie istniało chyba dziecko, które nie odczuwałoby ukłucia niepokoju na wieść o tym, że oto jest wzywane przez dorosłych, aby wyjaśnić to i owo. Ilekroć starsi spoglądali na różne sprawy z własnego punktu widzenia, nawet najbardziej niewinne dziecięce grzeszki urastały do rozmiarów tragedii.

Pół biedy jeszcze, gdyby przyszło się tłumaczyć z przypadkowego wybicia szyby. Taki wypadek może przydarzyć się każdemu. Jednak

każde rozsądne dziecko w trosce o własną skórę musiało przygotować się do takiej rozmowy. Każde rozsądne dziecko wiedziało też doskonale, że dorośli rozmaicie interpretują pojęcie „wypadek”.

Należało jednak liczyć się z poważniejszymi konsekwencjami, jeżeli wykroczenie polegało na niezupełnie przypadkowym odkryciu gigantycznej, prastarej, wykopanej przez rasę obcych istot i energicznie poszukiwanej tajemniczej podziemnej jaskini. Jaina już wtedy wymyśliła kilka powodów, dla których to odkrycie może wpędzić wszystkich troje w poważne tarapaty. Dzieci mogły przecież – pomimo przedsięwzięcia wszelkich możliwych środków ostrożności – pozostawić ślad, który umożliwił sługusom Istot Ludzkich odnalezienie szybu. A jeżeli pieczara była dziwacznym, ogromnym grobowcem, a oni wchodząc do niej pogwałcili czyjś najświętszy zakaz? A może – i to byłoby chyba najgorsze – odkrycie komory przyczyniło się do wybuchu tej wojny?

Jaina nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś takiego, ale to jeszcze nie oznaczało, że właśnie tak nie wyglądała prawda.

Anakin usiłował wykręcić się sianem twierdząc, że zaraz po śniadaniu musi pomóc Chewbacce naprawiać urządzenia „Sokoła”, ale nie zdołał zwieść nawet robota. Wyglądało na to, że wszyscy troje nie mają innego wyjścia.

– Powiedzieli ci, czego chcą się od nas dowiedzieć? – zapytała Jaina, nie przestając szturchać łyżką pokrojonych w kostkę owoców na swoim talerzu.

– Wiem tylko tyle, że pragną z wami porozmawiać – wyjaśnił Qiunine. – Chcą, żebyście opowiedzieli im swoimi słowami, jak wyglądała tamta komora, którą odkrył Anakin. Mówię to wam już

trzeci raz. Wydawało mi się, że poprzednie dwa razy wyraziłem się wystarczająco jasno.

– No cóż, może chciałabym usłyszeć bardziej szczegółową odpowiedź – rzekła dziewczynka.

– Jeżeli tak, sugeruję, żebyś zadała bardziej szczegółowe pytanie – odrzekł robot.

– Posłuchaj, Qiunine – wtrącił się Jacen. – Najważniejsze pytanie brzmi: czy wpadliśmy w tarapaty?

– W jakie tarapaty? – zapytał zdziwiony automat.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze chłopiec. – Gdybym to wiedział, nie musiałbym pytać.

– Jak mogę powiedzieć ci to, czego chcesz się dowiedzieć, skoro sam nie wiem, o co ci chodzi? – obruszył się Qiunine.

– Chcę się dowiedzieć, czy wiesz to, o czym ja nie wiem – nie dawał za wygraną Jacen.

– A ja nie mogę ci odpowiedzieć, jeżeli przedtem nie wyjawisz mi, o co ci właściwie chodzi – upierał się poirytowany robot.

– To prawda, ale...

– Uspokójcie się! – krzyknął nagle Anakin. – Jest za głośno.

– Zgadzam się z Anakinem – rzekła Jaina. – Dokończmy śniadanie, a wtedy wszystkiego się dowiemy.

Dzieci skończyły jeść w niezręcznej i cokolwiek wymuszonej ciszy, a potem wyszły z kuchni i podążyły za Qiuninem do prywatnego gabinetu ciotki Marchy. Był to chyba najdziwniejszy pokój, jaki kiedykolwiek widziały. Górna futryna drzwi znajdowała się tak nisko, że Jacen musiał pochylić się wchodząc. Pomieszczenie nie miało okien, a łagodnie wklęsnięte ściany przechodziły jedna w drugą i stapiały się z podłogą. W gabinecie unosiła się dziwna woń

schnącego szlamu. Ściany pomalowano w zawiłe, wzajemnie przenikające się ciemnobrązowe wzory, a meble wyglądały jak porzucone w nieładzie wielkie, płaskie, zaokrąglone głazy. Głazy okazały się jednak miękkimi, wygodnymi poduchami i dzieci z radością na nich usiadły.

– Dlaczego ten pokój wygląda tak śmiesznie? – zainteresował się Anakin.

– Anakinie! – zganiła go oburzona Jaina. – Jak możesz być tak źle wychowany!

– Och, nic nie szkodzi – odezwała się ciotka Marcha. – Nie ma w tym nic złego, jeżeli ktoś chce się czegoś dowiedzieć, a nie zamierza nikogo urazić. Prawdę mówiąc, Anakinie, mógłbyś zadawać pytania nieco bardziej uprzejmie, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałabym ci odpowiedzieć. Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy zbliżała się chłodna, dokuczliwa zima, wszyscy Dralowie chowali się w podziemnych norach i zapadali w zimową drzemkę. I tak dzieje się do tej pory. Co prawda ja nie posuwam się aż tak daleko, ale wielu Dralów lubi przebywać w miejscu, które chroni przed chłodem i przypomina ciepłą, przytulną podziemną norę. Uważam, że to bardzo miły pokój, doskonały, aby usiąść i porozmawiać. A co ty o tym sądzisz?

Anakin rozejrzał się po gabinecie i po chwili namysłu kiwnął głową.

– Chyba mi się podoba – zawyrokował.

– To dobrze – powiedziała ciotka Marcha. – A zatem możemy przejść do rzeczy. Dzieci, Qiunine–Ekstoo pokazał nam obrazy, jakie zarejestrował, kiedy przebywałyście w tamtej komorze. Przypuśćmy jednak, że ja ich nie widziałam. Opowiedzcie mi, proszę, własnymi

słowami wszystko, co wiecie na ten temat. Postarajcie się nie pominąć żadnego szczegółu.

– No cóż – zaczęła Jaina. – Niech będzie. – Ciotka Marcha nie wyglądała jak ktoś, kto zamierza zrobić im awanturę. Może więc, mimo wszystko, nie wpadły w tarapaty. Chyba że krewna Ebrihima była złośliwą, podstępną i przebiegłą starą jędzą. – Należałoby zacząć od tego, że to nie myją odkryłyśmy. To sprawka Anakina. Nie mam pojęcia, skąd wiedział, gdzie szukać. Prawdopodobnie, kiedy szliśmy podziemnym korytarzem, zobaczył jakąś linię czy strzałę, której my nie dostrzegliśmy. Ta linia leżała pod dnem korytarza i pokazała mu drogę do komory.

– Anakin czasami wykazuje takie dziwaczne umiejętności – dodał ironicznie Jacen.

– Rozumiem – odezwała się ciotka Marcha tonem dowodzącym, że niczego nie rozumie.

– Wszystkie dzieci umieją świetnie władać Mocą– wyjaśnił Ebrihim. – Anakin jednak wyprawia z nią niezwykle rzeczy.

– Ta–a – przyznał niechętnie Jacen. – Czasami przechodzą ciarki, kiedy się widzi, co robi z urządzeniami i mechanizmami. I robotami. Mama i tata uważają, że może kiedyś z tego wyrośnie.

– A może nie wyrośnie – wtrącił się Anakin.

Jaina odniosła wrażenie, że jej młodszy brat uważa, iż wszyscy, łącznie z bliźniętami, są źli na niego za to, co przeskrobał.

– Nie sądzę, by ktokolwiek chciał obwiniać cię za odkrycie tej komory – rzekła szybko, pragnąc go uspokoić.

– Wręcz przeciwnie – pospieszyła z zapewnieniem ciotka Marcha. – Twoje odkrycie może okazać się bardzo, bardzo ważne. Ale proszę,

mów dalej – dodała, zwracając się do dziewczynki. – Anakin... no tak, podążał tam, dokąd wiodła go niewidzialna linia. I co potem?

Jaina i Jacen opowiedzieli całą resztę historii. Jak często zdarza się wśród bliźniąt, jedno kończyło zdanie zaczęte przez drugie, a nierzadko też uzupełniało o dodatkowe szczegóły. Od czasu do czasu wtrącał się również Anakin, ale przeważnie nikt nie miał pojęcia, co właściwie chciał powiedzieć. A jednak, mimo iż wszyscy troje opowiadali bez ładu i składu, ciotka Marcha chyba nie miała kłopotów z wyobrazeniem sobie wyglądu pieczary.

Bliźnięta zaczęły od tego, że Anakin kazał im podejść do jakiejś ściany, która na pierwszy rzut oka wyglądała zupełnie tak samo jak wszystkie pozostałe. Opowiedziały, jak znalazł ukryty panel z klawiaturą i jak otworzył ciężkie zamaskowane wrota. Opisały, jak wyglądał dziwny srebrzysty korytarz, ciągnący się za drzwiami, a także platforma, jaką znalazły na końcu. Nie zapomniały także o głębokim szybie, jaki ciągnął się pod platformą... ani o umieszczonych na dnie szybu sześciu stożkowato zakończonych srebrzystych cylindrach, otaczających niczym wieniec siódmy, usytuowany pośrodku.

Od czasu do czasu ciotka Marcha przerywała im, żeby zadać jakieś pytanie. W końcu poprosiła robota, żeby wyświetlił jeszcze raz zarejestrowane obrazy; oglądając je, wypytywała dzieci o szczegóły. Interesowała się, jak wyglądał ten albo inny przedmiot, czy był bardzo stary i czy w komorze było ciepło, czy też zimno. Chciała wiedzieć, jak wyglądało sklepienie szybu i czy dzieci nie zauważyły w nim niczego dziwnego. Pocięchy starały się odpowiadać najlepiej jak umiały, a Marcha zazwyczaj otrzymywała odpowiedzi, jakich się spodziewała.

W końcu doszła do wniosku, że wyciągnęła z dzieci wszystko, co wiedziały.

– Dziękuję wam – oznajmiła. – To, co mi powiedziałyście, ma dla mnie bardzo duże znaczenie. Większe niż potraficie sobie wyobrazić. Teraz Ebrihim i ja chcielibyśmy zostać sami i zastanowić się nad tym, co usłyszeliśmy. Możecie odejść.

Jacen i Anakin natychmiast zerwali się na równe nogi i pospieszyli w kierunku drzwi małego gabinetu. Jaina została jednak tam, gdzie siedziała. Ciotka Marcha pewnie uważała, że dowiedziała się wszystkiego, co chciała, ale była w błędzie. Jaina wiedziała o czymś jeszcze... nie tylko o niezwykłej podziemnej komorze. Od dawna dręczyło to jej sumienie. Doszła do przekonania, że powinna z kimś o tym porozmawiać – nawet gdyby w wyniku wyjawienia tajemnicy miał runąć świat, w którym się obracała.

– Uhm... – zaczęła niepewnie. – Wasza Miłość...

– Tak, drogie dziecko? O co chodzi?

– Jest jeszcze coś, o czym powinna pani wiedzieć. Usłyszeliśmy to wszyscy troje, chociaż nie powinniśmy byli podsłuchiwać.

– Jaino! – krzyknął Jacen. – Jak możesz?

– Musimy to komuś wyznać, Jacenie – odrzekła Jaina. – To może być coś ważnego. A poza tym mam przeczucie, że możemy jej zaufać. Musimy. Nie mamy innego wyjścia.

Jacen odwrócił się plecami do drzwi, a w końcu usiadł na poprzednim miejscu.

– Uważam, że popełniasz błąd – powiedział.

– No cóż, nawet jeżeli tak, biorę go na siebie – oznajmiła dziewczynka, a potem odwróciła się do księżnej. – To wydarzyło się w nocy, kilka godzin przed atakiem na Koronę. Nasi rodzice spotkali

się wtedy z gubernatorem generalnym Micamberlectem i kobietą nazywającą się Mara Jade. Ona jest...

– Wiem o niej wszystko, co powinnam – uspokoiła ją umyślnie obojętnym tonem ciotka Marcha. – Jest mistrzynią sztuki handlowania. Mów dalej.

– No cóż, Mara Jade przybyła z wiadomością od kogoś, kto miał głos zupełnie jak nasz tata – podjęła dziewczynka.

Opowiedziała o wszystkim, co dzieci wtedy podsłuchały i co zobaczyły, wyświetlone na ścianie salonu. Powtórzyła prawie dokładnie, co powiedział mężczyzna... nie wyłączając groźby, że unicestwi wiele gwiazd, a na końcu samego Korela. Marcha słuchała bardzo uważnie i tylko raz czy dwa zadała jakieś pytanie. Jaina opowiedziała całą historię, ale kiedy dochodziła do końca, jakby się zawahała. W końcu jednak zdecydowała, że skoro zaczęła, nie może się wycofać.

– Jest jeszcze jedna rzecz – dodała po chwili. – Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiem, ale mam przeczucie, że między tymi dwiema sprawami istnieje jakiś związek... między tym, co powiedział nieznajomy mężczyzna, a komorą Anakina. Nie umiem tego wyjaśnić, ale obie te sprawy oddziałują na mnie tak samo.

– Według mnie to niemożliwe – odparła ciotka Marcha. – Nie wierzę, żebyś miała rację... o ile moje podejrzenia na temat tego, co odkrył Anakin, okazały się prawdziwe. A jestem prawie pewna, że się nie mylę.

– Jeżeli cię to pocieszy, Jaino – odezwał się Ebrihim – to nie sądzę, żebyś zdradziła jakąkolwiek tajemnicę. Chewbacca i ja słyszeliśmy podobne ultimatum, rozgłaszane następnego dnia chyba

po całej Korelii. Nie mówiliśmy wam o tym, ponieważ nie chcieliśmy was przestraszyć. A wy już wiedzieliście!

– Sama słyszałam, jak tamten mężczyzna nakazywał naszym rodzicom, żeby trzymali wszystko w najściślejszej tajemnicy – zachnęła się dziewczynka. – Jaki sens miałoby rozgłaszanie tego następnego dnia całemu światu?

– To doskonałe pytanie, Jaino – przyznał Ebrihim.

– Ja także mam kilka pytań – wtrąciła się ciotka Marcha. – Pierwsze i najważniejsze dotyczy terminów i współrzędnych. Które to będą gwiazdy i kiedy eksplodują? Gdybyśmy dysponowali harmonogramem, można byłoby dowiedzieć się czegoś bardzo ważnego.

– Ja mogę ci odpowiedzieć na to pytanie! – oświadczył Anakin. – Jeżeli chcesz, to ci wszystko napiszę.

Marcha się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że mógłbyś to zrobić, Anakinie – powiedziała, spoglądając na chłopczyka. – Zależy mi jednak na prawdziwych danych, a nie wymyślonych tylko dlatego, żeby...

– Och, on potrafi podać pani prawdziwe dane – odezwał się Jacen tonem grzecznościowej rozmowy. – Czy ma pani kawałek papieru i coś, czym dałoby się pisać?

– Co takiego? – zdumiała się Marcha. – Jak to możliwe, żeby...

– Pozwól, ciociu – wtrącił się Ebrihim. Wstał i otworzył drzwiczki wpuszczonej w ścianę niewielkiej szafki. Wyjął spory arkusz papieru i pióro, a potem wręczył chłopcu jedno i drugie. Malec położył papier na podłodze i wyciągnął się obok na brzuchu, po czym zaczął pisać równe rzędy dużych cyfr i znaków. – Chłopiec ma... ach... zdumiewającą pamięć.

– Jeżeli coś zobaczy, zaraz zapamiętuje – zgodziła się z nim Jaina. – Rzecz jasna, nie ma pojęcia, co to wszystko oznacza, ale pamięta i jeżeli zachodzi potrzeba, potrafi odtworzyć.

– Co chcesz przez to powiedzieć, drogie dziecko? – zdziwiła się księżna. – Naprawdę nie wie, co to wszystko znaczy?

– No cóż, prawdę mówiąc, Wasza Miłość, jeszcze nie bardzo umie czytać – wyjaśniła dziewczynka. – Mimo to całkiem dobrze zna wszystkie cyfry i litery.

Półtorej godziny później, kiedy Ebrihim i Marcha uznali, że wyciągnęli z dzieci absolutnie wszystko, co wiedziały – a było tego sporo – pozwolili im odejść. Anakin, którego trzeba było trochę przynaglać, w końcu odtworzył z pamięci przebieg całej rozmowy, jaką udało się dzieciom podsłuchać owej pamiętnej nocy. Mówił powoli, starannie wymawiając słowa, a księżna Marcha, korzystając z gabinetowego urządzenia, utrwałała jego wypowiedz celem późniejszego odtworzenia. Potem siostrzeniec i ciotka wysłuchali zarejestrowanego przez aparaturę pokładową „Sokoła Millenium” tekstu publicznego wystąpienia Thrackana Sal-Solo, a jeszcze później zaznaczyli na gwiazdnych mapach dokładne położenie wszystkich gwiazd, których współrzędne zapisał Anakin.

No i stwierdzili, że nie potrafią wyciągnąć z tego żadnych wniosków.

– Siostrzeńcze – odezwała się Marcha. – Oto stanęliśmy oko w oko z tajemnicą. Musimy znaleźć rozwiązanie. Obawiam się jednak, że nawet nie wiem, jak zacząć. Jedna wiadomość podsłuchana przez dzieci zawiera dowód, a przynajmniej przekonujące poszlaki, że jej autor jest zdolny do unicestwienia gwiazdy. Nadawca wiadomości żąda, aby odbiorca zachował ją w tajemnicy. Nie przedstawia się,

ale łączy szczegółowe informacje, a z nich wynika, kiedy i gdzie można spodziewać się eksplozji następnej gwiazdy. Rozkazuje odbiorcy, żeby ten czekał na instrukcje, ale nie mówi, na jakie.

Druga wiadomość – ta, którą ty usłyszałeś – pojawiła się zaledwie dzień później. Nadawca oznajmiał wszystkim mieszkańcom planety, że potrafi wywoływać eksplozje supernowych. Postawił absurdalne, niemożliwe do spełnienia żądania, a wkrótce potem zdecydował się na zagłuszanie sygnałów i włączył generator pola interdyscyjnego. Upewnił się dzięki temu, że nikt nie zdoła nawet podjąć próby zastosowania się do jego polecenia. Zauważ jednak, że swoich żądań nie podał do wiadomości mieszkańcom pozostałych światów. Podejrzewam, że wiem, dlaczego tak się stało. Druga wiadomość była wymierzona przeciwko Dralom i Selonianom, a zatem nie powinna dotrzeć tam, gdzie istoty obu tych ras mogłyby wyrzucić zemstę na ludziach. To wszystko jednak nie ma sensu. Żadnego sensu.

– Masz absolutną rację – przyznał Ebrihim. – Pod warunkiem, że założymy, iż obie wiadomości nadała ta sama grupa ludzi.

– Oczywiście, że tak – odrzekła Marcha. – Dlaczego uważasz, że może być inaczej?

– Dostrzegam w pierwszej wiadomości kilka przesłanek, które pozwalają mi sądzić, że się nie mylę.

– Wytłumacz, o co ci chodzi.

Ebrihim sięgnął po wydruk z urządzenia rejestrującego.

– Chcąc zastosować się do twojej prośby, muszę posłużyć się rozumowaniem dedukcyjnym, czyli wykazać się umiejętnością wyciągania logicznych wniosków – zaczaj. – Niektóre wynikają z tego, czego pierwsza wiadomość nie zawiera. – Zbliżył wydruk do

oczu i przeczytał: – „To jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymacie, zanim przystąpimy do działania. Nie zawiadamiajcie nikogo o tym, że otrzymaliście tę wiadomość, i cierpliwie czekajcie na dalsze instrukcje, żebyśmy nie musieli uciekać się do innych środków. Przechwytnijemy wszystkie wysyłane informacje i sygnały, a zatem nie kontaktujcie się absolutnie z nikim ani nie próbujcie wzywać pomocy. Jakiegokolwiek nieposłuszeństwo tylko przyspieszy realizację naszych planów”.

To było wszystko, co oznajmił tamten mężczyzna. Zwróć jednak uwagę na to, że pierwsza wiadomość składała się z dwóch części. W pierwszej podano listę i współrzędne gwiazd, ale nie nawiązano do zarejestrowanego anonimowego głosu. Druga zawierała zarejestrowany głos mężczyzny, ale nie wspominała ani słowem o żadnej liście.

Dzieci powiedziały, że słuchając mężczyzny, odnosiły wrażenie, iż słowa ultimatum wypowiada ich ojciec. Istnieje zatem duże prawdopodobieństwo, że mężczyzną tym był rzeczywiście Thrackan Sal—Solo. Załóżmy, że to on. Przyjmijmy też, że wręczono mu tekst ultimatum i kazano odczytać, nie wyjaśniając, o co chodzi. Możliwe, że prawdziwym autorem zależało na tym, aby tekst przeczytał ktoś mówiący z akcentem koreliańskim. A może chcieli, żeby odbiorca listu usłyszał właśnie głos Thrackana – licząc na to, że kiedy w końcu Korelianin zdecyduje się na jakiś ruch, wszyscy skojarzą autorów z nim i jego Ligą Istot Ludzkich. Możliwe też, że kiedy nadawcy potrzebowali kogoś do odczytania tekstu, Thrackan po prostu był pod ręką.

Tak czy owak, wiadomość została zarejestrowana. Jeżeli Mara Jade nie należała do grona spiskowców, możemy być prawie pewni,

że uczyniono to nie później niż kiedy Mara ją otrzymała, to znaczy przed jakimiś trzema tygodniami. Natomiast jeśli ona bierze udział w spisku, wiadomość mogła zostać zarejestrowana kiedykolwiek, zanim wręczono ją przywódczyni Nowej Republiki. Załóżmy jednak, że Mara nie miała z tym nic wspólnego. Jeżeli tak, ktoś inny mógł zarejestrować wiadomość przed wieloma miesiącami, a nawet przed paru laty.

– I co z tego? – zapyłała ciotka Marcha.

– To by wszystko wyjaśniało – ciągnął Ebrihim. – Pozwól, ciociu, że opowiem ci pewną historię. Myślę, że to wyglądało tak: nadawcy pierwszej wiadomości zwracają się z prośbą –jeszcze nie wiem, dlaczego – do Thrackana Sal-Solo. Domyślam się, że Korelianin miał jakiś udział w spisku albo w jego części, a nadawcom zależało na tym, żeby osobą odczytującą ich ultimatum był mieszkaniec Korelii.

Bez względu na to, jak wyglądały szczegóły, Thrackan czyta tekst ultimatum, ale później jakimś sposobem dowiaduje się, o co w tym wszystkim chodzi. Zachowując to w tajemnicy, postanawia posłużyć się taką samą bronią, do jakiej uciekają się spiskowcy. Może łatwo dowiedzieć się, kiedy wiadomość zostanie doręczona. Musi tylko obserwować Marę Jade i czekać, kiedy ta skontaktuje się z Leią Organa Solo. Natychmiast wprowadza swój plan w życie. Doprowadza do wybuchu powstania, a później wysyła drugą wiadomość, w której oświadcza, że to on włada gwiazdogromem. Zaraz potem włącza urządzenie zagłuszające i generator pola interdyscyjnego. Co o tym sądzisz, ciociu?

Księżna pokręciła głową.

– Twoje rozumowanie ma ręce i nogi, ale w tej historii dostrzegam pewne luki. Chyba nie we wszystkim masz rację. Co z

powstaniem, jakie wybuchły równocześnie na innych światach? Gdyby twoja teoria miała okazać się prawdziwa, Sal-Solo musiałby odpowiadać za wszystkie powstania, także te wymierzone w ludzi. W przeciwnym razie musiałabym uwierzyć w nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Z tego, co wiemy, Liga Istot Ludzkich nie zalicza się do organizacji poważnych i zdyscyplinowanych. Jej technicy nie daliby sobie rady z obsługą urządzenia zagłuszającego sygnały na taką skalę... nie mówiąc o zaprojektowaniu ani konstrukcji. Nie poradziliby sobie z wykonaniem generatora tak potężnego pola interdyscyjnego... ani tym bardziej gwiazdogromu. Co więcej, jeżeli założymy, że za zagłuszanie i pole interdyscyjne odpowiada SalSolo, dopuszczamy możliwość istnienia dwóch tajnych organizacji, z których każda potrafi konstruować skomplikowane urządzenia. Nie, już lepiej przyjmijmy, że przywódca Ligi jest jedynie chłopcem na posyłki i bezsilnym malkontentem. Logika spisku wymaga, żeby istniał tylko jeden organizator.

Ebrihim przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Czy nie sądzisz, ciociu, że Thrackan odpowiada tylko za zagłuszanie? Skonstruowanie tak prostego urządzenia nie wymaga dobrej znajomości zagadnień technicznych. Wydaje mi się, że potrafię udowodnić, iż to sprawka Thrackana.

Marcha niepewnie kiwnęła głową.

– Przypuśćmy, że masz rację – powiedziała. – Jestem ciekawa, czy potrafisz mnie przekonać.

– Dziękuję. Przekonajmy się najpierw, czy przypadnie ci do gustu zmieniona wersja mojej historii. – Przerwał i milczał chwilę, jakby szukał odpowiednich argumentów. – Grupa związana z Thrackanem Sal-Solo ma przekazać wiadomość, zanim eksploduje supernowa –

podjął po chwili. – Dzięki temu nadawcy będą mogli udowodnić, że są zdolni niszczyć gwiazdy, kiedy zechcą. Czy to jednak przez niedopatrzenie, czy też świadomie, ludzie Thrackana nie wywiązują się z umowy. Wiadomość dociera zbyt późno, po eksplozji gwiazdy. Podwładni przywódcy Ligi Istot Ludzkich mają także zameldować swoim mocodawcom, kiedy informacyjny sześciennik dotrze do rąk przywódczyni Nowej Republiki, ponieważ właśnie ta chwila ma się stać sygnałem do wybuchu rebelii. Leia Organa Solo otrzymuje wiadomość, a wtedy organizatorzy spisku wydają rozkaz wszczęcia niejednego, ale wielu powstań.

Organizatorzy nie zamierzali zagłuszać żadnych sygnałów. Pragnęli jedynie wzbudzić interdyscyplinarne pole, aby uniemożliwić przywódczyni Nowej Republiki opuszczenie systemu. Nie chcieli także, aby oddziały Nowej Republiki przyleciały zbyt wcześnie i pokrzyżowały ich plany. Porozumiewanie się musiało być możliwe – choćby po to, żeby prowadzić negocjacje. Spiskowcy spodziewali się, że kiedy cały system pogrąży się w chaosie, a posłuszni im figuranci – zwerbowani spośród miejscowych zapaleńców i malkontentów – zajmą się obalaniem planetarnych rządów, Leia Organa Solo nie będzie miała wyboru. A zatem organizatorzy chcieli podjąć rozmowy z przywódczynią Nowej Republiki, ale w czasie ich trwania zamierzali niszczyć jedną gwiazdę po drugiej, żeby w ten sposób wymusić spełnienie własnych żądań. Potem przejęliby władzę nad koreliańskim systemem, a tym samym nad całym sektorem, pozwalając figurantom, żeby zadowolili się władzą nad poszczególnymi planetami.

Tyle że Thrackan Sal-Solo przechytrył swoich mocodawców. Wzniął własne powstanie, a później wysłał swoją wiadomość.

Okłamując wszystkich, przyjął na siebie odpowiedzialność za eksplozję pierwszej gwiazdy. Dzięki temu mógł sugerować, że potrafi zniszczyć pozostałe. Potem włączył urządzenie zagłuszające, tak by organizatorzy spisku nie mogli zareagować na jego posunięcie. Zapewne teraz liczy na to, że przejmie władzę nad generatorem pola interdyscyplinarnego albo przynajmniej uniemożliwi organizatorom jego wyłączenie.

Stworzył chaos i teraz stara się jak najlepiej to wykorzystać. Zapewne planuje, że zanim organizatorzy spisku zdołają zniweczyć jego zamiary, sam przejmie władzę nad całym koreliańskim systemem. Nie może zagłuszać sygnałów w nieskończoność i musi wcześniej czy później wyłączyć generator interdyscyplinarnego pola. Spodziewa się jednak, że zanim wyłączy oba urządzenia, sytuacja wyjaśni się na tyle, że nie zagrożony będzie mógł władać całym koreliańskim systemem planetarnym.

Księżna spojrzała na siostrzeńca, ale było widać, że nie jest zachwycona.

– Muszę przyznać, że twoja teoria jest bardzo wiarygodna – powiedziała. – Niestety, także bardzo niepokojąca. Jeżeli masz rację, to obie grupy konspiratorów się pokłóciły, a teraz szykują się do walki o władzę.

– Niestety, ciociu, nawet jeżeli moja hipoteza okaże się prawdziwa.... a sądzę, że przynajmniej jest bliska prawdy... ma całkiem spore luki. Nie wiemy, co właściwie odkryły dzieci w tamtym szybie. Nie wiemy, dlaczego żołnierze Ligi Istot Ludzkich tak rozpaczliwie tego szukali. Nie mamy pojęcia, czy istnieje jakikolwiek związek między wykopaliskami na Korelii a pracami archeologicznymi prowadzonymi tu, na Dralii.

– Sądzę, że najściślejszy z możliwych – odpowiedziała Marcha na ostatnie pytanie. – Jeżeli miałabym porównywać to, co zarejestrował Qiunine, z tym, co usłyszałam na temat naszych wykopalisk, powiedziałabym, że oba miejsca są prawie identyczne. Zapewne jedyna różnica polega na tym, że prace na Korelii są bardziej zaawansowane. Mam wrażenie, że wiem, co odkryły tam dzieci, i podejrzewam, iż prace wykopaliskowe prowadzone na Dralii pozwolą na dokonanie podobnego odkrycia. Musimy odnaleźć to pierwszy, a w tym celu chyba powinniśmy poprosić dzieci o pomoc... a przynajmniej Anakina.

Ebrihim popatrzył na księżnę.

– Zareczam ci, ciociu, że jeżeli chcesz zwrócić się o pomoc do Anakina, musisz namówić także pozostałe dzieci. W ciągu ostatnich kilku dni dwoje starszych bardzo poważnie traktowało obowiązek opiekowania się najmłodszym. A poza tym wszystko wskazuje na to, że tylko bliźnięta potrafią namówić go do zrobienia czegokolwiek.

– Rozumiem – odparła ciotka Marcha. – Muszę przyznać, że to mnie nie dziwi. Tak czy owak, zamierzałam zabrać wszystkich troje na miejsce wykopalisk, a potem pozwolić, żeby Anakin zajął się poszukiwaniami. Mam nadzieję, że uda mu się odkryć podobną komorę. Jak sądzisz, siostrzeńcze, czy dzieci zgodzą się z nami współpracować?

– Uważam, że tak – oznajmił Ebrihim. – Dzieci ludzkie zazwyczaj są dość beztroskie. Ale nie o to mi chodzi. Muszę przyznać, że prosząc je o pomoc w czymś tak ryzykownym, postępujesz niezbyt etycznie. Dzieci są jeszcze o wiele za małe, aby umiały właściwie oceniać niebezpieczeństwa i korzyści. Na ogół dopiero znacznie starsi ludzie potrafią dokonywać świadomych wyborów.

Księżna Marcha jeszcze raz spojrzała na listę przestrzennych współrzędnych, wypisanych rączką Anakina. Starannie, równo wypisane kolumny dużych cyfr oznaczały położenia gwiazd – słońc systemów zamieszkiwanych przez miliony ludzi. Gwiazd, które ktoś wybrał, żeby je unicestwić, a mieszkańców tych systemów skazać na zagładę.

– Nie uśmiecha mi się perspektywa wykorzystywania dzieci, ale chyba nie mamy wyboru – odrzekła w końcu Marcha.

Tendra Risant siedziała w fotelu pilota „Szarmanckiego Gościa”. Sztywno wyprostowana, usiłowała spoglądać na tarcze wszystkich mierników i wskaźników równocześnie. Znajdowała się bardzo blisko granicy koreliańskiego pola interdyscyjnego i nie bardzo wiedziała, co robić. „Blisko” było pojęciem względnym. Tendra wiedziała, że w przybliżeniu dotarła do granicy pola, ale z informacji na ten temat, za które zresztą zapłaciła, nie wynikało nic bardziej szczegółowego. Rzecz jasna, zawsze mogła wyskoczyć z nadprzestrzeni świadomie i celowo i resztę odległości pokonać, lecąc w normalnych przestworzach. W wyniku tego lot na Korelię wydłużyłby się jednak o jakiś tydzień albo dziesięć dni, a po spędzeniu zaledwie kilku dni na pokładzie „Szarmanckiego Gościa” Tendra uzyskała pewność, że nie chce lecieć dłużej niż to absolutnie konieczne.

Nie, pozostanie w nadprzestrzeni tak długo, jak się uda, i pozwoli, żeby samo interdyscyjne pole zmusiło ją do powrotu do normalnych...

ŁUP!

„Szarmancki Gość” zadrżał od dziobu do rufy i wytrącony z objęć nadprzestrzeni, powrócił na łono normalnych przestworzy. W

iluminatorach pojawiły się splątane smugi wirujących gwiazd, a na pokładzie rozbrzęczały się wszystkie sygnały alarmowe. W pierwszej sekundzie Tendra, która nie miała absolutnie żadnego doświadczenia w trudnej sztuce pilotażu, wpadła w panikę. Zamarła jak sparaliżowana i tylko przyglądała się, jak ognie za iluminatorami gasną, a wysłużony tramp nie przestaje koziołkować w czarnych, mimo ogników gwiazd, przestworzach. Kiedy po kilku sekundach się ocknęła, wyciągnęła rękę i złapała dźwignię wyłącznika jednostki napędu nadświetlnego.

Kiedy silniki zamarły i przestały zmuszać statek do powrotu do nadprzestrzeni, połowa alarmów umilkła. Tendra liczyła na to, że wyłączyła napęd, zanim jednostka się przegrzała. I tak zresztą w tej chwili nie miało to znaczenia. Kobieta wcisnęła odpowiednie klawisze, żeby wyłączyć pozostałe urządzenia alarmowe, a potem przystąpiła do wykonywania czynności, które miały umożliwić jej odzyskanie panowania nad sterami. Nie musiała oczywiście aż tak się spieszyć, ale kiedy ujrzała, że cały wszechświat wiruje za iluminatorami jak w szaleńczym tańcu, poczuła się cokolwiek nieswojo.

A poza tym pragnęła wyrównać lot, choćby po to, żeby stwierdzić, gdzie się znajduje.

Tam... Tam, w oddali. Jeszcze na tyle daleko, że nie wygląda jak kula. A nieco bliżej jasno świecąca gwiazda. To Korei, słońce Korelii i całego systemu.

Możliwe, że trochę potrwa, zanim tam doleci, ale przynajmniej była na dobrym kursie. Co więcej, znajdowała się całkiem blisko.

ROZDZIAŁ

12.

POD LODOWĄ GÓRĄ

Han stracił rachubę czasu. Podążając za Drackmus z szybkością ślimaka, pełznął coraz dalej ciasnymi, skąpo oświetlonymi szkarłatnym blaskiem podziemnymi korytarzami. Wszystkie wyglądały nieprawdopodobnie staro i chociaż były suche, starannie wydrążone i doskonale utrzymane, odnosiło się wrażenie, że istnieją od zamierzchłych czasów. No cóż, dlaczego nie? Selonianie żyli na Korelii – a ściślej mówiąc, w Korelii – od niezliczonych tysiącleci, a raz wydrążone tunele miały to do siebie, że zawsze pozostawały na tym samym miejscu. Han uświadomił sobie, że podziemne korytarze i chodniki, ciągnące się pod stolicą we wszystkie możliwe strony świata, muszą mieć długość co najmniej kilku tysięcy kilometrów.

Prawdę powiedziawszy, nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Selonianie wydrążyli mniej tuneli, ale wyższych i bardziej przestronnych. Od czasu do czasu, kiedy Drackmus prowadziła go odcinkiem głównego korytarza, jego życzenie się spełniało. Gdziekolwiek tunel okazywał się na tyle szeroki, że dwie istoty mogły iść wyprostowane obok siebie. Czasami Han przechodził przez sztucznie wydrążoną podziemną jaskinię, mającą sto albo

nawet kilkaset metrów średnicy. Wszystkie pomieszczenia rozjaśniało to samo posępne, upiorne bladoczerwone światło.

Han cieszył się, ilekroć trafiali w takie miejsca. Czasami sklepienie znajdowało się na tyle wysoko nad jego głową, że mógłby iść prosto... gdyby potrafił. Nieskończenie długie godziny czołgania się ciasnymi chodnikami sprawiły, że nie był w stanie się wyprostować. Bolały go wszystkie mięśnie pleców i karku, a poobijane i otarte kolana chyba nie utrzymałyby ciężaru ciała nawet wówczas, gdyby przestał zginać nogi. Mimo to wolał iść zgięty we dwoje na wyprostowanych, sztywnych nogach niż dalej pełznąć na czworakach przyprawiającymi o klaustrofobię wąskimi tunelami.

Co gorsza, nawet nie dane mu było zмагаć się z bólem w samotności. Świadcami jego cierpień bywało nieraz liczne grono słuchaczek i obserwatorek. W każdej podziemnej jaskini, mogącej pomieścić wiele istot, znajdowało się ich dokładnie tyle, ile mogło. W niektórych przebywały dziesiątki, a może nawet setki samic, zajętych codziennymi czynnościami. Jedne obsługiwały dziwne urządzenia... Han jeszcze nigdy takich nie widział ani nawet nie potrafiłby zidentyfikować. Inne przenosiły rozmaite przedmioty, a wszystkie mówiły coś, kłóciły się albo krzyczały. Posługiwały się nie tylko standardowym seloniańskim, ale także dziwną, pełną gwizdów i jęków mową. Han usłyszał ją pierwszy raz, kiedy znalazł się pod ziemią. Zaczynał się zastanawiać, do jakiego stopnia standardowym językiem jest „standardowy” seloniański.

Dokądkolwiek szedł, zawsze kierowały się na niego – niezwykłą postać, przybyłą z górnego świata – oczy wszystkich mieszkanek każdej jaskini albo pieczary. A jednak nawet w podziemnych grotach zamieszkujące je setki istot rozstępowały się przed nim, aby

dać mu wolną drogę. Han nie potrafiłby powiedzieć, czy bały się go, brzydziły, czy po prostu takie otrzymały polecenie. Tylko raz czy dwa został potrącony albo popchnięty, kiedy jakaś Selonianka nie zdążyła odskoczyć na bok.

Han nie zwracał na to wszystko uwagi. Odnosił wrażenie, że spędził w tunelach większą część życia. Już mu nie przeszkadzało, że ilekroć wchodził do następnej pieczary, niezmiennie kierowały się na niego wszystkie oczy. Więcej nawet, zaczynał czuć do mieszkanek coś w rodzaju sympatii. W końcu zawsze lubił podróżować. I chociaż czołgając się na czworakach cierpiał katusze, pragnął zobaczyć wszystko, co było do zobaczenia. Dobrze wiedział, że spotkało go wyjątkowe wyróżnienie.

Raz czy dwa zdołał nawet zobaczyć – a przynajmniej tak mu się wydawało – przedstawicieli innych grup seloniańskiej społeczności: samce i płodne samice. W jednej z większych podziemnych grot, przez które zdarzyło mu się przechodzić, zauważył cztery czy pięć wyższych i bardziej pulchnych obcych istot. Wszystkie skupiły się pod jedną ze ścian groty i stały albo siedziały, otoczone licznym gronem opiekunek czy asystentek. W opiece, jaką bezpłodne Selonianki otaczały te pulchne istoty, nie dało się zauważyć żadnej służalczości. Asystentki traktowały swoją pracę absolutnie bezosobowo i starały się z niej jak najlepiej wywiązywać.

Pewnego razu Han zauważył, że jedna z opiekunek podaje płodnej samicy tacę z pożywieniem. Wyglądało to zupełnie zwyczajnie, bez jakiegokolwiek ceremoniału. Także posiłek nie wyglądał na szczególnie wyszukany. Można było odnieść wrażenie, że to farmer zadaje paszę inwentarzowi, a nie służąca podaje posiłek monarchini.

Nagle Han uzmysłowił sobie, że od jakiegoś czasu wyczuwa w tunelu nowy zapach. Nie był nieprzyjemny, ale nieznany i stopniowo coraz bardziej wyczuwalny. Po chwili zorientował się, że to woń ciał wielu obcych istot przebywających w jednym miejscu. O dziwo, uspokoiło go to.

Nie wyobrażał sobie dotąd, że labirynt podziemnych tuneli może być taki rozległy i skomplikowany. Kiedy dorastał, powiedziano mu, że Selonianie lubili niegdyś mieszkać pod powierzchnią gruntu. Zawsze jednak odnosił wrażenie, że dawno zerwali oni z tym należącym do prymitywnej przeszłości obyczajem. Wmawiano mu, że podziemne chodniki i korytarze opustoszały przed wielu laty. Nowocześni, cywilizowani Selonianie nie mieszkali w tunelach ani pieczarach. Zajmowali zwyczajne apartamenty i domy –jak wszyscy inni... jak normalni ludzie.

Han zrozumiał teraz, że istoty, które ludzie widzieli w swoich miastach – specjalnie przeszkolone w celu utrzymywania kontaktów z przedstawicielami innych ras – były jedynie czymś w rodzaju wierzchołka góry lodowej. Po prostu stanowiły dymną zasłonę, postawioną przez pozostałych Selonian, żeby istoty ich rasy wydawały się ludziom bardziej swojskie. Kiedy dorastał na Korelii, na wpół świadomie przeczuwał, że niektóre obce istoty nadal mieszkają pod powierzchnią, gdzie tworzą roje albo klany. Przypuszczał jednak, że większość Selonian dawno zerwała ze starym, prymitywnym stylem życia swoich prapraprzodków. Uważał, że spędzanie życia pod ziemią stanowi dla cywilizowanych Selonian żadnej atrakcji. Dopiero teraz zaczynał pojmować, że istoty mogą mieć za nic nowoczesność taką, jak ją rozumieją ludzie.

Widział rzeczy, o jakich mu się nigdy nie śniło... mimo iż stanowiły część świata, w którym dorastał i który przywykł nazywać swoim domem. Zastanawiał się, jak mógł – on i wszyscy inni żyjący na Korelii ludzie – być taki ślepy, że nie dostrzegał prawdziwego oblicza seloniańskiej kultury. A co z Dralami? Czy możliwe, że i oni ukrywali przed ludźmi równie ważne tajemnice?

Zatopiony w myślach, niemal nie zauważył, że w końcu wypełznął ze szczególnie wąskiego tunelu i znalazł się w ogromnej grocie... co najmniej dwa razy większej niż najbardziej przestronne, przez jakie dotąd przechodził. Wyglądała jak niewielkie podziemne miasto, i to miasto gęsto zaludnione. W powietrzu czuło się gorączkową i rozpaczliwą atmosferę. Nozdrza Hana podrażniła znów ostra woń – silniejsza niż kiedykolwiek – ciał wielu Selonianek, zgromadzonych w jednym miejscu. Wyczuwało się także inny zapach, który mógł być wynikiem przerażenia.

Han wygramolił się z ciasnego otworu tuż za Drackmus; pokonując ból, spróbował się wyprostować. Miał wrażenie, że każdy centymetr kwadratowy ciała wysyła własne impulsy bólu. Wciąż jeszcze nie pozbierał się po laniu, jakie ku ucieście Thrackana oberwał od Seloniani. Od tamtego wydarzenia upłynęło zaledwie kilka dni, ale Han czuł się tak, jakby przeżył co najmniej połowę życia. Jeszcze nie zdążyły się zagoić rany i obrażenia, jakie odniósł w wyniku pojedynku, a już musiał cierpieć na nowo, czołgając się seloniańskimi tunelami. To prawdziwy cud, że w ogóle mógł się ruszać. Kiedy jednak znalazł się w gigantycznej pieczarze, poczuł radość na myśl o tym, że znów może stanąć prosto. Wyprostował się jeszcze bardziej ... i natychmiast zmienił zdanie, kiedy wzdłuż

kręgosłupa przepływały nowe fale bólu. Może więc, mimo wszystko, stanie w pozycji wyprostowanej nie było tak przyjemne, jak uważał?

Po chwili jednak przestał zwracać uwagę na bóle kręgosłupa. Rozejrzał się dokoła. Zauważył, że sporo samic spośród tłumu Selonianek jest rannych. Kilka nawet leżało na noszach. Inne były owinięte przesiąkniętymi krwią bandażami. Od czasu do czasu przez gwar rozmów przebijał się jęk bólu i okrzyki rozpaczony albo przerażenia. W pewnej chwili jakaś niewidoczna istota wybuchła rozdzierającym płaczem. Sprawiało to wrażenie, jakby przygnieciona bólem po śmierci kogoś bliskiego, straciła wszelką nadzieję. Nawet te Selonianki, które nie odniosły żadnych obrażeń, wyglądały na zagubione, wystraszone, posępne, wstrząśnięte i otepiałe.

– Kim one są? – zapytał Han, zwracając się do swojej przewodniczki.

– To uciekinierki – odparła gniewnym tonem Selonianka. Mimo nakazu udzielania wymijających odpowiedzi, chyba już nie potrafiła się powstrzymać. – Ofiary prześladowań twojego kuzyna Thrackana i jego podwładnych z Ligi Istot Ludzkich. Te Selonianki mieszkały na powierzchni, ale ich domy zostały spalone. Kiedy ratując życie usiłowały ukryć się w tunelach, rzucono w ślad za nimi granaty z trującym gazem. Strzelano do nich, ścigano i polowano na nie jak na zwierzęta. W głównych chodnikach kryje się ich tak dużo, że zablokowały przejście i inne musiały uciekać bocznymi i węższymi tunelami.

Staraliśmy się stawić ludziom czoło w miarę naszych możliwości, ale żołnierze Ligi Istot Ludzkich mieli przewagę liczebną, lepszą broń i element zaskoczenia. Uciekłyśmy więc, a raczej

zarządziłyśmy odwrót i ukryłyśmy się pod powierzchnią gruntu. Zapasy żywności zniszczono, a inne są zmagazynowane bardzo daleko i teraz nie możemy zrobić nic, żeby pomóc naszym siostrom i towarzyszkom. Nie mamy bandaży, nie mamy leków, nie mamy nawet pożywienia. Nie możemy przynieść wszystkiego z magazynów, ponieważ uniemożliwiają to nam żołnierze Ligi. Moje siostry cierpią, ponieważ życzy sobie tego Thrackan Sal-Solo, w którego żyłach płynie taka sama krew jak w twoich.

Han już chciał zaprotestować i oświadczyć, że to nie jego wina. Pragnął podkreślić, że kuzyn jest takim samym nieprzyjacielem jego, jak Drackmus. Uświadomił sobie jednak, że powiedziałby nieprawdę. Thrackan Sal-Solo nigdy nie ścigałby członków rodziny Hana za to tylko, że są ludźmi. Nigdy też by nie wyrzucał Hana ze świata, gdzie urodził się i wychował – aby znalazło się więcej miejsca dla istot innej rasy.

Postarał się ujrzeć sytuację w takim świetle, w jakim widziała ją Drackmus. Więzy, jakie łączyły wszystkich członków seloniańskiej rodziny, nie dawały się – w przeciwieństwie do rodzin ludzkich – rozerwać ani nawet rozluźnić. Rodząc się, Selonianki stawały się siostrami tego samego klanu i z jego kręgu nie mogły – nawet gdyby bardzo chciały – wyrwać się aż do śmierci. Stawały się częścią całości w takim stopniu, o jakim ludzie nie mieli pojęcia. Wszystkie siostry klanu stanowiły jedno... myślały tak samo, zachowywały się tak samo, zawsze żyły w zgodzie. Jedna nie mogła wystąpić przeciwko drugiej, podobnie jak dłoń jednego człowieka nie mogła obrócić się przeciwko jego szyi, żeby zacisnąć palce i udusić swojego właściciela. Selonianie uważali, że Han stanowił częśćkę tej samej rodziny, do której należał jego kuzyn, a zatem na równi z nim

odpowiadał za cierpienia i rany, zadane wszystkim przebywającym w tej jaskini istotom. Han zaczynał rozumieć, dlaczego Selonianki traktują go tak nieufnie.

Prawdę mówiąc, najbardziej dziwiło go to, dlaczego jeszcze go nie zabiły. Miał nadzieję, że kluczem do rozwiązania tej zagadki nie jest słowo „jeszcze”.

– Chodźmy, czcigodny Solo – odezwała się Drackmus. – Koniec jest bliski, a czasu niewiele.

Koniec jest bliski? – pomyślał Han. To zdanie budziło nieprzyjemne skojarzenia. Jednak nawet nie ośmielił się zapytać, co Drackmus mogła mieć na myśli. Jeżeli jednak chodziło o drugą część jej uwagi...

– Dokąd idziemy? – zapytał, z trudem podejmując dalszą wędrówkę. Chociaż stał nieruchomo bardzo krótko, czuł ogarniające go odrętwienie. – Niewiele czasu... do czego?

Drackmus odwróciła się i spojrzała na niego, ale Han nie potrafił niczego wyczytać z wyrazu jej twarzy.

– I tak powiedziałam za dużo – odrzekła. – Teraz chodźmy dalej.

Han usłuchał. Potykając się, ruszył w ślad za przewodniczką samym środkiem gwarnej pieczary.

Luke Skywalker wszedł najciszej, jak umiał, do ogrodu Gaerielii Captison. Usiadł na ławce, skąd mógł widzieć nagrobkową płytę. Wiedział, że spoczywają pod nią prochy Ptera Thanasa, zmarłego męża kobiety. Nie potrafił się powstrzymać, żeby nie spoglądać na płytę i nie wspominać mężczyzny, którego upamiętniała. Uczciwego, dobrego człowieka i jeżeli wierzyć temu, co mówili inni ludzie, dobrego męża.

Tyle że ten mąż nie był Lukiem Skywalkerem. A więc to tak. O to chodziło. To właśnie z tym tak trudno było mu się pogodzić. Inny mężczyzna był dla Gaerieli tym, kim mógł stać się mistrz Jedi... i pewnie by się stał, gdyby ich losy potoczyły się inaczej.

Losy miały jednak to do siebie, że toczyły się, jak same chciały. Luke nie mógł na to nic poradzić. Tego poranka, tuż przed odlotem, musiał pogodzić się z tym faktem. Należało żyć teraźniejszością i myśleć o przyszłości. Niebezpieczeństwo zagrażało całemu koreliańskiemu sektorowi, jego siostrze i jej rodzinie. Powinien zatem martwić się o nich, a nie o to, co by było, gdyby...

Wiedział jednak, że pogodzenie się z przeszłością nie będzie takie łatwe. Przynajmniej tego ranka. Nagle usłyszał kroki za plecami. Odwrócił się i ujrzał, kto schodzi po kamiennych stopniach. Gaeriela. Gaeriela i jej córka Malinza.

Dziewczynka miała bujne czarne włosy, splecione w długie, spływające na plecy warkocze. Miała jasną karnację i poważne piwne oczy. Matka i córka były ubrane w proste, pozbawione jakichkolwiek ozdób długie białe suknie. Gaeriela schodziła statecznie i powoli, ale Malinza wyraźnie traktowała tę czynność jak zabawę. Nucąc coś, zeskakiwała po jednym stopniu.

Luke wstał z ławki i ruszył ku nim, ale przystanął u stóp schodów.

– Dzień dobry, Luke'u – powitała go Gaeriela. – To dobrze, że przyszedłeś. Chciałabym, żebyś poznał moją córkę.

– Za nic w świecie nie przepuściłbym takiej okazji – wyznał mistrz Jedi.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Cieszę się – powiedziała i zwróciła się do córki: – Malinzo, chciałabym, żebyś poznała mojego dobrego przyjaciela. Lecimy

razem na tę wyprawę.

Dziewczynka przestała nucić i skierowała poważny wzrok na mistrza Jedi.

– Cześć – powiedziała. – Czy lecisz z moją mamą, żeby się nią opiekować?

Luke uklęknął przed Malinzą. Lata spędzone w towarzystwie pociech Leii nauczyły go niejednej prawdy. Mistrz Jedi wiedział, że jeżeli pragnie dowiedzieć się, co myślą dzieci, powinien czasem podejść do ich wypowiedzi z innej strony.

Malinza z pewnością martwiła się, kto zaopiekuje sienią, kiedy jej mama odleci. Luke powinien zatem skierować rozmowę na ten temat i uspokoić dziewczynkę najlepiej, jak potrafi.

– Nie po to, żeby się nią opiekować – powiedział – ale obiecuję ci, że będę na nią uważał. Twoja mama musi na jakiś czas cię opuścić. Powinnaś jednak wiedzieć, że nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie miała pewności, iż w tym czasie ktoś zatroszczy się o ciebie.

– To prawda, Malinzo – rzekła Gaeriela, uklękła obok córki i delikatnie poklepała ją po ramieniu. – Zostanie z tobą pani Bobie, a lady Corwell będzie wpadała każdego wieczora, aby upewnić się, że niczego ci nie brakuje. Zaopiekują się tobą także inni członkowie naszej rodziny. Wszyscy będą uważali, żeby nie przydarzyło ci się nic złego.

– Wolałabym, żebyś ty mnie pilnowała, mamó – wyszeptała dziewczynka.

– Wiem o tym, kochanie. Pękłoby mi serce, gdyby było inaczej. Czasami jednak my, dorośli, musimy robić rzeczy, których nie lubimy. Nie chcę cię zostawiać, ale muszę. Kiedyś, bardzo dawno, przyjaciele Luke'a pomogli nam w potrzebie. Teraz sami potrzebują

pomocy, a my mamy do spłacenia wobec nich ogromny dług wdzięczności.

Malinza podniosła oczy na twarz mistrza Jedi.

– Czy rzeczywiście moja mama jest ci tak bardzo potrzebna? – zapytała.

Luke pomyślał o siostrzenicy i siostrzeńcach, odciętych od reszty wszechświata przez niewidoczną kurtynę koreliańskiego interdyscyjnego pola, a może zagubionych w przestworzach na pokładzie „Sokoła Millenium”. Jeżeli Gaeriela nie poleci, Nowa Republika nie ma co liczyć na pomoc ze strony bakurańskiej floty. A jeżeli nie będzie bakurańskiej floty, nie uda się ocalić Korelii.

– Tak – odparł. – Naprawdę jest mi bardzo potrzebna.

Malinza przez chwilę się nad czymś zastanawiała, a w końcu kiwnęła głową.

– Dobrze – powiedziała poważnie. – Ale uważaj na nią, jak obiecałeś.

– Przyrzekam, że będę uważał – obiecał Skywalker. – Daję ci na to swoje słowo.

„Szarmancki Gość” cały czas zbliżał się do Korelii. Korzystając jedynie z pomocy jednostki napędu podświetlnego, leciał bardzo powoli. Podążał jednak kursem, który – wcześniej czy później – miał umożliwić mu lądowanie na powierzchni planety.

Tendra Risant sprawdziła chyba setny raz działanie radionicznego nadajnika. Wszystkie lampki płonęły równym zielonym blaskiem, a urządzenie pobierało dokładnie tyle mocy, ile powinno. Automat powtarzający wysyłał bez końca słowa jej wezwania. On także funkcjonował prawidłowo. Kobieta sprawdzała to wystarczająco wiele razy.

– Tendra do Landa – rozległo się z głośnika urządzenia. – Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. – Sekunda przerwy i znów: – Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości.

Później następowała dziesięciosekundowa pauza, w trakcie której urządzenie działało jak odbiornik, a następnie ten sam cykl powtarzał się w nieskończoność.

Minęło jednak wiele dni, a Tendra nie otrzymywała żadnej odpowiedzi. Lando powiedział jej, że radioniczny odbiornik na pokładzie jego „Ślicznotki”, będzie zawsze włączony, zawsze gotów do odebrania jej wezwania. Dlaczego więc nic nie nadchodziło? Może w jej nadajniku albo w jego odbiorniku zepsuł się jakiś podzespół, warty dziesiątą część kredytu, ale konieczny, aby jedno albo drugie urządzenie działało bez zarzutu? Może Lando wysyłał odpowiedź raz po raz, bez końca, i dziwił się, dlaczego ona się nie odzywa? Wyglądało jednak na to, że jej nadajnik funkcjonuje jak należy. Kiedy zwiększyła siłę głosu, usłyszała basowe syczenie, które musiało być jakimś naturalnym zakłóceniem. Jeżeli zatem jej urządzenie odbierało zakłócenia, powinno było jeszcze łatwiej odebrać nadawany sygnał. A może to nie było takie oczywiste? Tendra uświadomiła sobie, że właściwie nie ma najmniejszego pojęcia o radionice.

Była jednak na najlepszej drodze, żeby stać się galaktycznym ekspertem od oczekiwania. I martwienia się, czy nie stało się nic złego.

– Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości...

ROZDZIAŁ

13.

REGUŁA YGGYNA

- Czas dobiegł końca – odezwała się Mara Jade, spoglądając na Leię.
- Musimy w końcu coś postanowić.

Była przemytniczka siedziała przy konsolcie pierwszego pilota „Ognistej Jade”. Przez kilka chwil, nic nie mówiąc, wpatrywała się w przywódczynię Nowej Republiki. Obsługująca stanowisko nawigatora Leia odwzajemniła jej spojrzenie. Okazywała pogodę ducha, chociaż w głębi odczuwała niepokój.

- To prawda – powiedziała. – Musimy podjąć decyzję.

Kiedy kobiety zdołały w końcu zgubić prześladowców, Mara wpisała do pamięci nawigacyjnego komputera zestaw współrzędnych, który miał umożliwić „Ognistej Jade” okrążanie Korelii po pozornie przypadkowej, zmieniającej się orbicie. Miało to wyglądać, jakby korweta bezradnie dryfowała w przestworzach, a jej systemy i podzespoły działały zasilane najmniejszą możliwą dawką energii. Uciekinierki liczyły na to, że nikt nie zwróci uwagi na okrążający Korelię gwiazdny statek, lecący bez wyraźnego celu, jakby gnany siłą bezwładności. Parametry orbity ulegały losowym, ale nieustannym zmianom i gdyby statek pozostawić samemu sobie,

wcześniej czy później, lecąc po spirali, roztrzaskałby się o powierzchnię Korelii.

Rzecz jasna, uciekinierki nie zamierzały do tego dopuścić. W każdej chwili mogły przecież skorygować trajektorię lotu. Problem w tym, że powinny najpierw zdecydować, dokąd lecieć. Pomogły jedna drugiej, kiedy uciekały z Korony, ale żadna nie zastanawiała się, co dalej. Co prawda, zaledwie znalazły się na pokładzie „Ognistej Jade”, zaczęły intensywnie myśleć, ale nie potrafiły zdecydować się na coś sensownego. Ich dyskusja, z początku spokojna i rzeczowa, wkrótce przerodziła się w najzwyklejszą sprzeczkę. Obie bardzo szybko zrozumiały, że są zbyt zmęczone trudami ucieczki, by cokolwiek postanowić. Potrzebowały trochę więcej czasu, żeby odpocząć i odzyskać siły. Doszły też do wniosku, że nie muszą decydować w pośpiechu. Wyglądało na to, że – przynajmniej na razie – nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo. Postanowiły zatem, że odpoczną co najmniej trzydzieści godzin, a kiedy przyjdą do siebie, podejmą ostateczną decyzję.

Właśnie upłynął czas, jaki sobie wyznaczyły, i nadeszła pora, żeby coś postanowić. Leia pomyślała jednak, że to nie będzie wcale takie proste.

– Domyślam się – rzekła, nie spuszczając spojrzenia z byłej przemytniczki – że nadal pragniesz wrócić na Korelię?

– Tak, chcę się tam znów znaleźć – odparła Mara. – To właśnie tam wszystko się zaczęło. Tam kryje się klucz do rozwiązania tej zagadki. Tam ważą się losy całego systemu.

– Dlaczego ma to dla ciebie takie duże znaczenie? – zainteresowała się przywódczyni Nowej Republiki. – Dlaczego miałabyś się troszczyć o to, kto wygra, a kto przegra w tym systemie

planetarnym? Nie jesteś Korelianką i chociaż nie lubisz Ligi Istot Ludzkich, nie darzysz szczególną sympatią także Nowej Republiki. Czemu więc tak bardzo pragniesz lecieć tam, gdzie mogą się decydować losy tego systemu? Dlaczego po prostu stąd nie odleczisz?

– Zależy mi na tym, aby wiedzieć, jak to się wszystko zakończy – odrzekła kobieta. – Jak wiesz, kieruję firmą handlową i tak się składa, że zainwestowałam tu, na Korelii, całkiem spore sumy. Ja i moi wspólnicy poświęciliśmy także dużo czasu, żeby nasze przedsięwzięcie wreszcie stało się opłacalne. Nawiązaliśmy kilka cennych kontaktów i zawarliśmy wiele umów, a kiedy zaczęliśmy ciągnąć zyski, wybuchło powstanie. Straciliśmy ogromne sumy i dlatego tak bardzo zależy mi na tym, żeby zapanował spokój. Tylko wtedy mogę liczyć na to, że powetujemy straty. Tymczasem spokój nie jest możliwy, dopóki tym sektorem będzie władał jakiś marny dyktator. I chociaż rzeczywiście nie przepadam za Nową Republiką, to niepokoi mnie myśl, iż ktoś mógłby chcieć unicestwić słońca zamieszkanym światów i w ten sposób wymordować miliony niewinnych istot ludzkich. – Mara umilkła na chwilę i popatrzyła na Leię. – Ale chyba nie o to ci chodziło, prawda?

Leia zwalczyła chęć, żeby zaprzeczyć i oświadczyć, iż Mara się myli. Nie było sensu kłamać, skoro obie równie dobrze wiedziały, jak wygląda prawda.

– Nie – odrzekła. – Nie o to.

– Chciałaś wiedzieć, czy potrafię podać wystarczająco przekonujący powód, dla którego wciąż jeszcze pozostaję w tym systemie – ciągnęła była przemytniczka. – Pragnęłaś poznać motywy mojego postępowania... żeby móc stwierdzić, czy nie są one podejrzanym. Mimo wszystko, to ja przekazałam ci ultimatum

gwiazdogromców. Musisz w tej chwili zastanawiać się, czy przypadkiem nie należę do grona spiskowców. Pozwól zatem, że przypomnę powody, dla których ja mogę podejrzewać ciebie o udział w tym samym spisku. Wiadomość miała zostać doręczona właśnie tobie, a nadawcy zadali sobie sporo trudu, żeby udowodnić, iż potrafią łamać twoje osobiste szyfry. Co więcej, sama wiadomość zawierała tak sekretne informacje, że musiały pochodzić jedynie z tajnych archiwów Nowej Republiki.

– A widzisz w tym jakiś sens? – zapytała Leia. – Jakiż mogłabym mieć cel, żeby obalać władzę Nowej Republiki w sektorze Korelii?

– Nie mam pojęcia – przyznała kobieta. – Z drugiej strony, jakiż ja mogłabym mieć cel, żeby wzniecać powstanie w całym systemie? Podejrzewasz mnie o różne rzeczy, ale nie zastanawiasz się nad tym, jakie mogły być motywy mojego postępowania. Dlaczego nie miałabym odplacić ci pięknym za nadobne? Dlaczego powinnam przejmować się twoimi motywami? Chcesz, to przedstawię ci bardzo wiarygodny scenariusz. Powiedzmy, że postanowiłaś zastawić pułapkę nie tylko na spiskowców z Ligi, ale także na wszystkie inne grupy potencjalnych malkontentów. Zależało ci na tym, żeby rebelianci wyszli z ukrycia i odkryli karty, ponieważ tylko wtedy mogłaś z nimi się rozprawić. Jeżeli rzeczywiście miałaś takie plany, zdecydowałaś się podjąć wielkie ryzyko. Podjęłaś je, ale – co najważniejsze – przegrałaś. Jak ci się podoba moje uzasadnienie?

Leia uśmiechnęła się z przymusem.

– Dlaczego miałabyś na tym poprzestawać? – zapytała. – Dlaczego nie pofolgujesz wyobraźni? Może obie uczestniczymy w tym spisku, ale jego przywódcy działają w tak głębokiej konspiracji, że jedna grupa nie ma pojęcia o tym, co robią pozostałe? Możliwe,

że jedna z nas albo nawet obie dałyśmy się wywieść w pole. A może, niczego nie wiedząc jedna o drugiej, jesteśmy tylko pionkami na czyjejsz szachownicy? Obie wiemy, że kiedy ktoś zaczyna bawić się w spiskowanie, knucie podstępnych planów i oszukiwanie wszystkich pozostałych, na ogół nie potrafi się w porę powstrzymać.

– To prawda – przyznała Mara. – Chodzi jednak o to, że nie możesz ufać mi bardziej niż ja tobie.

– No cóż, muszę przyznać ci rację – powiedziała Leia. – Możemy jednak udawać, że każda darzy drugą zaufaniem. Co zamierzasz zrobić?

Mara odchyliła się do tyłu na fotelu pilota i wpatrzyła w widoczne przez iluminator gwiazdy.

– Najlogiczniej byłoby powiedzieć, że to nie moja sprawa i że nie mam zamiaru dać się zabić w krzyżowym ogniu blasterowych strzałów. Powinnam skierować dziób korwety tak, aby opuścić koreliański system, a potem włączyć silniki napędu podświetlnego i lecieć dokądkolwiek, byle jak najdalej. Wyniesienie się z tego systemu zajęłoby mi pewnie sporo czasu, ale w końcu bym go opuściła. Kto wie, może potrwałoby to krócej niż sobie wyobrażam?

– Zgadzam się – rzekła Leia. – Spiskowcy nie mogą utrzymywać pola interdyscyjnego w nieskończoność. Generatory pobierają ogromne ilości mocy, a obsługiwanie ich wcale nie musi być takie proste. Możliwe, że nie stanowi to specjalnego problemu technicznego, ale rebelianci już niedługo zrozumieją, że dalsze utrzymywanie takiej sytuacji przynosi im więcej szkód niż korzyści pod względem politycznym, gospodarczym i tak dalej.

– Racja – podjęła była przemytniczka. – Ja również tak uważam. Mimo to nie zamierzam odlatywać... bez względu na to, czy miałyby

to sens. Ktoś stąd przysporzył mi wielu kłopotów, a ja nie spocznę, dopóki nie odpłacę temu komuś taką samą monetą. Powinnyśmy mieć też na uwadze, że kiedy w końcu włączymy jednostkę napędu podświetlnego, ktoś może nas zauważyć. Im dłużej będziemy leciały z włączonymi silnikami, tym większe prawdopodobieństwo, że zostaniemy zestrzelone.

– Z pewnością znasz swój statek i orientujesz się, czy łatwo go zauważyć – powiedziała Leia. – Czy ta wiedza nie może nam się przydać w podjęciu decyzji? A może istnieje cel, do którego lecąc, będziemy miały największe szanse, że przeciwnicy nie zauważą nas i nie zestrzelą?

– To niezły pomysł – odparła Mara. – Niestety, do nikąd nie prowadzi. Najbliżej nas jest Korelia i wystarczyłoby tylko na krótko włączyć jednostkę napędu podświetlnego, żeby tam dolecieć. Gdybyśmy zbliżyły się od pogrążonej w ciemnościach strony i leciały tam, dokąd chcemy, tuż nad koronami drzew albo nad powierzchnią oceanu, prawdopodobieństwo zauważenia zmalełoby prawie do zera. Mniej więcej taka sama – tylko o wiele większa – odległość dzieli nas od Selonii i Bliźniaczych Światów, Talusa i Tralusa, ponieważ wszystkie te trzy planety są w tej chwili najbliżej jedna drugiej. Na nieszczęście dzieli nas od nich największa odległość, bo krążą po przeciwnej stronie słońca. Z drugiej strony, gdybyśmy tam poleciały, cały czas miałybyśmy Korei przed dziobem albo za rufą. Jeżeli ktokolwiek obserwowałby przestworza z Korelii, Selonii albo z Bliźniaków, mógłby nas nie zauważyć, oślepiony blaskiem słońca. Do Dralii mamy nieco bliżej, a zatem nasz lot trwałby krócej, ale nie mogłybyśmy ukryć się w blasku Korela. Z moich informacji wynika jednak, że spośród wszystkich planet

koreliańskiego systemu właśnie na Dralii istnieje najślabszy system wykrywania nadlatujących statków. A zatem szanse bezpiecznego dotarcia na któryś z tych czterech światów są właściwie jednakowe.

– No, dobrze – odezwała się Leia. – Spróbujmy to podsumować. Ty nie chcesz opuszczać systemu, a szanse osiągnięcia sensownego celu są mniej więcej takie same w każdym przypadku. Pragniesz polecieć na Korelię, ponieważ przypuszczasz, że właśnie tam znajdziesz klucz do wyjaśnienia tajemnicy. Z kolei ja uważam, że lądowanie na Korelii graniczyłoby z samobójstwem. Możliwe, że spiskowcy czekają tam na nas, kipiąc z wściekłości, a kiedy wylądujemy, zrobią wszystko, żeby nas pochwycić. Korelia jest jedyną planetą, gdzie z całą pewnością miejscowe władze powitają nas jak wrogów.

– Wolisz lecieć na Dralię, bo najprawdopodobniej właśnie tam przebywają w tej chwili twoje dzieci – domyśliła się Mara. – Mam rację?

– Tak. To prawda – przyznała przywódczyni Nowej Republiki. – Jedyną obcą istotą, jaka odleciała z dziećmi „Sokołem Millenium”, był Dral Ebrihim. Z pewnością zdecydował, że skieruje statek na planetę, którą zna najlepiej. Zapewne doszedł do wniosku, że tylko na rodzinnym świecie będzie mógł zapewnić im bezpieczeństwo.

– A ja uważam, że to nie ma sensu – odparła porywczo Mara. – Nie wiemy nic na temat tego, co dzieje się na innych światach, ale lepiej zakładać, że sytuacja na Dralii wygląda równie paskudnie jak na Korelii. Jeżeli Ebrihim rzeczywiście zabrał twoje dzieci na Dralię, z pewnością dobrze je ukrył... z uwagi na ich, ale i własne bezpieczeństwo. My także musiałybyśmy poszukać jakiejś kryjówki, a to nie byłoby łatwe, ponieważ na planecie mieszka zaledwie

kilkuset ludzi. Jak miałybyśmy, nie pokazując się nikomu, odnaleźć twoją rodzinę, przebywającą w innej kryjówce?

– Dzięki Mocy – oznajmiła Leia. – Jeżeli znajdę się blisko powierzchni planety, wyczuję, gdzie się ukrywają. Jestem tego pewna.

– Nic to nam nie pomoże, jeżeli twoje dzieci zostały schwytane i może nawet wtrącone do więzienia. Nawet jeżeli zdołamy je odszukać, co zrobisz, kiedy je odnajdziesz? Pogłaszczesz po główkach i poprosisz, żeby zamknięto cię w tej samej celi? Jak uważasz, czy jeżeli wylądujesz tam na pokładzie skonstruowanego przez istoty ludzkie gwiazdowego statku, twoje pociechy poczują się mniej czy może bardziej zagrożone? Powiedziałabym, że bardziej, jeżeli sytuacja na Dralii jest równie niestabilna jak na Korelii. A co ja mam tam robić? Dralia to jeden z najbardziej zacofanych światów. A jeśli już o tym mowa, co ty zamierzasz tam robić? Jeżeli polecimy na Dralię, niczego nie osiągniemy. Nie zaradzimy kryzysowi. Nikomu nie pomożemy.

Z początku Leia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Doskonale rozumiała, że argumenty Mary mają wiele sensu. Jeżeli odnajdzie dzieci, poczuje się o wiele lepiej, ale nie poprawi niczyjej sytuacji. Może zapewnić bezpieczeństwo swoim pociechom jedynie wówczas, kiedy położy kres tej rebelii.

– Nie mogę zawieść swoich dzieci – odezwała się w końcu, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Przecież nikt cię o to nie prosi – odrzekła Mara. – Posłuchaj, przemyśl wszystko jeszcze raz, zgoda? Jeżeli twoje dzieci przebywają całe i zdrowe na Dralii, opiekuje się nimi Chewbacca. Zapewne mogą polecieć dokąd zechcą, ponieważ mają do dyspozycji

„Sokoła Millenium”. Troszczy się o nie także ten draliański guwerner, a on zna tam wiele osób. Wszystko przemawia za tym, że właśnie na Dralii twoje dzieci są otoczone najlepszą opieką. Pomyśl: jeżeli do nich polecisz, to poprawisz ich bezpieczeństwo czy może tylko poczujesz się trochę spokojniejsza?

Leia zmarszczyła brwi.

– Masz rację – przyznała w końcu, choć niechętnie. – Może nie powinnam do nich lecieć... w tej chwili. Nie zamierzam jednak spędzać z dala od nich więcej czasu niż to absolutnie konieczne. – Umilkła i zastanowiła się głęboko. – Rozumiem – podjęła w końcu – że znalazłyśmy się w sytuacji bez wyjścia. Wygląda na to, że obie potrafimy znaleźć dobre argumenty przeciwko podjęciu każdej możliwej decyzji.

– I żadna z nas nie zdoła przekonać drugiej, ponieważ nie ufa jej na tyle, aby uznać słuszność jej argumentów – dodała Mara. – Możliwe, że usiłuję wciągnąć cię w pułapkę. O to samo mogę zresztą podejrzewać ciebie.

Mara zamilkła na chwilę. Nagle w jej oczach zapalił się błysk; spojrzała na Leię.

– Właśnie sobie coś przypomniałam – ciągnęła. – Słyszałaś kiedyś o czymś, co mądrzy ludzie nazywają kompromisem Yggyna? Kiedy prowadziłam trudne negocjacje w sprawach umów handlowych, nieraz z niego korzystałam, żeby wybrnąć z trudnej sytuacji.

Leia się uśmiechnęła.

– Doskonale wiem, o czym mówisz. Jeżeli żadna ze stron nie chce albo nie może zaakceptować punktu widzenia drugiej, negocjatorzy zgadzają się na kompromisowe rozwiązanie. Ja chcę lecieć na

Dralię. Ty wolałabyś wylądować na Korelii. Jeżeli mamy postąpić zgodnie z regułą Yggyna, polecimy na Selonię.

Mara wzruszyła ramionami.

– Myślałam raczej o Talusie albo Tralusie, ale niech będzie Selonia. Dokądś musimy polecieć, a jeżeli wybierzemy Selonię, możemy liczyć przynajmniej na to, że nie zostaniemy powitane jak wrogowie. Lepsze to niż kłócenie się i czekanie, aż roztrzaskamy się o powierzchnię Korelii.

– A zatem postanowione – odetchnęła z ulgą Leia. Spojrzała na usiany punkcikami gwiazd mrok przestworzy. – Bardzo dobrze. Lecimy na Selonię.

– Jaka szkoda, że nie poleciliśmy „Sokołem Millenium” – odezwał się Qiunine. – W tym grawilocie czuję się taki bezbronny.

– I w środku jest strasznie ciasno – dodał Anakin, siedzący w tylnej części wehikułu. – Kiedy tam dolecimy?

– Oho! – rzekła Jaina, zajmująca fotel w pierwszym rzędzie. – Jacenie, szybko skieruj jego uwagę na coś innego, bo inaczej usłyszymy to samo pytanie jeszcze milion razy.

Księżna Marcha siedziała także z przodu, wciśnięta między Jainę a Chewbacę, który pilotował mały statek. Nigdy nie miała okazji przebywać tak blisko Wookiego i nie mogłaby twierdzić, że czuje się odprężona. Nie rozumiała też, dlaczego Jaina tak się zirytowała, kiedy usłyszała pytanie młodszego brata.

– Czy nie możesz po prostu powiedzieć mu, kiedy dolecimy, a potem poprosić, żeby był cicho? – zapytała Marcha półgłosem, zwracając się do dziewczynki.

Nie mogła się nadziwić, ile rzeczy trzeba było umieć, żeby móc opiekować się małym ludzkim szczenięciem. Zresztą sama nie

miałaby nic przeciwko temu, aby usłyszeć odpowiedź na to pytanie. Już wcześniej zdążyła przekonać się, że nie wydobędzie jej od Chewbacca.

– To by się na nic nie zdało – szepnęła w odpowiedzi Jaina. – Gdybym mu powiedziała, Anakin nie myślałby o niczym innym i dwie minuty później znów bym usłyszała: „A teraz jak długo jeszcze będziemy lecieli?” To samo pytanie usłyszałabym po następnych dwóch minutach... i tak w nieskończoność.

– Rozumiem – odparła ciotka Marcha, chociaż było to oczywiste kłamstwo. Jakie to dziwne stworzenia, ci ludzie. A dzieci o wiele dziwniejsze niż dorośli, pomyślała. Nie potrafiła pojąć, jakim cudem osiągnęli tak wielkie wpływy w całej galaktyce.

Na szczęście starsze szczenięta wiedziały, jak opiekować się najmłodszym.

– Anakinie! – odezwał się Jacen, który wreszcie zdołał znaleźć sposób, żeby skierować myśli malca na inne tory. – Popatrz w dół! Widzisz? To Kipiące Morze.

Anakin, siedzący za Jacenem, ale obok robota, spojrział w dół, na czarną powierzchnię wody.

– Nie widzę, żeby tam coś kipiło – odparł urażonym tonem.

– Nie zawsze kipi – wyjaśnił Jacen. – Tylko czasami. A zwłaszcza w lecie. Qiunine opowie ci wszystko, co wie na ten temat.

– Ja? – zdziwił się automat.

– Tak, Qiunine – odezwał się Ebrihim, zajmujący miejsce obok Jacena. – Właśnie ty. To rozkaz.

– No cóż, niech będzie – odparł robot, chociaż nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Po chwili zaczął tłumaczyć Anakinowi, jak to w ciągu kilku miesięcy lata temperatura powietrza może podnieść się na tyle, że woda w małym, śródlądowym morzu zaczyna parować, co wygląda, jakby się gotowała. Wyjaśnił, jak w zimie śniegi i deszcze obniżają temperaturę wody i uzupełniają to, co wyparowało w lecie. Najdziwniejsze jednak, że Anakin uważnie go słuchał. Nie przestał nawet wówczas, kiedy Qiunine, pragnąc podsumować swoją wypowiedź, oświadczył, że morze jest tylko tymczasowym elementem draliańskiego krajobrazu. Wyraził przypuszczenie, że za kilka tysięcy lat z pewnością zniknie całkowicie w wyniku erozji brzegów dopływających doń górskich rzek i strumieni.

Marcha ponownie pokręciła głową. Nie miała pojęcia, jakim cudem, na wszystkie gwiazdy, takie informacje mogły interesować małego chłopca, ale była wdzięczna automatowi za to, że odwrócił jego uwagę. Uważała, że podróż trwa stanowczo za długo. Lecieli okrężną trasą, w środku nocy i w dodatku tak nisko, że odnosiła wrażenie, iż od czasu do czasu spód kadłuba ociera się o wierzchołki drzew albo muska powierzchnię wody. Mogła rozmaicie myśleć o towarzyskich umiejętnościach Wookiego, ale była rada, że tak dobrze opanował sztukę pilotażu.

W końcu Chewbacca wydał od dawna oczekiwany głuchy pomruk i zwolnił, a potem zawisł absolutnie nieruchomo na wysokości jakichś dziesięciu metrów nad powierzchnią gruntu. Marcha włączyła noktowizor i spojrzała na ekran. Nakierowała emiter podczerwieni na niewielkie wzgórze, wznoszące się w odległości mniej więcej trzech kilometrów przed dziobem grawilotu. To właśnie tam, jarząc się upiornym zielonkawym blaskiem na ekranie

urządzenia, stał niski, kanciasty budynek, zbudowany pod samym szczytem.

– To tu – oznajmiła, spoglądając na Wookiego. – To musi być to miejsce. Ruszamy, ale teraz leć bardzo powoli. Skreć i zatocz łuk wzdłuż podnóża wzgórza, aż znajdziesz się dokładnie na południe od wierzchołka. Potem zbliżysz się na odległość jakichś dwustu metrów i wylądujesz, ale tak, żeby nas nikt nie zauważył. Mam nadzieję, że pamiętałeś o wyłączeniu pozycyjnych świateł?

Oburzony Chewbacca spiorunował ją spojrzeniem, ale nie odpowiedział.

Marcha zresztą i tak nie zwróciła na to uwagi. Miała na głowie inne kłopoty. Na szczęście, odnalezienie miejsca archeologicznych wykopalisk nie okazało się bardzo kłopotliwe. Księżna wiedziała jednak, że o wiele trudniej będzie dostać się tam, gdzie są prowadzone właściwe prace – a później wydostać się tak, żeby nikt nie zauważył. Jeżeli jej teoria okaże się prawdziwa, Anakin naprawdę będzie mógł jej pomóc...

Pod warunkiem, że przedtem zdoła odwrócić jego uwagę od Kipiącego Morza. Wyglądało na to, że Qiunine właśnie kończy podawać malcowi ostatnie informacje, jakimi dysponował na ten temat.

ROZDZIAŁ

14.

POD POWIERZCHNIĄ

W miarę jak zapuszczali się coraz dalej, średnice tuneli stawały się coraz większe. A przynajmniej Han odnosił takie wrażenie. Nie umiał jednak odgadnąć powodu tej zmiany. Możliwe, że kiedy pokonywali poprzednie odcinki labiryntu, po prostu omijali tunele o większych średnicach. Zapewne wszystkie przestronniejsze korytarze były zatłoczone uchodźcami. A może zamieszkujący tę część planety Selonianie lubili chodzić wyprostowani? Tunele sprawiały wrażenie suchych, a wypełniające je chłodne powietrze było lekko zatęchłe. Podobnie jak przedtem, także tu nieprzeniknione ciemności rozjaśniał jedynie posępny blask ciemnoczerwonych lampek. Podłogi i ściany starannie obrobiono i wygładzono –jak we wszystkich tunelach, jakie Han poznał do tej pory – ale te były o wiele większe, a przy tym mniej zatłoczone.

Bez względu na to, co mogło spowodować tę zmianę, Han był za nią wdzięczny losowi. Szedł wyprostowany zaledwie od kilku minut, a już czuł się jak nowo narodzony. Przynajmniej zdołał rozprostować większość zdrtwiałych mięśni nóg i pleców. Co więcej, mógł podążyć za Drackmus o wiele szybciej niż przedtem. Dotychczas, kiedy pełznął na czworakach, odnosił wrażenie, że

wolne tempo marszu doprowadza jego przewodniczką do szału. Fakt, że teraz mniej więcej dotrzymywał jej kroku, chyba ją uspokajał.

Nie wystarczyło to jednak, żeby istota stała się bardziej rozmowna albo skłonna do zwierzeń. Han postanowił zatem, że spróbuje zagadnąć ją o coś innego.

– Czcigodna Drackmus, wprawdzie nie możesz zdradzić mi, dokąd idziemy i dlaczego mnie tam prowadzisz, ale może chociaż mogłabyś powiedzieć coś – cokolwiek – na temat osoby, która wydała ci takie polecenie?

Selonianka milczała. Nawet nie uprzedziła Hana, że nie udzieli odpowiedzi. Jej towarzysz uznał to za coś w rodzaju milczącego potwierdzenia, iż jest na dobrym tropie.

– Czy chodzi o coś, co ma związek jedynie z twoim klanem? – ciągnął po chwili. – Czy może z czymś większym? Jakąś organizacją albo przymierzem? Może jakąś grupą?

– Czcigodny Solo... Bardzo cię proszę! – nie wytrzymała w końcu Selonianka. – Otrzymałam... najsurowsze rozkazy, wydane przez najwyżej stojące osobistości. Masz prawo poznać wszystko, ale nie dowiesz się tego ode mnie!

To było więcej, niż Han zdołał wyciągnąć z Drackmus do tej pory, ale nadal niewiele. Nie przestając iść, zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Mimo iż nadal nie dysponował żadną pewną informacją, wiedział na tyle dużo, żeby móc zacząć zgadywać. No, dobrze, pomyślał. Nie ufają ci, ale przynajmniej nie zabiły cię ani nie porzuciły w podziemnych korytarzach. Co z tego wynikało? Odpowiedź była oczywista, ale beznadziejnie niejasna. Do czegoś był im potrzebny. Widocznie istoty liczyły na to, że Han zrobi albo

powie coś, z czym wiązały duże nadzieje. Mogło tu chodzić o cokolwiek. O pomoc w rozwiązaniu trudnego technicznego problemu, wykorzystanie politycznych wpływów albo doświadczenia w prowadzeniu walki... a nawet o dostęp do jakiejś informacji, którą kiedyś poznał, ale nie zdawał sobie sprawy z jej znaczenia. A może chodziło o przepis przyrządzania chłodzącego napoju, znanego wszystkim pod nazwą Zmutowanego Chodzącego Trupa? Właśnie. Jedna wielka niewiadoma.

Tyle że jeszcze czegoś mu w tym brakowało. Gdyby istotom naprawdę na nim zależało, powiedziałyby mu, o co chodzi, a nie kazały wlec się bez końca podziemnymi korytarzami. Najprawdopodobniej Selonianki czegoś od niego oczekiwały, ale nie były pewne, czy mogą mu zaufać. A zatem, dopóki się nie upewnią, czy mogą zaryzykować i obdarzyć go zaufaniem, zechcą nadal utrzymywać go w nieświadomości. To było nawet logiczne. Możliwe, że po prostu same nie miały pewności, czy więzień zgodzi się z nimi współpracować.

Jeżeli o to chodziło, Han także nie był tego pewien. Nie miał pojęcia, po czyjej stronie opowiadają się Selonianki ani nawet kto bierze udział w tych rozruchach. Nie wiedział, kto walczy przeciwko komu. Zanim pochwycili go żołnierze Ligi Istot Ludzkich, sytuację na Korelii najlepiej opisywało określenie: „Walka wszystkich przeciwko wszystkim”. Han nie miał pojęcia, jak rozwinęła się – albo zagmatwała – sytuacja po tym, kiedy trafił do więzienia. Do tej pory Selonianki mogły uwikłać się w walkę przeciwko komukolwiek.

Zaledwie doszedł do tego radosnego wniosku, usłyszał napływające z oddali dziwne dźwięki. Przypominały powtarzające się rytmiczne basowe dudnienia, zgrzyty i piski, jakie zazwyczaj

wydają pracujące mechanizmy. Dźwięki się nasilały, jakby wędrowcy zbliżali się do ich źródła. Po chwili Han usłyszał podniesione głosy Selonianek, wykrzykujących jakieś polecenia czy rozkazy. Z ich tonu i natężenia domyślił się, że niedługo zobaczy ekipę, zajętą budową jakiegoś skomplikowanego urządzenia.

Widocznie Drackmus także usłyszała te odgłosy, bo ożywiła się, a nawet przyspieszyła kroku.

Nagle Han uświadomił sobie, że oto znalazł się u kresu drogi, a przynajmniej u kresu pierwszego etapu. Przyspieszył i zorientował się, że schodzi po niezbyt stromej, ale długiej rampie. Zauważył, że z dołu napływa złocistożółte światło, i sam się zdziwił, jak bardzo go to ożywiło i ucieszyło. Był rad, że jego oczy, znużone oglądaniem wciąż takiego samego krwistoczerwonego blasku, rozjaśniającego ciemności wszystkich jak dotąd podziemnych korytarzy, nareszcie chociaż trochę odpoczną. Potykając się, ruszył jeszcze szybciej w dół rampy... w kierunku dźwięków i źródła złocistego blasku.

Rampa zaprowadziła go do podziemnej komory, której ściany – choć z pewnością wykute w litej skale – wyłożono połyskującymi metalowymi i plastikowymi płytkami. W pomieszczeniu było gwarno i rojno. Han natychmiast zrozumiał, że widzi coś w rodzaju ośrodka transportowego. Pośrodku ujrzał miniaturowe lądowisko, a na nim trzy niewielkie gwiazdne statki, kapsuły albo ładowniki. Krzątało się wokół nich kilka Selonianek. Uniósł głowę, żeby popatrzeć w górę, i przekonał się, że sklepienie wygląda jak ruchoma, dająca się chować kopuła. Po przeciwległej stronie jej podstawy ujrzał nieruchomy wagonik podziemnej kolejki. Przygotowany do odjazdu, czekał na torach, wyłaniających się z tunelu w jednej ścianie komory i znikających w otworze drugiej

ściany. Z innych otworów raz po raz wyskakiwały jakieś pojazdy, by po chwili ze świstem i brzękiem zniknąć w którymś z pozostałych.

– Co za ruch! – powiedział zdumiony, zwracając się do swojej przewodniczki.

– Mamy wiele takich miejsc – odparła Selonianka. – To wygląda tak samo jak wszystkie inne.

Jej uwaga wprowadziła Hana w jeszcze większe zdumienie.

– Myślałem, że tunele służą wam tylko do chodzenia.

– Dlaczego tak myślałeś? – zapytała Drackmus. – Nie sądziłeś, że my, Selonianie, umiemy konstruować własne maszyny i urządzenia? Uważałeś, że jesteśmy prymitywnymi istotami, które żyją pod powierzchnią gruntu, pozbawione pomocy ze strony życzliwie nastawionych ludzi?

– Dobrze, dobrze – mruknął Han. – Nie pomyślałem o tym, zanim zapytałem. Przyjmij moje przeprosiny.

Rozejrzał się dokoła i uświadomił sobie, jak głęboko się znajduje. Zrozumiał, że komora jest tajnym pomieszczeniem, zapewne znanym tylko niektórym Selonianom. Nie miał na to żadnego dowodu, ale się domyślał. Prawdopodobnie nie zapraszano tu ani ludzi, ani Dralów.

– Kto jeszcze, oprócz Selonian, wie o istnieniu tej komory? – zapytał po chwili.

– Ty wiesz – odparła Drackmus. – Nikt inny.

– Jedyna odpowiedź, jakiej miałem nadzieję nie usłyszeć – mruknął Solo.

I jedyna, jakiej jego przewodniczka zechciała udzielić mu z własnej woli. Hanowi się to nie spodobało. Dlaczego zawierają mu taką tajemnicę? Co się stanie, jeżeli nieco później istoty dojdą do

wniosku, że zapoznanie go z nią jednak nie było najlepszym pomysłem? Znał tylko jeden absolutnie pewny sposób, żeby wtajemniczony nie zdradził tego, czego się dowiedział...

– Chodźmy – odezwała się Drackmus. – Pora ruszać w dalszą drogę.

Han na poły świadomie oczekiwał, że istota każe mu wsiąść do jakiegoś pojazdu i zawiezie prościutko do gabinetu jakiejś ważnej osobistości. A jeżeli nie, to chociaż pozwoli przejechać kolejką w inne miejsce.

Zamiast tego Drackmus powiodła go do najbliższego i największego z trzech stojących na lądowisku gwiazdnych statków. Gwiazdnych statków? Dokąd, u licha, ona chce go zabrać? Zapewne w takie miejsce na Korelii, dokąd podróż podziemnymi korytarzami byłaby zbyt uciążliwa albo zabrała zbyt dużo czasu. Tylko dlaczego?

Han przyjrzał się uważniej niewielkiemu stateczkowi. Natychmiast zorientował się, że jednostki nie zbudowano w żadnej z zarządzanych przez ludzi koreliańskich gwiazdnych stoczni. A zatem Selonianie musieli skonstruować ją sami. Stateczek był jednostką krótkiego zasięgu, na pewno niezdolną do odbywania międzygwiazdnych lotów. Miał kształt spłaszczonego, pękatego stożka o wysokości mniej więcej dwudziestu metrów i w przybliżeniu takiej samej średnicy podstawy. Niezwykle rzadko spotykało się jednostki, u których kierunek lotu pokrywał się z kierunkiem startu i lądowania. Większość nowoczesnych gwiazdnych statków miała konstrukcję podobną do „Sokoła Millenium”, gdzie oba te kierunki tworzyły kąt prosty. Dzięki temu pilot mógł wyglądać podczas startu przez iluminatory umieszczone w płaszczyźnie burty. Tymczasem dziobowe iluminatory tej

jednostki umieszczono w pobliżu wierzchołka stożka, tak że pilot, ilekroć pragnął wystartować – czy chciał, czy też nie – musiał spoglądać w niebo. Konstrukcja sprawiała wrażenie prymitywnej i topornej, ale Han wiedział, że jest prosta i skuteczna. No i miała bardzo cenną zaletę: jeżeli siła ciągu działała jedynie wzdłuż jednej osi, oddziałujące na kadłub naprężenia rozkładały się bardziej równomiernie.

Inaczej wyglądało to w przypadku „Sokoła”. Kadłub frachtowca musiał radzić sobie nie tylko z naprężeniami, wywoływanymi przez siłę ciągu, jaka oddziaływała nań od strony rufy. Oprócz nich musiał znosić także inne, wprowadzane przez łapy i repulsory, stanowiące element systemu ładowniczego. Takie rozwiązanie sprawiało, że kadłub bywał poddawany nierównomiernie rozłożonym naprężeniom – i nie zawsze dobrze sobie radził z ich pokonywaniem. Tak czy owak było jasne, że Selonianie opanowali nie tylko sztukę konstruowania podziemnych wagoników i pojazdów.

Han, który nie przestawał przyglądać się statkowi, usłyszał nagle szcęknięcie. Na wysokości około półtora metra od podstawy otworzył się właz, a z wnętrza stożka wyłoniła się złożona drabinka. Rozwinęła się powoli, a gdy koniec zetknął się z płytą lądowiska, w otworze włazu ukazała się młoda Selonianka. Nie kryjąc zniecierpliwienia, zeszła po drabince i stanęła przed obojgiem wędrowców. Spojrzała na Hana, a potem wyszczerzyła ostre zęby i zasyczała, co u tych istot było odpowiednikiem śmiechu.

– A więc to jest ta łysoskóra, o której tyle słyszałam – powiedziała po seloniańsku tak szybko, że Han z trudem ją zrozumiał. – Nie wygląda najlepiej, prawda?

– To on, a nie ona – poprawiła ją łagodnie Drackmus. – To istota ludzka płci męskiej, młoda Salculd. Ten samiec dużo przeszedł, dużo wycierpiał i pokonał wiele przeciwności losu. Został też ranny. Sam fakt, że w ogóle tu dotarł, nadzwyczaj dobrze o nim świadczy.

Han był zaskoczony, że starsza Selonianka zdecydowała się go pochwalić.

– To bardzo miło z twojej strony, czcigodna Drackmus – odezwał się po seloniańsku, chociaż z pewnym trudem.

Zdumiona Salculd przeniosła spojrzenie na Hana i z wrażenia aż otworzyła usta. Postawiony w takiej sytuacji człowiek zapewne uniósłby brwi i otworzył szeroko oczy.

– Ona... on... umie posługiwać się naszą mową! I to całkiem poprawnie. Bardzo dobrze, czcigodna Drackmus. Zapamiętam, że potrafi więcej niż się wydaje na pierwszy rzut oka. – Odwróciła się do Hana. – Chodź za mną, ty – powiedziała.

Solo popatrzył na Drackmus.

– Teraz Salculd będzie się mną opiekowała? – zapytał po seloniańsku. – Ty nie polecisz z nami?

– Zanim wejdem na pokład i wszyscy troje wystartujemy, muszę porozumieć się z... z niektórymi innymi Seloniankami. Niedługo do was dołączę. Pilot Salculd będzie... opiekowała się tobą... w czasie, gdy mnie nie będzie u twojego boku. – Chwilę się zawahała, a potem przeszła na basie, wyraźnie pragnąc, żeby zrozumiał ją tylko Han, a nie młodsza Selonianka. Mówiła bardzo szybko. – Nasza Salculd należy do innego klanu, a pochodzące z niego samice bywają niekiedy bardzo dziwne. Od czasu do czasu może zachowywać się nietypowo. Nie zwracaj na to uwagi, czcigodny Solo, a przede wszystkim nie wpadaj w przerażenie.

– Dlaczego twoje słowa nie rozproszyły moich obaw? – zadrwił Han.

– Naprawdę nie wiem tego, czcigodny Solo. Wejź teraz na pokład, a ja już wkrótce się tam zjawię.

Drackmus skłoniła się lekko przed Hanem, a później nieco głębiej przed Salculd. Odwróciła się i odeszła.

– O co jej chodziło? – zapytała po seloniańsku pani pilot.

Han miał przeczucie, że Salculd jest istotą, z którą może porozmawiać.

– Ostrzegła mnie, że czasami możesz zachowywać się dziwacznie – odparł w tym samym języku.

– Ach, tak – odparła istota. – One wszystkie tak uważają. Lubią przebywać pod powierzchnią gruntu albo w zamkniętych pomieszczeniach. Po prostu nie przepadają za lataniem w przestworzach, to wszystko. Chodź na pokład, ty... jak cię nazywała?

– Nazywała mnie Solo. Han Solo. Przyjaciele nazywają mnie po prostu Hanem.

Salculd się uśmiechnęła. Zrozumiała aluzję.

– A zatem i ja będę nazywała cię Hanem, żebyś mógł przekonać się, jaka jestem dziwna. Wejźmy na pokład.

Han wspiął się za Salculd po szczeblach drabinki, przyglądając się wszystkiemu uważnie. Mimo iż widział tylko zewnętrzną powierzchnię kadłuba, mógłby przysiąc, że cały stateczek – o czym świadczył dziwny kształt – został sporządzony domowym sposobem, zapewne w zaciszu jakiegoś garażu albo warsztatu. To wrażenie spotęgowało się, kiedy wszedł do środka i ujrzał wykończenie wnętrza stożka.

– To ładny statek – odezwał się po seloniańsku, mocno naciągając prawdę, żeby okazać się zręcznym dyplomatą. Pokazał na siebie. – Ja także jestem pilotem. Mam własny statek. Nie zechcesz oprowadzić mnie po swoim?

Salculd przekrzywiła głowę i obdarzyła go zagadkowym uśmiechem.

– Jesteś pilotem, hmmm? – zapytała. – Nic mi o tym nie powiedziały. Jasne, pokażę ci to i owo.

Było oczywiste, że młodsza Selonianka nie uwierzyła zapewnieniom Hana, iż jest pilotem. Zapewne chciała go wypróbować, żeby przekonać się, czyjej pasażer rzeczywiście ma pojęcie, o czym mówi. Han z przyjemnością podjął to wyzwanie. Zamierzał za wszelką cenę zdobyć więcej informacji. Natychmiast zaczął zadawać właściwe pytania, rozpoznawać elementy wyposażenia i rozprawiać na temat różnych problemów – rozkapryszonych pasażerów, nieporęcznych ładunków, niezdarnych ekip personelu naziemnego i tak dalej – trapiących chyba wszystkich pilotów, jak galaktyka długa i szeroka. Nim upłynęło kilka minut, zdołał przekonać Salculd, że nie kłamał.

Kiedy istota upewniła się, że ma do czynienia z kimś równym sobie, rozwiązał jej się język. Nagle zapragnęła pokazać mu całe wnętrze, a Han robił wszystko, co mógł, żeby okazać się wdzięcznym słuchaczem. Nie musiał zbyt długo przyglądać się urządzeniom i podzespołom, aby zrozumieć, że wszystko na pokładzie dawało zaliczyć się do jednej z dwóch kategorii. Do pierwszej należały uniwersalne przyrządy i aparaty, jakie można było kupić praktycznie wszędzie – czy to nowe, czy używane, czy odzyskane, czy wreszcie wyciągnięte ze składnic złomu... takie jak

drabinka, fotele członków załogi czy sprzęło jednostki napędu podświetlnego.

Do drugiej dałoby się zaliczyć sprzęt specjalistyczny: czy to zmodyfikowany, a uprzednio służący innemu celowi, czy też skonstruowany z myślą właśnie o tym statku. Wszystko, co należało do tej kategorii, dałoby się bez trudu wytropić, gdyby ktoś zdecydował się to zamówić albo kupić na wolnym lub czarnym rynku. Han zwrócił szczególną uwagę na nawigacyjny komputer, a także na umożliwiające start i lądowanie jednostki repulsorów. I jedno, i drugie urządzenie wyglądało, jakby zmajstrował je amator. Han wiedział jednak, że nikt nie konstruuje takich urządzeń sam, jeżeli ma do wyboru inne wyjście.

Ta informacja pozwoliła mu na wyciągnięcie daleko idących wniosków. Zarządzane przez ludzi koreliańskie stocznie słynęły – i nie bez powodu – w całej galaktyce. To właśnie stąd pochodził „Sokół Millenium” – a przynajmniej lekki towarowy frachtowiec, jakim stał się „Sokół”, kiedy na jego pokładzie dokonano kilku tysięcy zmian i modyfikacji. Koreliańskie stocznie wypuszczały mnóstwo budowanych dla tysięcy przyszłych właścicieli jednostek wszystkich typów i rozmiarów – począwszy od najmniejszych trampów, a skończywszy na najpotężniejszych gwiazdnych niszczycielach. Han wiedział, że w obecnej sytuacji gospodarczej – niezbyt korzystnej – o wiele lepsze i sprawniejsze, używane gwiazdne statki można było kupić niemal za bezcen.

Dlaczego zatem ktoś miałby zadawać sobie trud i ponosić koszty budowania własnych statków – znacznie gorszych niż te, które można było mieć szybciej i taniej? Nawet Brzydale, składane przecież z części maszyn różnych typów, byłyby bezpieczniejsze i

bardziej niezawodne niż ten stożek. Istniało tylko jedno wyjaśnienie, ale Hana wcale ten wniosek nie ucieszył. Własne gwiazdne statki konstruował ten, kto chciał pozostawać w ukryciu... i pragnął zachować to, co robi, w jak najgłębszej tajemnicy.

To zaś z kolei potwierdziło domysły Hana na temat grupy Selonian, która go porwała.

Znajdował się pośród rebeliantów.

A przynajmniej pośród Selonian uważających się za rebeliantów. Tylko przeciwko komu się zbuntowali? Lidze Istot Ludzkich? Rządowi Nowej Republiki? A może te istoty walczyły przeciwko Imperium, ale po jego upadku, nie ufając nikomu z zewnątrz, pozostawały nadal w ukryciu? Możliwe było każde wyjaśnienie. Han wiedział o seloniańskiej polityce właściwie tylko tyle, że nikt z zewnątrz nie zdołał przeniknąć jej tajników.

No cóż, możliwe, że odgadł prawidłowo, ale, z drugiej strony, cóż szkodziło zapytać? Han uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich dwóch godzin dowiedział się od Salculd więcej niż podczas kilku poprzednich dni, spędzonych w towarzystwie Drackmus.

– Czcigodna Salculd – zaczął, starając się mówić poprawnie po seloniańsku. – Kim jesteście? Jaka grupa mnie porwała? O co tu właściwie chodzi?

Młoda Selonianka sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Nikt ci tego nie powiedział? – zapytała.

– Nikt – odparł stanowczo Solo.

– Należymy do Nory Hunchuzuc. Ja i inni członkowie naszej nory pragniemy, aby Selonianie na Korelii mogli być niezależni.

– Niezależni od kogo albo od czego? – dociekał Han. – Od Nowej Republiki? Ligi Istot Ludzkich?

– Co takiego? Nie! Co oni mogą nas obchodzić? Chcemy tylko uniezależnić się od Supernory, sprawującej obecnie najwyższą władzę na Selonii. Wszystko inne nie liczy się w porównaniu z tym dążeniem. Wykorzystujemy obecne zamieszki jako pretekst, pod którym możemy się ukryć i działać, podczas gdy Supernora zajmuje się własnymi problemami. Ty również masz swój udział w naszym planie.

– Właściwie na czym ma polegać mój udział? – zaniepokoił się Solo. – Do czego jestem wam potrzebny?

Salculd ponownie otworzyła usta i/przekrzywiła głowę.

– Rzecz jasna, zabieramy cię na: Selonię – odpowiedziała po chwili. – A czego się spodziewałeś?

Grawilot opadł z draliańskiego nieba cicho jak duch i wylądował za najbliższą stromą skałą. Wszyscy wysiedli, starając się zachowywać najciszej jak umieli. Noc była wietrzna i bardzo chłodna – szczególnie dokuczliwa dla pozbawionych sierści ludzi. Dzieci drżały z zimna. Ujrawszy to, Ebrihim powiedział, żeby wróciły do grawilotu, a sam wyruszył z ciotką na mały rekonesans. Tymczasem Chewbacca, któremu pomagał – a może przeszkadzał – robot Qiunine, przygotowywał sondę i świder. Ebrihim postanowił wykorzystać okazję, że nareszcie może rozmawiać z ciotką na osobności, i natychmiast zaczął zasypywać ją pytaniami.

– Nadal uważasz, droga ciociu, że Anakin potrafi odnaleźć wykopaliska?

– Uważam, że da sobie radę.

– Czy nie spodziewasz się po nim zbyt wiele? – zaniepokoił się siostrzeniec. – To przecież tylko mały chłopiec.

– Niczego szczególnego się nie spodziewam – odrzekła Marcha. – Mam nadzieję, że istota... młoda istota... dysponująca tak niezwykłymi umiejętnościami będzie mogła i chciała nam pomóc. Uważam, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu. Prześledziłam wszystkie ruchy, jakie wykonywał Qiunine, kiedy wędrował tamtymi tunelami na Korelii. Przekonałam się, że poszukiwana przez nas komora kryje się dokładnie trzy tysiące dwieście metrów na południe od głównego wejścia, a jej górna część jest usytuowana na głębokości stu dziewięćdziesięciu metrów poniżej poziomu wlotu tuneli. Jeżeli wierzyć wskazaniom przyrządów, zdołaliśmy pokonać odległość dzielącą nas od głównego wejścia, a zagłębienie terenu, gdzie wylądowaliśmy, znajduje się sto siedemdziesiąt metrów poniżej wlotu. O ile nie popełniłam strasznej omyłki, powinniśmy tylko wydrążyć szyb o głębokości dwudziestu metrów, a dostaniemy się do systemu podziemnych korytarzy.

– Możliwe, najdroższa ciociu – odezwał się Ebrihim. – Zakładając, że nie pomyliłaś się w obliczeniach. I że nasi przyjaciele Draliści nie obserwują nas z wierzchołka tamtego wzgórza i nie zamierzają wybiec ze strażnicy, aby nas pochwycić. I że wszystko potoczy się zgodnie z naszym planem. Zakładaj zresztą, co zechcesz. Tyle że po przygodach dzisiejszej nocy nigdy więcej nie nazywaj mnie jedynym lekkomyślnym członkiem rodziny.

Marcha się uśmiechnęła.

– Zgoda – powiedziała.

W tej samej chwili grunt zadrżał i rozległo się głucho dudnienie. Trwało odrobinę zbyt długo, żeby można było uznać to zjawisko za naturalne. To Chewbacca zaczął uruchamiać sondę. Ebrihim i jego

ciotka podeszli bliżej, aby przekonać się, jak sobie poradzi. Chwilę później sonda zadudniła znowu.

Rosły Wookie odczytał wyświetlane dane, zadowolony kiwnął głową, a potem przeniósł sondę w inne miejsce, oddalone od poprzedniego zaledwie o kilka metrów. Pragnąc zgromadzić jeszcze więcej informacji, ponownie uruchomił urządzenie.

Sondę i świder, zgrabne urządzenia górnicze, Chewbacca wygrzebał z jakiejś ładowni „Sokoła”. Na pokładzie frachtowca znajdowało się wiele dziwnych maszyn. Przydawały się, ilekroć kapitan był zdany na własne siły.

Sonda składała się z udarowego młota, który uderzał w grunt niczym obuch serią szybkich, bardzo silnych uderzeń. Drugim elementem urządzenia był wykrywacz dźwięków. Wykorzystywał on powstałe w ten sposób drgania powierzchni gruntu do opracowania trójwymiarowego obrazu tego, co kryło się pod ziemią.

Zebrawszy odczyty z czterech albo pięciu miejsc, Chewbacca przystąpił do wyświetlania zdumiewająco dokładnej trójwymiarowej mapy podziemi. Ustawił wykrywacz dźwięków na pobliskiej skale, po czym włączył wyświetlacz hologramów.

Po chwili pojawił się skomplikowany różnobarwny wizerunek, na którym każdy kolor oznaczał inną gęstość gruntu. Największa była zaznaczona na niebiesko, przeciętna – na czerwono, a najmniejszą oznaczał kolor jaskrawożółty. Chewbacca pomanipulował pokrętłami i usunął najpierw niebieski, a potem czerwony. Pozostawił żółty, świecący intensywnym blaskiem w odległości niespełna trzydziestu metrów na północ od miejsca, gdzie ustawił urządzenie.

– Doskonale – odezwała się Marcha, pokazując na jaskrawożółty obraz. – Właśnie tam zaczniemy drążyć szyb.

Ebrihim podszedł do aparatu i pokręcił gałkami. Przywrócił czerwień i błękit, a potem powiększył maksymalnie obraz.

– Nie widać na tym obrazie niczego, co wyglądałoby jak podziemna komora – oświadczył; kiedy skończył pracę.

– Oczywiście, że nie/uspokoila go ciotka Marcha. – Nie zapominaj, jak starannie ukryto tamtą na Korelii. Zapewne równie pieczołowicie zamaskowano tę na Dralii. Musiano zadbać o to, aby oparła się promieniom czujników i skanerów.

– Chciałbym mieć tyle samo pewności co ty, najdroższa ciociu – odparł siostrzeniec. – No dobrze, przyjacielu Chewbacca –dodał, zwracając się do Wookiego. – Zobaczmy, jak poradzisz sobie z uruchomieniem tego świdra.

Świder był równie prostym i łatwym w obsłudze urządzeniem. Górną część stanowił zespół blasterów o potężnej mocy, ale niewielkim zasięgu. Wszystkie umieszczono w wirującej głowicy o średnicy około siedemdziesięciu centymetrów. Kiedy głowica się obracała, blastery strzelały, dzięki czemu skały, piasek i grunt ulegały dezintegracji. Wirująca część świdra przemieszczała się w elastycznym, żaroodpornym rękawie, który mógł się wysuwać, w miarę jak głowica się zagłębiała. Rękaw kończył się długą, równie elastyczną rurą.

Chewbacca ustawił urządzenie dokładnie nad wybranym punktem gruntu, uniósł głowicę i zawiesił ją na trójnogu z kołowrotem. Trójnóg sam się rozłożył, po czym uniósł głowicę na wysokość trzech metrów. Kołowrót miał nie dopuścić, żeby głowica zagłębiała się zbyt szybko, a także, po zakończeniu wiercenia szybu,

umożliwić wyciągnięcie jej na powierzchnię. Następnie Wookie ułożył rurę wydechową w taki sposób, aby leżała po zawietrznej, a wylot znajdował się jak najdalej od wierconego otworu i grawilotu. Starannie unieruchomił wylot rury, a potem upewnił się, że uczynił to prawidłowo. Miały tamtędy wylatywać wyrzucane pod dużym ciśnieniem i zamienione w przegrzaną parę piasek, kamienie i skały, a Chewbacca nie zamierzał ryzykować przykrej niespodzianki.

Jeszcze raz sprawdził, czy ustawił świder prawidłowo, po czym wygłosił bardzo długie jak na niego, pełne warknięć, szczęknięć i pomruków przemówienie. Ebrihim wysłuchał go uważnie, a potem kiwnął głową.

– Rozumiem – odezwał się w końcu. – Jeżeli ktoś nasłuchuje albo nas obserwuje, używając czujnika wrażliwego na podczerwień, dostrzeże nas bez trudu. Wprawdzie nie zauważyłem, żeby ktokolwiek obserwował okolicę albo czegoś pilnował, ale zgadzam się z tobą, że podejmowanie takiego ryzyka nie miałoby sensu. A zatem upewnię się, że grawilot jest gotów do natychmiastowego startu, a sam będę czuwał, siedząc na fotelu pilota.

Chewbacca kiwnął głową na znak, że Dral dobrze go zrozumiał. Ebrihim obrócił się do Marchy.

– Pójdiesz ze mną, droga ciociu? – zapytał. – Założę się, że hałas okaże się trudny do wytrzymania.

Księżna pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Nie mogę się doczekać, żeby przekonać się, jak to będzie wyglądało.

– Rób, jak chcesz – odparł jej siostrzeniec.

Odwrócił się, podszedł do grawilotu i starając się zachowywać najciszej jak umiał, otworzył drzwi kabiny. W środku spało przecież

troje dzieci. Nawet Qiunine zdołał jakimś cudem ograniczyć pobór energii. Ebrihim wspiął się na fotel, gdzie niedawno siedział Chewbacca, i ustawił siedzenie w taki sposób, aby móc obserwować wszystko przez iluminatory, zamiast widzieć jedynie dolną część dźwigni sterowniczej.

Pomachał Wookiemu, a Chewbacca odpowiedział mu takim samym gestem, po czym wcisnął guzik włączający urządzenie.

Rzeczywiście, hałas okazał się trudny do zniesienia – nawet dla kogoś, kto siedział zamknięty w kabinie grawilotu. Wyglądało na to, że piskliwy jazgot nigdy nie ucichnie. Po kilkunastu sekundach jednak, kiedy głowica zaczęła zagłębiać się w grunt, ton dźwięku opadł o oktawę czy dwie, a natężenie zmalało o dobrych kilka decybeli. Jeszcze później głowica furknęła, zakołysała się raz czy dwa i zaraz znieruchomiła. Dopiero wtedy rozległ się świst i szum, a z wylotu strzeliła chmura okruchów skał, zmieszanych z przegrzaną parą. Odłamki były tak rozgrzane, że zanim zniknęły w ciemnościach nocy, świeciły ciemnorubinowym blaskiem.

– Ta zabawka ma naprawdę niesamowitą moc – odezwał się Jacen, który obudził się i wspiął na drugi fotel, żeby lepiej widzieć.

– Miejmy nadzieję, że w pobliżu nie ma nikogo, kto by ją usłyszał – wymamrotała rozeszpana Jaina.

Mały Anakin także się obudził, podszedł do konsoli i usiadł na kolanach starszego brata. Zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Chewie ustawił matrycę z Masterami w taki sposób, że ich ogień jest za bardzo skupiony – oświadczył w pewnej chwili.

– Skąd to wiesz? – zdumiał się Ebrihim. W głębi serca był jednak rad, że chłopczyk nie oprzytomniał na tyle, aby wyjść na dwór i

ustawić blastery prawidłowo.

– Nie...wiem skąd – odparł Anakin, ziewając. – Domyślam się, że i tak wykona swoje zadanie. – Umilkł i zastanowił się chwilę. – Powinno mu to zająć jakieś dwadzieścia minut – dodał w końcu.

ROZDZIAŁ

15.

POSTAWA I REPULSORY

Admirał Hortel Ossilege stał na pokładzie dowodzenia, górującym nad mostkiem bakurańskiego lekkiego krążownika „Intruz”. To właśnie stąd miał podczas tej wyprawy dowodzić trzema innymi okrętami – gwiazdnymi niszczycielami nazwanymi „Strażnik”, „Wartownik” i „Obrońca”. Wszystkie trzy leciały teraz w zwartym szyku, a ich kapitanowie meldowali, że załogi i okręty osiągnęły stan pełnej gotowości bojowej. Wszystko zatem przebiegało zgodnie z planem. Ossilege wyprostował się i dumnie wypiął pierś, okrytą oślepiająco białym admiralskim mundurem.

– Wygląda na to, że jest pan zadowolony z rozwoju sytuacji – zagadnął Luke Skywalker. – Cieszy się pan, że nadarza się okazja wzięcia udziału w następnej akcji?

Ossilege był o głowę niższy od swojego rozmówcy, ale kiedy odwrócił głowę i popatrzył na mistrza Jedi, w jego spojrzeniu kryło się tyle pewności siebie, że Luke poczuł się jak skarcony uczeń.

– Żadna rozsądna istota, biorąca udział w jakiejś akcji – jak pan to ujął – nie chciałaby przeżywać tych samych uczuć wciąż na nowo. Wzruszenie i podniecenie, jakie się wtedy czuje, w żadnym razie nie mogą zrównoważyć strachu i odrazy, spowodowanej

widokiem przelanej krwi. Zbyt często zadanie uczestniczącego w takiej akcji oficera polega na dokonywaniu wyboru, których podkomendnych posłać na pewną śmierć. Takich „akcji” pragnąłbym unikać do końca życia.

Ossilege zawahał się chwilę, a potem ciągnął:

– A jednak uczciwość nakazuje mi powiedzieć coś więcej. To prawda, udział w akcji wzbudza szczególne uniesienie. Nie da się temu zaprzeczyć. Czy nie dziwi się pan, że targają mną takie sprzeczne emocje?

– Nigdy nie ośmieliłbym się podawać w wątpliwość pańskich osądów, admirale – odrzekł Luke. – Zwłaszcza teraz, kiedy stoimy w obliczu walki. Jednak dowódca, który uświadamia sobie, że zarazem kocha walkę i jej nienawidzi, jest z pewnością człowiekiem bardzo mądrym. Kłopot w tym, żeby znaleźć odpowiednie proporcje między tymi dwoma uczuciami.

– Ujął to pan bardzo zgrabnie, mistrzu Skywalker – stwierdził Ossilege. – Dowódca nie może zapominać, jaką cenę płaci się czasami za przesadną ostrożność. I myślę, że najlepiej to ilustrują nazwy naszych okrętów. Te trzy niszczyciele zbudowano z myślą o ochronie naszych przestworzy przed prawdopodobnym atakiem ze strony Siiruuków. Dopiero niedawno je zmodyfikowano, żeby mogły przedrzeć się przez obszar objęty oddziaływaniem pola interdyscyjnego. „Strażnik”, „Wartownik”, „Obrońca”... Niewątpliwie są to szlachetne nazwy i chyba dobrze oddają cel, jakiemu miały służyć: odparciu spodziewanej napaści obcych istot, gdyby chciały powrócić. Tyle że flota służąca wyłącznie celom obronnym nie zdoła wygrać żadnej wojny. Nie wystarczy tylko stawiać opór. Zawsze warto mieć coś, co można byłaby rzucić do ataku.

– I dlatego znajdujemy się na pokładzie „Intruza”? – domyślił się mistrz Jedi.

– Właśnie! Nie sądzi pan, że to właściwa nazwa dla pierwszego okrętu, zaprojektowanego z myślą o pokonaniu obszaru interdyscyplinarnego? Chyba zbyt długo bakurańscy stratedzy skupiali uwagę wyłącznie na obronie granic własnych przestworzy. Cieszę się, że nasz rząd w końcu zdecydował się wykorzystać szansę przyjęcia nieco bardziej agresywnej postawy.

– Mniej przejmowałbym się naszą postawą, panie admirale – zaczął Luke, starając się bardzo starannie dobierać słowa – a bardziej pomyślnym wykonaniem zadania.

Ossilege spojrział na rozmówcę. Tym razem na twarzy Bakuranina zagościł lekki uśmiech.

– To brzmi jak delikatna nagana, mistrzu Skywalker. Możliwe, że na nią zasługuję. Zaczekajmy jednak na dalszy rozwój sytuacji. Już wkrótce przekona się pan, czy znam się na rzeczy, czy też nie.

Jego rozmówca jakoś nie poczuł się uspokojony.

W miarę jak głowica się zagłębiała, grzmiący ryk blasterowego świdra coraz bardziej cichł i zamierał. W końcu przemienił się w basowy pomruk, który z trudem przedzierał się przez świst i syk wylatujących z rury wydechowej rozgrzanych gazów. Niemal dokładnie po dwudziestu minutach pomruk ucichł, a chwilę później zamarł także syk wystrzeliwanej pary.

– Szyb wydrażony! – oznajmił Anakin. – Głowica przebiła sklepienie tunelu. Idziemy!

Ebrihim, troje dzieci i Qiunine wydostali się z kabiny grawilotu i podeszli do otworu, gdzie tkwiła jeszcze głowica świdra. Posługując się kołowrotem, Chewbacca właśnie wyciągał ją z czeluści szybu.

Nie spieszył się, aby przypadkiem nie dotknąć którejś z rozgrzanych do czerwoności powierzchni. W końcu kołowrót uniósł głowicę na taką wysokość, że Wookie mógł zerknąć w głąb otworu. Dzieci zbliżyły się i także spojrzały w dół. Po chwili to samo uczynił Ebrihim, ale nic nie zobaczył. W nagrodę poczuł tylko podmuch gorącego powietrza. Nie dało się zauważyć niczego oprócz czarnej dziury. Jacen skierował w głąb otworu strumień światła swojej latarki. Dopiero wtedy guwerner, nateżając wzrok, wyobraził sobie, że widzi na samym dnie ciemnobrązową plamę.

Chewbacca nie tracił czasu na czekanie, aż głowica ostygnie, i tuż obok pierwszego zaczął rozstawiać drugi trójnóg. Posługując się skomplikowanym zespołem wielokrążków, przetransportował głowicę na drugi stojak, tak aby nikomu nie zawadzała. Upewnił się, że pierwszy trójnóg – ze znajdującym się na nim kołowrotem – nadal stoi bezpośrednio nad otworem szybu.

– Uważam, że powinniśmy zaczynać – odezwał się Ebrihim bez przesadnego entuzjazmu. Najwyraźniej mroczna, ziejąca parą czeluszka szybu nęciła go o wiele mniej niż wygodna, przytulna nora. A przecież otwór wydrążono, aby dotrzeć do wykopanego przez nieznaną istotę labiryntu podziemnych chodników i korytarzy. – Qiunine, ruszaj na dół.

– Słucham? Dlaczego właśnie ja? Dlaczego mam schodzić pierwszy?

– Ponieważ tak brzmi rozkaz. A w ogóle tylko ty dysponujesz wszystkimi niezbędnymi czujnikami, z których jesteś taki dumny. Możliwe, że posługując się nimi, odkryjesz coś istotnego. Opowiesz nam o wszystkim, co znajdziesz, bo będziemy utrzymywali z tobą łączność przewodową.

– Uważa pan, że po prostu można mnie spisać na straty – burknął robot.

– Nie kuś losu, bo mogę skorzystać z twojego pomysłu – ostrzegł go Ebrihim.

– A jeżeli... jeżeli naprawdę coś zobaczę?

– Skoro to będzie coś niebezpiecznego, wyciągniemy cię i wszyscy odlecimy. A teraz ruszaj na dół.

Okazując zrozumiałą niechęć, Qiunine uniósł się nad powierzchnię gruntu i powoli podleciał do krawędzi otworu. Niewielkie, przymocowane do korpusu robota repulsory nie miały jednak dostatecznej mocy, aby opuścić mały automat całe dwadzieścia metrów na dno szybu. Trzeba go było zatem przetransportować za pomocą kołowrotu, tak samo jak poprzednio głowicę świdra. Obejmujące cały koreliański system zagłuszanie uniemożliwiało porozumiewanie się przez komunikatory nawet na tak małe odległości, konieczne więc było korzystanie z systemu dwustronnej łączności przewodowej.

Ebrihim umieścił komunikator w odpowiednim gnieździe na powierzchni korpusu robota a potem do innego gniazda dołączył zakończone mikrotelefonem długie przewody.

– Ruszaj w drogę – polecił automatowi, a potem dał znak Wookiemu. Przyglądał się, jak Qiunine–Ekstoo znika w czeluści szybu.

– Reagujące na podczerwień czujniki wskazują, że ściany szybu są nadal bardzo ciepłe – zameldował po chwili automat. – Ochładzają się jednak bardzo szybko. Wkrótce staną się na tyle chłodne, że będziecie mogli zejść bez obaw, iż uszkodzicie swoje cenne skóry...

o ile znajdziecie w sobie dosyć odwagi, żeby w ogóle zacząć schodzić.

– Dość tego, Qiunine! – skarcił go Ebrihim. – Jeszcze jedna uwaga w takim stylu, a wyłączę cię i pozwolę Anakinowi, żeby cię przeprogramował.

– Przypuszczam, że mogę potraktować to jako jawną groźbę – odciął się Q9. – Właśnie dostałem się do końca szybu. Teraz znajduję się w tunelu bardzo podobnym do tego, jaki widzieliśmy na Korelii, ale o wiele bardziej zniszczonym i zaniedbanym. Proszę, przestańcie mnie opuszczać. Jestem tak nisko, że mogę posłużyć się własnymi repulsorami.

Ebrihim dał znak Chewbacce, żeby przestał popuszczać linę. Wookie szarpnął rękojeść dźwigni i kołowrót raptownie znieruchomiał.

– Flip! Ducer! – krzyknął robot, wydał serię niezrozumiałych pisków i gwizdów... i umilkł.

– Qiunine! – zawołał Ebrihim. – Qiunine! Czy stało ci się coś złego?

– Wsyško f porzońku – odezwał się automat. – Wszystko w porządku. Tylko to niespodziewane hamowanie na chwilę zakłóciło funkcjonowanie mojej matrycy głosowej. Powiedzcie temu Wookiemu, żeby w przyszłości nie hamował tak raptownie. Za kilka sekund odcepnię się od liny i odłączę przewody systemu komunikacji, żeby rozejrzeć się dokoła. Proszę, nigdzie nie odchodźcie.

Na minutę czy dwie zapadła głucha cisza. Później, kiedy Qiunine ponownie podłączył przewody systemu komunikacji, w słuchawkach rozległ się cichy trzask.

– Tutaj, na dole, panuje absolutna cisza – zameldował automat. – Nie wyczuwam niczego, co wydawałoby głos, poruszało się albo zużywało energię. Możecie zacząć schodzić.

Chewie opuścił się ostatni; zmieścił się w otworze z pewnym trudem. Opadł na dno szybu, posługując się zdalnym sterownikiem, połączonym z kołowrotem za pomocą przewodów. Kiedy zeskoczył na dno tunelu, odzepił linę i położył obok niej sterownik, ale nie odłączył go od przewodów.

Rozejrzał się i stwierdził, że jego towarzysze zdążyli w tym czasie zająć się oględzinami tunelu. Podziemny chodnik wyglądał prawie identycznie jak ten, który widzieli na Korelii. Miał dużą średnicę i także został wykuty w litej skale. Jedyna różnica polegała na tym, że ściany i dno draliańskiego tunelu były chropowate i popękane. Poza tym wszystko wskazywało na to, że tunel bywał wielokrotnie zalewany. Zamiast warstwy kurzu, pokrywającej ściany i dno tuneli na Korelii, tu na dnie chodnika zalegała gruba warstwa zaschniętego mułu. Nigdzie też nie dało się zauważyć żadnych zapalonych lampek; wszystkie żywe istoty musiały zatem korzystać z ręcznych latarek. Qiunine zapalił dwa silne reflektory w swojej kopułce. Jeden wymierzył w sklepienie, żeby odbity blask oświetlał możliwie jak najdłuższy odcinek korytarza, a drugi skierował w kierunku, w którym mieli ruszyć w poszukiwaniu gigantycznej srebrzystej komory.

Natychmiast w tunelu ukazały się ponure, złowieszcze cienie, rzucane przez dziwacznie oświetlone figurki dzieci, Dralów i Chewbacci. Raz po raz pojawiały się i znikwały, oświetlane to blaskiem bijącym z reflektorów, to znów strumieniami światła z

ręcznych latarek. W tunelu panowały wilgoć i chłód, a zatechłe powietrze sprawiało wrażenie lepkiego.

Ebrihim, który obawiał się, że Jacen, Jaina i Anakin przerażą się ciemności nieznanymi tunelami, już wkrótce uświadomił sobie, że kolejny raz nie docenił dzieci Leii i Hana. Wszystkie doskonale radziły sobie w niesamowitym, nieznanym otoczeniu.

Już niedługo wyszły na jaw kolejne sprzyjające okoliczności. Okazało się, że Draliści nieprędko odkrywają właśnie ten fragment podziemnego chodnika. Na skutek tąpnięcia gruntu, jakie miało tu miejsce przed wieloma laty, a może przed stuleciami, zasypaniu uległ spory odcinek centralnego tunelu, łączącego badany chodnik z głównym wejściem do labiryntu podziemnych pieczar i korytarzy. Najprawdopodobniej główny tunel został zablokowany w taki sposób nie w jednym, ale w kilku miejscach. Chyba zatem wszyscy mogli czuć się bezpiecznie.

Z drugiej jednak strony, pomyślał Ebrihim, Draliści mogą wydrążyć pionowy szyb równie szybko i sprawnie jak Chewbacca. Najlepiej więc będzie, jeżeli uczestnicy wyprawy nie zrezygnują z zachowania czujności.

Starał się nie przeszkadzać i trzymać na uboczu. Obserwował, jak istoty ludzkie przygotowują się do badań podziemnego korytarza. Wyglądało na to, że nie musi nikomu pomagać. Pragnąc upewnić się, że kołowrót zdoła wyciągnąć wszystkich na powierzchnię gruntu, Chewbacca sprawdzał funkcjonowanie sterownika. Ciotka Marcha zapuściła się w głąb tunelu, a Qiunine unosił się pośrodku i przeważnie wszystkim wchodził w drogę. Starsze dzieci robiły, co mogły, by zachęcić Anakina do współpracy. Namawiały go, aby

posłużył się Mocą i przekonał, czy zdoła znaleźć takie samo urządzenie, jakie udało mu się odkryć na Korelii.

– Trochę coś wyczuwam – odezwał się malec w pewnej chwili, ale w jego głosie brzmiało powątpiewanie. Chłopczyk wyciągnął rękę i zacisnął palce, jakby pragnął pochwycić coś niewidzialnego, unoszącego się w powietrzu pod którąś skalną ścianą. – Nie tak silnie jak w tamtym tunelu. Nie tak ostro. Jakby pływało. Jakby było trochę popsute. Możliwe, że coś roztrzaskało się albo pękło, kiedy runęła tamta część chodnika.

– Próbuje dalej, Anakinie – zachęcał malca Jacen. – Nie rezygnuj.

Chłopiec bezradnie wzruszył ramionami.

– Próbuje – odparł z naciskiem. – Tyle że to nie jest wystarczająco silne.

– Przepraszam – wtrącił się Qiunine – może będę mógł pomóc. Wasza Wysokość, czy nadal uważa pani, że wejście do tamtej komory znajduje się dokładnie w takim samym miejscu względem wlotu do labiryntu chodników jak tam, na Korelii?

– Nadal tak uważam.

– A zatem posłużę się teraz inercyjnym systemem śledzenia i przetwarzania danych, dzięki któremu doprowadziłem wtedy wszystkich we właściwe miejsce. O ile dobrze oceniam naszą sytuację, musimy jeszcze przejść spory kawałek. Poza tym prawdopodobnie znajdujemy się w nieodpowiednim bocznym korytarzu. Mimo to jestem absolutnie pewien, że zdołam dotrzeć na odległość trzydziestu metrów od celu naszych poszukiwań.

Anakin z ożywieniem pokiwał głową.

– Doprowadź mnie tam, a odnajdę to bez trudu!

– A więc pozwólcie państwo, że was poprowadzę – zaproponował Qiunine, wyraźnie dumny z własnych umiejętności.

Ruszył żwawo mrocznym korytarzem i wkrótce zostawił wszystkich daleko z tyłu. Nie było w tym nic dziwnego, bo nikt inny nie unosił się na repulsorach. Inni uczestnicy wyprawy musieli pokonywać nierówności dna korytarza, a czasami nawet taplać się w grząskim szlamie. Ciekawe, od jak dawna istnieją te tunele? – zastanawiał się Ebrihim.

Najwięcej kłopotów z dotrzymaniem kroku wszystkim pozostałym mieli oboje Dralowie. Dzieci bez trudu wspinały się na wszystko, co stało na ich drodze, a Chewbacca potrafił iść szybciej niż ktokolwiek inny spośród pozostałych uczestników wyprawy. Przodkami Dralów były jednak istoty mieszkające nie na powierzchni gruntu czy na drzewach, jak mieli zwyczaj żyć protoplasci ludzi albo Wookiech, ale pod ziemią. Miały krótkie ręce i nogi i nie potrafiły się wspinać, wskutek czego pokonywanie przeszkód terenowych przychodziło im z wielkim trudem.

Tymczasem Qiunine oddalał się coraz bardziej, a blask jego reflektorów z wolna niknął w oddali, w głębi korytarza. Trzykrotnie nagle przystawał i po krótkim namyśle skręcał zawsze w lewą odnogę tunelu. Dwa razy jednak mylił się i musiał zawracać. Dopiero za trzecim razem odnalazł chodnik, w który powinien skręcić. Ciężko dysząc, Ebrihim i Marcha starali się, jak mogli, by nie pozostać w tyle. Oni także skręcili w lewą odnogę, ale kiedy spojrzeli przed siebie, stwierdzili, że idący przed nimi Wookie i dzieci właśnie skręcają w następną prawą. Zdwoili wysiłki, ale okazało się, że mimo to nie przybliżają się ani trochę do reszty grupy.

W przeciwieństwie do nich dzieci zmniejszały odległość, dzielącą je od automatu. Z każdą chwilą Anakin sprawiał wrażenie coraz bardziej podnieconego, może dlatego, że bliźnięta nie przestawały go zachęcać.

– Trzymaj się, Anakinie! Nie poddawaj się! – krzyknęła w pewnej chwili Jaina, kiedy ujrzała, że młodszy brat przystanął na chwilę, jakby się zagubił. W odpowiedzi chłopczyk tylko kiwnął głową a potem wskazał na dno korytarza.

– Czujesz to teraz? – zapytał Jacen, pokonując przeszkodę w postaci sporego odłamka skały. – Czujesz?

– Ta–a! – wykrzyknął radośnie Anakin. – Zaczynam! Biegnie pod dnem, zupełnie jak w tamtym tunelu! Qiunine! Stój! Odszedłeś za daleko!

Automat zatrzymał się i odwrócił... i na chwilę oślepił wszystkich pozostałych, kiedy skierował na nich snop światła z czołowego reflektora.

– Qiunine! Wyłącz to! – zawołał Ebrihim, coraz bardziej zirytowany. Nie lubił, kiedy ktoś zostawiał go w tyle.

– Bardzo przepraszam, panie Ebrihimie – odezwał się robot, po czym zgasił jeden z reflektorów. – No i co, udało się panu to odnaleźć, panie Anakinie?

– Ta–a! Tam! – odkrzyknął malec, pokazując pokryte szlamem miejsce na powierzchni ściany korytarza. – Niech ktoś mnie podniesie... uufff!

Chewbacca porwał go w ramiona; Anakin stęknął, przyduszony. Był jednak taki podniecony, że chyba nie zwrócił na to uwagi.

– Tam! Tam! – krzyczał, pokazując miejsce, dokąd pragnął się dostać. Nacisnął fragment ściany, ale nie wydarzyło się nic

niezwykłego. – Tyle tu tego szlamu – mruknął do siebie i zaczął palcami zdrapywać zakrzepłą warstwę mułu. Wkrótce zdołał oczyścić kwadrat o boku mniej więcej piętnastu centymetrów.

Odsłonięty fragment skalnej ściany wydawał się Ebrihimowi zupełnie taki sam jak reszta powierzchni, ale Anakin nacisnął go jeszcze raz, tym razem trochę silniej. Nagle fragment ściany odskoczył, jakby ktoś starał się go otworzyć od środka. Odchylił się jednak tylko na kilka milimetrów, a potem znieruchomiał. Chłopczyk próbował wcisnąć palce w szczelinę i odciągnąć ścianę do końca, ale chyba nie miał tyle siły. W końcu Chewbacca zorientował się, że Anakin sobie nie poradzi, i po prostu chwycił malca jedną ręką, a drugą silnie szarpnął i otworzył drzwiczki skrytki. Nawet jemu nie przyszło to łatwo. W końcu jednak resztki stwardniałego szlamu z grzechotem posypały się na dno korytarza i małe pomieszczenie stało się otworem.

Wnętrze pokrywała także cienka warstwa zakrzepłego mułu, ale Anakin od razu starannie ją zdrapał. Po chwili ukazała się znajoma szachownica z dwudziestoma pięcioma zielonymi guzikami, rozmieszczonymi po pięć w pięciu rzędach. Po kilku chwilach urządzenie obudziło się do życia, a spód szachownicy rozjarzył się purpurowym blaskiem. Anakin spojrzął na przyciski, zmarszczył brwi i mruknął do siebie:

– Tym razem może mi się nie udać od razu. Chyba coś nie działa prawidłowo. Muszę spróbować.

Przycisnął kilka guzików w sobie tylko znanej kolejności i czekał kilkanaście sekund, żeby coś się wydarzyło. Na próżno. Złożył dłoń w piąstkę i uderzył nią z całej siły w górną krawędź klawiatury. Zielone guziki zapłonęły silniejszym blaskiem, który już nie

zmniejszył swojej intensywności. Anakin wystukał ponownie tę samą kombinację – i tym razem wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego.

Rozległo się szczęknięcie i głuchy stuk, a po nim trwający chyba całą wieczność, szarpiący nerwy grzechot. Nagle twarda powłoka mułu, pokrywająca dotąd prawie całą ścianę, przed którą właśnie stali, zadrzała i runęła. Zanim zdążyli odskoczyć, zniknęli, otoczeni chmurą pyłu i kurzu. Ukryta pod warstwą szlamu ściana zaczęła znikać w dnie tunelu.

Na Korelii zasłonięta przez fałszywą ścianę metalowa tafla błyszczała niczym prawdziwe srebro. Tymczasem draliańska powłoka, jaka ukazała się ich oczom, sprawiała wrażenie zniszczonej, matowej i poplamionej. Okazało się jednak, że sama płyta, chociaż bardzo stara, funkcjonuje prawidłowo. Jej powierzchnia rozpadła się na dwie części, a szczelina szybko się rozszerzała. Nagle ukazały się olbrzymie wrota. Po chwili metalowa tafla zgrzytnęła i zaczęła się obracać, wskutek czego wszyscy musieli cofnąć się jeszcze dalej. Wielka płyta, nie przestając się poruszać, zgarniała zalegające na dnie tunelu okruchy mułu i odłamki skał tak łatwo, jakby nie stawiały żadnego oporu.

Za drzwiami ciągnął się dokładnie taki sam długi korytarz o połyskujących, zachowanych w idealnym stanie metalowych ścianach, jaki oglądali na Korelii.

Padający z wnętrza korytarza blask przedostał się do tunelu, dzięki czemu wszyscy mogli wyłączyć latarki. Również Qiunine zgasił ostatni reflektor, po czym ukrył oba źródła światła we wnętrzu kopułki.

Chewbacca postawił Anakina na dnie tunelu, a sam przekroczył próg i stanął na progu srebrzystego korytarza.

Po chwili ruszył przed siebie. Ujrawszy to, bliźnięta, Dralowie i Qiunine ostrożnie i powoli podążyli za nim. Rosły Wookiee musiał pochylić głowę, żeby nie zaczepić o metalowy sufit, przez co szedł jeszcze wolniej. Anakin jednak, zaledwie Chewie postawił go na metalowej posadzce, nie tracił czasu. Wyprzedził wszystkich pozostałych i pobiegł długim korytarzem.

– O rety – westchnęła Jaina, zwracając się do starszego brata. – Jeżeli runie w przepaść, mama i tata chyba nas zabiją.

Bliźnięta puściły się w ślad za Anakinem, chociaż nie miały szans dogonić go, zanim malec dotrze do pomostu.

Podobnie jak na Korelii, srebrzysty korytarz kończył się metalową płytą, która wystawała ze ściany gigantycznej komory i sterczała nad przepaścią. Tak samo jak tam, platforma widokowa nie miała żadnej poręczy ani innych zabezpieczeń. Wyglądała jak zaokrąglony kwadrat o boku mniej więcej pięciu metrów. Chewbacca nie zwracał uwagi na przepaść, jaka się pod nią rozciągała. Po prostu podszedł do krawędzi i spojrzał w dół. Pozostali uczestnicy wyprawy zostali pośrodku metalowej płyty.

Komora okazała się dokładną kopią tej, jaką znaleźli na Korelii. Miała kształt walca zakończonego spiczastym stożkiem. Wszystkie powierzchnie wykonano z takiego samego srebrzystego, połyskującego metalu... o ile to był metal.

Na Korelii dzieci i Qiunine musiały opuścić gigantyczną komorę niemal w tej samej chwili, kiedy ją odkryły – w obawie, że zauważą ich żołnierze Ligi Istot Ludzkich. Tym razem wszyscy mieli szansę przyjrzenia się z bliska, a nawet dokładnego zbadania... tyle że nikt

nie miał pojęcia, od czego zacząć. Najprostszą i najbardziej oczywistą rzeczą byłoby zjechać na dno komory, ale nie było sposobu, by się tam dostać – chyba że ktoś zechciałby zeskoczyć. Ebrihim właśnie zamierzał zapytać, czy przypadkiem nie udałoby się wykorzystać w tym celu wyciągu z kołowrotem, ale bieg wydarzeń uprzedził jego pytanie. Nagle platforma widokowa drgnęła i zaczęła się poruszać. Powoli, majestatycznie sunęła po ścianie komory w górę, w kierunku wierzchołka stożka. Ruch metalowej płyty zaskoczył nawet Chewbacę, który jednym susem pokonał odległość dzielącą go od środka platformy. Równocześnie odwrócił się, żeby zobaczyć, co się stało.

Ebrihim odwrócił się w tej samej chwili co inni. Wszyscy skamienieli na widok tego, co ujrzeli. Anakin znalazł inną klawiaturę, tym razem ukrytą w podłodze platformy. Klęczał nad nią i właśnie zamierzał wpisać kolejne polecenie. Tymczasem płaszczyzna ukrytej pod klawiaturą metalowej płyty wybrzuszyła się i jakiś metr nad resztą platformy utworzyła coś w rodzaju stanowiska kontrolnego. Po chwili klawiatura ustawiła się pod odpowiednim kątem, tak by łatwiej było można się nią posługiwać. Dopiero wtedy mały Anakin wstał i zaczął pospiesznie wystukiwać rozkaz za rozkazem. Platforma znieruchomiła, a po chwili ruszyła na nowo – tym razem jednak poziomo, a nie pionowo. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, jakim cudem utrzymuje się w powietrzu. Sprawiała wrażenie, jakby wyrastała ze srebrzystej, połyskującej ściany.

Nieco poniżej platformy i trochę z boku widniał otwór korytarza, którym dostali się do komory. Nagle rozległ się stamtąd głuchy huk.

Ebrihim uświadomił sobie, że właśnie zatrzasnęły się wrota, umożliwiające powrót do labiryntu podziemnych chodników.

Później srebrzyste ściany gigantycznego walca, otaczające wylot korytarza, który pozwolił wszystkim wejść do komory, wybrzuszyły się i zaczęły zamykać niczym przysłona tęczęwka. Po chwili otwór zniknął całkowicie. Niemal natychmiast platforma znów zmieniła kierunek ruchu. Mimo iż wydawało się to niemożliwe, dotarła do miejsca, gdzie walec przechodził w stożek, i sunęła dalej ruchem idealnie jednostajnym w górę.

– Anakinie! – krzyknęła przerażona ciotka Marcha. – Co ty, na miłość Dralii, wyprawiasz? Natychmiast każ tej platformie się zatrzymać!

Chłopczyk jednak nie odpowiedział. Wyglądało na to, że w ogóle zapomniał o istnieniu Dralki. Całą uwagę skupiał na klawiaturze. Ebrihim uczynił ruch, jakby chciał malca powstrzymać, ale Jacen uniósł w ostrzegawczym geście prawą rękę.

– Niech pan tego nie robi! – zawołał. – Bez względu na to, czym Anakin się zajmuje, radzi sobie całkiem dobrze. Jeżeli spróbuje pan mu przeszkodzić, może pomylić się i przycisnąć niewłaściwy klawisz...

Guwerner natychmiast zrozumiał, co chłopiec chciał mu powiedzieć. Zadrzał na myśl, co się stanie, jeżeli malec wpisze błędne polecenie i platforma runie albo ukryje się w ścianie. Pozwolił zatem, żeby srebrzysta płyta sunęła dalej w górę. Tymczasem platforma pięła się coraz wyżej i wyżej, a przeciwległa ściana stożka zbliżała się z każdą chwilą. Coraz bardziej ograniczała widok tego, co pozostało w dole... chociaż nawet Chewbacca nie

kwapił się, żeby podejść do krawędzi i zerknąć w ponadkilometrową przepaść. Zbliżyli się do wierzchołka stożka.

– Za chwilę zostaniemy zmiażdżeni – oznajmił Qiunine tonem towarzyskiej konwersacji.

W tym czasie odległość dzieląca platformę od wierzchołka stożka coraz bardziej się zmniejszała... i nagle, kiedy do końca drogi zostało jakieś dwadzieścia metrów, srebrzysta płyta znieruchomiła.

Niespodziewanie coś dziwnego zaczęło się dziać ze szpicem stożka. Zalśniło i zamigotało, po czym po wewnętrznej powierzchni zaczęły biec ku górze zagadkowe fale. Po chwili falom zaczęły towarzyszyć nie mniej tajemnicze, powtarzające się w regularnych odstępach czasu wstrząsy. Wydawało się, że jakaś siła stara się wyrzucić coś z komory. Rozległ się dźwięk, jakby coś twardego i wielkiego rytmicznie uderzało w litą skałę.

– Wygląda na to, że coś stara się to wypchnąć – odezwała się Jaina. – Zupełnie jakby usiłowało...

Wraz z ostatnim wstrząsem rozległ się ogłuszający huk i wierzchołek stożka, rozrzucając na boki tony skał i piasku, przedarł się przez warstwę litych skał i gleby. Pewnie się przy tym otworzył, bo oczom istot żywych ukazało się rozgwieżdżone niebo.

Do komory przedostało się sporo odłamków skał i ziemi, ale znów coś zamigotało i jakaś... siła – chyba nie istniało inne określenie na to zjawisko – śmignęła obok platformy i wypchnęła okruchy ku niebu, tak że posypały się na grunt przez otwory w górnej części stożka.

Nagle wszystko zamarło bez ruchu i zapanowała niesamowita cisza. Tam, gdzie kiedyś znajdował się wierzchołek stożka, widniał teraz idealny cylinder o średnicy mniej więcej trzydziestu metrów.

Anakin przycisnął kolejny klawisz i platforma ruszyła ponownie w górę. Tym razem wszakże – w miarę jak się unosiła – stopniowo przybierała kształt okręgu o coraz większej średnicy. W końcu krawędzie metalowej płyty zetknęły się ze ściankami cylindra i platforma zaczęła unosić się ku rozgwieżdzonemu niebu. Kiedy zrównała się z powierzchnią gruntu, znów znieruchomiła. Poszukiwacze przygód stali na srebrzystej metalowej płycie o średnicy trzydziestu metrów i wpatrywali się w usiane iskierkami gwiazd niebo. Nisko nad horyzontem dało się zauważyć nawet punkciki Talusa i Tralusa. Ebrihim spojrział w bok i dostrzegł grawilot, oddalony o jakiś kilometr, ale widoczny dzięki nie wyłączonemu oświetleniu kabiny.

– Anakinie – odezwała się księżna Marcha zduszonym głosem. Dralka usiłowała za wszelką cenę zachować spokój. – Nie mógłbyś sprawić, żeby platforma opadła? Czy nie potrafisz nakłonić jej, żeby jechała w górę i w dół, kiedy zechcesz?

– Jasne! – odparł chłopczyk. – Muszę tylko...

– Nie, nie! – krzyknęła Marcha, zanim Anakin zdążył sięgnąć do klawiatury. – Nie teraz. Jeszcze nie. Uważam, że powinniśmy tu zostać, a nawet rozbić obóz we wnętrzu tej komory. Należałoby dokładnie zbadać to miejsce, ale tak, aby nikt nas nie zauważył. Jeżeli pozwolimy sobie najeżdżenie w górę i w dół, z pewnością ktoś to zobaczy, a nie wolno nam ryzykować. Musimy zapoznać się ze wszystkimi urządzeniami, opanować ich obsługę, a później czuwać, żeby władzy nad urządzeniem nie przejęły nieodpowiednie istoty.

– Czym właściwie jest ta komora? – zapytał Ebrihim. – Do czego służy? Kto ją skonstruował, kiedy i dlaczego?

– Znam odpowiedzi na niektóre twoje pytania, siostrzeńcze, i domyślałam się, że gdybyś trochę ruszył głową, sam potrafiłbyś na nie odpowiedzieć. Widziałeś przecież, jak wypchnęła ku niebu te okruchy skał i grudy ziemi, które wpadły do środka. Dzięki temu nabrałam pewności, że się nie myliłam. Ta komora to gigantyczny planetarny repulsor – na tyle potężny, że zdolny do przemieszczenia w przestworzach samej Dralii. Nie wątpię teraz, że kiedyś, przed wielu laty, był wykorzystywany właśnie w takim celu.

– Co takiego? – zachnął się Ebrihim. – Wypchnęła na zewnątrz tylko kilka okruchów skał. Jakim cudem zdołałaby pchnąć planetę?

– Bez najmniejszego trudu – odrzekła jego ciotka. – Widziałeś dopiero, jak gigant poradził sobie z komarem. Czy naprawdę uważasz, że tego samego giganta nie stać na coś więcej? Od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam wizerunki zarejestrowane w tamtej komorze na Korelii, podejrzewałam, że może chodzić o repulsor. Konfiguracja i kształty są takie same jak we wcześniejszych projektach draliańskich repulsorów – tyle że ten ma gigantyczne rozmiary.

– Niczego nie rozumiem – wtrącił się zaniepokojony Jacen. – Jak to możliwe, żeby repulsory mogły wprawiać w ruch całe planety? Przenoszą je w przestworzach z miejsca na miejsce? Skąd i dokąd?

– Nie wiemy dokładnie, ale chyba z innego systemu gwiazdnego. Od wielu pokoleń nasi naukowcy starają się udowodnić teorię, zgodnie z którą koreliański system planetarny nie mógł powstać w naturalny sposób. A zatem musiał istnieć ktoś, kto sprowadził tu te planety. No cóż, przynajmniej teraz mamy dowód, potwierdzający słuszność tej teorii. Oto stoimy na czubku urządzenia, które przed niezliczonymi tysiącletkami sprowadziło ten świat z... z miejsca,

gdzie kiedyś się znajdował. Wiemy też, że identyczne repulsory istnieją na Korelii. A zatem możemy się domyślać, że takie same planetarne urządzenia kryją się również na Selonii, a także na Talusie i Tralusie. Zapewne wszystkie te światy sprowadzono tu tak dawno, że wszyscy zdążyli o tym zapomnieć... zanim rozkwitła nasza cywilizacja, a może nawet zanim powstała Stara Republika. Nie mam natomiast pojęcia, kto to zrobił i dlaczego. – Marcha zamyśliła się i pokręciła głową – A my, Dralowie, sądziliśmy, że dobrze znamy naszą historię...

– Tylko dlaczego wszyscy szukają jak szaleni tych urządzeń? – zapytał Jacen. – Są ciekawe i z pewnością mają duże znaczenie, ale dlaczego Draliści czy Liga Istot Ludzkich mieliby poszukiwać prastarych mechanizmów? Nigdy przecież nie interesowali się takimi zabawkami.

– To prawda – przyznała księżna – ale interesują się systemami uzbrojenia. A repulsor tej wielkości może spowodować niewyobrażalne zniszczenia. Urządzenie, które potrafi wprawiać w ruch planety, z pewnością zdoła zmieść z przestworzy gwiazdny statek, a nawet roztrzaskać go na kawałki. Jest gigantyczną, potężną bronią, służącą do obrony. Dysponując działającym planetarnym repulsorem, władca jakiegoś świata zdoła odeprzeć każdy atak.

– To wszystko jest bardzo piękne, ciociu Marcho – odezwał się Ebrihim. – Tyle że w chwili obecnej nie zachodzi niebezpieczeństwo takiego ataku... a raczej nie zachodziło, dopóki nie wybuchły te zamieszki. A poza tym nasza planeta ma i tak silne systemy obronne. Nie uwierzę, że w tym wszystkim chodzi o sprawowanie władzy nad bronią, służącą tylko do obrony. Planetarny repulsor może być potężną bronią zaczepną i dobrze byłoby nią

dysponować... ale chyba nie na tyle ważną i nieodzowną, żeby ktoś miał zadawać sobie tyle trudu, by ją odnaleźć.

– Możliwe, siostrzeńcze, że masz rację, ale możemy podyskutować o tym kiedy indziej. Proponuję, żebyśmy pozostawili teraz Qiunina, aby pilnował otworu. Wszyscy inni natomiast powrócą do grawilotu, by się ogrzać, a potem zajmą się badaniami tego repulsora.

– Co zamierzasz z nim zrobić, oprócz tego, że nie pozwolisz złym ludziom go odnaleźć? – zainteresował się Anakin.

Księżna Mastigoforu pokręciła głową. Na twarzy Dralki odmalował się niepokój.

– Gdybym znała odpowiedź na twoje pytanie, mój drogi – odparła – z pewnością bym zaspokoili twoją ciekawość.

ROZDZIAŁ

16.

POJAWIAJĄ SIĘ SYGNAŁY

– Do spodziewanej granicy pola interdykcyjnego zostało trzydzieści sekund – zameldowała pani oficer taktyk. Jej głos rozbrzmiał echem po wszystkich pomieszczeniach „Intruza”. Oto nastąpiła od dawna oczekiwana chwila, na której przyjscie wszyscy byli dobrze przygotowani. Członkowie załóg czterech okrętów bakurańskiej floty siedzieli na fotelach, przypięci ochronnymi pasami. Czekali na wstrząsy, które mogły przypominać szaleńczą jazdę po wybojach. – Dwadzieścia pięć sekund.

Nie opuszczając pokładu dowodzenia, Luke spojrział w dół, na właściwy mostek. Obok mistrza Jedi, także przypięci pasami i gotowi na spotkanie z nieznanym, niecierpliwili się wszyscy pozostali: Belindi Kalenda, Lando, Gaeriela, a nawet Artoo i Threepio. Rzecz jasna, także Ossilege razem z grupą dyżurnych oficerów.

Widoczny pod nimi mostek wyglądał właściwie jak każdy inny. Przypominał standardową konstrukcję mostków, spotykanych na pokładach imperialnych gwiazdnych niszczycieli. Środkiem biegła wysunięta nad poziom podłogi rampa, a rozmaite stanowiska kontrolne i operatorskie rozmieszczono w podobnych do okopów

niszach, ciągnących się wzdłuż obwodu po obu stronach podwyższenia.

Luke zerknął na Landa, a potem wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

– Niedługo się okaże, czy tym razem uda się nam dolecieć do samego końca – powiedział.

W odpowiedzi ciemnoskóry mężczyzna także się uśmiechnął.

– Jestem o tym przekonany – odrzekł. – Nie znoszę, kiedy zamyka mi się drzwi przed samym nosem.

– Dwadzieścia sekund.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby zawracać sobie głowę tym bezsensownym odliczaniem – ciągnął Lando. – To i tak tylko szacunkowy czas, jaki pozostaje do chwili spotkania z granicą obszaru interdyscyjnego. Z pewnością pomiar okaże się niedokładny.

– Nie zaszkodzi zająć czymś członków załogi – odparł admirał Ossilege. – A poza tym, w ten sposób o wiele łatwiej koordynować pozycje wszystkich czterech okrętów w przestworzach.

– Piętnaście sekund.

– Całkowicie zgadzam się z panem kapitanem Calrissianem – wtrącił się Threepio. – Takie rzeczy zawsze okropnie mnie denerwują.

– Threepio, nikt cię nie pytał o zdanie – burknął Lando. – Nigdy więcej nie chcę słyszeć, że w czymkolwiek się ze mną zgadzasz. Zrozumiałeś?

– Ależ, panie kapitanie...

Artoo przerwał złocistemu androidowi nieuprzejmym piśnięciem.

– Coś takiego! – oburzył się Threepio. – Co za język! Artoo, powinieneś się wstydzić!

– Dziesięć sekund.

Luke odwrócił głowę, żeby spojrzeć na ekran taktycznego monitora. Ujrzał na nim różnobarwne plamki, oznaczające jednostki bakurańskiej floty. Powoli zbliżały się do cienkiej niebieskiej linii, stanowiącej przypuszczalną granicę pola interdykcyjnego. Wyjrzał ponownie przez dziobowy iluminator. Bardzo pragnął przekonać się, jak zachowa się „Intruz” w chwili przekraczania granicy niezwykłego obszaru.

Pięć sekund.

Cztery.

Trzy.

Dwie.

Jedna.

Zero.

Nic się nie wydarzyło, ale prawdę mówiąc mistrz Jedi niczego się nie spodziewał. Popatrzył na Landa, ale ten w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami. Posługując się pokładowymi przyrządami „Ślicznotki”, obaj starali się, jak mogli, określić dokładny przebieg granicy pola. Wiedzieli jednak lepiej niż inni, jak mało dokładne były ich pomiary. Nie zdziwiliby się, gdyby się okazało, że popełnili błąd.

– Plus dwie sekundy.

Lando zerknął na Luke'a.

– Hej, kto wie? – zapytał. – Może to pole w ogóle nie istnieje? Może tamci je wyłączyli i okaże się, że dotrzemy do celu bez

żadnych...

Luup!

Ciało Luke'a, oplatanie ochronną siecią, skoczyło do przodu, ale unieruchomione, poleciało na bok. Dziobowe iluminatory wypełniły się nagle pędzącymi smugami światła. Czerwone i pomarańczowe nitki mijanych gwiazd raz po raz to pojawiały się, to znów znikwały za rufą.

– Weszliśmy w głąb obszaru objętego oddziaływaniem interdyscyplinarnego pola! – zawołała oficer taktyk, starając się przekrzyczeć wycie alarmowych syren i brzęczenie dzwonków włączonych systemów awaryjnych. – Utrzymujemy się w bąblu nadprzestrzeni. Pierwszy nadprzestrzenny bezpiecznik ulega degradacji w spodziewanym tempie. Za chwilę nastąpi zniszczenie...

Bach! Kiedy pierwszy bezpiecznik eksplodował i włączył się drugi, cały okręt zatrzęsł się i zadygotał. Główne oświetlenie na chwilę zgasło, ale włączyło się, jeszcze zanim miały czas zadziałać generatory rezerwowe. Z każdą sekundą drżenie i wstrząsy przybierały na sile. W pewnej chwili Luke usłyszał dobiegający z daleka trzask i stłumiony huk, jakby na niższym pokładzie coś rozbiło się o metalową ścianę.

Baach! To wybuchł drugi bezpiecznik, ale w tej samej sekundzie jego funkcję przejął trzeci. Włączył się jeszcze szybciej niż oba poprzednie. System oświetlenia sufitu uległ przeciążeniu, ale zanim zupełnie odmówił posłuszeństwa, z topiącej się instalacji strzeliły snopy iskier. Kilka upadło na dywan i wznieciło niewielki pożar, ale zanim Luke zdążył kogoś ostrzec, Artoo uruchomił wbudowaną gaśnicę i błyskawicznie uporał się z płomieniami.

Ba–bach! Eksplodował trzeci bezpiecznik i zaczął działać czwarty.

– Utrzymujemy się nadal w bąblu nadprzestrzeni! – zawołała oficer taktyk. Natężenie hałasu zmalowało na tyle, że nawet nie musiała krzyczeć bardzo głośno. – Tracimy prędkość w tempie zgodnym z przewidywaniami. Spodziewany całkowity stop względem interdyscyplinarnego pola za trzydzieści sekund.

– Jeżeli przeżyjemy tak długo! – krzyknął Lando.

Jakby na potwierdzenie jego słów, z któregoś z niższych pokładów doleciał jeszcze jeden trzask.

Baaa–babach! Nikt nie mógł żywić najmniejszych wątpliwości. Każde kolejne wypadnięcie z nadprzestrzeni i powrót zajmowało odrobinę więcej czasu – ale było mniej raptowne niż poprzednie. A zatem najgorsze mieli za sobą. Gdyby tylko okręt wytrzymał to, co miało go spotkać już niedługo...

Następny wstrząs był najgwałtowniejszy ze wszystkich dotychczasowych i może dlatego spowodował awarię generatorów odpowiedzialnych za sztuczne ciążenie. Co więcej, ponownie zgasły prawie wszystkie światła. Okręt zaczął bezradnie koziółkować i równocześnie przewalać się z burty na burtę. Włączyły się z jękiem kolejne syreny alarmowe. Po kilku chwilach zapaliły się czerwone awaryjne lampki i ukazały pokład dowodzenia ogarnięty chaosem. Obsługujący stanowiska kontrolne oficerowie wypadli z foteli i wymachując rękami, szybowali w różnych miejscach pod sufitem. Starali się obrócić w locie, żeby chwycić się za cokolwiek i powrócić do obsługi swoich konsol.

Wstrząs poderwał w powietrze także mnóstwo nie zamocowanych małych przedmiotów. Unosząc się tu i tam, raz po raz obijały się o przegrody i o rozmaite urządzenia. Zapewne to samo działo się we wszystkich innych pomieszczeniach. W pewnej chwili w dole, na

mostku zaiskrzyło i błysnęło, a w oświetlonych blaskiem czerwonych lampek iluminatorach pojawiły się złowieszcze cienie.

– Uszkodzone główne sprzęgło jednostki napędowej – zameldowała oficer taktyk. – Straciliśmy panowanie nad sterami, ale nie opuściliśmy granic nadprzestrzeni.

Ossilege przycisnął guzik pokładowego interkomu, umożliwiającego łączność z dowódcą okrętu.

– Kapitanie Nisewarner! Proszę wyłączyć stabilizator momentu – polecił. – Proszę natychmiast sprowadzić okręt do normalnych przestworzy!

– Rozkaz, panie admirale – usłyszał głos Semmaca.

Chwilę później rozległ się głuchy basowy pomruk... tak cichy i niski, że bardziej wyczuwalny niż słyszalny. Przetoczył się po całym okręcie, a potem zamarł. Za iluminatorami pojawiły się znów smugi gwiazd. Świeciły jakby niechętnie i bardzo szybko zgasły. Pozostawiły panoramę słońc koreliańskiego nieba – niespiesznie wirującą, w miarę jak okręt obracał się wokół własnej osi.

– Proszę meldować, w jakim stanie znajdują się okręty – rozkazał Ossilege, nie przestając wpatrywać się w mrok przestworzy.

Jeden z pełniących służbę na pokładzie dowodzenia techników sprawdził wskazania czujników i skanerów. Kilka chwil uważnie słuchał, nie zdejmując słuchawek z głowy, a potem odwrócił się i zameldował:

– „Obrońca” i „Wartownik” właśnie wyskoczyły z nadprzestrzeni i nie łamiąc szyku, zajmują wyznaczone pozycje. Z pokładu „Wartownika” meldują o niewielkich uszkodzeniach; na pokładzie „Obrońcy” wszystko w porządku. Na razie nie mamy informacji, co dzieje się ze „Strażnikiem”.

– W jakim punkcie przestworzy znajduje się „Intruz”? – zapytał Ossilege, nadal spoglądając przez iluminatory.

– Nie ustaliliśmy jeszcze wszystkich nawigacyjnych danych, panie admirale. Proszę poczekać, właśnie pojawiają się na ekranie.

Nagle rozbłysły wszystkie światła i z głośników rozległ się głos automatu:

– Uwaga, uwaga! Za trzydzieści sekund włączą się generatory sztucznego ciężenia. Osiągną pełną moc odpowiadającą stuprocentowej wartości standardowej w ciągu dokładnie dwudziestu sekund. Proszę przygotować się na powrót sztucznego ciężenia.

Pełniący służbę na mostku oficerowie dyżurni, którzy cały czas szybowali w powietrzu, zdołali wreszcie uchwycić się poręczy. Przemieszczając się wzdłuż ścian albo sufitu, starali się dotrzeć do najbliższych drabinek albo zamocowanych uchwytów. Po chwili rzeczywiście powróciło sztuczne ciężenie. Rozległ się basowy pomruk, ale kiedy przybrał jeszcze niższe tony, niemal natychmiast ucichł. Fruwające w powietrzu drobiazgi zaczęły opadać i stopniowo, jeden po drugim, ze stukiem lądowały na pulpitych konsolet albo płytach pokładu.

Kiedy nawigatorzy odzyskali panowanie nad sterami, widoczne za iluminatorami gwiazdy przestały wirować i znieruchomiały. Luke dostrzegł jednego z niszczycieli – chyba to był „Obrońca”. Pojawił się w polu widzenia i wszystko wskazywało na to, że jest gotów włączyć się do akcji.

– Mamy kompletny zestaw danych nawigacyjnych – odezwał się jeden z techników z pokładu dowodzenia. – Zboczyliśmy z planowanego kursu o mniej więcej dziesięć milionów kilometrów i

jeżeli będziemy lecieli z najwyższą możliwą prędkością, dotrzemy do Selonii w ciągu prawie siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Czy możemy w tej chwili osiągnąć pełną prędkość bojową? – zapytał Ossilege.

– Wciąż jeszcze napływają meldunki o uszkodzeniach, panie admirale. Inżynierowie proponują, żebyśmy nie przekraczali jednej trzeciej wartości maksymalnej. Lot nie obywał się bez silnych wstrząsów. Proszę poczekać... Panie admirale, właśnie wyskoczył z nadprzestrzeni „Strażnik”. Usiłujemy określić jego pozycję w przestworzach. Nie odbieramy od nich żadnych laserowych sygnałów. Emisja mocy poniżej normalnego minimum. Okropnie koziółkują, panie admirale.

– Wygląda na to, że usiłowali korzystać z hiperfalowego stabilizatora odrobinę zbyt długo – stwierdził Ossilege. – No cóż, proszę przesłać moje pozdrowienia kapitanom „Intruza”, „Obrońcy” i „Wartownika”. Proszę posłużyć się systemem łączności laserowej i przekazać rozkaz, aby lecieli na spotkanie ze „Strażnikiem”. Zapuść się najdalej w głąb systemu i może teraz potrzebować pomocy z naszej strony. Proszę informować mnie o wszystkich zmianach stanu okrętów floty.

– Rozkaz, panie admirale.

Ossilege odwrócił się do Luke'a i Landa.

– Panowie – powiedział. – Wygląda na to, że najgorsze mamy za sobą. Okręty są w niezłym stanie. Domyślam się, że nasi przyjaciele na Korelii zdumieli się, gdy zobaczyli, że wyskakujemy z nadprzestrzeni w odległości zaledwie trzech dni lotu od ich systemu. Ciekaw jestem, czy w tym czasie zdołają przygotować się na spotkanie z naszą flotą.

Artoo–Detoo wykorzystywał wszystkie swoje urządzenia i obwody. Miał mnóstwo pracy i wciąż jeszcze wiele nadprogramowych zadań do wykonania. Mały robot, chociaż dwoił się i troił, nie mógł robić wszystkiego równocześnie. Odpowiadał za utrzymywanie w stanie pełnej gotowości nie tylko X–skrzydłowca pana Luke'a, ale także „Ślicznotki” kapitana Calrissiana. Gdyby musiał zajmować się tylko usuwaniem drobnych usterek, dokonywaniem standardowych badań diagnostycznych i wprowadzaniem najnowszych nawigacyjnych danych do pamięci pokładowych komputerów obu gwiazdnych maszyn, nie miałyby z tym specjalnych trudności. Problem w tym, że jego pan, Luke Skywalker, poprosił go również o pomoc w załatwianiu wielu innych spraw, jak na przykład zaopatrywanie go we wszystko, co potrzebne, i utrzymywanie łączności z bakurańskimi automatami, a właśnie to zajmowało najwięcej czasu. Chociaż chyba nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, mały Artoo musiał dobrze wyteżać obwody, aby wszystko szło jak należy.

W tej chwili przebywał na pokładzie „Ślicznotki”. Jacht Landa Calrissiana spoczywał, starannie zamocowany, na pokładzie lotniczym „Intruza”, tuż obok Xskrzydłowca pana Luke'a i pośród wielu innych, należących do Bakuran gwiazdnych maszyn. Wokół tych ostatnich roił się teraz prawdziwy tłum techników i automatów. Wszyscy pragnęli się upewnić, czy w wyniku wstrząsów i drgań, jakie niedawno targały kadłubem krążownika, myśliwce nie uległy uszkodzeniu. Każdą bakurańską jednostkę sprawdzał co najmniej jeden technik i dwa albo nawet trzy automaty. Tymczasem mały Artoo musiał wykonywać te same czynności, sprawdzając stan aż dwóch jednostek, a przecież każda z nich była o wiele bardziej skomplikowana niż bakurański myśliwiec. Jeżeli nie liczyć

minimalnej pomocy, jakiej od czasu do czasu udzielał mu Threepio, astronawigacyjny robot był zdany wyłącznie na własne siły.

Zaczął badania od sprawdzenia systemów nawigacji. Umieścił końcówkę systemu informatycznego w gnieździe głównej nawigacyjnej konsoly i wkrótce odkrył, że umieszczony na wierzchołku kadłuba „Ślicznotki” promiennik podczerwieni jest ustawiony nieco krzywo względem osi jachtu. Na szczęście mógł uporać się z tą usterką nie opuszczając sterowni. Skorzystał z usług pokładowej sieci informatycznej i wpisał rozkaz, aby serwomotory ustawiły promiennik prawidłowo, po czym przystąpił do sprawdzania samego nawigacyjnego komputera. Jednostka centralna przeszła pomyślnie każdy test i precyzyjnie rozwiązała wszystkie symulowane problemy.

Zadowolony, że systemy nawigacyjne funkcjonują prawidłowo, Artoo podjechał do innej konsoly, aby zająć się badaniem systemów łączności. Ponieważ wszystkie zakresy częstotliwości, wykorzystywane podczas porozumiewania się za pomocą komunikatorów, były nadal zagłuszane, utrzymywanie łączności w taki sposób było niemożliwe. A zatem sprawdzenie poprawności działania tych systemów nie wydawało się takie pilne, jak zazwyczaj. Artoo domyślał się jednak, że wcześniej czy później urządzenia zagłuszające zostaną wyłączone, a zatem powinien dokonać chociaż pobieżnego sprawdzenia.

Wszystkie hiperfalowe kanały łączności wyglądały na sprawne, a przynajmniej ani jeden nie wykazywał żadnych odchyłek od normy. Rzecz jasna, z uwagi na zakłócenia Artoo nie mógł przeprowadzić szczegółowych testów. Systemy łączności laserowej również mogły zostać dokładnie sprawdzone, dopóki „Ślicznotka” nie wystartuje w

przestworza Wszystkie pozostałe podzespoły funkcjonowały jednak bez zarzutu, a obwody sterowania także nie wykazywały żadnych usterek.

– Artoo? Gdzie jesteś?

Mały robot usłyszał głos Threepia, mimo iż złoisty android znajdował się daleko, zapewne gdzieś w okolicach głównego wjazdu „Ślicznotki”. Postanowił zignorować wołanie partnera i dokończyć to, czym właśnie się zajmował. Nie przestając sprawdzać elementów i podzespołów, przystąpił do badania urządzenia, do którego przywiązywano chyba najmniejszą wagę... systemu umożliwiającego łączność radioniczną.

Wyglądało na to, że i nadajnik, i odbiornik działają prawidłowo. Artoo zaobserwował jednak dziwne zjawisko. Choć w przestworzach szalało zagłuszanie, aparatura chyba odbierała jakiś sygnał. Zagłuszanie hiperfalowych pasm podprzestrzennych częstotliwości nie oddziaływało na archaiczny system łączności, w którym wiadomość przesyłano za pomocą wiązki fal elektromagnetycznych. Nie mogło wyrządzić mu żadnej krzywdy – a przynajmniej nie większą niż na przykład zatrute pożywienie androidowi.

Artoo postanowił zarejestrować i zbadać odbierane sygnały. Powtarzały się bez końca. Mały robot pomyślał, że zapewne ma do czynienia z sygnałem namiarowym albo automatycznie wysyłanym wezwaniem o pomoc.

– Artoo! Artoo! Gdzie się podziałeś?

Tym razem głos zniecierpliwionego Threepia napłynął z mniejszej odległości. Mimo to Artoo nadal starał się skupić uwagę na rozszyfrowaniu odbieranego sygnału. Nieskomplikowane,

charakterystyczne cechy powtarzały się co kilkanaście sekund, ale astronawigacyjny robot nie nawykł do odbierania sygnałów nie mających postaci cyfrowej, podobnie jak nigdy nie miał do czynienia z radioniką. Wszystko przemawiało za tym, że sygnał ma postać analogową, ale Artoo nie mógł być tego absolutnie pewien, dopóki...

Metalowa dłoń Threepia klepnęła wierzchołek kopułki robota.

– Artoo! Tutaj jesteś! No, na szczęście nie stało ci się nic złego. Pan Luke prosi, abyś niezwłocznie udał się do niego na pokład dowodzenia, żeby zarejestrować taktyczny raport. Skończ wreszcie z tymi redundancyjnymi procedurami i testami! Odłącz się i natychmiast chodź ze mną!

Artoo posłusznie zakończył analizowanie sygnału. Wyciągnął końcówkę z gniazda systemu informatycznego „Ślicznotki” i pospieszył w ślad za protokolarnym androidem. Pomyślał, że może taktyczny raport pozwoli mu zebrać więcej interesujących danych. Dziwaczny sygnał, odbierany przez urządzenie, do którego działania chyba nikt nie przywiązywał większej wagi, mógł po prostu poczekać na swoją kolej.

Czując coraz większy niepokój, Han Solo rozsiadł się na fotelu pilota. Przyglądał się, jak Selonianka Salculd nieporadnie radzi sobie z pilotowaniem maleńkiego statku, co wcale nie poprawiało jego samopoczucia. Przebywał na pokładzie dziwaczego stożka bez nazwy, który telepał się przez przestworza, powoli pokonując odległość dzielącą go od Selonii. Obserwował, jak Salculd wykonuje najprostsze manewry, i powoli zaczynał tracić resztki cierpliwości. Wystartowali z Korelii półtora dnia wcześniej i prawdopodobnie mieli lecieć jeszcze jakieś dwadzieścia cztery godziny. Niestety,

kluczowe słowo w tym wszystkim brzmiało: „prawdopodobnie”. Han zaczynał podejrzewać, że nigdy donikąd nie dolecą.

Statek miał za sobą już dwie awarie jednostki napędowej i za każdym razem to Han był tym, kto miał uporać się z naprawami. Kiedy pierwszy raz zobaczył systemy napędowe, wpadł w prawdziwe przerażenie. Doszedł do wniosku, że jednostka napędu podświetlnego nie rozpada się na kawałki chyba tylko dlatego, że ktoś związał ją sznurkami i drutami.

Co gorsza, Drackmus, pełniąca podczas tego lotu obowiązki dowódcy statku, nie kierowała się zdrowym rozsądkiem, a może tylko nie umiała właściwie oceniać sytuacji. Trzykrotnie zarządziła zmianę kursu, aby uniknąć spotkania z kilkoma nieszkodliwie wyglądającymi jednostkami, które, nic zwracając uwagi na niezwykle kształt statku, mozolnie przedzierały się przez mroki przestworzy. Zważywszy na mizerny zasięg i jeszcze mniejszą wrażliwość czujników seloniańskiej kapsuły, takie zmiany kursu i próby wyminięcia obcych jednostek nie miały właściwie żadnego sensu. I tak jedynymi statkami, o których istnieniu mogli się dowiedzieć, były trampy albo transportów lecące bardzo powoli i mijające ich stożek w niewielkiej odległości. Co więcej, kapsuła nie potrafiłaby lecieć szybciej nawet wówczas, gdyby została ostrzelana. Nie mogłaby odpowiedzieć ogniem, ponieważ na pokładzie nie zainstalowano absolutnie żadnej broni. Han i obie Selonianki nie zdołałyby obronie się przed nikim, chyba że atakująca ich jednostka okazałaby się zdezolowanym, przeciążonym gwiazdym holownikiem. A zatem nie było sensu obawiać się, że ktokolwiek ich zauważy. Mimo to Drackmus nie sprawiała wrażenia przekonanej takimi argumentami. Han zaczynał dochodzić do przekonania, że

może i Selonianki są mistrzyniami, jeżeli chodziło o życie pod powierzchnią gruntu, ale – łagodnie mówiąc – z pewnością mogłyby nabrać większej wprawy, gdyby chciały się stać mistrzyniami także w pilotowaniu gwiazdnych statków.

Cóż, odgrywanie roli pasażera na statku tak powoli pokonującym przestworza, miało swoje zalety. Przebywanie na pokładzie jakiegokolwiek jednostki, nawet tak małej i topornej jak ta, oznaczało, że już nie trzeba chodzić na czworakach. Dawało szansę wykąpania się, a przynajmniej przetarcia ciała zwilżoną gąbką. Stwarzało okazję wyprania ubrania... a zatem dostarczało tylu wspaniałych udogodnień, z jakich Han nie mógł korzystać, odkąd porwali go żołnierze Ligi Istot Ludzkich. Zwiastowało możliwość odpoczynku i powrotu do pełni sił. Sugerowało, że spędzi całutki dzień bez obawy, że odniesie nowe obrażenia. Oznaczało, że może posłużyć się pokładowym zestawem medycznym i chociaż trochę zadbać o własne zdrowie.

Rzeczywiście, jeżeli spoglądał na swoją sytuację pod takim kątem, dostrzegał w niej kilka zalet. Może nawet powinien pozwolić sobie na krótką drzemkę? Zaledwie jednak zdążył zamknąć oczy, rozdzwiewczał się sygnał alarmowy. Działając odruchowo, Han wyplątał się z połowy zabezpieczeń ochronnej upręży, aby pospieszyć na stanowisko bojowe, ale w porę przypomniał sobie, że przecież na tej łajbie nie ma ani jednego takiego stanowiska.

Z jedynej jako tako wyposażonej i urządzonej kabiny wyszła Drackmus.

– Co się stało? – zawołała, zwracając się do Salculd.

Młodsza Selonianka siedziała na fotelu pilota. Rozpaczliwie obracała pokrętłami i pstrykała dźwigienkami przełączników i może

właśnie dlatego nie odpowiedziała od razu. Wyłączenie alarmowego brzęczyka i odzyskanie mniej więcej normalnego panowania nad sterami zajęło jej dobre piętnaście minut. Dobrze chociaż, że to nie było nic poważnego – pomyślał Solo. – W przeciwnym razie zginęlibyśmy, zanim zdążyłaby wyłączyć ten dzwonek.

– Alarm skanera – odezwała się w końcu Salculd. – Urządzenie wykryło obecność innej jednostki... Nie, trzech... nie, czterech! Właśnie pojawiły się jakby znikąd. Wyskoczyły z nadprzestrzeni.

– Pomimo istnienia pola interdykcyjnego? – zachnął się Han. – Ktoś je wyłączył?

– Nadal działa – odparła Salculd. – Jednak tamte okręty jakoś je pokonały. Niedługo przelecą obok nas, ale w dosyć dużej odległości od sterburty. Kierują się również ku Selonii.

– Wykonać unik! – rozkazała Drackmus, nie czekając na dalsze szczegóły ani wyjaśnienia.

– Zaczekaj! Nie zmieniaj kursu! – krzyknął Han, starając się powstrzymać młodszą Seloniankę. Rzut oka na kontrolny ekran wyjawiał mu, że obce jednostki dzieli od nich bardzo duża odległość. Podążając z rozsądną prędkością, nowo przybyłe okręty musiałyby stracić co najmniej dwa dni na jej pokonanie... gdyby ich dowódcy w ogóle mieli taki zamiar. A poza tym, któż mógłby chcieć wysłać cztery tak wielkie jednostki w pościg za czymś, co tylko przez grzeczność dałoby się nazwać gwiazdym statkiem?

Było jednak za późno. Mimo iż Salculd starała się sprawiać wrażenie istoty traktującej wszystko i wszystkich bez należytego szacunku, nigdy nie ośmieliłaby się zlekceważyć rozkazu, wydanego przez starszą Seloniankę. Nagłym ruchem przesunęła dźwignię mocy

jednostki napędowej do oporu i zamierzając dokonać zmiany kursu, szarpnęła drążek sterowy.

– Nie zwiększaj mocy silników tak raptownie! – krzyknął Solo. – Przekazniki inwerterów mocy mogą nie wytrzymać wielu takich przeciążeń!

Przyprawiający o mdłości głuchy huk, jaki usłyszał w następnej sekundzie, uświadomił mu, że przecenił możliwości seloniańskich podzespołów. Okazało się bowiem, że inwertery nie zdołały poradzić sobie nawet z tym przeciążeniem.

– Właśnie zniszczyłaś główny regulator mocy! – krzyknął. – Cofnij dźwignię przepustnicy, bo inaczej zniszczysz także rezerwowy!

Salculd odwróciła się i spojrzała na Hana. W jej oczach malowało się przerażenie.

– Ale Drackmus rozkazała mi...

– Żadnych ale! Jeżeli dopuścisz do eksplozji jednostki napędowej, nie zdołasz wykonać żadnego wymijającego manewru. Cofnij dźwignię przepustnicy!

Wyglądało na to, że jednak ją przekonał. Salculd wyciągnęła rękę i cofnęła rękę dźwigni.

Nic jednak się nie stało. Statek nadal przyspieszał.

– Zniszczyłaś także rezerwową regulator – oznajmił spokojnie Solo. Ponieważ kapsuła nie miała już teraz żadnego sprawnego regulatora, który ograniczyłby i odciął dopływ energii do jednostki napędowej, silniki podświetlne mogły pracować tylko pełną mocą, aż stopią się i eksplodują, a przy okazji unicestwią także sam statek.

Han odpiął pozostałe pasy ochronnej uprząży i skierował się ku drabinie wiodącej na niższy pokład. Zbiegł po metalowych szczeblach i pospieszył ku tablicy z przekaznikami inwerterów

mocy. Otworzył płytę umożliwiającą dostęp i przez chwilę gorączkowo szukał czegoś pośród mnóstwa dziwacznych urządzeń i podzespołów. Wypatrywał awaryjnego wyłącznika. W końcu znalazł go i energicznie szarpnął za dźwignię. Silniki napędu podświetlnego rozpaczliwie zadrżały i umilkły. Rękojeść dźwigni była tak rozgrzana, że Han oparzył sobie palce. Spędził następną chwilę, przyglądając się rozmieszczonym byle jak elementom. To wystarczyło, aby upewnił się w swoich podejrzeniach. Awaria głównego sprzęgła jednostki napędowej pociągnęła za sobą zniszczenie włącznika inicjatora silników napędu podświetlnego. Nie miało sensu nawet sprawdzać, czy silniki funkcjonują, czy także uległy uszkodzeniu. Ze spalonym włącznikiem inicjatora o uruchomieniu silników można było tylko marzyć.

Wpadli w poważne tarapaty.

Han upewnił się jeszcze, że automatyczne systemy chłodzenia przekaźników nie odmówiły posłuszeństwa, po czym wspiał się po szczeblach drabinki na wyższy pokład. Skierował się na dziób, na sam koniec stożka. Po drodze przystanął, żeby zwilżyć ręcznik i owinąć nim poparzone palce.

– Na razie jesteśmy uziemieni – oświadczył, spoglądając po kolei na obie Selonianki. – Znalazłem wyłącznik na tyle szybko, żeby nie dopuścić do eksplozji jednostki napędowej, ale teraz jesteśmy tylko wrakiem.

– Wrakiem?

– Straciliśmy zdolność manewrowania – wyjaśnił cierpliwie Solo.
– Jeżeli nie zjawi się nikt, kto nas wybawi, w najbliższej przyszłości będziemy lecieli nadal kursem, jaki utrzymywaliśmy chwilę przedtem, zanim pociągnąłem za dźwignię tego wyłącznika.

– Nie da się tego naprawić? – zaniepokoiła się Drackmus.

– Może się i da – odparł Han. – O ile będziemy mieli wielkie szczęście i nie roztrzaskamy się o powierzchnię jakiejś planety, nie spłonimy w Korelu ani nie umrzemy z głodu, zanim zdołamy się z tym uporać. Jeżeli same silniki jeszcze się nie stopiły, musimy tylko zaopatrzyć się w nowy inicjator... a to może zająć nam kilka dobrych miesięcy. – Porównując „Sokoła Millenium” z tym wehikułem, doszedł do wniosku, że jego koreliański frachtowiec nigdy nie wymagał żadnych bieżących remontów ani napraw. – Kto właściwie zajmował się utrzymywaniem tego stożka na chodzie? – zapytał po chwili. – Wasi najgorsi wrogowie?

– W pewnym sensie tak – odrzekła Drackmus. – Ponieważ uniemożliwiali nam dostęp do większości kosmoportów i zarekwirowali wszystkie nasze inne statki, musiałyśmy posłużyć się jednym z tych, które udało się nam ukryć. Przechowywałyśmy je przez dwadzieścia standardowych lat.

– A później wasze siostry po prostu wyciągnęły je z kryjówek, włączyły jednostki napędowe i liczyły na to, że będą miały szczęście? – domyślił się Solo.

– Jeżeli o to chodzi, nie miałyśmy wielkiego wyboru – odparła starsza Selonianka. – Zmuszono nas do walki o życie i nagle pytanie, jakie ryzyko możemy uznać za dopuszczalne, a jakie nie, doczekało się zupełnie innej odpowiedzi.

– Tylko dlaczego zdecydowałyście się zaryzykować życie i polecieć statkiem przypominającym wrak, żeby przetransportować mnie na Selonię?

– Pewnie dlatego, że nie przywiązujemy tak dużej wagi do naszego życia jak wy, ludzie – rzekła Drackmus. – Zapewne chętniej

poświęcamy je dla dobra ogółu.

– Mów za siebie – mruknęła Salculd.

– Twoje pytanie miało duży sens – ciągnęła Drackmus, jakby nie usłyszała uwagi młodszej Selonianki. – Mimo to nie mogę powiedzieć ani słowa więcej.

– Miałem przeczucie, że usłyszę właśnie taką odpowiedź – burknął mężczyzna. – Jednak nie pozbyłem się wszystkich wątpliwości. Mam nadzieję, że wiesz, o co mi chodzi...

– Jeżeli mogę coś powiedzieć... – wtrąciła się Salculd. – Uważam, że najwyższy czas...

Nagle rozległo się skrzeczenie jeszcze jednego sygnału alarmowego. Salculd odwróciła się ponownie w stronę pulpitu.

– Czego to jeszcze nie udało się nam wyłączyć... – zaczęła tonem towarzyskiej pogawędki, ale nie przestała przyglądać się wskazaniom czujników i mierników. – O, o – zdziwiła się w końcu. – Kolejna niepomyślna wiadomość. Właśnie nastąpiła awaria nawigacyjnego komputera.

– To wcale nie jest niepomyślna wiadomość – poprawił ją Han. – Który pilot, lecąc z unieruchomionymi silnikami, miałby przejmować się awarią nawigacyjnego komputera? Ta awaria ma zresztą swoje dobre strony. Jeżeli nie możemy zorientować się w przestworzach, jakież sens ma przejmowanie się, czy silniki całkowicie się stopią, czy nie?

„Ognista Jade” znajdowała się bliżej Korela, a dalej od Selonii, ale miała zainstalowane na pokładzie o wiele czulsze detektory... i znacznie sprawniejsze urządzenie maskujące niż mikroskopijny statek. Pani kapitan korwety doskonale wiedziała o istnieniu seloniańskiej kapsuły – chociaż nie miała absolutnie żadnego

powodu, aby przywiązywać do tego faktu jakąś wagę. Oczywiście, załoga małego stateczku nie mogła widzieć „Ognistej Jade”. Co więcej, pani kapitan korwety dysponowała o wiele bogatszą pokładową bazą danych. Załoga seloniańskiej jednostki zauważyła jedynie nadlatujące cztery wielkie okręty. Mara Jade natychmiast – w tej samej chwili, kiedy znalazły się w zasięgu jej skanerów – rozpoznała w nich jednostki bakurańskiej floty... trzy gwiazdne niszczyciele i jeden krążownik.

Istniała jeszcze jedna niewielka, ale ważna różnica. Osoby przebywające na pokładzie „Ognistej Jade” zareagowały na fakt pojawienia się Bakuran o wiele spokojniej niż dowódczyni seloniańskiego stożkostatku.

– Co oni, u diabła, tutaj robią? – zainteresowała się Mara Jade. – Jakim cudem pokonali opór pola interdyscyjnego? Kto może przebywać na pokładzie?

– Nie mam pojęcia, skąd się wzięli – odparła Leia. – Cieszę się jednak, że ich widzę. Przypuszczam też, że doskonale wiesz, kto może przebywać na pokładzie.

Zamknęła oczy, a potem uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je w przestworza. Niestety, odległość okazała się zbyt duża. Możliwe, że Luke potrafiłby wysłać myśli na taką odległość, ale Leia jeszcze nie opanowała tej umiejętności. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się, że cokolwiek uda się jej wyczuć. Powinna spróbować później, kiedy „Ognista Jade” znajdzie się chociaż trochę bliżej. Mimo to wiedziała.

– Kto? – zainteresowała się Mara. – Jak myślisz, kto może nimi lecieć?

– Luke – odrzekła Leia. – Luke tam leci. Przybywa na ratunek. To on sprowadził na pomoc te okręty. Domyśliłam się tego, kiedy powiedziałaś, że to Bakuranie. Obywatele Bakury mieli względem Luke'a dług wdzięczności, a on polecał prosić ich, żeby go spłacili. Nie mam pojęcia, jak to zrobił, ale jakoś ich namówił. I nie pytaj mnie, jakim cudem poradzili sobie z tym polem. Ważne, że znaleźli jakiś sposób.

Mara popatrzyła na Leię, zmarszczyła brwi i zaczęła zastanawiać się nad tym, co usłyszała.

– To do Luke'a bardzo podobne – oznajmiła w końcu. – A sam fakt, że to Bakuranie, potwierdza słuszność twoich domysłów. A zatem to musi być Luke. Przyleciał. Tyle że tamte okręty lecą w bojowym szyku, a zakłócanie przestworzy wyklucza wszelką łączność na tę odległość. Luke czy nie Luke, nie powinniśmy tam lecieć, żeby złożyć mu wizytę. Chyba to nie byłby najlepszy pomysł. A zatem starajmy się udawać, że ich nie widzimy, i lećmy dalej jak gdyby nigdy nic, ku Selonii.

Leia nie była tym zachwycona. Nie mogła znieść myśli, że jednak Mara ma rację.

W przeciwieństwie do niej, Belindi Kalenda była zachwycona tym, gdzie się znajduje... a ściślej, zadowolona, że znów znalazła się tam, gdzie może zrobić coś pożytecznego. Odkąd przyleciała do systemu Coruscant z informacjami, jakie przekazał jej na Korelii Han Solo, odnosiła wrażenie, że jest nikomu niepotrzebna. Może inni byli pewni, że biorą udział w niezwykle ważnej operacji, ale kiedy pani porucznik Wywiadu Nowej Republiki przekazała zebrane dane, poczuła się zepchnięta na drugi plan. Mogła tylko beczynnie patrzeć, jak rozwiązaniem problemu zajmują się ważne osobistości.

Teraz jednak cieszyła się, że znów przyleciała do systemu Korelii. Wprawdzie nie mogłaby powiedzieć, że funkcjonariusze bakurańskiego Wywiadu nie znają się na rzeczy, ale miała przeczucie, iż i tak może się im do czegoś przydać. Bakuranie dysponowali jedynie teoretyczną, zaczerpniętą z podręczników wiedzą na temat sytuacji panującej na samej Korelii i na pozostałych światach, i może dlatego ich informacje sprawiały wrażenie okropnie przestarzałych. Nie dość, że z niektórych wynikało, iż Korelia jest czymś w rodzaju imperialnej bazy. Najgorsze, że przeglądając inne zapisane w bakurańskich bazach danych informacje, Kalenda natrafiła na kilka „uaktualnień”, z całą pewnością opracowanych jeszcze w czasach Starej Republiki. Funkcjonariuszka Wywiadu podejrzewała, że jej bakurańskim kolegom może przydać się każda pomoc, jakiej zechce im udzielić.

Miała jednak do wykonania pracę o wiele poważniejszą niż uaktualnianie archiwalnych danych. Musiała przeprowadzić kilka bardzo pilnych analiz. Najważniejsze w tej chwili było zebranie wszystkich możliwych informacji, które pozwoliłyby określić wielkość, kształt i siłę interdyscyplinarnego pola. Bakuranie, lecący na pokładach okrętów swojej floty, nie dysponowali odpowiednimi przyrządami do zmierzenia charakterystycznych właściwości niezwykle obszaru. Tymczasem każdy odczyt, jaki porucznik Kalenda rejestrowała, pozwalał jej upewnić się w przekonaniu, że zarówno generator zagłuszających sygnałów, jak i aparaturę odpowiedzialną za wytwarzanie interdyscyplinarnego pola usytuowano gdzieś w rejonie Bliźniaczych Światów. Co prawda, wszyscy podejrzewali to od samego początku, ale agentka Wywiadu Nowej Republiki dopiero teraz mogła przedstawić niezbitą dowody.

Kalendzie udało się jednak osiągnąć coś więcej. Dane, jakie właśnie przed chwilą zebrała i skończyła przetwarzać, pozwoliły jej zdobyć niemal zupełną pewność, że określiła kryjówkę obu generatorów z jeszcze większą dokładnością. Nie mogła wiedzieć, jak na tę sensacyjną wiadomość zareagują pozostali, ale ona wpadła w osłupienie.

Zerknęła na zegarek i cicho zaklęła. Miała tylko pięć minut, aby przygotować raport. Wiedziała, że nie zdąży ani się odświeżyć, ani przebrać. No cóż, nie jej wina, że ostatnie dane, które pozwoliły na wyciągnięcie tak rewelacyjnego wniosku, pojawiły się dopiero w tej chwili. Prawdę mówiąc, miały takie znaczenie, że mogła przedstawić je ubrana w nie odprasowany mundur.

– Niewątpliwie najważniejszą sprawą jest stan okrętów naszej floty – zaczęła Kalenda, zwracając się do zgromadzonych na pokładzie dowodzenia oficerów, techników i inżynierów. – Wieści nie są pomyślne, ale z pewnością mogły okazać się o wiele gorsze. Najpomyślniejszą wiadomością jest fakt, iż załogi „Intruza”, „Obrońcy” i „Wartownika” zdołały uporać się z naprawami swoich jednostek, dzięki czemu okręty są sprawne i gotowe do walki. Wszystkie trzy osiągnęły niedawno trzy czwarte maksymalnej prędkości i lecąc w zwartym szyku, kierują się ku Selonii. A teraz zła wiadomość. Chociaż załoga „Strażnika” poradziła sobie z usuwaniem awarii systemów regeneracji powietrza i wody, a także odzyskała panowanie nad urządzeniami umożliwiającymi sterowanie, nie zdołała naprawić jednostki napędowej i nic nie wskazuje, aby udało jej się to w najbliższym czasie. Wprawdzie okręt nadal dryfuje w głąb systemu, ale lecąc obecnym kursem, dotrze tam po upływie kilku lat. W tym czasie załódze nie grożą

żadne niebezpieczeństwa. Pozostałe okręty przelecą obok „Strażnika”, ale nie zastopują, żeby udzielić mu pomocy. Jednak kiedy dzieląca nas odległość zmaleje do minimum, zamierzamy wystrzelić bezzałogowy prom ze wszystkimi niezbędnymi częściami zapasowymi na pokładzie.

– Rozkazałem, żeby wszystkie myśliwce z wyjątkiem pięciu wylądowały na pokładach sprawnych okrętów – podjął Ossilege. – Pięć maszyn powinno zapewnić wystarczającą obronę przeciwko ewentualnemu atakowi, a pozostałe okręty floty muszą dysponować największą możliwą siłą ognia.

– Czy jest coś jeszcze, z czym musimy się liczyć? – zapytał Lando.

– Owszem. – przyznała Kalenda. – I właśnie to uważam za największą niespodziankę. Zauważyliśmy, że z Bliźniaków, z Korelii i Dralii poderwały się do lotu eskadry małych maszyn. Wszystkie kierują się ku punktom przestworzy, leżącym dokładnie na kursie okrętów naszej floty. Są pośród nich trzy albo cztery większe jednostki, ale żadna nie dorównuje rozmiarami „Ślicznotce”. Niemal wszystkie pozostałe, jakie udało się nam dostrzec do tej pory, to lekkie myśliwce. Z Korelii wystartowały same kieszonkowe patrolowce, a z Bliźniaków i Dralii maszyny mające mniej więcej takie same rozmiary i kształty. Domyślamy się, że Selonianie wydadzą rozkaz startu pilotom swoich myśliwców dopiero wtedy, gdy bardziej zbliżymy się do ich świata. Zwlekając ze startem tak długo, jak to możliwe, zapewne chcą zaoszczędzić na kosztach paliwa i na wszystkim innym. Mimo to rozwój sytuacji pozwala na wyciągnięcie wniosku, że mamy do czynienia ze skoordynowanym atakiem. Przynajmniej wszystko na to wskazuje.

– I w czym problem? – zapytał Luke.

– W synchronizacji – odparła agentka Wywiadu Nowej Republiki.

– Lot na Selonię zajmie nam ponad dwa dni, a pierwsze myśliwce, których piloci zamierzają nas przechwycić, wystartowały przed kilkoma godzinami. Z dokonanych przez nas analiz gazów wylotowych ich jednostek napędu podświetlnego wynika, że większość maszyn podąża ku punktom przechwycenia z największą możliwą prędkością. Jednak analiza parametrów kursów, jakimi lecą do tej pory, wyraźnie dowodzi, że nie wszystkie zdążą dotrzeć tam w porę. A poza tym myśliwce nie kierują się ku jednemu punktowi... a przecież właśnie to pozwoliłoby nieprzyjacielskim pilotom najlepiej wykorzystać siłę ognia maszyn. Zamiast tego lecące z różnych światów maszyny będą osiągały różne punkty w różnych chwilach, co stworzy nam szansę walki tylko z nielicznymi naraz. Uważam, że taka koordynacja ataku pozostawia wiele do życzenia.

– Nie widzę w tym nic dziwnego, jeżeli uwzględnić fakt, iż zakłócanie sygnałów uniemożliwia porozumiewanie się pilotów między sobą – odezwała się Gaeriela Captison. – Domyślam się, że ktoś, kto koordynował całą akcję, uczynił to, zanim zaczęło się zagłuszanie. Zapewne polecił pilotom, że jeżeli w przestworzach pojawią się obce jednostki, mają postępować zgodnie z uprzednio określonym planem. Z pewnością właśnie tak to wyglądało.

– Sam fakt, że w ogóle mamy do czynienia z jakąś koordynacją, należy uznać za coś niezwykłego – podkreśliła Kalenda. – Pięć działających na pięciu światach, niezależnie od siebie, grup rebeliantów? Przecież wielu spośród nich to zaciekli wrogowie wszystkich pozostałych... a tu nagle porozumiewają się i przystępują do skoordynowanego ataku? Miał pan rację, panie admirale –

dodała, zwracając się do Ossilege'a. – Pański manewr pozwala na wyciągnięcie bardzo ciekawych wniosków.

– Jeżeli zaś chodzi o inne sprawy – ciągnęła po chwili – mogę zameldować, że tuż przed początkiem tej odprawy otrzymałam informacje, które pozwoliły mi jeszcze dokładniej ustalić źródła sygnałów zakłócających oraz pola interdykcyjnego. Zapewne nikogo nie zdziwi, jeżeli powiem, że oba urządzenia są usytuowane w tym samym miejscu. Najdziwniejsze ze wszystkiego jest jednak to, że oba ukryto na stacji Centerpoint.

– Gdzie? – zapytała Gaeriela.

– Na stacji Centerpoint. Nie dziwi mnie, że ta nazwa nic wam nie mówi. Zapewne słyszało ją tylko niewielu spośród tych, którzy nie są obywatelami tego systemu. Ta ogromna gwiazdna stacja unosi się w przestworzach dokładnie w barycentrum – to znaczy w punkcie równowagi – pomiędzy Bliźniaczymi Światami, Talusem i Tralusem. Inaczej mówiąc, zajmuje w przestrzeni punkt, wokół którego krążą obie te planety.

– Muszę przyznać, że ta wiadomość stanowi dla mnie sporą niespodziankę – oznajmił Ossilege. – Dotychczas przypuszczałem, że tak silne i obejmujące taki wielki obszar pole interdykcyjne musi być wytwarzane przez źródło, mieszczące się na jednym z tych światów. Jakim cudem unosząca się w przestworzach gwiazdna stacja może być na tyle potężna, żeby wytwarzać takie ilości podprzestrzennej energii?

– Centerpoint jest bardzo dużą stacją – wyjaśniła Kalenda. – Ale muszę szczerze przyznać, że także nie wiem, jak może wytwarzać to pole albo wpływać na wartości jego parametrów. Pod względem rozmiarów dałoby się tę stację porównać z Gwiazdą Śmierci, ale

Centerpoint jest o wiele masywniejsza. I dysponuje niewiarygodnie wielką mocą. O wiele większą niż wskazywałyby na to historyczne dane... bez względu na to, jaką mają dla nas wartość. Wygląda na to, że obudziła się do życia po długim okresie beczynności.

– Jeżeli właśnie tam ukryto generatory sygnałów zagłuszających i pola interdyscyjnego, stacja Centerpoint jest dla nas kluczem do całego systemu – oznajmił Ossilege. – Czy mogę prosić o wyświetlenie hologramu?

Kalenda wpisała sekwencje odpowiednich rozkazów i nad blatem konferencyjnego stołu pojawił się holograficzny wizerunek gwiazdnej stacji. Jej głównym elementem okazała się masywna jasnoszara kula. Po obu przeciwległych stronach wystawały z niej dwa grube cylindry, najeżone najprzeróżniejszymi rurami, czujnikami i antenami. Cała stacja wirowała wokół osi, przechodzącej przez kulę i cylindry.

– Sama kula ma średnicę odrobinę większą niż sto kilometrów – ciągnęła agentka Wywiadu Nowej Republiki. – Jeżeli zaś liczyć od końca jednego cylindra do końca drugiego, cała stacja ma blisko trzysta pięćdziesiąt kilometrów długości. Jest tak stara, że musi obracać się, żeby na jej pokładach mogło panować sztuczne ciężenie. Taki sposób wymyślono na długo przedtem, zanim ktoś wynalazł nasze urządzenia umożliwiające wytwarzanie sztucznej grawitacji, a przecież w tej chwili już nikt nie pamięta, kto je wymyślił i kiedy.

– To ciekawe. Doprawdy bardzo ciekawe – odezwał się Ossilege. – Tylko dlaczego ktoś umieścił generatory odpowiedzialne za wytwarzanie pola interdyscyjnego i zakłóceń akurat we wnętrzu gwiazdnej stacji? Co prawda, ma gigantyczne rozmiary, ale chyba

wszyscy zgodzą się ze mną, że obrona takiej instalacji jest o wiele trudniejsza niż gdyby urządzenia zainstalowano na jakiejś planecie.

– Pod wieloma względami tak, panie admirale.

– A jednak... a jednak... Nasi przeciwnicy z pewnością umieją nie gorzej niż my odczytywać dane z ekranów nawigacyjnych monitorów. Muszą zatem wiedzieć, że dysponujemy metodami i przyrządami, umożliwiającymi określenie nie tylko natężenia i rozmiarów pola, ale także namierzenie jego źródła. Muszą więc wiedzieć równie dobrze jak my, jak wielkie znaczenie dla powodzenia ich planów ma panowanie nad generatorem pola. Ale nic nie wskazuje na to, a przynajmniej o niczym takim nie wiemy, że starają się zorganizować obronę stacji. Piloci myśliwców, które wystartowały z Bliźniaczych Światów, kierują się ku punktowi przechwycenia okrętów naszej floty.

– Panie admirale, bardzo przepraszam, że przerywam tok pańskiego rozumowania. Na tak duże odległości nasze systemy śledzenia nie pozwalają na uzyskanie absolutnie pewnych danych, ale możemy być niemal pewni, że dostrzegliśmy także maszyny podrywające się do lotu z hangarów samej stacji. W tej chwili uformowały szyk i kierują się w naszą stronę.

– Doprawdy? – Ossilege uniósł brwi. – To coś jeszcze bardziej niezwykłego. Nieprzyjacielscy dowódcy postanowili pozbawić osłony myśliwców obiekt, którego powinni bronić za wszelką cenę? Pozostawienie stacji Centerpoint bez osłony to zresztą tylko część problemu. Nasi wrogowie powinni wiedzieć, że nawet nieudolnie koordynowany atak udowodni nam, iż rzekomo działające niezależnie grupki rebeliantów w rzeczywistości ściśle współpracują. Propagandziści Ligi Istot Ludzkich powtarzają do znudzenia, jak

bardzo członkowie jednej grupy nienawidzą członków wszystkich pozostałych. Domyślam się, że inne grupy wydają podobne oświadczenia. W takich okolicznościach koordynowanie działań zaczepnych oznacza kolaborację z najgorszymi wrogami. Gdyby ten fakt stał się publiczną tajemnicą, mógłby oznaczać polityczny koniec jednego czy drugiego rebelianckiego ugrupowania. Mamy oczywiście do czynienia z niemal całkowicie odizolowanymi od siebie społecznościami, mimo to powstrzymanie nas uznano za tak ważne zadanie, że przywódcy rebeliantów postanowili podjąć to ryzyko. Z drugiej strony rzucili do walki przeciwko nam wyłącznie eskadry lekkich myśliwców, chociaż musieli wiedzieć, że ich maszyny są zbyt słabe, aby nas powstrzymać. Dlaczego więc zdecydowali się poderwać tylko małe maszyny? Zapewne albo nie dysponowali większymi jednostkami, albo nie widzieli potrzeby ryzykowania ich utraty podczas walki z nami. Wszystko wskazuje jednak na to, że nie mieli absolutnie żadnych podstaw, aby okazywać tak daleko posuniętą pewność siebie. To doprawdy niezrozumiałe. Czy zwróciła pani na to uwagę, pani porucznik?

– Tak jest, panie admirale. Zwróciłam – potwierdziła Kalenda.

– I do jakiego wniosku pani doszła?

– Tylko takiego, że czegoś w tym wszystkim nie rozumiemy. Czegoś bardzo ważnego. Czegoś, co pozwala naszym przeciwnikom mieć pewność, że zdołają nas powstrzymać, zanim wylądujemy na Selonii... albo zaraz potem.

– Zgadzam się z pani wnioskiem – odparł Ossilege. Przez kilka chwil nad czymś się zastanawiał. – Ile czasu zostało do chwili, kiedy znajdziemy się najbliżej „Strażnika”?

Kalenda zerknęła na chronometr.

– Mniej więcej osiem godzin, panie admirale.

– Rozumiem. Rozumiem. Bardzo dobrze. – Ossilege raptownie wstał i odwrócił się w stronę dyżurnego oficera łącznościowca. – Kiedy będziemy obok nich przelatywali, proszę nawiązać z kapitanem „Strażnika” bezpośrednią łączność laserową. Później proszę przełączyć kanał do mojej kabiny i zatroszczyć się, żeby sygnały starannie zaszyfrowano.

Łącznościowiec zaszalutował, a potem odwrócił się i pochylił nad pulpitem swojej konsoli.

– A wszystkim pozostałym powiem tylko, że raport pani porucznik Kalendy pozwolił mi wpaść na pewien pomysł. Pomysł, który spowodował zmiany w moich planach. Poinformuję was o tych zmianach, kiedy skończę porozumiewać się z kapitanem „Strażnika”. To byłoby wszystko. Dziękuję i życzę miłego dnia.

Wygłosiwszy to krótkie przemówienie, admirał Ossilege odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

Wszyscy inni także wstali od stołu i zaczęli kierować się do wyjścia.

– Pani porucznik, o co chodziło z tym porozumiewaniem się z kapitanem „Strażnika”? – zapytał Lando.

– Nie wiem, panie kapitanie – odparła agentka. – Mam jednak przeczucie, że za nic w świecie nie chciałabym być na miejscu dowódcy tego niszczyciela.

– O, tak! – zgodził się z nią Calrissian. – Ilekroć admirałowie wykazują nagłe zainteresowanie unieruchomionymi okrętami, niemal zawsze należy zacząć się martwić.

Wszyscy musieli przyznać mu rację.

ROZDZIAŁ

17.

NARESZCIE RAZEM

Tendra Risant była zrozpaczona. Odnosiła wrażenie, że przebywa na pokładzie „Szarmanckiego Gościa” nie kilka dni, ale całe lata. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła i jeszcze później, kiedy startowała, wydawał się jej sporym statkiem, ale teraz czuła się w nim jak w trumnie... a naprawdę nie przepadała za takimi skojarzeniami.

Nie miała pojęcia, ile jeszcze zdoła wytrzymać. Nigdy dotąd sama nie pilotowała żadnego statku; nigdy też nie czuła się taka samotna. Wydawało się jej, że cisza i pustka przestworzy przytłacza ją i otula niczym całunem. Czuła się jak uwięziona. Co prawda miała na pokładzie wystarczającą ilość pożywienia, by nie umrzeć z głodu, a systemy regeneracji bez trudu powinny dostarczać czystego powietrza i wody co najmniej przez rok. Kobieta nie była jednak pewna, czy na pokładzie pozostało dość zdrowego rozsądku, żeby podczas dalszej podróży nie straciła zmysłów. Statek miał wszystko, co potrzebne, żeby zadbać o jej ciało... nie miał jednak niczego, co mogłoby zaprzątnąć umysł.

Dlaczego Lando się nie odzywa? Co się stało? Co mogło mu się przydarzyć? Czyżby na próżno ryzykowała? Czyżby miało okazać się, że postawiła życie na niewłaściwą kartę i przegrała?

Wyciągnęła rękę i pstryknęła przełącznikiem monitora radionicznego nadajnika. Chciała jeszcze raz sprawdzić, czy jej głos nadal rozlega się w mrokach przestworzy. Wiedziała, że słuchanie tego, co sama nagrała, nie przyniesie jej żadnej ulgi, a nawet może spowodować nowy atak płaczu. Czuła jednak, że musi to zrobić – choćby tylko dlatego, aby upewnić się, że jej wezwanie jest nadal wysyłane.

– Tendra do Landa – rozległ się głos... jej głos... z monitora nadajnika. Brzmiał z pewnością o wiele spokojniej i rozsądniej niż gdyby nagrywała swoje słowa w tej chwili. – Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. – Dziesięciosekundowa pauza. – Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. – Pauza. I znów: – Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości...

Admirał Hortel Ossilege stał na pokładzie dowodzenia „Intruza” i jak zwykle dumnie prężył pierś, opiętą nieskazitelnie białym mundurem.

– Nadszedł czas – zaczął – żeby wyjaśnić wszystkim obecną sytuację. Jak zapewne wiecie, wzięliśmy „Strażnika” na hol i zabraliśmy na pokład wszystkich członków jego załogi. Niewątpliwie zastanawiacie się, dlaczego przystępujemy do walki, holując okręt, który jest właściwie wrakiem. Za chwilę to wyjaśnię. Otóż zamierzam go poświęcić.

Jeżeli oświadczenie admirała miało wywołać szmer zdumienia, spełniło to zadanie doskonale. Bakuranin zaczekał, aż zebrani członkowie załogi się uspokoją.

– Zastanawialiśmy się, czym wytłumaczyć kiepską koordynację i wynikający z niej fakt, że nieprzyjacielskie myśliwce nie dolecą do

punktów przechwytywania wszystkie naraz – ciągnął po chwili. – Do spotkania z pierwszymi zostało zaledwie kilka godzin, a ostatnie, jakie wystartowały, dopiero niedawno zdołały utworzyć szyk bojowy. Kilka chwil przedtem, zanim zwołałem wszystkich na tę odprawę, dostrzeżliśmy, że następne eskadry lekkich jednostek startują z powierzchni Selonii.

Dokonałem analizy szyków nadlatujących maszyn i mogę powiedzieć, że są po prostu okropne... jeżeli rzeczywiście nieprzyjacielscy piloci zamierzają postąpić tak, jak dotąd sądziliśmy. Jeżeli podejmą otwartą walkę, poniosą druzgocącą klęskę.

Jest niestety pewien problem. Możliwe, że zamierzają tylko nas powstrzymać i uwikłać w niezliczone pojedynki. Może też pragną jedynie wystawić się na ogień naszych strzałów, aby nakłonić nas do skierowania się tam, dokąd pragną, żebyśmy poleciełi. Tylko w takim przypadku ich szyk i taktyka miałyby jakiś sens.

Oczywiste pytanie, jakie nasuwa się chyba wszystkim, brzmi: „Dokąd chcą, żebyśmy poleciełi”? Zamierzam się tego dowiedzieć, ale ani myślę ryzykować życia członków załogi któregoś z okrętów.

Udało się nam naprawić jednostkę napędową „Strażnika” na tyle, że może pracować, wykorzystując niewielki ułamek normalnej mocy. Niedługo na pokładzie uszkodzonego niszczyciela zainstalujemy system podporządkowania, dzięki któremu – posługując się zdalnym sterownikiem – będziemy mogli panować nad ruchami okrętu. Jestem świadom, że w takich sytuacjach okrętem powinien sterować jego dowódca, i dlatego oświadczam publicznie, że o zaszczyt ten prosiła mnie bardzo usilnie pani kapitan Mantrony. Musiałem jej odmówić. Jeżeli „Strażnik”

rzeczywiście zostanie zaatakowany za pomocą nieznannej, niezwyklej broni, musimy sterować jego ruchami w taki sposób, żeby dowiedzieć się na temat tej broni wszystkiego, co tylko możliwe. Pani kapitan Mantrony nie byłaby istotą ludzką gdyby nie chciała przeciwstawić temu nadrzędnemu celowi chwalebnego pragnienia ocalenia okrętu za wszelką cenę. Zarejestrowałem jej sprzeciw wobec mojej decyzji.

Zamierzam poprowadzić nasze okręty prosto w pułapkę, którą nieprzyjaciele mogli na nas zastawić. „Strażnik” poleci na czele floty. Rozkazałem naszym pilotom, żeby nie okazywali przesadnej gorliwości. Jeżeli zostaną zaatakowani, podejmą walkę, ale pierwsi nie będą atakowali przeciwników. Zamierzam zachowywać postawę obronną a nie zaczepną. Zapewne nikt nie może żywić żadnych wątpliwości, że w swoim czasie rozprawimy się z wieloma kieszonkowymi patrolowcami i innymi lekkimi myśliwcami.

Teraz jednak chcę oszczędzać siły i skupić uwagę na rozpoznaniu możliwości przeciwników.

– A zatem – ciągnął uroczyście, omiatając spojrzeniem twarze oficerów – zaczynajmy.

Kiwnął głową pani oficer taktycznej „Intruza”.

– Wszyscy na stanowiska bojowe! – rozkazała kobieta. – Piloci do maszyn. Przygotować się do startu w przestworza.

Odprawa była zakończona. Oficerowie i piloci wstali i skierowali się do wyjścia.

– Postawa obronna – mruknął Lando tak cicho, żeby tylko Luke go usłyszał. Podążając za innymi członkami załogi, wychodzili z sali odpraw. – Jeżeli naprawdę chce, żebyśmy zachowywali postawę

obronną powinien był wydać rozkaz, byśmy pozostali na pokładzie tego krążownika.

– Hej, nie przejmuj się tak! – odrzekł mistrz Jedi. – Masz przecież być moim skrzydłowym. Nie chcę, żebyś przez cały czas zachowywał postawę obronną.

– Posłuchaj, będziesz miał wielkie szczęście, jeżeli w ogóle przypomnę sobie, jak pilotować własny statek – zażartował Lando. – Spędziłem tyle czasu na różnych naradach, zebraniach i odprawach, że odkąd powróciliśmy do tego systemu, ani razu nawet nie postawiłem stopy na pokładzie.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął przyjaciela po ramieniu.

– No cóż, wszyscy powiadają że jeżeli się raz tego nauczysz, już nigdy nie zapomnisz – powiedział. – Masz niepowtarzalną szansę przekonania się, czy to prawda. Daj spokój. Chodźmy do maszyn.

Teraz, pomyślała Leia. Wreszcie znalazła się dostatecznie blisko. Odległość zmalała na tyle, że jej myśli mogły pokonać przestworza i wyczuć obecność umysłu brata – o ile Luke rzeczywiście leciał na pokładzie któregoś z tych okrętów. Leia zamknęła oczy i posługując się Mocą wybiegła myślami ku nadlatującym okrętom.

Niemal w tej samej sekundzie wyczuła –jasno i wyraźnie, nawet pomimo ciemności, panujących za iluminatorami „Ognistej Jade” – to, na czym tak jej zależało. Ciesząc się z nawiązanego kontaktu, uśmiechnęła się do siebie. Prawdziwą radość sprawiła jej świadomość, że jej brat jest blisko, coraz bliżej. Ta świadomość tłumaczyła jednak tylko część jej uniesienia. Leia wiedziała że Luke, także władając Mocą w tej samej sekundzie dowie się i zorientuje, gdzie ona przebywa.

Nie potrafiła na tyle sprawnie sterować Mocą żeby przesłać bratu konkretne myśli czy obrazy. Upewniła się jednak, że Luke jest blisko i że wie, iż ona jest w pobliżu. Ta świadomość dodała jej pewności siebie.

Luke właśnie wspinał się po szczeblach drabinki do kabiny swojego Xskrzydłowca, kiedy poczuł zakłócenie Mocy. Zrozumiał że odbiera dotyk myśli siostry. Zamarł, uniósł głowę i myślami zatoczył pełne koło. Przebił durastalowe grodzie i pokłady „Intruza” i uwolnił myśli, aby wysłać je w mroki przestworzy. Ujrzał tam ducha swojej siostry, jaśniejącego na tle czarnego nieba – równie wyraźnie i ostro jak w tej samej chwili widział Artoo, opuszczanego do gniazda w rufowej części kadłuba Xskrzydłowca. A więc nie zginęła. Żyje. Jest cała i zdrowa. Cóż jeszcze mogło mieć znaczenie?

Luke otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, jeszcze zanim zakończył formułować je w myślach.

Posługiwał się Mocą i wyteżał zmysły Jedi; może właśnie dlatego uświadomił sobie, że wyczuwa obecność jeszcze kogoś innego.

Leia wyczuła obecność tej samej osoby właściwie przez przypadek, kiedy jej zmysły omiatały bezkres przestworzy. Pod wieloma względami kontakt był o wiele słabszy, jakby wyczuwana osoba w najmniejszym nawet stopniu nie dysponowała talentem Jedi. Ponieważ jednak wszystkie żywe istoty wywierają na Moc mniejszy albo większy wpływ, a życie tej istoty płonęło zdecydowaniem, energią i siłą, zaświeciło szczególnie intensywnym blaskiem, kiedy dotknęły go myśli siostry Luke'a Skywalker'a.

– Han! – wykrzyknęła Leia, odwracając się do Mary. W jej głosie brzmiała radość i zdumienie. Sięgnęła do urządzeń sterujących

położeniem skanerów i skierowała emiter w kierunku pożądanego wycinka przestworzy. – Tam! – rzekła, pokazując mikroskopijną plamkę na ekranie monitora. – Leci na pokładzie tamtego małego statku. – Zamknęła oczy i zaczęła się koncentrować. – Wyczuwam także obecność dwóch innych istot żywych, najprawdopodobniej Selonianek, ale tego nie jestem taka pewna. Wiem tylko, że tam leci Han. Wiem, że to Han. To nie może być nikt inny.

Leia jest tu, pomyślał Luke. Leia jest tu i Han także, a ja nie mogę zrobić nic, by się z nimi porozumieć. Wszystko dzieje się tak szybko.

Mistrz Jedi zatrzaskał owiewkę kabiny X-skrzydłowca i upewnił się, że może porozumiewać się z Artoo. Później sprawdził, ile czasu zostało do wyznaczonej chwili startu.

Jego X-skrzydłowiec i „Ślicznotka” miały wystartować z hangaru w dolnej części kadłuba „Intruza” za trzydzieści sekund. A zatem nie zostało ani chwili, żeby choć poczuć wdzięczność za to, że siostra i Han są cali i zdrowi. Nie było czasu na nic oprócz sprawdzenia aparatury nawigacyjnej i pozostałych podzespołów, a także na uniesienie myśliwca ponad płytę lądowiska.

Nie mógł nawet posłużyć się systemem łączności laserowej i zapoznać przyjaciela z niezwykle informacją.

Może to i lepiej, ponieważ Calrissian właśnie w tej chwili zapoznawał się ze swoimi własnymi niezwykle informacjami.

Prawdę mówiąc, nie musiał powtarzać automatycznej procedury, aby upewnić się, że pokładowe urządzenia i systemy łączności działają prawidłowo. I tak zakłócanie wszystkich standardowych zakresów częstotliwości uniemożliwiało porozumiewanie się za pomocą komunikatorów, a sprawdzenie poprawności działania systemu łączności laserowej nie miało sensu, dopóki jacht nie

znajdzie siew przestworzach. Lando starał się jednak, ilekroć mógł, być przezornym pilotem, a to oznaczało, że dokładnie sprawdzał wszystkie systemy – zwłaszcza kiedy miał dłuższą przerwę w lataniu. Nie spodziewał się jednak żadnych niespodzianek. Artoo badał przecież niedawno pokładowe podzespoły, a mały robot słyszał z tego, że pedantycznie wykonywał każdą pracę.

To jednak, czego ktoś się spodziewa, rzadko ma coś wspólnego z tym, co zastaje. Śniadolicy mężczyzna przekonał się o tym, kiedy skaner systemu radionicznego niespodziewanie zapiszczał na znak, że urządzenie odbiera jakiś sygnał – a potem przekazał go do zawieszzonego na ścianie kabiny głośnika interkomu.

– Tendra do Landa – rozległ się znajomy głos... głos Tendry. – Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. – Nastąpiła chwila przerwy, a potem wezwanie się powtórzyło: – Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości. – Znowu nastąpiła mniej więcej dziesięciosekundowa pauza. – Tendra do Landa. Proszę, odpowiedz na ustalonej częstotliwości...

Lando wpadł w osłupienie. Całkowite osłupienie. Jakim cudem Tendra zdołała dotrzeć do systemu Korelii? Cóż, na wszystkie gwiazdy i niebiosa, mogła tutaj robić? Po co przylatywała? I gdzie znajdowała siew tej chwili?

Lando zerknął na chronometr. Do startu pozostało niespełna pół minuty... za mało, żeby cokolwiek zrobić. Uruchomił system łączności, a potem przełączył na rzadko używaną radionikę i ustawił na automatyczne powtarzanie. Myślał sekundę, co powiedzieć. Miał tyle do zakomunikowania, a tak mało czasu.

– Lando odpowiada Tendrze – zaczął w końcu. – To długa historia, dlaczego, ale dopiero niedawno przyleciałem do systemu i

dosłownie przed kilkoma sekundami otrzymałem wiadomość od ciebie. – Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej, chociaż z każdą sekundą czuł się coraz bardziej nieswojo. – To... hmmm... może zabrzmieć cokolwiek melodramatycznie, ale właśnie startuję, by wziąć udział w walce, i właściwie nie mam czasu na nic innego. Jest tyle spraw, o których chciałbym ci opowiedzieć, ale na razie wszystkie muszą poczekać. Najważniejsze w tej chwili jest pytanie: gdzie właściwie przebywasz? Zrobię, co w mojej mocy, aby od tej chwili śledzić częstotliwość, na której przesłałaś swoją wiadomość. Życzę tobie i nam wszystkim wiele szczęścia. Lando kończy. Wiadomość się powtarza.

Ciemnoskóry mężczyzna siedział chwilę nieruchomo. Zastanawiał się, czy nie powinien zmienić czegoś w tym, co zamierzał wysłać w przestworza. Z jednej strony powiedział za dużo, a z drugiej za mało. Do startu pozostało zaledwie dziesięć sekund. Wcisnął guzik i pozwolił wiadomości lecieć w przestrzeń, a potem przesłał energię do repulsorów i uniósł „Ślicznotkę” nad płytę lądowiska. Skupił uwagę na tym, co zrobić, żeby przeżyć.

Han nie wyglądał na uszczęśliwionego. Rzadko pilot czuje się taki zniechęcony i przygnębiony jak wówczas, kiedy musi przebywać na pokładzie bezradnie dryfującego statku. Czuje się jeszcze gorzej, jeżeli jest pasażerem, a statek pilotuje ktoś inny... ktokolwiek inny. Kiedy jednak przebywa na pokładzie pokierowanej kapsuły, której absolutnie nikt nie pilotuje, ponieważ nie da się pilotować zniszczonego wraku, uczucie frustracji zapewne sięga zenitu. Nie nazwany statek mógł być równie dobrze asteroidą albo skalną bryłą, jako że i tak nikt nie potrafiłby zmienić jego prędkości ani toru lotu. Han mógł tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać. Wcześniej czy

później ktoś z pewnością trafi ich pierwszym strzałem, a może roztrzaskają się o coś albo skończą się zapasy żywności... Może też posłuszeństwa odmówią systemy regeneracji powietrza i wody? Zważywszy na szczęście, jakie miewał do tej pory, Han musiał tylko czekać dzień czy dwa, zanim wydarzy się któryś z tych kataklizmów.

Chyba że... Chyba że zmałduje coś, co pozwoli uruchomić jednostkę napędu podświetlnego, a później doprowadzi do ładu nawigacyjny komputer. Rzecz jasna, szanse powodzenia nie były zbyt duże, ale Han nie przywykł poddawać się bez walki. Pierwszym zadaniem, jakie musi wykonać, będzie zatem staranna i szczegółowa ocena rodzaju i rozmiarów uszkodzenia. Prawdziwe szczęście, że mieli czasu co niemiara, ponieważ podczas tej podróży będzie mu potrzebne właśnie to: mnóstwo czasu.

Han rzucił okiem na zniszczony włącznik inicjatora. Postanowił, że zanim w ogóle dotknie tego, co z niego zostało, najpierw zastanowi się, co musi zrobić, aby go naprawić, a potem dokładnie zapamięta kolejność czynności. Wiedział, że ma jedną jedyną szansę zmierzenia się z problemem i musi zrobić wszystko, żeby ją wykorzystać.

Zauważył, że w podstawie obudowy wirnika biegnie wąska szczelina. Zrozumiał, że jeżeli ciągnie się wzdłuż całej długości, obudowa nie nadaje się do użytku. No cóż, może będzie musiał skonstruować nową obudowę. Może w ładowni statku znajdzie jakieś narzędzia, za pomocą których mógłby...

– Czcigodny Solo!

Głos zahuczał niczym grom, chociaż dobiegł z górnego pokładu. Przerażony Han omal nie wyskoczył ze skóry.

– Drackmus, nie rób tego więcej! – odkrzyknął w odpowiedzi. – Wystraszyłaś mnie tak, że omal nie wyzionąłem ducha. Gdybym przypadkiem potrafił obudowę wirnika, rozpadłaby się na kawałki.

– Moje przeprosiny, czcigodny Solo – zawołała pół tonu ciszej starsza Selonianka. – Dzieje się jednak coś niezwykłego, coś ważnego. Za chwilę przycumuje do nas inny statek.

– Co takiego? – Han natychmiast zapomniał o uszkodzonej obudowie wirnika i szybko wspiął się po drabince na wyższy poziom. – O czym ty, u licha, mówisz? – burknął niecierpliwie. Zerknął na ekran skanera i chociaż widniał na nim prawdziwy obraz, a nie symbole, przekonał się, iż rzeczywiście widzi inny statek. Nieznana jednostka miała do pokonania zaledwie jakieś pięćset metrów, ale zbliżała się dość szybko. Han wyjrzał przez dziobowy iluminator stożka i bez trudu odnalazł nadlatujący statek. – Salculd, dlaczego zauważyłaś go tak późno?

– Nadleciał od strony rufy – odparła przepaszająco młodsza Selonianka. – Nasze rufowe detektory nigdy nie były bardzo czułe, a przeciążenie spowodowało uszkodzenia, których nie potrafiły wykryć procedury diagnostyczne.

– Wspaniale – mruknął Han. – Lecieliśmy na oślep i nawet o tym nie wiedzieliśmy.

– Co zrobimy, czcigodny Solo? – zapytała zaniepokojona Drackmus.

– Zrobimy? A co możemy zrobić? – odrzekł Han. – Zakłócenia uniemożliwiają łączność za pomocą komunikatorów, a zatem nawet sobie z nimi nie porozmawiamy. Nie usunąłem awarii jednostki napędowej, a więc donikąd nie polecimy... możemy najwyżej wyjść na zewnątrz i popchnąć tą starą balię. – Wskazał na szybko

zbliżający się statek i bezradnie wzruszył ramionami. – Cóż, trzeba rozwinąć czerwony dywan i mieć nadzieję, że to nie wrogowie. Powiedziałbym, że wolę, żeby opowiedzieli się po naszej stronie, ale nie mam pojęcia, po czyjej my się opowiadamy.... – Urwał i przyjrzał się uważniej nadlatującej jednostce. – Chwileczkę – podjął po chwili. – Znam ten statek. Znam ten statek...

– Co to za jednostka? – zapytała natychmiast Drackmus. – Przyjaciele czy wrogowie?

– Nie jestem tego pewien. Drackmus, Salculd, posłuchajcie obie. Chwyćcie broń ręczną i pędźcie do śluzy. Tylko szybko!

Obie Selonianki na sekundę zamarły z przerażenia. Nie wiedziały, czy powinny usłuchać rozkazu wydanego przez człowieka.

– Biegnijcie! – ponaglił je Han. – Nie mamy ani chwili do stracenia!

Dopiero to sprawiło, że zerwały się z foteli i usłuchały.

– Mam w kabinie dwa blastery – oznajmiła Drackmus skracając, żeby je zabrać. Salculd biegła tuż za nią.

Przeskakując po dwa stopnie, Han zbiegł po drabince, a potem skierował się do śluzy. Żałował, że nie ma żadnego klucza albo młotka... czegokolwiek, byle dużego i ciężkiego. Nie było jednak czasu na szukanie. W pewnej chwili dał się słyszeć dźwięczny stuk metalowych łąp, zaciskających się na zewnętrznej powierzchni kadłuba stożka. Chwilę później rozległ się wysoki pomruk i siłowe pole cumownicze zetknęło się z kadłubem. Była to standardowa procedura, stosowana zawsze, ilekroć obok siebie cumowały jednostki o różnych kształtach. Pomiedzy obiema śluzami tworzyło się wówczas podobne do walca pole siłowe, które umożliwiało bezpieczne przejście z pokładu jednego statku na pokład drugiego...

Zakładając, rzecz jasna, że takim przejściem były zainteresowane załogi obu statków.

Han spędził kilka chwil, zastanawiając się, czy nie uszkodzić albo nie zablokować zamka śluzy, aby grupa abordażowa nie mogła wdrzeć się na pokład ich statku. Zrezygnował jednak, kiedy uświadomił sobie, że to nie miałyby sensu. Pierwszy lepszy laserowy palnik, wart pieniędzy, jakie nań wydano, przebiłby się przez płyty kadłuba w ciągu najwyżej kilku minut. Han doszedł do wniosku, że lepiej pozwolić, żeby intruzi dostali się na pokład, i dopiero tu postarać się z nimi rozprawić. A może się okaże, że przybywający wcale nie żywią względem nich złych zamiarów? Może... W tej samej chwili Han usłyszał, jak rozsuwają się zewnętrzne wrota śluzy. Było jednak za późno, żeby cokolwiek się martwić.

– Solo! – wykrzyknęła Drackmus. Trzymając odbezpieczony Master, wybiegła z korytarza. – Solo! Co się dzieje? Co to za statek?

Znieruchomiała tak niespodziewanie, że biegnąca tuż za nią Salculd omal nie zderzyła się z jej plecami.

– O co tu chodzi?

– Do kadłuba twojego statku właśnie przycumowała korweta o nazwie „Ognista Jade” – odparł beznamiętnie Han. – Statek, którego właścicielką jest Mara Jade. Twoja serdeczna przyjaciółka wysłedziła mnie – albo nas, jeśli wolisz – chyba z przeciwległego krańca koreliańskiego systemu. I oświadczam ci, że nie zamierzam rozstrzygać żadnych wątpliwości na jej korzyść. Lepiej będzie, jeżeli postara się możliwie jak najszybciej przekonać mnie, że rzeczywiście opowiada się po naszej stronie, bo w przeciwnym razie...

Rozsunęły się wewnętrzne wrota śluzy i Han umilkł. Pełne pięć sekund stał nieruchomo jak sparaliżowany. Zaskoczony, zapomniał

nawet zamknąć usta.

A później, nagle, nie wiadomo jak, skoczyli jedno ku drugiemu i padli sobie w objęcia. Stało się to tak szybko, że chyba nikt nie zauważył, kiedy pokonali dzielącą ich odległość.

– Leio! –wykrzyknął Han. – Leio! Jakim cudem...

Leia Organa Solo jeszcze silniej zacisnęła ramiona, którymi obejmowała od dawna nie widzianego męża.

– Witaj, Hanie – powiedziała. – Nie masz pojęcia, jak bardzo za tobą tęskniłam.

Luke Skywalker leciał swoim X-skrzydłowcem tuż obok „Ślicznotki”, ponieważ pilotom obu jednostek powierzono eskortowanie „Intruza”. Wszystkie cztery okręty bakurańskiej floty leciały w szyku przypominającym piramidę o trójkątnej podstawie albo klin. Jego wierzchołek stanowił „Strażnik”, a pozostałe trzy jednostki, tworząc równoboczny trójkąt, leciały w pewnej odległości za nim. Admirał Ossilege liczył na to, że nieprzyjacielscy piloci nie wykryją promieni przyciągających, za pomocą których technicy trzech pozostałych okrętów kierowali ruchami „Strażnika”. Bojowy szyk, jakim leciały wszystkie okręty bakurańskiej floty, wywierał duże wrażenie, a przecież właśnie to liczyło się najbardziej.

– Luke'u, zgłoś się, Lu...

To Lando usiłował porozumieć się z nim za pomocą systemu bezpośredniej, to znaczy wzrokowej, łączności laserowej. Największą zaletą tego systemu było to, że umożliwiał jaką taką łączność – czego nie dałoby się powiedzieć o jakimkolwiek innym systemie, zainstalowanym na pokładach „Intruza” i trzech niszczycieli. Mimo to również łączność laserowa pozostawiała wiele do życzenia. Wystarczała jednak, żeby dowódca mógł porozumieć

się ze skrzydłowym. Wszelkie próby nawiązania łączności w inny sposób były z góry skazane na niepowodzenie.

– Nadal nie najlepiej, Lando – odparł mistrz Jedi. – Co się stało?

– ...szę znów to ...kalibrować... Gotowe. Chciałem zapytać cię, czy wiesz, czego możemy się spodziewać.

Innymi słowy Lando pragnął się dowiedzieć, czy Luke wyczuje coś więcej, jeżeli posłuży się Mocą.

– Właściwie nic – odpowiedział Skywalker. – Jeżeli chodzi o naszych przeciwników, w ogóle nie wyczuwam prawie niczego... może poza emocjami, jakich należałoby się spodziewać przed każdą bitwą. Domyślam się, że nasi wrogowie nie orientują się lepiej niż my, o co w tym wszystkim chodzi. Może wiedzą to ich dowódcy, ale nie piloci.

– Wspaniale – odezwał się Lando. – A co z Leią i Hanem?

– Nadal ich wyczuwam. Są razem, a przynajmniej bardzo blisko siebie. Teraz, kiedy już wiem, na czym się skupiać, wyczuwam obok nich obecność kogoś jeszcze. To Mara Jade. Przypuszczam, że wszyscy troje znajdują się teraz na pokładzie jej korwety. Jeżeli prawidłowo porównuję to, co odbieram za pośrednictwem Mocy, z tym, co widzę na ekranie monitora, właśnie obierają kurs, który pozwoli im najszybciej opuścić rejon spodziewanej bitwy.

– Nie można ich za to ...inić – zasygnalizował Lando, chociaż jakby się przy tym zająknął. – Żałuję tylko, że Mara nie zdecydowała się wziąć udziału w tej bitwie. Jej statek dysponuje całkiem dużą siłą ognia. Przydałaby się nam pomoc z jej strony.

– Chyba nie – odparł Luke. – Przypuszczam, że Ossilege ma rację. Nieprzyjacielskie myśliwce nie lecą w szyku wskazującym na to, że piloci zamierzają wdawać się w pojedynki. Gdyby mieli takie

zamiary, w ciągu kilku minut byłoby po nich. Myślę, że muszą zdawać sobie z tego sprawę. Chyba nie zamierzają przystępować do walki. Nie są samobójcami.

– A...atem, jakie mogą żywić...miary? – zapytał Calrissian. – Pragną dostarczyć nam rozryw...?

Luke pokręcił głową.

– Pojęcia nie mam – wyznał szczerze. – Wkrótce się o tym przekonamy. Nadlatują.

Od strony słońca zbliżały się pierwsze eskadry kieszonkowych patrolowców. Zapewne piloci myśliwców typu KP usiłowali ukryć się w blasku Korela. Skierowali się prosto ku „Strażnikowi”, ale niemal w tej samej chwili, gdy przystąpili do ataku, złamali szyk i rozproszyli się we wszystkie strony. Zanim zawrócili i odlecieli, oddali zaledwie kilka symbolicznych laserowych strzałów. Kilkanaście sekund później nadleciały eskadry seloniańskich lekkich myśliwców szturmowych. Ich piloci wykonali niemal identyczny manewr. Podlecieli nieco bliżej... i w nagrodę zostali zasypani seriami szybkich laserowych błyskawic, wystrzelonych przez główne baterie turbolaserowych dział „Strażnika”. Mistrz Jedi musiał przyznać, że admirał Ossilege, który kierował ogniem dział uszkodzonego niszczyciela za pomocą zdalnego sterownika, jest albo bardzo wprawnym artylerzystą, albo ma wiele szczęścia. Precyzja jego strzałów mogła wprawić w zdumienie.

Piloci pozostałych maszyn typu LMS odlecieli dokładnie takim samym kursem, jak przed nimi uczynili to ich koledzy, pilotujący koreliańskie myśliwce typu KP. I jedni, i drudzy skierowali się prosto ku świecącej tarczy Selonii. Luke przypomniał sobie, że także jednostki bakurańskiej floty miały lecieć na tę planetę. Ściganie

nieprzyjacielskich maszyn i wdawanie się w walkę, która mogła zakończyć się roztrzaskaniem o powierzchnię, nie miało zatem najmniejszego sensu.

Pięć minut później z góry, znad formacji bakurańskich okrętów, nadleciały następne eskadry kieszonkowych patrolowców. Ich piloci, widocznie zamierzając zaatakować „Strażnika” od strony rufy, skierowali maszyny w sam środek klina. Tym razem zasypali lecący na czele szyku niszczyciel lawinami laserowych strzałów. Pozostałe ogromne bakurańskie okręty powitały intruzów ogniem własnych baterii, ale artylerzyści musieli mierzyć bardzo starannie, aby nie trafić „Strażnika”. Odpędzenie napastników przypadło zatem w udziale pilotom bakurańskich myśliwców. I rzeczywiście kilka eskadr zmieniło kurs, żeby odeprzeć atak napastników.

Luke postanowił, że także weźmie udział w walce.

– Lando – zasygnalizował. – Zamierzam zachęcić pilotów tych kieszonkowych patrolowców, żeby pilnowali własnych nosów. Lec za mną, ale trzymaj się blisko bakburty.

– Przyłączam się do ciebie,...uke'u – odparł Calrissian.

Mistrz Jedi zablokował skrzydła swojej maszyny w położeniu bojowym. Jego Xskrzydłowiec zanurkował i skierował się ku środkowi klina. Pilot „Ślicznotki” powtórzył ten manewr, ale cały czas osłaniał bakburtę myśliwca przyjaciela. Luke skupił całą uwagę na dwóch maszynach typu KP, lecących nieco niżej i po stronie sterburty. Zatoczywszy łuk, skierował się ku nim, a potem wziął na cel pierwszy nieprzyjacielski myśliwiec... i nagle, zanim zdążył wystrzelić, obie jednostki typu KP eksplodowały w locie.

– Trafiłem je – odezwał się Lando. – A przynajmniej wydaje mi się, że to moja zasługa. W przestworzach krzyżuje się tyle

laserowych strzałów... Luke'u, uważaj! Atakują cię z tyłu i z dołu!

Mistrz Jedi natychmiast zanurkował i jeszcze zanim zobaczył nieprzyjacielską maszynę, zaczął kręcić beczkę. Zawsze powinno się ufać swojemu skrzydłowemu. I rzeczywiście, chwilę później dostrzegł lecące za nim dwie maszyny: jedną typu KP i jedną LMS. W następnej sekundzie obaj nieprzyjacielscy piloci otworzyli ogień, ale ich strzały odbiły się od pola, chroniącego bakburtowy dolny płat X-skrzydłowca Skywalkera. Artoo zapiszczał na znak protestu, ale pragnąc skompensować energię strzałów, szybko dokonał zmiany konfiguracji ochronnej tarczy.

Luke zatoczył łuk i kiedy nieprzyjacielskie maszyny znalazły się w krzyżu celowniczym, posłał dwie krótkie serie laserowych strzałów. Pierwsza trafiła lekki myśliwiec szturmowy, który natychmiast przemienił się w oślepiającą kulę szczątków i płonących gazów. Druga odbiła się od kadłuba kieszonkowego patrolowca. Widocznie jej pilot stracił panowanie nad sterami, bo uszkodzona maszyna, bezradnie koziółkując, odleciała z pola walki. Luke szybko o niej zapomniał. Poderwał dziób swojego Xskrzydłowca, po czym zawrócił w stronę „Strażnika”, żeby zająć pozycję pod stępką.

– To by było na tyle – odezwał się Lando. – Przerwali atak i odlatują.

– Ta-a – przyznał mistrz Jedi. – I kierują się dokładnie w tę samą stronę, co przed nimi wszyscy pozostali. Zapewne chcą, żebyśmy zmienili kurs i polecili ich śladem.

– I właśnie tam się kierujemy – zauważył Calrissian. – „Strażnik” zmienia kurs, jakby zamierzał puścić się w pościg. Ossilege przewidział, że nasi nieprzyjaciele zechcą nakłonić nas, żebyśmy polecili za nimi.

– Wspaniale – odrzekł Luke. – Nie wiem tylko, kto kogo stara się przechytryć. Zamierzam zająć pozycję za rufą i powyżej „Strażnika”. Trzymaj się jak najbliżej.

– Odebrałem i zrozumiałem – zameldował Lando. – Nie radziłbym jednak, żebyś leciał za blisko. Jeżeli Ossilege świadomie kieruje niszczyciel w pułapkę, nie chciałbym w nią wlecieć, kiedy przyjdzie co do czego.

– Zgadzam się – przyznał Luke. – Zachowuję podwójną standardową odległość.

„Strażnik” złamał szyk, jaki dotąd zachowywał względem pozostałych trzech ogromnych okrętów. Niechętnie i nieporadnie zaczął zmieniać kurs, aby puścić się w pogoń za odlatującymi maszynami typu KP i LMS. Każdy zauważyłby, że uczynił to bardzo powoli. Z pewnością technikom, dokonującym prowizorycznej naprawy jego jednostki napędowej, udało się usunąć tylko niektóre uszkodzenia, w wyniku czego silniki mogły wykorzystywać jedynie ułamek mocy. Ważne jednak, że niszczyciel mógł w ogóle lecieć dalej. Luke zmniejszył dopływ energii do silników własnego Xskrzydłowca. Zamierzał podążać z tą samą prędkością co uszkodzony niszczyciel. Leciał cały czas pięć kilometrów za rufą i trzy kilometry powyżej „Strażnika”.

– Luke'u, następna ...skadra maszyn typu LMS ...łania się ...pod kadłuba „Strażnika” – ostrzegł Lando.

– Niech się wyłaniają – odparł mistrz Jedi. – Włącz wszystkie osłony na maksimum, ale nie odpowiadaj ogniem na ich strzały.

– Ale...

– Wykonaj rozkaz – uciął Luke. – Chcę przekonać się, jak zareagują. Przygotuj się jednak, żeby wyłączyć ochronne pola i

walczyć, jeżeli zawrócą i przystąpią do ponownego ataku.

Tym razem sześć maszyn typu LMS nadlatywało od strony rafy. Piloci czterech zmienili kurs, żeby zaatakować górne pokłady „Strażnika”. Widocznie postanowili, że przelatując, omiotą ciągłymi nitkami laserowych błyskawic cały pokład. Kilka sekund później błyski eksplozji wytrysnęły nad rufą i pomknęły ku dziobowi, ale potężne pola siłowe osłon niszczyciela bez trudu pochłoneły energię wszystkich strzałów. Baterie ogromnych dział zwróciły się ku napastnikom i plunęły wiązkami turbolaserowych błyskawic. Dwie maszyny typu LMS wleciały prosto w strumienie śmiertelnej energii, a dwie pozostałe zawróciły i poleciały w ślad za wszystkimi innymi.

Luke nie miał jednak czasu, by się im przyglądać. Piloci ostatnich dwóch maszyn typu LMS zaatakowali jego X-skrzydłowiec i „Ślicznotkę” Calrissiana. Przelatując nad obiema jednostkami, zasypali je krótkimi seriami strzałów. Kilka trafiło, ale ochronne pola poradziły sobie z nimi bez trudu. Mniejsze i słabsze lasery myśliwców przeciwników i tak nie mogłyby wyrządzić im żadnej krzywdy. Ponieważ ani Lando, ani Luke, nie mogli odpowiedzieć ogniem, przesłali całą energię do generatorów ochronnego pola. W tej chwili i tak nie miało to znaczenia. Obie nieprzyjacielskie maszyny śmignęły obok nich i nie niepokojone, podążyły śladami poprzedniczek. Skierowały się ku tarczy planety, na której tle widać było prawdziwy rój innych myśliwców nieprzyjaciela. Wyglądało na to, że wszystkie zwolniły i usiłując utworzyć szyk, krążyły w jednym miejscu niczym rozdrażnione owady.

– Teraz rozumiem – odezwał się Lando. – Dopiero to, co widzę, ostatecznie mnie przekonuje. Za wszelką cenę starają się zwabić nas

w jakiś punkt przestworzy – zupełnie jakby otrzymali wyraźne, surowe rozkazy. Nie znam pilota, który mogąc postrzelać sobie do dwóch wielkich, tłustych, powoli lecących i nie odpowiadających ogniem na ich strzały celów, zrezygnowałby z przystąpienia do drugiego ataku. Luke'u, czy jesteś pewien, że pięć kilometrów za rufą i trzy powyżej wystarczy?

– Prawdę mówiąc, nie jestem – przyznał mistrz Jedi. – Zwiększmy to do dziesięciu i sześciu. Tylko dokąd starają się nas zwabić? – dodał, zawracając, żeby zwiększyć odległość od niszczyciela.

– Pojęcia nie mam – odparł Lando, po czym powtórzył manewr przyjaciela. – W pobliże innego ogromnego, potężnego i zamaskowanego okrętu? A może pola minowego?

– Tyle że okręt albo miny powinny znajdować się między nami a nimi – zauważył Skywalker. – Inaczej twoje rozumowanie nie miałoby sensu. – Zajął nową pozycję i jakiś czas tylko przyglądał się powoli lecącemu „Strażnikowi”. Wyglądało to, jakby załodze uszkodzonego niszczyciela nie spieszyło się doścignąć prześladowców. Tymczasem piloci tamtych myśliwców, nie zbaczając z kursu, po prostu przelecieli przez obszar dzielących nas przestworzy.

„Strażnik” zbliżył się do chmury krążących w kółko lekkich myśliwców i kieszonkowych patrolowców na tyle blisko, że najbliższe maszyny znalazły się w zasięgu strzału. Baterie głównych dział zwróciły się ku nieprzyjacielskim jednostkom i plunęły strugami śmiertelnościami światła. Po chwili, strzelając seriami, zniszczyły całkiem sporo maszyn.

– Bez względu na cel, jaki chcą osiągnąć – ciągnął Luke – płacą za to wysoką cenę. Tylko na czym może polegać ta pułapka?

– Pojęcia nie mam – powtórzył Lando. – Możliwe, że przygotowują coś w rodzaju...

Nagle „Strażnik” zareagował, jakby trafił go cios potężnej niewidzialnej pięści. Dolne pokłady spłaszczyły się jak naleśniki i skleiły z górnymi, a w przestworza strzeliły całe sekcje pomieszczeń i fragmenty kadłuba. Chwilę później wnętrzościami okrętu targnęła seria straszliwych eksplozji. Wszystkie rozniosły wrak na strzępy, a potem przemieniły się w ogromną ognistą kulę, która, szybko się rozprzestrzeniając, pochłonęła nawet najbardziej odległe szczątki wraku.

– Zmiotamy stąd! – krzyknął Luke i szarpnął drążek sterowniczy. Zawrócił i przesłał największą możliwą dawkę energii do silników, żeby jak najszybciej oddalić się od ścigającej go kuli płonących gazów. Ułamek sekundy później to samo uczynił pilot „Ślicznotki”. Obie jednostki przyspieszyły, ale goniąca je fala udarowa przemieszczała się jeszcze szybciej. Widząc, że nie zdoła przed nią uciec, Luke odciął dopływ energii do jednostki napędowej i przesłał wszystko, czym dysponował, do generatora rufowego ochronnego pola. Uczynił to ułamek sekundy później niż Lando. W następnej chwili czoło fali doścignęło i jacht, i myśliwiec. Grzmotnęło w nie niczym obuch i posyłając w dwie strony przestworzy, równocześnie wprawilo w szaleńczy, niekontrolowany ruch wirowy. Kiedy ich minęło i pomknęło dalej, o kadłuby obu jednostek zagrzechotały odłamki i szczątki. Odbite przez ochronne pola poszybowały na boki, ale Xskrzydłowiec i „Ślicznotka” zareagowały jak korki na powierzchni wzburzonego oceanu.

W końcu, kiedy obok kadłubów obu statków przepłynęły resztki fali udarowej, Luke odzyskał panowanie nad sterami myśliwca.

Rozejrzał się dokoła, ale nigdzie nie zauważył jachtu Calrissiana.

– Lando! – zasygnalizował. – Lando!

– Tu jestem! – odebrał w odpowiedzi. – Za tobą i trochę w dole. Mam lekko uszkodzony kadłub i straciłem bakburtową jednostkę napędu podświetlnego, ale nadal panuję nad sytuacją. A co u ciebie?

– Jestem cały i zdrow – odparł Skywalker. Zatoczył ciasny łuk i zawrócił, a potem zaczął wypatrywać w przestworzach punktu, gdzie jeszcze niedawno leciał uszkodzony niszczyciel. Okazało się jednak, że nieszczęsny „Strażnik”, pacnięty niczym uprzykrzona mucha, po prostu przestał istnieć. Tam, gdzie unosił się w przestworzach, nie było teraz niczego... absolutnie niczego. – Co się stało?

– Właśnie miałem zapytać cię o to samo – odparł Lando. – Co to takiego?

– Nie wiem, Lando. Mam jednak paskudne przeczucie, że to coś – czymkolwiek było –jeszcze nie powiedziało nam ostatniego słowa.

– Stało się, jak się obawialiśmy – odezwała się Drackmus, nie odrywając spojrzenia od głównego monitora „Ognistej Jade”. – Ci głupcy się nim posłużyli. Nie przejmowali się konsekwencjami i po prostu się nim posłużyli.

– Czym się posłużyli? – zapytał Han. – Co to było?

– Planetarny repulsor – odrzekła cicho starsza Selonianka. – Podobny do tych, jakie instaluje się na pokładach gwiazdnych statków, żeby mogły unosić się nad płytą lądowiska, ale nieskończenie większy i potężniejszy. Urządzenie zostało ukryte pod powierzchnią Selonii. Zresztą pod powierzchnią gruntu wszystkich innych planet tego systemu ktoś ukrył takie same gigantyczne

urządzenia. To właśnie z ich pomocą nieznanymi twórcy koreliańskiego systemu sprowadzili wszystkie planety w ten zakątek przestworzy.

– Co? – zachnęła się Leia.

– Koreliański system planetarny jest artefaktem, czcigodna pani przewodnicząca... sztucznym tworem, przez kogoś zaprojektowanym i wykonanym. Nie potrafię jednak powiedzieć przez kogo, kiedy ani w jakim celu. Z pewnością jednak nie powstał w sposób naturalny.

– Ukryty gigantyczny repulsor... – mruknął do siebie Han. – Nie wierzę własnym uszom. To właśnie tego urządzenia poszukiwali żołnierze Ligi Istot Ludzkich?

– Tak – przyznała Drackmus. – Możliwe, że do tej pory je znaleźli. Dralowie i mieszkańcy Bliźniaczych Światów również zajmują się poszukiwaniami swoich repulsorów. My, Selonianie, pierwsi znaleźliśmy nasz i bardzo szybko postaraliśmy się, żeby zaczął funkcjonować. Nic w tym dziwnego, jeżeli wziąć pod uwagę, jak sprawnie umiemy drążyć podziemne korytarze. Powiedziano mi, że mierzenie do celu wciąż jeszcze sprawia naszym operatorom sporo kłopotów i właśnie dlatego tamten wielki niszczyciel musiał najpierw zostać zwabiony w określony punkt przestworzy. Podejrzewam jednak, że już niedługo nasze siostry uporają się z tym problemem... jestem tego pewna. Wówczas będziemy mogli wymierzać potężne ciosy kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcemy.

– My? My? – zapytał Solo. – Władzę nad tym urządzeniem sprawują twoi rodacy, członkowie twojej nory?

– Chyba nie. Prawdę mówiąc, nie jestem tego pewna. Moje informacje są nieaktualne, przestarzałe, a jak możesz sobie wyobrazić, walka o sprawowanie władzy nad repulsorem była bardzo zacięta. Usunęła na dalszy plan wszystkie inne problemy, a

potem, niestety, wymknęła się spod naszej kontroli. W końcu przerodziła się w coś w rodzaju wojny domowej. Uczestniczyły w niej dwa ugrupowania. Jedno – moje – nazwało się Republikanistami. Pragniemy przekazać repulsor Nowej Republice w zamian za udzielenie gwarancji niezależności Selonii. Chcemy uznawać nad sobą jedynie władzę Republiki oraz – rzecz jasna – rządu koreliańskiego sektora. To właśnie dlatego chcieliśmy, żebyś poleciał z nami na Selonię, czcigodny Solo. Miałyśmy nadzieję, że wykorzystamy cię... że pomożesz nam w prowadzeniu negocjacji.

– A druga grupa seloniańskich bojowników? – zapytał Han.

– Nazwali siebie Absolutystami. Pragnęli posłużyć się repulsorem jako bronią, aby wywalczyć dla Selonii absolutną niepodległość. Później jednak wszystkie problemy tak się skomplikowały, a walka stała się tak zawzięta, że również nasze ugrupowanie mogło dojść do wniosku, że dobrze będzie posłużyć się repulsorem jako bronią.

– Tamte myśliwce wystartowały także z innych światów koreliańskiego systemu planetarnego – przypomniała Mara.

– Tak. Właśnie tak. Wielka ironia. Od dawna podejrzewaliśmy, że działalność wszystkich rewolucyjnie nastawionych ugrupowań – Absolutystów, Ligi Istot Ludzkich, Frontu Dralistów... dosłownie wszystkich – jest koordynowana przez kogoś spoza naszego systemu planetarnego. Spoza naszego grona. Jednak dopiero teraz udało się nam zdobyć dowód. Mimo to nie jesteśmy ani trochę bliżej dowiedzenia się, kim jest ta zewnętrzna siła. Nie wiemy, jakie stawia sobie cele ani jakie są jej dalsze plany.

– To niesamowite – odezwał się Solo. – Aż trudno uwierzyć.

– Jaki to ma związek z naszym głównym problemem? – zapytała Leia. – Co może mieć wspólnego z gwiazdogromem? Kto

doprowadził do wybuchu tamtej pierwszej supernowej? I dlaczego na pozostałych światach toczy się wyścig, kto pierwszy odnajdzie i opanuje repulsor?

– Nie wiem tego – przyznała Drackmus. – Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. – Umilkła i dłuższą chwilę wpatrywała się w ekran monitora, na którym chwilę wcześniej oglądała zagładę bakurańskiego niszczyciela. – Jednego tylko jestem pewna – podjęła w końcu. – Oto moja planeta właśnie wypowiedziała wojnę Nowej Republice.

ROZDZIAŁ

18.

WYŚCIG Z CZASEM

– Lando odpowiada Tendrze. To długa historia, dlaczego, ale dopiero niedawno przyleciałem do systemu i dosłownie przed kilkoma sekundami otrzymałem wiadomość od ciebie...

Tendra słuchała jego słów; odtwarzała je raz po raz, bez końca. Z trudem powstrzymywała łzy, jakie wciąż na nowo napływały do oczu. Był tutaj. Żył. I przygotowywał się do walki. Mimo iż czuła ogromną ulgę, z wolna zaczynała ogarniać ją obawa, czy przypadkiem nie stanie mu się coś złego. Pomyślała o długim czasie opóźnienia, jakiemu ulegały przesyłane z prędkością światła radioniczne sygnały. Z pewnością leciały bardzo długo, skoro miały do pokonania całą odległość dzielącą środek systemu od punktu, gdzie unosił się w tej chwili jej „Szarmancki Gość”. Co zrobi, jeśli się dowie, że w ciągu tych wszystkich godzin przydarzyło mu się coś złego? Jak zareaguje, jeżeli się okaże, że Lando żył, kiedy wysłał tę wiadomość, ale zginął w trakcie walki, zanim miała okazję ją otrzymać?

Nie. Nie. Nie mogła w to uwierzyć. Nawet nie chciała zastanawiać się nad taką ewentualnością. Przyleciała tu w określonym celu i w końcu miała okazję go osiągnąć. Nawiązała

łącność z Landem za pomocą radionicznego urządzenia i wreszcie mogła go ostrzec, że na obrzeżach systemu Sakorii zbierają się okręty potężnej floty. Już dawno przygotowała i zarejestrowała wszystko, co zamierzała mu powiedzieć. Nie pominęła żadnego istotnego szczegółu; nie zapomniała o niczym, co mogłoby go zainteresować. Teraz jednak, kiedy nadeszła od dawna oczekiwana chwila, nie mogła oprzeć się pokusie, żeby nie wysłuchać ostatni raz tego, co zarejestrowała. Dołożyła przecież tylu starań, że mogła jeszcze raz upewnić się, iż rzeczywiście o niczym nie zapomniała.

Marcha, księżna Mastigoforu, jechała dziwną srebrzystą platformą w stronę powierzchni. Jak zwykle, urządzeniem sterował mały Anakin. Głęboko w dole, na samym dnie stożka, spoczywał starannie zamaskowany „Sokół Millenium”. Nieopodal niego krzątali się Chewbacca, Qiunine i bliźnięta... zajęci rozbijaniem obozowiska, także usytuowanego na samym dnie komory z planetarnym repulsorem. Chodziło o to, żeby mogli, nie niepokojeni przez nikogo, dokładnie zapoznać się ze wszystkimi szczegółami konstrukcji samego urządzenia, a także zasadą działania jego mechanizmów kontrolnych i sterujących. Marcha liczyła także na to, że – jeżeli będą mieli odrobinę szczęścia – może zdołają również znaleźć sposób, żeby się nim posłużyć.

Rozwiązaniem tych wszystkich problemów mogli jednak zająć się trochę później. Na razie Marcha pragnęła tylko wyjechać spod ziemi i spędzić trochę czasu na świeżym powietrzu. Chciała stać nieruchomo i wpatrywać się w draliańskie rozgwieżdżone niebo. Srebrzysta platforma niczym winda sunęła jak zaczarowana najpierw wzdłuż pionowej ściany, a potem wzdłuż tworzącej stożka, ku wierzchołkowi gigantycznej komory. Kiedy dotarła na taką

wysokość, że powiększyła się i zetknęła z przeciwległą ścianą, wierzchołek stożka pękł i rozchyliwszy się na zewnątrz, przemienił w walec. Ślizgając się po idealnie gładkich ściankach cylindrycznego szybu, platforma sunęła nadal w górę, ale znieruchomiła, kiedy zrównała się z powierzchnią gruntu. Dopiero wówczas księżna Marcha uniosła głowę i skierowała spojrzenie ku usianemu punkcikami gwiazd nieboskłonowi.

Ujrzała na nim także coś innego oprócz iskierek gwiazd. Daleko na wschodzie, nad samym horyzontem, świeciły dwa jaskrawe punkty: Korelia i Selonia. A na zachodzie, nieco wyżej, widniały dwie świetliste plamki Bliźniaczych Światów: Talusa i Tralusa. Świecący między nimi punkt oznaczał stację Centerpoint, ale płonął tak słabym blaskiem, że Marcha nie miała pewności, czy rzeczywiście go widzi, czy tylko sobie wyobraża.

– Gdzieś tam są, prawda? – zapytał Anakin, chwytając łapę Dralki i opierając na niej część ciężaru ciała.

– Tak, mój drogi, z pewnością tam są – odparła Marcha i oparła dłoń na ramieniu chłopczyka. – Twój rodzice tam są. Jestem tego pewna. Pracują, walczą i starają się, żeby wszystko skończyło się jak najlepiej.

Zamyślony malec kiwnął głową.

– Zawsze tak postępują – powiedział. – Czy to właśnie dlatego musimy się ukrywać? Mamy pomóc im przez to, że rozwiążemy zagadkę tego repulsora?

– Tak, mój drogi – rzekła ciotka Marcha. – W taki sposób pomożemy im najbardziej.

– Jejku! – wykrzyknął Anakin. – Mam nadzieję, że nie zawiedziemy ich zaufania!

Tymczasem gdzieś daleko, na samych obrzeżach systemu Thanty Zilbry, pilotujący zmodyfikowany X-skrzydłowiec Wedge Antilles wylądował na pokładzie lotniczym gwiazdnego krążownika „Naritus”. Bardzo żałował, że nie może postrzelać do żadnych wrogów. Jego zadanie polegało na ewakuowaniu ludności, zamieszkującej cały gwiazdny system. Właśnie takie otrzymał rozkazy... tylko dlatego, że paranoicy z Wywiadu Nowej Republiki za bardzo przejęli się jakąś zwariowaną plotką. Podobno ktoś zmusił do eksplozji jedną gwiazdę i zapowiedział, że potem wywoła eksplozję właśnie Thanty Zilbry, a po niej jeszcze innej gwiazdy... Wedge Antilles uważał, że jeżeli da się wiarę jednej plotce, trzeba będzie uwierzyć, że następnym celem może stać się praktycznie każda inna gwiazda w całej galaktyce.

To wszystko było po prostu śmieszne; nie widział tu cienia sensu. Jak, u diabła, ktoś mógłby zmusić do eksplozji gwiazdę? Do chwili rzekomego wybuchu pozostawało zaledwie dwanaście godzin i nic nie wskazywało na to, aby miało wydarzyć się coś niezwykłego. Inna plotka głosiła, że podobno poważne niebezpieczeństwo grozi także uwikłanej w to wszystko przywódczyni Nowej Republiki. Wedge miał nadzieję, że przynajmniej część tej plotki mija się z prawdą. Doskonale wiedział, jak bardzo Nowa Republika potrzebuje odwagi i rozwagi Leii Organy Solo... wiedział również, ile Leia znaczy dla jego dobrych przyjaciół, Hana i Luke'a.

Z pewnością pogłoski krążące na temat Leii były jedynie pogłoskami, niczym więcej. Niektórzy należący do jego eskadry piloci podobno słyszeli, że cała historia z rzekomo eksplodującą supernową została po prostu wyssana z palca. Rzecz jasna, żaden spośród nich nie potrafił powiedzieć, skąd się o tym dowiedział.

Twierdził tylko, że taką informację podawał przyjaciel kolegi tego albo owego kumpla, który znał kogoś, kto dowiedział się o tym, kiedy na chwilę wpadł do służbowej kantyny. Wedge postanowił, że najlepiej zrobi, jeżeli wszystkie te pogłoski po prostu zignoruje. Jego zadanie polegało na wypełnianiu otrzymanych rozkazów, a te przewidywały, że ma wspierać ewakuację ludności. Kilka lotów odbędzie latając swoim zmodyfikowanym Xskrzydłowcem, a pozostałe – pilotując niewielki pasażerski wahadłowiec. Wyglądało na to, że najtrudniejsza część zadania polega na utrzymaniu w ryzach większości pozostałych pilotów Eskadry Łobuzów, słynących z krewkiego temperamentu chyba w całej galaktyce.

Tak więc miał pełne ręce roboty, ale nie widział w tym nic dziwnego. Mógł być się tego spodziewać, kiedy dowiedział się, że zadanie floty będzie polegało na ewakuowaniu wszystkich obywateli systemu gwiazdowego Thanty Zilbry... nie wyłączając tych, którzy nie zamierzali się nigdzie wybierać.

Miał tyle spraw na głowie, że nie musiał tracić czasu na zastanawianie się, czy przekazane mu polecenia mają jakikolwiek sens, czy też nie. Dotychczas otrzymywane rozkazy zmuszały go do robienia wszystkiego, ale nie tego, w czym sądził, że jest najlepszy. Wprawdzie mógł znów siedzieć za sterami, ale przekazywanie pilnych meldunków albo dostarczanie zapasowych części pełniącym służbę na pokładach pasażerskich transportowców technikom nie należały do zajęć najciekawszych ani najbardziej ekscytujących. Na szczęście jego misja już niedługo dobiegnie końca. Nie później niż godzinę przed spodziewaną chwilą eksplozji gwiazdy cała flota miała dokonać skoku i zniknąć w nadprzestrzeni. Jeszcze półtorej zmiany i to wszystko się zakończy... a potem prawdopodobnie

zacznie na nowo, ponieważ będzie trzeba przetransportować mieszkańców z powrotem do domów, a w końcu przeprosić wszystkich za kłopoty i zamieszanie.

Wielu obywateli Thanty Zilbry postanowiło oszczędzić im tego kłopotu. Nie mogąc uwierzyć, że w ogóle istnieje jakieś zagrożenie, po prostu oświadczyli, iż nie ruszą się z domów. Sytuacji w niczym nie poprawiał fakt, że również wielu przedstawicieli Nowej Republiki – wysłanych, żeby ich przekonać – nie bardzo wierzyło, iż wydarzy się coś niezwykłego.

Na razie jednak Wedge Antilles musiał pomyśleć o czymś innym. Zanim wróci do wykonywania rozkazów, powinien chociaż trochę odpocząć, odrobiną się odprężyć. Zwolnił zatrzaski owiewki i wygramolił się z kabiny. Zaczekał, aż któryś z członków personelu obsługi przyniesie i przystawi drabinę, a potem, nie spiesząc się, zszedł na płytę lądowiska.

Udał się prosto do przebieralni pilotów i zdjął lotniczy kombinezon, a potem zdecydował, że weźmie krótki, ale jakże potrzebny natrysk. Kiedy skończył, włożył czysty kombinezon i czując lekkie wyrzuty sumienia, postanowił udać się do ośrodka dowodzenia. Zamierzał przekonać się, czy w czasie, kiedy latał w przestworzach, patrolując je i starając się stawiać czoło takiej czy innej awaryjnej sytuacji, nie wydarzyło się coś niezwykłego.

„Naritus” pełnił obowiązki okrętu dowodzenia i wykonywał swoją misję wspólnie z trzema innymi dużymi okrętami i ośmioma sporymi transportowcami. Ośrodek dowodzenia był czymś w rodzaju splotu słonecznego całej operacji. To właśnie stąd wysyłano i wzywano do powrotu gwiazdne statki. To właśnie tu decydowano, w jaki sposób radzić sobie z rozwiązywaniem takich czy innych trudności. To tu

rozstrzygano, czy przypadkiem nie zrezygnować z szukania rozwiązania jednego problemu i nie zająć się załatwianiem następnego. To stąd oficerowie łącznościowcy prowadzili przez komunikatory różne rozmowy – z kierownikami kopalń czy kapitanami nadlatujących frachtowców. Namawiali ich i zachęcali, a czasami błagali, żeby przygotowywali się do odlotu, zanim będzie za późno... zanim wydarzy się straszliwa katastrofa. To właśnie stąd dowódcy całej operacji usiłowali zapanować nad konfliktami, jakie raz po raz wybuchały na pokładach zatłoczonych transportowców. Na kilku doszło do rękoczynów, a na jednym czy dwóch wybuchały awantury graniczące z jawnym buntem. Nic dziwnego; wszędzie panowała atmosfera trudna do zniesienia, a cierpliwość zdeorientowanych ludzi była bliska wyczerpania.

Kiedy Wedge stanął przed drzwiami ośrodka operacyjnego, wystukał kombinację cyfr umożliwiającą wejście i po chwili obie tafle drzwi cicho się rozstąpiły. Przeszedł przez próg... i natychmiast uświadomił sobie, że jednak wydarzyło się coś złego. W ośrodku operacyjnym panował spokój... spokój i niezwykła cisza.

Zazwyczaj pomieszczenie przypominało dom wariatów. Operatorzy wrzeszczeli do mikrofonów, usiłując przekrzyczeć wszystkich pozostałych. Starali się zapanować nad transportem ludzi, ruchami gwiazdnych statków i przepływem najróżniejszych informacji.

Teraz jednak było inaczej. Chwilę później Wedge uzmysłowił sobie, że tym, co zmusiło operatorów do zachowywania ciszy, nie był spokój, ale paniczne przerażenie. Wszyscy bez wyjątku obecni w pomieszczeniu ludzie wpatrywali się albo w twarze sąsiadów, albo

nie mogąc uwierzyć własnym oczom, spoglądali na ekrany monitorów.

Nikt nie wykrzykiwał do mikrofonu żadnych poleceń ani nie przekazywał informacji. Nikt nie wystukiwał na klawiaturach żadnych rozkazów. Nikt nie przeszukiwał zakresów częstotliwości w nadziei, że usłyszy, co o tym całym bałaganie sądzą inni uczestnicy operacji. Nikt nie robił nic oprócz spoglądania w osłupieniu. Wedge popatrzył na twarze kilku osób. Chyba na wszystkich malował się podobny wyraz. Niedowierzanie. Zdumienie. Strach. Przerażenie. Paniczna trwoga.

Pospieszył do najbliższego stanowiska łączności.

– Parry, co się stało? – zapytał pełniącego służbę oficera.

Mężczyzna pokręcił głową i wyciągnął rękę w kierunku głównego ekranu.

– Gwiazda – wykrztusił. – Gwiazda. Z początku nikt z nas nie chciał w to uwierzyć. Nikt z nas ani z mieszkańców planety czy kolonistów z orbitalnych stacji, których mieliśmy ewakuować w drugiej kolejności. Jednak niewiarygodne stało się prawdziwe. Niech pan spojrzy. Niech pan sam się przekona.

Wedge odwrócił się szybko i popatrzył na oglądany w podczerwieni wizerunek tarczy słońca. Zaledwie godzinę wcześniej przypominał spokojne, idealne koło... niegroźne, jeżeli nie przejmować się jedną czy dwiema ciemniejszymi plamami na jego powierzchni.

Teraz jednak słońce wyglądało jak kłębiące się piekło. Z tarczy raz po raz strzelały ogniste węże, jęzory i warkocze. Powierzchnia przypominała krater czynnego wulkanu. Wedge widział na własne oczy, jak we wnętrzu wrze niczym w kotle z gotującą się smołą.

– Wybuchnie – wyszeptał. – Rzeczywiście wybuchnie. Nie wierzyłem, że to się stanie. Naprawdę nie wierzyłem.

– Co mamy teraz począć ze wszystkimi ludźmi, którzy także, jak my, nie chcieli w to uwierzyć?

Wedge zmarszczył brwi i kilka chwil stał nieruchomo, wpatrzony w ekran głównego monitora.

– Musimy po nich wrócić – odezwał się w końcu. – Wrócić i wszystkich zabrać, zanim na ich świecie rozpęta się prawdziwe piekło.

Wedge stracił rachubę lotów, jakie odbył tego dnia, transportując przerażonych ludzi. Za każdym razem leciał wahadłowcem i prawie zawsze zabierał na pokład o wiele więcej mieszkańców niż dopuszczały przepisy bezpieczeństwa. Wyglądało na to, że wystarczyło, aby mieszkańcy systemu Thanty Zilbry rzucili okiem na swoje słońca, ponieważ wszyscy nagle doszli do wniosku, że pora się wynosić. Wedge latał nieskończenie wiele razy to do jednego, to znów do innego osiedla. Zanim ponownie startował w niebo, upychał spoconych, zgrzanych i osłupiałych ludzi wszędzie, gdzie się dało. Na wszystkich lądowiskach królował chaos i tylko niewielu obywateli mogło marzyć o tym, że znajdzie wolne miejsce na pokładzie... Na ogół jego wahadłowiec bywał oblegany przez tłumy mieszkańców, jeszcze zanim Wedge zdołał choćby otworzyć klapę wjazdu.

W nie lepszym stanie znajdował się sam „Naritus”. Nikt nie miał czasu i tylu wahadłowców, żeby przewieźć wszystkich ludzi na pokłady transportowców, na których i tak znalazły schronienie tłumy uchodźców. Kiedyś, wśród koszarnej mgły, jaka ogarnęła jego umysł tego dnia, Wedge usłyszał w słuchawkach to, czego od

dawna się spodziewał. Jeden z pełniących służbę w ośrodku dowodzenia operatorów przekazał mu informację, że planiści wyprawy nigdy nie podejrzewali, iż na planecie systemu Thanty Zilbry może mieszkać aż tylu kolonistów.

Z tamtego okresu zapamiętał tylko niektóre twarze, wypadki i sytuacje. Nie mogło być nawet mowy o tym, aby ułożyły się chronologiczny ciąg wydarzeń. Oto płacze dziecko, tulące się do piersi matki. Tu znów inne dziecko, wrzucone na pokład jego wahadłowca przez ojca, który wiedział, że dla niego zabraknie miejsca. Kwaśny odór zbyt wielu ludzkich ciał, ściśniętych na zbyt małej przestrzeni... unoszący się w powietrzu smród trwogi. Przelot nad jedną z osad Thanty Zilbry, ogarniętą pożarem. Otarcie się nosem wahadłowca o tłum rozhisteryzowanych uchodźców, stłoczonych na płycie lądowiska pokładu lotniczego „Naritusa”. Szukanie z coraz większym trudem miejsca, gdzie dałoby się wylądować. Głos w słuchawkach... śpiew biorącej udział w wyprawie pani pilot, która cicho nuciła kołysankę. Czy kobieta uświadamiała sobie, że nuci? Czy starała się w taki sposób uspokoić siebie, czy może jakieś dziecko, płaczące w kącie kabiny?

Starszawy mężczyzna, siedzący na walizce pośrodku lądowiska i twierdzący z uporem – pomimo błagań wszystkich innych członków rodziny – że za nic nie odleci. Czyżby zamierzał odstąpić swoje miejsce na pokładzie wahadłowca komuś młodszemu, mającemu przed sobą więcej lat życia? A może z uporem godnym szaleńca uważał, że nie musi odlatywać, ponieważ nie przydarzy się mu nic złego? Otwarta na oścież walizka, z której wysypały się kosztowności, zapewne dorobek całego życia. Niektóre porzucone tuż obok, a inne trochę dalej, jakby ich właścicielka do ostatniej

chwili nie chciała uwierzyć, że musi wybierać między zabranie cennych świecełek a możliwością ocalenia czyjegoś życia.

Chaos w powietrzu. Dziesiątki niewielkich jednostek wszystkich rodzajów i kształtów, latających, wznoszących się, lądujących i przemykających pomiędzy większymi okrętami ratowniczej floty. Kolidacja w powietrzu, kiedy cywilny luksusowy jacht zderzył się z jakimś X-skrzydłowcem. Obie maszyny eksplodowały; nie przeżył nikt, kto znajdował się na pokładach.

A później, w końcu, kiedy siedział za sterami swojego wahadłowca, poprosił o zgodę na start, aby wrócić po następną grupę. Zgody tej jednak nigdy nie otrzymał. Zabrakło czasu. Operacja dobiegła końca. Flota przygotowywała się do odlotu. Wedge krzyczał do mikrofonu, błagał o pozwolenie na jeszcze jeden lot, a nawet przekonywał, że czasu wystarczy na więcej. Pamiętał, że tam, w dole, na lądowiskach, czekało na zabranie jeszcze wielu bezradnych uciekinierów. Czekali, aż przyleci, aby ich ocalić. Wiedział, że na niego czekają. Widział ich, rozmawiał z nimi, obiecywał, że powróci.

Tymczasem usłyszał rozkaz, nakazujący zabezpieczenie wszystkiego na pokładzie i przygotowanie się do skoku w nadprzestrzeń. Ten rozkaz, tę chwilę zapamiętał doskonale. Załoga „Naritusa” włączyła silniki napędu nadświatelnego – miały pracować tylko kilka chwil – i nagle okręt odleciał; zniknął z nieboskłonu Thanty Zilbry. Wedge poczuł zmianę tonu silników, kiedy krążownik powrócił do normalnych przestworzy. Wyłonił się w odległości zaledwie tygodnia świetlnego od skazanego na zagładę świata.

Dopiero wówczas Wedge zorientował się, że opuściła go wszelka chęć, aby krzyczeć, wrzeszczeć, błagać czy protestować. Nic nie czuł; siedział odrętwiały, jakby wypaliła się w nim cała chęć życia. Dopiero po dłuższym czasie rozpiął pasy ochronnej sieci, opuścił kabinę wahadłowca i przecisnął się przez tłum koczujących na pokładzie lotniczym uciekinierów. Znieruchomiał, kiedy znalazł się przed iluminatorem. Thanta Zilbra, widoczna w blasku promieni, które wysłała gwiazda jeszcze przed tygodniem, wyglądała całkowicie normalnie... jak kuszący, niezbyt odległy, świecący ciepłym blaskiem krąg na ciemnym niebie.

Oczywiście planeta nikogo nie kusiała, nie zapraszała ani nie wabiła. Już nie. Wedge odwrócił się, przecisnął ponownie przez mim szlochających, przerażonych albo otepiały ludzi i skierował do ośrodka dowodzenia.

Wszyscy oficerowie, technicy i operatorzy także obserwowali na ekranach swoich monitorów ten rejon przestworzy. Nie mieli zresztą nic innego do roboty.

Umieszczone na pokładach bezzałogowych sond automatyczne kamery, korzystając z kanału łączności podprzestrzennej, wysyłały ciągle sygnały, a zatem Wedge mógł wszystko widzieć... wszystko, co się dzieje.

Wydawało mu się, że gwiazda się kurczy, a przynajmniej zaczyna świecić coraz mniej intensywnym blaskiem. Kipiąca nieprawdopodobną energią powierzchnia jak gdyby zapadała się, kurczyła, ciemniała. Aż w pewnej chwili...

Nagle rozbłysła oślepiającym blaskiem, posyłając we wszystkie strony lance gwiezdneho ognia. Rozprzestrzeniająca się kula światła

ogarnęła i spowiła planety i zamieniła w parę gwiazdne stacje, aż w końcu dosięgła bezzałogowych sond z zainstalowanymi kamerami...

Ekran y zgasły.

– Jak w zegarku – odezwał się Parry na wpół do siebie. Wedge nawet nie zauważył, że oficer stoi od dłuższego momentu przed jednym z monitorów. – Następną ma być Bovo Yagen. Tym razem to potwierdzona informacja. Żadna plotka. Szacunkowa liczba mieszkańców w tym systemie wynosi dwanaście milionów – o ile po tym, co dzisiaj widzieliśmy, możemy nadal ufać jakimkolwiek danym szacunkowym. Są rozrzućeni po powierzchniach dwóch zamieszka nych planet i dziesiątków stacji, asteroid i sztucznych planetoid. Jeżeli nie potrafili śmy poradzić sobie z wyciągnięciem stąd dziesięciu czy piętnastu tysięcy, jak, u diabła, zdołamy poradzić sobie z tamtymi?

– Nie wiem, Parry – odparł Wedge. – Po prostu tego nie wiem.

Był pewien tylko jednego. Jeżeli nie znajdzie się jakiś sposób, aby nie dopuścić do eksplozji kolejnej supernowej, życie stracą miliony niewinnych istot.

KONIEC! cz. II